

BARBARA BARALDI

# SEZON PAJĄKÓW



*Nie, to nie był zwyczajny przestępca, ale pająk rozsnuwający swoją sieć, rozszerzający ją w wiele stron, na miejsca widoczne i niewidoczne dla oczu.*

LETRA



BARBARA BARALDI



# SEZON PAJĄKÓW

Przekład Zofia Anuszkiewicz

LETRA



Tytuł oryginału: *La stagione dei ragni*

Copyright © 2021 by Giunti Editorie S.p.A., Firenze-Milano, [www.giunti.it](http://www.giunti.it)

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.,  
Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania, nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i niedostępianie treści książki w sieci.

Tłumaczenie: Zofia Anuszkiewicz  
Redakcja: Agata Żabowska  
Korekta: Aleksander Kmak  
Projekt okładki: 3oko Krzysztof Kielbasiński  
Skład i łamanie: Sylwia Szur

ISBN 978-83-213-5231-2

CIP - Biblioteka Narodowa  
Baraldi, Barbara  
Sezon pajaków / Barbara Baraldi ; przekład  
Zofia Anuszkiewicz. Wydanie I. - Warszawa :  
LeTra, 2022

Wydanie I, 2022. Symbol 3901/R

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.  
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa  
tel. 22 444 86 50/51

[info@arkady.eu](mailto:info@arkady.eu), [www.arkady.eu](http://www.arkady.eu)  
[www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady)  
[www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra)

księgarnia firmowa tel. 22 444 86 61, e-mail: [ksiegarnia@arkady.eu](mailto:ksiegarnia@arkady.eu)

Wyłączny dystrybutor: DOBRA 28 Sp. z o.o.  
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa

tel. 22 444 86 94  
e-mail: [biuro@dobraz28.pl](mailto:biuro@dobraz28.pl), [www.dobraz28.pl](http://www.dobraz28.pl)  
księgarnia wysyłkowa: [www.arkady.info](http://www.arkady.info)  
tel. 22 444 86 97

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46



47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

100

101

102

103

104

105

106

107

108

109

110

111

112

113

114

115

116

117

118

119

120

121

122

123

124

125

126

127

128

129

130

Epilog

Od autorki

Przypisy

*Życie człowieka to długa droga przez noc.*

BERTRAND RUSSELL

# Prolog

Jako pierwszy zauważył to Carlo Brezzi, lat szesnaście, kiedy przejeżdżał przez most Wiktora Emanuela I swoim srebrno-niebieskim bmx-em. Spędził wieczór z dwoma przyjaciółmi, którzy mieszkali w rejonie viale Thovez, paląc trawkę i fristajlując na rowerach po podjazdach na tyłach sanktuarium Wielkiej Matki.

Było kilka minut przed północą 26 sierpnia 1988. W każdym innym okresie roku ruch byłby duży, samochody i taksówki jak zwykle przejeżdżałyby w tę i w tamtą stronę most, wokół którego mieszkańcy bawili się w weekendy. Ale choć był to piątek, ulice były prawie puste.

Wielu turyńców nie wróciło jeszcze z urlopów. Co z tego, że później, po tym, jak tłoczyli się na plażach w Alassio albo na stokach Sestriere, będą musieli wszyscy stać w korkach na autostradzie w spiekocie dnia, marząc, by zobaczyć na horyzoncie bramki niczym oazę na pustyni, tak jakby musieli spłacić kredyt po tym, jak wycisnęli z lata ostatnią kroplę wakacji.

Dla Carla pozostanie w mieście w sierpniu było czymś normalnym. Nie tylko dlatego, że w domu nigdy nie było dość pieniędzy. Jego rodzice rozwiedli się, kiedy był mały, i odtąd mieszkał z matką, która przez wiele lat pracowała jako korespondentka zagraniczna i z pewnością nie była typem urlopowiczki.

Zresztą na wpół opustoszałe miasto robiło na nim jakieś pierwotne wrażenie. Czasem czuł się jak archeolog, który trafił na ślady zaginionej cywilizacji. Z natury był ciekawy i potrafił godzinami włóczyć się bez celu w poszukiwaniu inspirujących widoków, by potem uwiecznić je aparatem leica M3, który dostał od dziadka na urodziny. Mijały tygodnie, zanim zapełniła się klisza i można było wywołać negatywy, ale oczekiwanie było nagradzane uczuciem zachwyty, z jakim Carlo oglądał i katalogował

gotowe zdjęcia, jeszcze bardziej fascynujące, bo czarno-białe; najlepsze fotografie wybierał i umieszczał na kartach swojego dziennika.

Chłopak zahamował gwałtownie mniej więcej w połowie mostu, pewny, że zobaczył, jak coś porusza się po balustradzie. Przez kilka chwil wpatrywał się w to miejsce, potem zsiadł z roweru i oparł go kierownicą o chodnik. Zbliżył się ostrożnie, jakby bał się przestraszyć dzikie zwierzę, które właśnie w tym kącie chciało schronić się na noc.

Poniżej asfaltu rzeka wiła się meandrami, niosąc ciemne wody lekko zmarszczone przez wiatr.

Carlo pochylił się, zauważając, że żelazne sztachetki były owinięte jakimś meshem, czymś w rodzaju lekkiej, prześwitującej tkaniny, która łączyła je ze sobą cieniutkimi niciami, widocznymi dopiero wtedy, kiedy wzrok trafiał na promień światła latarni.

Przez plecy przebiegł mu dreszcz. Z jakiegoś powodu odczuł nagły niepokój.

Nerwowym gestem podciągnął do łokci rękawy bluzy Best Company, potem przechylił się przez poręcz, by rzucić okiem za balustradę.

Natychmiast się cofnął.

Pająk wielkości pięści przeciął jego pole widzenia.

Carlo instynktownie odskoczył do tyłu, wydając lekki okrzyk. Niezgrabnie zamachał rękami, by złapać równowagę, wciąż się cofając, ale upadł pupą na asfalt.

Przez kilka chwil nie mógł się ruszyć. Był jak sparaliżowany, z wytrzeszczonymi oczami i półotwartymi z zaskoczenia ustami. Czuł na skroniach jakieś dziwne muskanie, jakby niewidzialne palce masowały mu skórę. Przeczesał ręką włosy, by to odgonić, a potem, po krótkim wahaniu, stanął na nogi i pochylony zrobił krok w stronę balustrady, zatrzymując się w bezpiecznej odległości.

Wobec pajaków odczuwał raczej pewien szacunek niż strach. Uważał je za stworzenia tyleż fascynujące, co obrzydliwe. Nigdy nie wziął żadnego do ręki, nawet tych nieszkodliwych kosarzy, które od czasu do czasu

wychylały się z kątów sufitu w jego sypialni. Nigdy nawet żadnego nie rozgniół, w każdym razie nie specjalnie. Kiedy musiał wykwaterować niepożądanego gościa, po prostu zgarniał go na kartkę i delikatnie wystawiał za okno.

Pająk kontynuował marsz przez balustradę po krzywej trajektorii, wreszcie zniknął za jedną ze sztachet.

„Może to jakaś halucynacja”, powiedział do siebie. Słaby żart spleatany przez zabójczą mieszankę trawki i zmęczenia.

Zamknął oczy. Westchnął.

Kiedy je otworzył, zdał sobie sprawę, że wokół było więcej pajaków, podobnych do tego pierwszego. Miały różne rozmiary, niektóre były nawet większe od jego pięści, najmniejsze zaś wyglądały jak kamyczki zawieszane w przestrzeni. Większość była nieruchoma, inne przemieszczały się po powierzchni pajęczyny, drobiąc po niej bezustannie.

Z wahaniem i niedowierzaniem Carlo ruszył z powrotem przez most, patrząc wciąż na balustradę. Skonsternowany odkrył, że była całkowicie pokryta pajęczynami w niektórych miejscach tak grubymi, że nie dało się zobaczyć widoku za nimi. Wszędzie krzątały się pająki – zbyt liczne, by można było je policzyć.

Gdy doszedł do przyczółku, przeszedł przez ulicę, by przyjrzeć się balustradzie po drugiej stronie i natychmiast zrozumiał, że i tam nie było nawet centymetra wolnego od sieci i jej ośmionożnych mieszkańców. Setki, może tysiące pajaków, cicha, lecz pracowita armia, skolonizowały obie strony mostu.

Skąd przyszły? Od kiedy tu były? Nie mogły się zmaterializować w ciągu kilku godzin. Późnym popołudniem, kiedy przejeżdżał przez most w okularach słonecznych i ze słuchawkami w uszach, mógł nie zwrócić na to uwagi. Tydzień wcześniej, kiedy jechał tą samą trasą, nie zauważył nic dziwnego. Przez nieuwagę czy osiedliły się tu później?

Te pająki mnożyły się bez przeszkód, snując swoje sieci, aż opakowały most długości stu pięćdziesięciu metrów. Czy to możliwe, że nikt inny tego



nie zauważył? Co prawda miasto było na wpół wyludnione, ale było ich zbyt wiele, by nie zwracały na siebie uwagi.

Nawet przyjaciele, z którymi spędził wieczór, nie powiedzieli o tym słowa, choć mieszkali niedaleko. Carlo podrapał się po brodzie zamyślony. Z pewnością nie wychodzili z domu, bo w ostatnich dniach miasto smagał silny wiatr. Znał ich dość dobrze, wiedział, że zabarykadowali się w domu ćwicząc się bez końca w pojedynkach w MicroProse Soccer.

Doszedł do roweru, wyciągnął z plecaka aparat fotograficzny. Nie był pewien, czy światło latarni wystarczy, by zdjęcia wyszły, ale należało przynajmniej spróbować uwiecznić tę scenę. Z tego, co wiedział, pająki mogły zniknąć z dnia na dzień, dokładnie tak, jak się pojawiły.

Znów zbliżył się do balustrady, kadrując z uwagą tak, by objąć rower i jak najwięcej pajaków. Upewnił się, czy nie zasłania palcem obiektywu.

Zanim nacisnął przycisk migawki, jego uwagę przyciągnął jakiś odgłos z oddali. Samochód wyjeżdżający z corso Moncalieri skręcił na most i niezbyt prędko jechał w jego kierunku.

Carlo pomyślał, że pojawił się w najlepszym możliwym momencie. Będzie mógł skorzystać z dodatkowego światła reflektorów, przy odrobinie szczęścia wywoła przyzwoite zdjęcia.

Kiedy samochód się zbliżał, pstryknął trzy razy, a potem odwrócił się i spojrzał, jak oddala się w kierunku piazza Vittorio.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na balustradę, wsiadł na rower i zaczął pedałowac w stronę domu.

Cisi mieszkańcy mostu, wbrew obawom Carla, nie zniknęli szybko. W kolejnych dniach, w miarę jak do miasta wracali mieszkańcy, szybko rozeszła się wieść o ich obecności i codziennie nadciągały setki ciekawskich, by zobaczyć pająki na własne oczy.

Fenomen wywołał gwałtowną debatę w społeczności naukowej, w którą zaangażowali się badacze i eksperci z całego kraju. Jednak nikt nie potrafił dać przekonującego wyjaśnienia.

Niektórzy mówili o nawiedzonym miejscu, inni sugerowali radykalne osuszenie okolicy, inni wreszcie życzili sobie objęcia zwierzątek ochroną, podczas gdy najwrażliwsi przestali pojawiać się na moście, nawet samochodami.

Nie do uniknięcia było, że z biegiem tygodni o sprawie mówiło się coraz mniej. Trochę dlatego, że ludzie się przyzwyczaili, trochę dlatego, że gazety znów wypełniły się polityką i spekulacjami wokół kilku morderstw, które popełniono w mieście. A trochę dlatego, że z każdym dniem pajaków było coraz mniej.

Wreszcie pod koniec października, po kilku deszczowych dniach, pajęczyny zniknęły bez śladu.

Z biegiem lat wiele osób zapomniało o tym ciekawym, niewyjaśnionym fenomenie.

Jednak niektórzy od czasu do czasu wracali myślą do okresu między końcem lata a początkiem jesieni owego roku, który w lokalnej pamięci zapisał się jako „sezon pajaków”.

# I

Młodszy prokurator Francesco Scalviati zaparkował swojego fiata crome z boku gruntowej drogi, tuż za patrolowym radiowozem. Otworzył skórzaną teczkę odłożoną na siedzenie pasażera i wyciągnął z niej pióro i gruby terminarz w czarnej okładce. Szybko przerzucił kartki do 27 sierpnia, sprawdził godzinę na zegarku i napisał: *Godz. 2.10, Pian del Lot*.

Prokurator miał włosy w lekkim nieładzie z powodu nocnej pobudki. Natomiast wąsy pozostawały jak zwykle schludne i ułożone, jakby nigdy nie traciły rygoru. Wychodząc z domu na wezwanie z centrali, nie mógł jednak uniknąć rezygnacji z krawata. Nie był zbyt zręczny w robieniu węzłów, ogólnie był słaby manualnie, jakby jego palcom, choć były długie i smukłe, brakowało niezbędnej koordynacji. To Greta zajmowała się tym każdego ranka, kiedy on przygotowywał się do wyjścia do biura.

Nie był to nawyk, raczej ryt, którym rozpoczynali dzień, ostatni kontakt przed pożegnaniem w oczekiwaniu na ponowne spotkanie po pracy. A może zastępstwo dla wyrażenia uczuć, których on nazbyt często nie potrafił okazywać. Jego uściski były zawsze nieco sztywne, pocałunki – ulotne. Takie nastawienie nie miało nic wspólnego z tym, co czuł wobec niej, raczej z pewną powściągliwością w okazywaniu przywiązania. Ta kwestia rodziła niekończące się dyskusje z żoną, która oskarżała go o to, że jego uczucia słabną, ale z tego, co pamiętał, zawsze tak było. Zresztą, nigdy nie widział, żeby jego ojciec pokazywał po sobie miłość, tym bardziej wobec dzieci, wobec których był odległy, a czasem przepytywał je tak, jakby ich czyny były bez przerwy obserwowane.

Zahaczył pióro o kieszeń płaszcza i z terminarzem pod pachą wysiadł z samochodu, by ruszyć drogą, która pięła się na wzgórze.

Już po kilku krokach znieruchomiał. Wydawało mu się, że kątem oka zobaczył kogoś w radiowozie. Spojrzał przez przednią szybę, zachowując

odpowiedni dystans.

Był tam mężczyzna w ciemnym garniturze, siedzący na tylnym siedzeniu, z rękami założonymi za plecy, jakby był skuty. Kiedy zauważył, że jest obserwowany, wydawał się otrząsnąć z senności i krzyknął coś niezrozumiałego.

Po chwili wahania Scalvati pokręcił głową i ruszył dalej.

Powyżej falującej linii wzgórz miriady gwiazd znaczyły nocne niebo oświetlane przez księżyc w pełni. Włączony kogut na radiowozie zaparkowanym dalej w poprzek drogi miarowo zabarwiał pobliskie krzewy niebieskawą poświatą.

Dwóch medyków gawędziło ze sobą, siedząc na murku. Scalvati przywitał ich skinieniem głowy i wszedł na ścieżkę, która prowadziła do zagajnika na granicy lasu.

Pośrodku trawnika stał mały biały samochód z otwartymi drzwiami. Niedaleko dwóch umundurowanych policjantów ustalało, gdzie rozpiąć taśmę ostrzegawczą. Jeden z nich, gdy zauważył obecność prokuratora, podniósł rękę, by zwrócić jego uwagę, i oddawszy rolkę koledze, pobiegł do niego.

– Dobry wieczór, prokuratorze – powiedział, łapiąc oddech.

– Dobry wieczór, aspirancie Loiacono. Czy może mi pan podać aktualne informacje? W centrali mówili o podwójnym morderstwie.

– Tak było – odrzekł Loiacono. – To mężczyzna i kobieta. On jest wewnątrz samochodu, ją znaleźliśmy ze sto metrów dalej, między tamtymi drzewami – wskazał na miejsce, gdzie drzewa rosły gęściej.

– Co wiemy o ofiarach?

– Już zidentyfikowaliśmy mężczyznę po dokumentach leżących w samochodzie. Paolo Ginestra, trzydzieści cztery lata, nienotowany. Urodzony w Asti, zamieszkały u nas w Turynie.

– A kobieta?

– Nieznana. Według sierżanta Marcucciego to może być dziewczyna z ulicy.

Scalviati zmarszczył czoło.

– Dlaczego miałby coś takiego twierdzić?

– Trochę z powodu stroju, powiedzmy... skąpego, a trochę ponieważ jesteśmy w miejscu ustronnym, ale niezbyt daleko od miasta, co sprzyja tego typu spotkaniom.

– Czy to nie za mało, by wyciągać takie wnioski?

Loiacono wzruszył ramionami.

– Zacytowałem tylko, co powiedział Marcucci.

– Tak czy owak, kobieta nie powinna być oceniana po tym, jak się ubiera, nie uważa pan?

– Oczywiście, prokuratorze, z pewnością. Mężczyzna też.

Scalviati westchnął.

– No to proszę mi pokazać, co tu mamy.

Loiacono poszedł w kierunku samochodu, zatrzymał się kilka metrów przed nim.

– Znaleźliśmy go tak, drzwi pasażera były jeszcze otwarte.

Gdy prokurator się zbliżył, drugi policjant zrobił krok w tył, salutując z szacunkiem, potem wrócił do rozciągania taśmy ostrzegawczej wokół terenu.

Scalviati poruszał się ostrożnie, wbijając wzrok w ziemię, by mieć pewność, że nie zdepcze śladów albo potencjalnych dowodów. Trawa była wysoka i nie chciał ryzykować, że przez nieuwagę utrudni zbieranie poszlak. Poszlak, których teraz, bardziej niż kiedykolwiek, rozpaczliwie potrzebował.

Ponieważ dobrze wiedział, że to, co będzie oglądał, jest miejscem zbrodni innym niż wszystkie.

## 2

Gdy Scalviati znalazł się obok samochodu, zauważył, że szyba okna przy siedzeniu kierowcy jest rozbita. Fragmenty, które pozostały jeszcze w oknie, tworzyły kanciastą konstelację w równowadze tak delikatnej, że mógłby ją rozsypać jeden podmuch wiatru.

Wewnątrz pojazdu ciało mężczyzny spoczywało skulone na siedzeniu z głową przechyloną w bok, opartą o obicie drzwi. Ofiara na czole miała ranę od kuli, a z niej wypływała stróżka skrzepniętej krwi, która przechodząc przez policzek, docierała aż brody. Usta były półotwarte, przymknięte oczy wydawały się wpatrywać w jakiś nieokreślony punkt przed sobą, dalej niż kierownica. Ramiona opadały luźno wzdłuż tułowia, dłonie odwrócone były w górę, jakby w pozycji do medytacji. Na torsie i nogach były rozsypane odłamki szkła, a na koszuli rozlewały się dwie czerwone plamy na wysokości serca i prawego płuca.

Kolejne podwójne morderstwo.

Trzecie w ciągu półtora roku, może były i wcześniejsze, pogrążone jeszcze we mgle niewiedzy. Znowu chodziło o parę, która wyjechała w ustronne miejsce.

Kiedy rok wcześniej, w lutym, znaleziono pierwsze dwa trupy, w prokuraturze uznano to za morderstwo w afekcie. Sprawę powierzono Scalviatiemu, który był najmłodszy w sekcji karnej, niedawno mianowany prokuratorem po tym, jak przez cztery lata był sędzią śledczym. Góra dała mu w ten sposób szansę, by otrząsał się w terenie, w śledztwie, które przynajmniej na pierwszy rzut oka nie wydawało się kryć jakichś szczególnych tajemnic.

Pierwsze podejrzenia padły na byłego chłopaka dziewczyny, który, jak się wydawało, nie pogodził się z zerwaniem. Ale ta próba spęzła na niczym: miał żelazne alibi.

Badania daktyloskopijne na miejscu zbrodni nie wykazały żadnych odcisków palców poza tymi należącymi do ofiar, narzędzia zbrodni nigdy nie odnaleziono. I tak śledztwo zostało szybko wstrzymane z powodu braku dowodów i świadków. Teczka pozostała na biurku prokuratora w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń, który pozwoliłby poszerzyć krąg podejrzanych.

Był jednak pewien szczegół, który nie dawał Scalviatiemu spokoju. Obecność na miejscu zbrodni dziwnego medalionu, który według bliskich nie należał do żadnej z ofiar i który sugerował zaangażowanie jakiejś ezoterycznej sekty.

We wrześniu tego roku znaleziono kolejne dwa trupy. Para młodych ludzi na samotnym biwaku nad brzegiem rzeki Dora Riparia, niezbyt daleko od Rivoli. Od samego początku rzucało się w oczy podobieństwo w szczegółach obu zbrodni: również w tym przypadku ofiary zostały zabite trzema strzałami z pistoletu. Było też jednak kilka różnic, które pchnęły śledztwo w zupełnie innym kierunku. Począwszy od faktu, że zwłoki dziewczyny zostały w przerażający sposób okaleczone *post mortem*. Usunięto jej śledzionę, cięcie nie było bynajmniej chirurgiczne.

Ten szczegół został zinterpretowany jako ostrzeżenie ze strony organizacji przestępczej. Było bowiem możliwe, że zbrodnię zaplanowano wśród handlarzy narkotyków.

Zamordowany chłopak, syn Francuzki, był drobnym dilerem, który kręcił się w okolicach bulwaru Murazzi nad Padem. W aktach miał również drobne kradzieże i sporo zgłoszeń udziału w bójkach.

Z inicjatywy prokuratora policja zrobiła kilka nalotów na lokale, w których sprzedawano narkotyki, i niestrudzenie przesłuchiwała reprezentantów lokalnego półświatka.

Ale podczas gdy protokoły piętrzyły się w coraz większych stosach, a nie pojawiało się w nich nic przydatnego do wyjaśnienia morderstw, w głowie Scalviatiego wzrosło się podejrzenie, że te dwa przypadki były powiązane. Że nie miały nic wspólnego ani ze zbrodnią z zazdrości, ani z handlem narkotykami. I że sprawcą była ta sama osoba.

Nie miał żadnego dowodu na poparcie tej teorii, tylko wrażenie, że zbrodnie były częścią większego planu, którego konturów nie potrafił jeszcze uchwycić. Za każdym razem, kiedy jego wzrok padał na akta obu spraw, nachodził go uporczywy niepokój.

Tak jakby jakaś mroczna postać dostała się w trzewia miasta i tylko on potrafił wyczuć jej obecność.

Co gorsza, zaczął wyczuwać, że stał się w prokuraturze obiektem jakiejś pełzającej irytacji. Szerzyło się przekonanie, że jest zbyt skrupulatny w pilnowaniu gwarancji prawnych i nie dość zdeterminowany, kiedy trzeba przydusić do zeznań. Niektórzy wątpili nawet, czy potrafi zapanować nad tym śledztwem.

– Loiacono! – zawołał. – Latarkę poproszę.

Skierował snop światła do wnętrza samochodu, oświetlając najpierw gumową podkładkę pod siedzeniem pasażera, potem tylne siedzenia, pod którymi ułożone były dwa buciki zapinane na rzepy i zabawkowy wóz strażacki.

– Nie mówił pan o dziecku – powiedział.

– Jakim dziecku? – spytał Loiacono, zdezorientowany.

– Proszę spojrzeć. To są buciki dla cztero-, pięcioletka.

Loiacono lekko pokręcił głową.

– Nie znaleźliśmy żadnego dziecka, prokuratorze.

– Mhm... – mruknął z zamyśleniem Scalviati.

Przesunął się, by spojrzeć w lusterko kierowcy. Zatrzymał się nieruchomo, w ciszy, patrząc na to, co zostało z bocznej szyby.

– Coś jest nie tak?

Scalviati cofnął się o kilka kroków. Przez kilka chwil chwiał się, jakby próbował złapać równowagę na niestabilnym gruncie. Potem podniósł latarkę, kierując ją na zwłoki, jakby to była broń.

– Pierwszy strzał musiał paść stąd – wymamrotał. – Dość daleko, by nie dać się zauważyć pasażerom samochodu, ale wystarczająco blisko, by nie



pomylić się przy najważniejszym strzale. Najpierw celował w serce mężczyzny.

– Skąd pan ma tę pewność?

– Układ ran nie jest przypadkowy, to jest trójkąt o wierzchołkach w sercu, prawym płucu i głowie. To oczywiste, że mężczyzna umarł prawie w tej samej chwili, nie miał szans zareagować. Więc musiał zostać trafiony w organ niezbędny do życia.

– A nie mogła to być głowa?

– Rana na głowie ma ciemną otoczkę. Kula została wystrzelona z bliska. Prawie przy skórze.

– Jak na egzekucji.

– Dokładnie. Morderca jest dobrym strzelcem, ale nie lubi ryzykować. – To mówiąc, Scalviati skierował światło na ziemię, ukląkł i zaczął grzebać w trawie coraz szerszymi, okrężnymi ruchami. Od czasu do czasu zatrzymywał się, oglądając w palcach kamyczek albo kawałek drewna, by zaraz go wyrzucić.

– Szuka pan czegoś, prokuratorze?

Scalviati zignorował pytanie. Przemieszczał się miarowo, jakby odliczał coś w zabawie, wreszcie zatrzymał się przy przednim kole samochodu.

Po chwili wahania pogrzebał w kieszeni płaszcza i wyciągnął jedwabną chusteczkę. Chwycił przez nią niewielki cylindryczny kawałek metalu o porozrywanych bokach, z plamami w kolorze miedzi, wciśnięty w bieżnik opony.

– Łuski – powiedział, wstając.

– Cholera jasna – zawtórował mu Loiacono.

Na żadnym z poprzednich miejsc zbrodni nie odnaleziono łusek. Na nic zdały się ponawiane dokładne inspekcje przeprowadzane przez analityków z laboratorium kryminalnego. Morderca był zawsze skrupulatny, musiał mieć pewność, że nie zostawia śladów. Ale jeśli rzeczywiście była to ta sama osoba, tym razem popełniła błąd.

Być może coś mu przerwało. A może nie mógł poświęcić tyle czasu, ile chciał, by posprzątać miejsce zbrodni, ponieważ mógł zostać przez kogoś zaskoczony. Ale było też możliwe, że zrobił się tak pewny siebie, że zaczął być nieostrożny.

Scalviati owinął łuskę chusteczką i wręczył rozmówcy.

– Proszę to zanieść analitykom. – Przesunął się, by spojrzeć na miejsce pasażera i wpatrzył się w siedzenie. – Dziewczyna siedziała tutaj. Widziała wszystko. Pewnie krzyczała ze strachu, kiedy rozsypała się szyba, a ciało jej towarzysza rozrywały kule. A może strach paraliżował ją o kilka chwil za długo, ale jej pierwsza myśl musiała dotyczyć dziecka na tylnym siedzeniu – mówił bezosobowym głosem, jakby był przy rekonstrukcji sceny, którą właśnie opisywał.

– Jeszcze nie wiemy, czy tam było dziecko...

– Oprawca wyciągnął ją z samochodu, na ziemi są ślady szamotaniny. Ale jakoś musiało jej się udać wyrwać. Zaczęła biec. Może chciała dobiec do lasu, gdzie mogłaby zmylić pościg...

– Niestety morderca ją dogonił.

Scalviati skinął głową. Zanotował kilka rzeczy w terminarzu, potem poprosił o zaprowadzenie do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki dziewczyny.

– Proszę za mną – powiedział Loiacono. – Ale ostrzegam: to nie wygląda ładnie. Zmaltretował ją, biedaczkę.

Miał rację.

Kiedy Scalviati spojrział na to ciało, z nienaturalnie wygiętą szyją, głową wciśniętą w krzak jeżyn i podbrzuszem pokrytym krwią, która nasączyła też białą tkaninę porwanej sukienki, nie miał już wątpliwości.

W mieście był potwór.

I on musiał go złapać.

### 3

Francesco Scalviati miał pewną zasadę: nigdy nie rozmawiać z żoną o najbardziej brutalnych aspektach swojej pracy.

Na oględzinach zdarzało mu się oglądać ciała rozcięte blachą po zderzeniach z dużą prędkością, ofiary sponiewierane w wypadkach przy pracy, tragicznie zmarłych w domu, szczególnie makabryczne samobójstwa albo młode ofiary przedawkowania, znalezione na obrzeżach dzielnicy Crocetta z igłą wciąż wbitą w ramię.

Uważał za swój obowiązek chronić żonę przed tym wszystkim, co mogłoby nią wstrząsnąć. Ponieważ kiedy Greta się uśmiechała, był to najbardziej promienny uśmiech, jaki on kiedykolwiek widział, ale kiedy smutniała, to tak, jakby cały świat tonął razem z nią.

Niedopuszczanie jej do tego było może także sposobem, by zniwelować wstrząs, jaki sam odczuwał na ten widok. Nawet na miejscach najbardziej bestialskich zbrodni prokurator starał się nigdy nie okazywać emocji. Ale teraz, kiedy patrzył na zwłoki nieznajomej, a jego oczy zatrzymywały się na nacięciu z boku klatki piersiowej, przez które prawdopodobnie morderca wyjął śledzionę, nie zdołał powstrzymać dreszczu grozy.

– Kto mógł coś takiego zrobić? – wymamrotał Loiacono.

Scalviati zacisnął pięści, próbując stłumić gniew. Ta seria okrutnych morderstw, rozpoczęta półtora roku temu, była częścią planu jakiegoś zbrodniczego umysłu. Czuł przygniatającą go odpowiedzialność za to, że nie zrobił dość dużo, by go powstrzymać.

Ale nie będzie już tracił czasu na podążanie fałszywym tropem. Gniew zmienił się w determinację.

– Gdzie torebka dziewczyny?

– Na razie nie znaleźliśmy żadnej torebki.

Również na pozostałych miejscach zbrodni brakowało niektórych przedmiotów osobistych ofiar.

– Kto poinformował policję?

Loiacono wyciągnął z kieszeni notatnik.

– Niejaki... Renato Bergesio, zamieszkały tu w Pian del Lot, kilometr stąd.

– Co dokładnie powiedział?

– Nie potrafię powiedzieć. Trzeba by zapytać dyżurnego, który przyjął zgłoszenie.

– Czy udało się panu spotkać tego Bergesio?

– Nie było go tutaj, kiedy przyjechaliśmy. Byliśmy z kolegą na patrolu w Mirafiori, kiedy zadzwoniła centrala. Skontrolowaliśmy cmentarz wojenny, bo nie byłby to pierwszy raz, gdy jakiś chuligan postanowił wskrzesić czyny Niemców z czasów okupacji. W tych okolicach często działają pravicowi ekstremiści, a w przeszłości były tu już incydenty. Jak upewniliśmy się, że tam jest spokój, to zaczęliśmy się kręcić w okolicy, wreszcie zobaczyliśmy ten samochód.

– Centrala mówiła o podwójnym morderstwie?

– Dokładnie.

– Czyli musimy założyć, że pan Bergesio wiedział o obecności dwóch trupów. – Scalviati ruszył w stronę drogi. – Ale skąd mógł o tym wiedzieć, skoro mieszka kilometr stąd?

– Może usłyszał strzały – zasugerował Loiacono.

– To się nie trzyma kupy. Strzały nie muszą oznaczać trupa, a tym bardziej dwóch. Nie mówiąc o tym, że z tej odległości mógłby pomyśleć, że to fajerwerki, które przecież często się puszcza pod koniec lata.

– Może zobaczył ciała z drogi, kiedy wracał do domu?

Scalviati rozejrzał się wokół.

– Z drogi widać tylko samochód na środku polany. Musiałby wejść między krzaki, a po znalezieniu zwłok w samochodzie dojść aż do tamtych

drzew, gdzie leży dziewczyna. Raczej niecodzienne, gdyby znalazł się tu przypadkowo.

– Sądzi pan, że ten Bergesio jest w to zamieszany i coś ukrywa?

– Za wcześnie, by to powiedzieć – odparł. – Za wiele elementów się tu nie zgadza. I nie mówię tylko o morderstwach. Nie zapominajmy, że zniknęło dziecko.

– Z całym szacunkiem, prokuratorze, co by robiło dziecko z parką, która chciała się schować w lesie na wzgórzach?

– Właśnie tego muszę się dowiedzieć. Teraz nie możemy nawet wykluczyć, że zostało porwane. W tym momencie mogłoby znajdować się w rękach mordercy.

– Wolę mieć nadzieję, że udało mu się uciec i ukryło się w lesie...

– Skontaktuję się od razu z centralą, żeby zorganizować zespół do śledztwa. – Gdy zbliżyli się do radiowozu, Scaviati popatrzył pytająco na Loiacono. – Czy może mi pan teraz powiedzieć, kim jest ten skuty gość w samochodzie?

– Właśnie chciałem o tym mówić – odparł. – To chyba jakiś amerykański turysta, bo jak mówi, to tak jakby się słuchało Dana Petersona. Pojawił się znikąd podczas oględzin i zaczął się na nas wydzierać.

– Wydzierać?

Loiacono zaczął gwałtownie gestykulować.

– No, przeszukiwałem wnętrze samochodu... – przerwał, jakby szukał odpowiednich słów. – Krótko mówiąc, otworzyłem schowek, szukając dokumentów. Nie zauważyłem jego obecności, dopóki nie zaczął wrzeszczeć, że tam mogą być odciski palców i że zanieczyszczam miejsce zbrodni.

– Cóż, nie bez racji. Powinien pan założyć rękawiczki. Albo poczekać na analityków.

– Zgoda, ale ja bym sobie nigdy *nie śmiał* powiedzieć czegoś takiego policjantowi! – Ciekawe, że Loiacono, choć pochodził z Apulii, całkowicie

przejął turyński akcent i sposób mówienia, jak dodawanie „sobie” do czasownika „śmieć”.

– Zresztą jak to się stało, że turysta znalazł się na miejscu zbrodni?

– Właśnie. Mam wrażenie, że dziś w nocy w tym miejscu jest większy ruch niż na via Nizza w godzinach szczytu.

– W każdym razie wydało mi się to co najmniej podejrzane. Kiedy zaczął głądzić o FBI i o szacunku do procedur, pomyślałem, że wypił o kieliszek za dużo i aresztowałem go za nagabywanie po pijanemu.

– Powiedział pan: FBI?

– Prawdopodobnie ma głowę pełną amerykańskich seriali, jak ci, co całe popołudnie oglądają RAI Due.

– No dobrze. Proszę skończyć zabezpieczanie terenu, ja skontaktuję się z centralą. Najbliższe godziny będą kluczowe, nie ma czasu do stracenia.

## 4

Prokurator usiadł za kierownicą radiowozu. Spojrzał przelotnie na skutego mężczyznę, który siedział za nim, potem chwycił krótkofalówkę.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati – oznajmił.

– Dobry wieczór, prokuratorze. Starszy sierżant Cortenovis, czym mogę służyć? – usłyszał odpowiedź z głośnika.

– Jestem na miejscu zbrodni, w Pian del Lot. Potwierdzam obecność dwóch zwłok. Rozumiem, że analitycy i lekarz sądowy są już w drodze?

– Potwierdzam. Już wszystko wiedzą, za moment będą.

– Bardzo dobrze. Ale będę potrzebował posiłków. Trzeba zorganizować zespół do poszukiwań zaginionego dziecka.

– Z całym szacunkiem, myślę, że nie jest to konieczne...

– Sierżancie, nie będę panu tłumaczył wszystkich szczegółów, ale jestem pewien, że w samochodzie ofiar było dziecko, które w tej chwili nie wiadomo, gdzie się znajduje.

– Przepraszam, nie chciałem zaprzeczać. W samochodzie było dziecko, ale dobrze wiemy, gdzie jest. Tak naprawdę to właśnie chłopiec poinformował o dwóch trupach.

Scalviati podniósł brwi zdezorientowany.

– Może pan powiedzieć coś więcej? Z tego, co wiem, na numer alarmowy zadzwonił mieszkaniec z okolicy, Renato Bergesio.

– Dokładnie tak było. Mogę potwierdzić, bo sam odbierałem telefon. Bergesio wyjaśnił mi, że po pierwszej usłyszał u siebie dzwonek domofonu. Kiedy zszedł, zobaczył chłopca, który oświadczył, że ma na imię Tito, wydawał się być w szoku. Przejął się i zapytał, gdzie są jego rodzice, a mały odpowiedział, że mama i wujek nie żyją.

– Mama i wujek?

– Tak to powiedział.

– Powiedział coś jeszcze?

– Nie wydaje mi się. W każdym razie przekażę panu transkrypcję rozmowy.

– Świetnie. Tylko jedna rzecz się nie zgadza. Z tego, co wiem, dom Bergesia znajduje się kilometr od miejsca zbrodni. Więc trzeba by założyć, że mały Tito uciekł, potem błąkał się w lesie i w końcu doszedł tam przypadkiem?

– Tak by to wyglądało, prokuratorze.

Scalviati myślał przez kilka chwil.

– Czy dziecko jest ciągle w domu pana Bergesia?

– W tej chwili tak.

– Proszę wysłać radiowóz, który zabierze je na komendę. Musimy dotrzeć do jego najbliższych krewnych i zawiadomić ich oraz upewnić się, że ktoś się nim zaopiekuje.

– Tak jest.

– I proszę przysłać kogoś, kto będzie miał na oku dom Bergesia. Morderca jest na wolności, nie chcę, żeby poszedł za dzieckiem.

– Zrobię, co się da. Mamy w tych dniach mało ludzi, dużo policjantów jest jeszcze na urlopie...

– Wszystko mi jedno. Jak trzeba, to przywróćcie do służby emerytów albo zabierzcie kogoś z ochrony jakiejś szczy. Ten dom ma być strzeżony dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Oczywiście, prokuratorze. Już informuję inspektora Costanzę.

Po odłożeniu słuchawki Scalviati oparł terminarz na kierownicy i zaczął wypełniać strony notatkami. Pisał szybko, odrywając co jakiś czas stalówkę od papieru, by zebrać myśli, szukając związków z pozostałymi sprawami. Trzy podwójne morderstwa, popełnione w taki sam sposób. Trzy strzały z pistoletu na ofiarę. Dwie dziewczyny, którym wycięto śledzionę. Niepowstrzymany impuls szaleńca, a może coś więcej?



Czuł lekki niepokój, wracając myślą do obecności dziecka na miejscu zbrodni. Co tam robiło? Dlaczego matka zabrała je ze sobą na spotkanie z „wujkiem”? Musiało wszystko widzieć, a jednak najwyraźniej morderca się nim nie przejął. Jak udało mu się niepostrzeżenie uciec? Czy morderca był zbyt zajęty matką? A może specjalnie pozwolił mu odejść?

– Zamierza mnie pan jeszcze długo ignorować?

Prokurator się odwrócił, napotykając na lodowate spojrzenie swojego rozmówcy. Prosty nos, kwadratowa szczęka, wyglądał na mniej niż trzydzieści lat. Miał na sobie ciemny garnitur, który wydawał się skrojony na miarę.

– Słucham?

Lekki uśmiech.

– *Glad to have your attention*, prokuratorze Scalviati.

– O czym pan mówi?

– Wszystko panu wytłumaczę, *I promise*. Czy mógłby pan mnie rozkuć? Moje ramiona są już... jak to się mówi? *Stiff*.

– Nie mogę, dopóki mi pan nie powie, kim pan jest i co pan tu robi.

– Jestem obywatelem amerykańskim, ale z pewnością nie turystą. Jestem agentem specjalnym FBI. Przyjechałem do Włoch po to, żeby się z panem spotkać, prokuratorze. Nazywam się Isaak Stoner.

## 5

Leda De Almeida obudziła się gwałtownie. Serce biło jej tak szybko, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi.

Oddech miała urywany, myśli zagubione wśród strzępów obrazów. Długa droga przez pustynię, meczet otoczony przez wojsko, kameleon wspinający się po ścianie klatki na bazarze. Kilka razy zamrugła, by odgonić resztki snu tak realistycznego, że wydawał się prawdą.

Blask księżyca sączył się przez okno, rzucając złowrogie cienie.

Ostre, powtarzające się dźwięki. Jak alarm przeciwlotniczy.

Potrzebowała kilku sekund, by rozpoznać własną sypialnię. Te uporczywe dźwięki to był dzwonek telefonu na komodzie.

Od kiedy wróciła z Libanu, często zdarzało jej się budzić w środku nocy z wrażeniem, że wciąż jest w Bejrucie, w hotelowym pokoju, który prawie przez rok był jej domem.

Zdarzało się to zawsze o tej samej godzinie: kwadrans po północy. O tej godzinie strzał z bazooki oddany przez patrol Hezbollahu trafił w terenówkę, którą jechała razem ze swoim operatorem i tłumaczem, próbując przedostać się przez granicę z Izraelem. Przeżyła jako jedyna, tylko dlatego, że agresorzy uznali ją za martwą.

Odruchowo spojrzała na radio-budzik.

Była druga. Poczowała nieomal ulgę. Podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha.

– Halo?

– De Almeida, jesteś? Mówi Enrico.

– Enrico? Wiesz, która godzina?

Enrico Loi był redaktorem prowadzącym kronikę kryminalną w dzienniku „La Stampa”. Kiedy wróciła do zdrowia, zaproponował jej

pracę w swojej redakcji. Niestety jego wizja dziennikarstwa była zupełnie inna niż Ledy.

Ściąli się na poważnie dwa miesiące wcześniej. Leda prowadziła śledztwo o zorganizowanej prostytucji, które miało wątki polityczne. Zaczęła działać pod przykrywką, udając nielegalną imigrantkę. To była wyczerpująca praca. Musiała ciągle oglądać się za siebie w strachu, że zostanie odkryta.

A kiedy już miała przekonać dziewczynę, która była kluczowym świadkiem, by wymieniła nazwiska z kierownictwa organizacji, Loi ją powstrzymał.

Czasy się zmieniły, Włochy się zmieniły, powiedział jej. Ten rodzaj śledztwa nie zainteresuje tylu czytelników, by uzasadniało to ryzyko i koszty.

Leda była przekonana, że uległ naciskom z góry i odeszła z redakcji trzaskając drzwiami.

Od tamtego czasu przeżywała do pierwszego pisząc horoskopy dla kilku kolorowych pism i prowadząc rubrykę listów dla tygodnika opinii.

– Przepraszam za godzinę – powiedział. – Ale właśnie dostałem cynk. Policja znów znalazła dwa trupy.

– Znów dwa trupy?

– Dobrze wiesz, do czego piję. Już jakiś czas krąży plotka, że w Turynie jest potwór, a to, co wydarzyło się dziś w nocy to potwierdza.

– Mówisz o morderstwach z zeszłego roku?

– Jest tu schemat, De Almeida. Dziewczyna została potwornie okaleczona. Wyciągnęli jej jakiś organ, tak jak tej zabitej rok temu.

– Matko święta, przerażające.

– To nie jedyny punkt wspólny. Zastanawiam się, kiedy władze postanowią potraktować poważnie to, co się dzieje w mieście. To nie są mafijne porachunki, chociaż to też by było niepokojące, to jest ktoś, kto bierze na celownik nieszkodliwych obywateli, masakrując ich jak bydło w rzeźni pod nosem śledczych.

– Dobra, ale czego chcesz ode mnie?

– Chcę cię tam na miejscu – odrzekł. – Nikt nie umie lepiej niż ty dać tej historii oprawy, na jaką zasługuje. Za kilka godzin gazety i telewizje będą mówiły tylko o tym. Proponuję ci miejsce w pierwszym szeregu, żeby obserwować bieg śledztwa.

Leda nerwowo wplotła palce w sprężynę przewodu telefonicznego.

– Przypominam ci, że już nie pracuję w tej gazecie.

– Słuchaj, ja cię nigdy formalnie nie zwolniłem. Dla kadr jesteś po prostu na bezpłatnym urlopie.

– Nie wiem, co ci mam powiedzieć. Jutro przyniosę wypowiedzenie.

– Do diabła, De Almeida! Czemu ty zawsze musisz wszystko brać tak osobiście? Rozumiem, że mieliśmy różnicę zdań, ale nie możesz wyrzucać takiej szansy. Czy możemy to już wreszcie zostawić za sobą?

– Osobiście? Ja mówię o etyce zawodowej! Zakończyłeś mi śledztwo w kluczowym momencie, nie czytając nawet linijki z tego, co napisałam. Dlaczego miałabym myśleć, że tym razem będzie inaczej?

– Bo jestem ci to winien, do cholery! Nie myśl sobie, że decyzja o przerwaniu twojego śledztwa była taka prosta, ale nie miałem wyboru. I nigdy, powtarzam nigdy, nie chciałbym, żebyśmy zerwali współpracę po tym wypadku przy pracy.

– Czyli przyznajesz, że działałeś pod naciskiem?

– Nie, mówię tylko, że szanuję cię jako człowieka i profesjonalistkę. Nie wyobrażam sobie do tej historii nikogo lepszego od ciebie. Potrzebuję pasji, którą potrafisz wlać we wszystko, co robisz. Potrzebuję twojego punktu widzenia w sprawie, która wstrząśnie do gruntu całym społeczeństwem. Zaraz zacznie się chaos. Mieszkańcy będą się czuli bezbronni, będą się bali wyjść z domu. Będą zadawać pytania, na które władze nie będą umiały odpowiedzieć. A ty będziesz w centrum.

Leda zastanawiała się przez kilka chwil. Nie mogła zaprzeczyć, że szansa na odzyskanie miejsca w redakcji była zachęcająca. Ale nie wiedziała, czy to

nie jest tylko reakcja na pochlebstwa człowieka, który zupełnie niedawno ukreślił łeb jej świeżo rozpoczętej karierze dziennikarki śledczej.

Czy tego właśnie chciała? Wrócić na przetarte szlaki, ufając komuś, kto powinien był wtedy ją chronić? A może pozwalała właśnie swojej dumie zniszczyć doskonałą okazję, by znów pokierować własnym życiem?

– De Almeida, jesteś tam?

Odchrząknęła.

– A co na to naczelny?

– Całym sercem za. Już dzwoniłem do drukarni, żeby włączyli maszyny. W ciągu dwóch godzin musisz zrobić oględziny i napisać tekst na tysiąc słów. Późniejszym rankiem wypuścimy edycję nadzwyczajną ze zmienioną pierwszą stroną.

– Mam jechać w teren i napisać tysiąc słów w dwie godziny? Myślisz, że napiszą się same od patrzenia na kartkę?

– Jakby to była prosta sprawa, to nie chciałbym ciebie.

– No dobra – sapnęła. – Zrobię to, ale na moich zasadach. I będziesz musiał je zaakceptować.

– O nic innego nie proszę. Czekam w redakcji o czwartej, De Almeida.

## 6

Scalviati wpatrywał się w twarz człowieka, który przedstawił się jako Isaak Stoner, agent specjalny FBI, jakby starał się rozszyfrować jego intencje. Ale tamten pozostawał nieczytelny, ostrożnie odwzajemniając spojrzenie. Gdzieś w jego oczach czaił się błysk satysfakcji.

W głowie prokuratora pytania pędziły jak w gonitwie.

Czego od niego chciał przedstawiciel agencji rządowej obcego państwa? Czy była to próba ingerencji we włoskie procedury sądownicze?

Jak znalazł się na miejscu zbrodni? Czy miał zakładać, że ten łańcuch morderstw uruchomił jakieś ciemne siły, których odgałęzienia sięgały aż za ocean?

– Moja legitymacja służbowa jest w wewnętrznej kieszeni marynarki – powiedział Stoner. – Może pan sprawdzić, jeśli pan chce.

Zamiast odpowiedzieć Scalviati opuścił szybę i zawołał sierżanta Loiacono.

– Proszę rozkuć tego człowieka.

– Jest pan pewien? – spytał ostrożnie tamten.

– Proszę bardzo. Biorę za to odpowiedzialność.

Kiedy zabrano kajdanki, Stoner zaczął masować sobie nadgarstki, okazując pewną ulgę. Potem wyciągnął legitymację i pokazał ją prokuratorowi.

Scalviati patrzył na nią przez kilka chwil, odczytując imię i formułę „special agent”. Nie miał powodu wątpić, że dokument jest autentyczny.

– Wiem, co pan sobie myśli – powiedział Stoner. – Zastanawia się pan oczywiście, co ja do diabła tutaj robię.

– Między innymi.

– Proszę się nie martwić, wszystko wytłumaczę. Przepraszam za to, jak potraktowałem pana współpracowników. To z nadgorliwości. Jak to się mówi... *out of professional habit*.

– Zboczenie zawodowe.

– Właśnie to chciałem powiedzieć! W każdym razie, najpierw chciałbym powiedzieć, jeśli pan pozwoli... Jestem analitykiem w jednostce badań behawioralnych, to oddział Biura, który zajmuje się analizowaniem i przewidywaniem zachowania przestępców. W ostatnich latach kilku moich kolegów opracowało metodę klasyfikowania szczególnej kategorii morderców, nazwali ich *serial killer*.

– Seryjny morderca?

– Sprawca wielokrotnych kompulsywnych morderstw, pozornie pozbawionych motywu, jednak jego *modus operandi* jest dobrze rozpoznawalny. Ofiary, często zupełnie mu nieznane, są zazwyczaj wybierane na podstawie jakiejś szczególnej cechy, dokładnie tak, jak dzieje się teraz w Turynie.

– A skąd pan wie, co się dzieje w Turynie?

– Wiem, że napadano na pary w ustronnych miejscach. I że to jest trzeci przypadek, który można przypisać temu samemu sprawcy – Stoner przybrał poufaly ton. – Przyjechałem do Włoch dwa dni temu w porozumieniu z waszą prokuraturą, jako zewnętrzny konsultant, ze względu na kompetencje wypracowane w jednostce studiów behawioralnych.

– Nic mi o tym nie wiadomo – skomentował Scalviati, lekko sceptycznie.

– Jest pan pewien, że rozmawiał pan z prokuratorem?

– Komunikacja odbywała się między prokuraturą a moim zwierzchnikiem. Nie byłem bezpośrednio zaangażowany, więc nie mogę panu wyjaśnić, czemu pana nie poinformowano. Musiało być jakieś *misunderstanding*, a może dokument, który mnie dotyczy, trafił na biurko jakiegoś mało ważnego funkcjonariusza.

– Insynuuje pan, że w prokuraturze nie znamy się na swojej pracy?

– Oczywiście, że nie – sapnął Stoner. – Proszę mi wybaczyć, jeśli jestem zbyt bezpośredni, ale nie sądziłem, że spotkamy się w takich okolicznościach. Zamierzałem przyjść w poniedziałek rano do pana biura, by porozmawiać o moim ewentualnym zaangażowaniu w śledztwo, ale to morderstwo pokrzyżowało mi plany.

Scalviati zaczął tracić cierpliwość. Dobrze wiedział, że w świetle niewielkich osiągniętych do tej pory rezultatów w kierownictwie prokuratury panuje już niezadowolenie. Ktoś mógł zrobić ruchy w kierunku wzmocnienia zespołu śledczego, ale czy to możliwe, żeby bez zapytania go wezwano mu do pomocy aż zagranicznego konsultanta?

Ten scenariusz był nieprawdopodobny, bo do tej pory wszyscy koledzy, łącznie z prokuratorem regionalnym, podzielali pogląd, że między morderstwami nie było związków.

A poza tym zaczynała go denerwować zarozumiałość cudzoziemca i jego styl prymusa. Tak jakby ta cała terminologia z amerykańskiej akademii kryminalistycznej pozwalała mu wsadzać nos w akta włoskiej prokuratury. Wydawał się kimś w rodzaju kramarza zachwalającego na targu magiczny eliksir. Czy raczej tajemny przepis, który pozwoli mu zidentyfikować sprawcę morderstw po prostu wyciągając nad nim rękę.

– Nie zaczęliśmy właściwą nogą, prawda?

– Zdecydowanie nie – przyznał Scalviati. – I niech pan wie, że dopóki nie wyjaśnię pana sytuacji, pozostaje pan pod specjalnym nadzorem. Więc nie radzę opuszczać miasta, a tym bardziej kraju.

– Nie zamierzam. Rozumiem pana nieufność, ale jak powiedziałem, przyjechałem do Włoch w nadziei, że mogę się przydać.

– To się jeszcze zobaczy. W każdym razie musi mi pan wyjaśnić, jak znalazł się pan tutaj. I mam nadzieję, że mnie pan przekona.

– Już mówię. Dziś wieczorem byłem na kolacji w Circolo Canottieri. Przyznaję, że posiedziałem dość długo, również dlatego, że delektowałem się doskonałym winem, które mi podano. Gdy wychodziłem z restauracji, przejeżdżał radiowóz na sygnale. Zaraz potem, kiedy jechałem samochodem do hotelu, wyprzedziła mnie karetka, która jechała w tym



samym kierunku. Postanowiłem za nią jechać, bojąc się, że wydarzyło się coś poważnego. Nie myliłem się.

– Jest pan jasnowidzem, agencie Stoner?

– Nie, ale mam dobry instynkt, jeśli idzie o przestępstwa z użyciem przemocy.

Prokurator zastanawiał się chwilę. Potem otworzył terminarz i zdjął skuwkę z pióra.

– Gdzie jest pan zameldowany, agencie Stoner?

– W hotelu Principi di Piemonte.

– Porządny hotel. Czy ktoś z personelu doradzał panu restaurację?

– Dokładnie tak. Jestem nowy w mieście, więc uznałem za mądre zapytać w recepcji.

– A pamięta pan nazwę tego *doskonałego wina*, które panu podano? – spytał Scalviati patrząc mu w oczy.

Stoner odchrząknął.

– Proszę wybaczyć, czy mam to uznać za formalne przesłuchanie?

– Proszę po prostu odpowiedzieć.

– To było Barbera rocznik '84, o ile się nie mylę.

– Co pan jadł?

– *Tajarìn* z białymi truflami, a potem duszoną wołowinę.

– Nieźle się pan zna na nazwach lokalnych specjalności jak na Amerykanina.

– Mam dobrą pamięć. A zainteresowanie waszą kulturą zawdzięczam żonie, jej zamiłowaniu do opery i *bel canto*.

– To dlatego tak dobrze mówi pan po włosku?

– Dziękuję. Rzeczywiście, znajomość języka była jednym z powodów, dla których wybrano mnie do tego zadania.

– Oczywiście poza „kompetencjami” nabytymi w jednostce studiów behawioralnych.

– Teraz to pan wydaje się coś insynuować.

– Z tego, co zrozumiałem, ma pan samochód, agencie Stoner.

– Wynająłem na lotnisku renault 5. Jest zaparkowany trochę dalej, przy ulicy.

– Wróćmy do Circolo Canottieri – powiedział Scalviati. – Obsługiwał pana mężczyzna czy kobieta? Pamięta pan imię?

Stoner wahał się przez chwilę, jakby szperał w pamięci.

– Kelnerka miała na imię Angela – powiedział. – Bardzo uprzejma rudowłosa dziewczyna. Porozmawialiśmy przez chwilę. Kiedy dowiedziała się, że jestem Amerykaninem, powiedziała, że od lat marzy, żeby pojechać do Stanów. Powiedziałem jej o kilku ciekawych miejscach poza głównymi szlakami.

– Jeśli był pan tak dobrze obsłużony, to przypuszczam, że zostawił pan hojny napiwek.

– Dziesięć tysięcy lirów. Za taką kwotę w dolarach można by kupić samochód.

– Mhm – mruknął Scalviati. Odłożył terminarz i pióro. – Teraz może pan jechać. Nie wiem jeszcze, czy miło było pana poznać, ale będę pamiętał o tym, co mi pan powiedział.

A gdy tamten otwierał drzwi samochodu, dodał:

– I proszę sobie nie zawracać głowy przychodzeniem do mnie do biura. To ja pana znajdę.

## 7

Leda umyła twarz dużą ilością zimnej wody i rzuciła szybkie spojrzenie w lustro. Może to przez zmęczenie, ale był to jeden z tych momentów, kiedy jej brązowe oczy rozjaśniały się tak, że wydawały się żółte.

Ta cecha sprawiała, że w dzieciństwie podchodzono do niej dość nieufnie, zwłaszcza po tym, jak główny klasowy chuligan w podstawówce rozpuścił plotkę, że to typowe dla czarownic. Jakby nie wystarczyło, że i tak była na celowniku przez hiszpański akcent.

Jej ojciec, fotoreporter pochodzący z Katalonii, dodawał jej odwagi w sposób, którego nigdy nie zapomniała.

Mówił, że jej spojrzenie było czasem tak promienne, ponieważ miała w oczach słońce. I za każdym razem, kiedy będzie się czuła smutna albo zła, będzie mogła chwycić jeden z promieni i to wystarczy, by oświetlić każde ciemne miejsce.

Te słowa wywarły niespodziewany efekt. Wpoily jej jakąś dziwną euforię, która z czasem zamieniła się w ryzykanctwo. Leda, silna przekonaniem, że ma jakąś supermoc, zaczęła reagować na ucisk. To nie sprawiło, że najsilniejsi zrezygnowali z dręczenia jej, ale przynajmniej zapewniło jej reputację twardzielki.

Poruszyła się trochę zbyt gwałtownie i lewa noga zeszywniała. Poczowała ukłucie, które z wnętrza kolana promieniowało pod skórą aż do kostki, tak jakby łamały jej się stawy, i musiała chwycić się umywalki, żeby nie stracić równowagi. Odruchowo otworzyła szafkę z lekami, ale zaraz ją zamknęła. Nie, nie mogła pozwolić sobie na powrót do starych zwyczajów.

Kilka razy odetchnęła głęboko, równomiernie, wypuszczając powietrze, jak najwolniej się dało, czekając, by skurcze osłabły. Musiała przyzwyczaić

się do tego bólu, dojmującego i nieoczekiwanego, który na szczęście od pewnego czasu pojawiał się tylko sporadycznie.

W czasie hospitalizacji w Tel Awiwie Leda nie wiedziała, czy wyjdzie cała z serii operacji chirurgicznych, którym ją poddano. Czy będzie mogła znowu chodzić, czy kiedykolwiek zobaczy syna.

Przestała nawet patrzeć w lustro, bo bała się, że zmienił się jej kolor oczu. Bała się, że nie będzie już mogła liczyć na ten promień słońca, by wyciągnął ją z tego ciemnego pudełka, w którym czuła się zamknięta.

Ponieważ zamach, który niemal przypląciła śmiercią, sprawił, że nie była już pewna niczego, z wyjątkiem jednej rzeczy: bólu.

Bólu, który towarzyszył jej przy każdej czynności, nawet najprostszej, jak zawiązywanie butów albo zdejmowanie książki z półki. Był towarzyszem przy przebudzeniu i ostatnim pocałunkiem przed snem.

Jedyna ulga przychodziła od leków, które jednak musiała przyjmować w coraz większych dawkach, by przyniosły efekt.

I choć udało jej się wreszcie znów stanąć – dosłownie – na nogi po prawie roku fizjoterapii i ćwiczeń wzmacniających mięśnie, to w międzyczasie uzależniła się od środków przeciwbólowych. Było to uzależnienie podstępne, zważywszy na to, że tylko dzięki chemii była w stanie nadać swym dniom pozory normalności.

Właśnie w tych chwilach wracały do niej słowa ojca. Nie zgadzała się na to, by określał ją ból – Leda chciała znów być dziewczynką ze słońcem w oczach. Chciała iść naprzód, nawet wtedy, gdy chmury zasnuwały dokładnie całe niebo.

Ale nie było nic normalnego w tym, że trafiała w zaułki pełne narkomanów, by skołować buteleczkę fentanylu, opioidu pięćdziesiąt razy mocniejszego od heroiny, który we Włoszech był nielegalny, ale można go było zdobyć bez trudu przy odpowiednich znajomościach.

I tak po walce o to, by móc znowu chodzić, zaczęła się walka z uzależnieniem. Musiała uruchomić całą siłę woli, dla siebie, ale przede

wszystkim dla swojego syna, by odepchnąć myśl o pocieszce płynącej z pigulek, również wtedy, gdy ból się odzywał.

Wiedziała, że już tego nie potrzebuje, tak jak wiedziała, że teraz – jeśli zachowa spokój – ból minie. Wolała trochę poutykać niż stracić jasność umysłu. Kupiła sobie nawet laskę do chodzenia z wyrzeźbioną na uchwycie główką sowy, która według niektórych kolegów nadawała jej rys ekscentrycznej arystokratki z dawnych czasów.

Wzięła gumkę i zebrała włosy w kok. Były gęste, bardzo długie, choć loki sprawiały, że wydawały się krótsze. Nie dawało się ujarzmić ich szczotką, więc gdy było trzeba, związywała je po prostu z tyłu głowy. Czasem myślała, że jej włosy są trochę jak jej myśli. Nie do rozplątania.

Przeszła do sypialni, wyciągnęła z szuflady czarny podkoszulek i założyła go, potem wrzuciła na siebie szeroką koszulę, wiążąc ją na supeł w talii. Wciągnęła pierwszą parę jeansów, która wpadła jej w ręce i wbiła się w botki, potem spojrzała przelotnie na zegarek na radio. Musiała się pospieszyć, albo nie zdąży.

Chwyciła swój aparat canon i stając w najciemniejszym kącie pokoju, otworzyła ostrożnie przednią klapkę, ale zaraz zdała sobie sprawę, że na taśmie nie było już miejsca. Enrico nie mówił o fotografach, więc było oczywiste, że to ona będzie musiała zrobić kilka zdjęć.

Ruszyła do gabinetu i zaczęła grzebać w szufladach biurka, szukając czystej kliszy. Otworzyła je wszystkie po kolei, przetrząsając je w całości, w nadziei, że jakaś rolka wpadła za długopisy albo za ryzę papieru do maszyny do pisania. Wszystko na nic. I nie było czasu na to, by zatrzymać się w redakcji i porwać jakiś film.

Poszła do pokoju syna. Wiedziała, że ma mocny sen, ale mimo to starała się nie hałasować. Nie chciała ryzykować, że go obudzi, przede wszystkim dlatego, że nie chciała wysłuchiwać narzekań na to, jak nie szanuje jego prywatności. Czasem myślała, że wychowywanie nastolatka to szkoła ascezy granicząca z doświadczeniem mistycznym.

Leda rozejrzała się po pokoju, starając się nie zwracać uwagi na bałagan panujący w tych czterech ścianach. Ileż apelów o uprzątnięcie tego chaosu

zostało zignorowanych!

Zaczęła grzebać w plecaku w nogach łóżka, ale były tam tylko wepchnięte ubrania, walkman, kasety z muzyką i do połowy opróżnione torebki cukierków. Przejrzała rzeczy na biurku, ale przez nieuwagę straciła pojemnik na długopisy, rozsypując je po podłodze.

– Mamo? – zamruczał syn, budząc się.

– Śpij dalej – powiedziała, przesuwając wzrok na półki między plakatami Scorpionsów i *Powrotu do przyszłości*.

– Można wiedzieć, co robisz w moim pokoju?

– Nic, nie wiem tylko, gdzie mogę znaleźć twój aparat.

Chłopak podniósł się na łokciach.

– A po co ci? Nie masz swojego?

– Nie została mi ani jedna czysta klisza. Może dlatego, że ty mi podbierasz?

– Jest oparty o wideo, pod telewizorem.

Leda chwyciła aparat i przez moment ważyła go w dłoni.

– Powiedz, że działa.

– Powinno być miejsce na cztery-pięć zdjęć.

– To wystarczy. Dobranoc! – Leda skierowała się do wyjścia.

– Zaraz! Co chcesz robić o tej godzinie?

– Potem ci wytłumaczę. Prawdopodobnie wrócę przed obiadem, ale ze śniadaniem będziesz musiał sobie poradzić. W schowku powinny być płatki, może został jeszcze jakiś rogalik. Zobaczysz. Tylko załaduj zmywarę, jeśli coś pobrudzisz, a jeśli będziesz schodził do baru, to pamiętaj, żeby wziąć klucze. I posprzątaj wreszcie swój pokój.

Chłopak wymamrotał coś, co brzmiało jak zgoda, i zaczął z powrotem zagrzebywać się w pościeli.

## 8

Rodzina Raffaele Loiacono była bardzo przywiązana do swoich tradycji. Na Ferragosto<sup>[4]</sup> na przykład spotykano się zwyczajowo w domu Saverio, kuzyna, który zrobił karierę w związkach zawodowych i mieszkał teraz w domku jednorodzinny w Nichelino. Nie był to na pewno pałac, ale duży skok jakościowy od mieszkania socjalnego w Vallette – praktycznie noclegowni – w którym zamieszkał w 1964 roku, kiedy ledwo po dwudziestych urodzinach wyjechał z Cerignoli, by zostać robotnikiem w Turynie.

Podobnie jak wielu innych południowców szukających pracy na północy, Saverio kupił bilet na Pociąg Słoneczny. Ciekawa nazwa dla linii jadącej nocą, ale wystarczająco wymowny, żeby kazać zapomnieć, że chodzi o pociąg emigrantów, którzy zostawiali własną ziemię i bliskich w nadziei, że skorzystają na gospodarczym boomie, który w tamtych latach panował we Włoszech. Złożony wyłącznie z wagonów drugiej klasy ruszał codziennie z Reggio Calabria albo z Palermo, by dojechać do dworca Porta Nuova w stolicy Piemontu o ósmej rano następnego dnia.

Saverio poprosił brata, by swoim cinquecento zawiózł go na dworzec w Neapolu. Włożył do walizki ubranie, skarpetki, bieliznę i zawinięte w papier smażone pierożki przygotowane przez matkę.

Kiedy przysiadł na dworcowej ławce, zobaczył setki chłopaków takich jak on, każdego ze swoim bagażem – czy to taką samą jak jego walizką ze sztucznej skóry albo kartonu, albo zwykłą płócienną torbą. Spoglądali wzrokiem pozornie niezależnym, niemal zagniewanym, który maskował strach przed przyszłością i tęsknotę za domem, która już zaczynała im doskwierać. Wśród nich wyróżniały się kobiety w niedzielnych sukienkach, w towarzystwie dzieci, które jechały na północ by dołączyć do mężów, oraz

starsi ludzie wiozący pudła z jedzeniem, jadący do dzieci lub wnuków, by trochę im pomóc.

Pociąg nadjechał o zachodzie słońca, już wypchany pasażerami, i Saverio zaczął się zastanawiać, jak zmieszczą się kolejni. Gdy trzeba było wsiąść, powstało duże poruszenie, biegli spóźnieni, którzy próbowali dotrzeć na peron, po raz ostatni tulili się do siebie narzeczeni, dzieci żegnały się z matkami, ludzie tłoczyli się przy wejściach albo próbowali władować bagaż przez okno. Znalezienie miejsca siedzącego było utopią i zamiast przepychać się w ścisku łokciami przez korytarze wte i wewte Saverio przykucnął obok siedzenia, niedaleko drzwi przedziału, obok grupki Sycylijczyków w kapciach, którzy rozmawiali w swoim niezrozumiałym dialekcie, jakby siedzieli we własnym salonie.

W czasie podróży, kiedy w oknach przesuwwały się błyskawicznie dachy tysięcy domów, tarasy i ogrody skąpane w blasku księżycy, puste plaże i wystające z morza skały, poznał chłopaka z Palermo, który poradził mu, by zgłosił się do fabryki Fiata, gdzie szukali pracowników na dział montażu. I tak też zrobił.

Zorientowanie się w specyfice Turynu zajęło mu trochę czasu. Inna architektura, inni ludzie, jego dni mijały w rytmie syren ogłaszających zmianę przy linii produkcyjnej. Rano była zawsze mgła, a wieczorem z okna bloku trudno było zobaczyć niebo.

W jego miasteczku okna były zawsze szeroko otwarte, w nocy przed zaśnięciem mógł patrzeć na gwiazdy, nie ruszając się z łóżka. Jeśli czegoś potrzebował, mógł poprosić sąsiada przez balkon. W niedzielę rano słychać było jazgot dzieci bawiących się na placu albo pomruk wiernych w czasie procesji ze świętym patronem.

Z dala od swoich korzeni, w milionowym mieście, czuł się samotny. Poczł gorki smak ludzkich uprzedzeń, widząc na drzwiach niektórych domów napisy: „nie wynajmujemy południowcom” i czytając w gazetach ogłoszenia matrymonialne, w których poszukiwano „młodej osoby z północy”. Niektórzy mówili: „Pochodzą z południa, ale to porządni ludzie”. Z drugiej strony nawet potrafił zrozumieć turyńczyków. Ich



przyzwyczajenia zostały zmałowane falą migracji, która w kilka lat zaburzyła wszelką równowagę. Prawdopodobnie zaczęli czuć się obco we własnym mieście, tak samo jak imigranci. Można było się spodziewać odrobiny nieufności, choć gdy stawała się ona czystym rasizmem, była już nie do wytrzymania.

Dla Raffaele wszystko było już prostsze, właśnie dzięki pomocy Saveria. To on wysłał mu pocztą wiadomość o konkursie w policji, wiedząc, że kuzyn od dziecka marzył o przyszłości w mundurze.

W ciągu dekady dotarło do nich wielu krajan przyciąganych możliwością stałej pracy albo pragnących dołączyć do rodzin, aż wreszcie powstała niewielka wspólnota krewnych i przyjaciół połączona więzami solidarności.

Dla rodziny Loiacono Saverio stał się ważnym punktem odniesienia. To do niego zwracał się każdy, kto miał problem ze znalezieniem mieszkania albo potrzebował rady, jak rozwiązać konflikt z pracodawcą.

Z czasem utrwaliły się nowe tradycje, być może żeby złagodzić tęsknotę za rodzinną ziemią. Należał do nich obiad na Ferragosto, który Raffaele szczególnie kochał.

Wakacje pozwalały na to, by zgromadziło się więcej osób, przyjeżdżali nawet dalecy kuzyni z Genui, oczywiście z dziećmi, a nierzadko grono zaproszonych było rozszerzane o sąsiadów i kolegów z pracy.

Podczas gdy kobiety przygotowywały apulijskie specjały, jak *orecchiette alle cime di rapa*, gołąbki z rusztu albo foccaccie, które najbardziej lubiły dzieci, mężczyźni rywalizowali w piłkarzyki, które przenoszono z sutereny do ogrodu.

Był to prawdziwy rodzinny turniej, który od 1982 roku kończył się nawet wręczeniem zwycięzcy miniaturowego pucharu świata. Czuć było atmosferę wielkich zawodów, w których stawką był przede wszystkim prestiż uczestników.

Do finału dochodzili zawsze Giangiacomo, szwagier Raffaele, i Nicola, syn kolegi Saveria. Przez ostatnich pięć lat ta dwójka rywalizowała o tytuł mistrza w meczach rozgrywanych w zawrotnym tempie; obserwowanie

piłeczki pędzącej jak strzała z jednego końca boiska na drugi mogła przyprawić o zawroty głowy.

W tej chwili aspirant Raffaele Loiacono, który z zewnątrz radiowozu słuchał rozmowy Scalviatego z Amerykaninem, zdał sobie sprawę, że odczuwa takie samo napięcie, jakie poprzedzało rozgrywki między Giangiacomo a Nicolą. Wydawało mu się, że tych dwóch rywalizuje na boisku, a najmniejsza chwila nieuwagi może każdego z nich słono kosztować.

Każdy gest wydawał się dokładnie odmierzony, każda wymiana zdań skrywała precyzyjną strategię obu stron. Nie był pewien, czy rozumie do końca motywy pchające prokuratora do zadawania pytań, które wydawały mu się nieistotne, ani czy odpowiedzi Amerykanina są zupełnie szczerze.

Wiedział tylko, że na razie obaj ograniczyli się do obserwowania reakcji drugiego.

I że ostateczne starcie zostało odłożone na później.

Pod uważnym wzrokiem Scalviatego Stoner ruszył do swojego renault 5 zaparkowanego kilkadziesiąt metrów od samochodu prokuratora. Loiacono uśmiechnął się nerwowo.

– Przepraszam, prokuratorze, ale nie mogłem się powstrzymać od słuchania.

– Proszę się nie przejmować, to nie było konklawe – odparł Scalviati po zanotowaniu numerów renaulta. – W każdym razie nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co powiedział.

– Myśli pan, że on coś ukrywa?

– Niewątpliwie. Wie o tej sprawie dużo więcej, niż chciałby nam wmówić. Boję się, że coś się kryje za tym jego podejściem dobrego Samarytanina, który koniecznie chce pouczyć włoską prokuraturę o metodach śledczych FBI.

Im dłużej Scalviati o tym myślał, tym bardziej był pewny, że obecność agenta na miejscu zbrodni nie mogła być przypadkiem. Pomyślał o poprzednich sprawach, o ciągu morderstw, w którym tylko on – wbrew poglądom innych prokuratorów – wyczuł rękę jednego, bezlitosnego sprawcy.

W miesiącach, które nastąpiły po drugim podwójnym morderstwie, kilkoro dziennikarzy oskarżało prokuraturę o to, że nie dostrzega problemów z bezpieczeństwem w mieście.

Na pierwszej linii był Enrico Loi, redaktor prowadzący kroniki kryminalnej dziennika „La Stampa”, który w swoich artykułach kilkakrotnie wskazywał na Scalviatego. Czy to możliwe, że kierownictwo prokuratury potraktowało te oskarżenia na tyle poważnie, by

zmobilizować siły międzynarodowe? Czy więc miał sądzić, że zaraz odsuną go od śledztwa?

– Rzeczywiście, ten Stoner wyglądał mi na podejrzanego typu – powiedział Loiacono.

– Tak czy owak, chcę mieć pełną jasność. Muszę wiedzieć, jak się tu znalazł. Nie kupuję tej historyjki o tym, jak bardzo się przejął, gdy zobaczył pędzący radiowóz.

– Podejrzewa pan, że jest w to zamieszany?

– Tego jeszcze nie mówię. Ale w każdym razie trzeba obnażyć jego blef.

– Odmówi mu pan współpracy przy śledztwie?

– Wręcz przeciwnie. Im więcej mam wątpliwości, tym bliżej będę go trzymał. Chcę wiedzieć, z kim się spotyka, do kogo dzwoni, jakimi ulicami chodzi i jaki zakłada krawat. Będę go prowadził, starając się, żeby nigdy nie zobaczył smyczy.

Między światłami miasta w dole błysnęły reflektory dwóch zbliżających się aut policyjnych.

– Nadjeżdżają posiłki – skomentował Loiacono.

Scalviati sprawdził godzinę na zegarku.

– To świetnie, jest dużo do zrobienia. Dzisiaj w nocy jest pan na służbie do siódmej, prawda?

– Tak, prokuratorze. Mam nocną zmianę.

– Więc jutro pan odpoczywa?

– Dokładnie. Wracam na służbę w niedzielę o siódmej wieczorem.

– A ma pan coś w planach na jutrzejszy wieczór?

– Nic specjalnego. Chciałbym spędzić spokojny wieczór z rodziną, może wypożyczyć film i obejrzeć z żoną. A dlaczego pan pyta?

– Co by pan powiedział na kolację w Circolo Canottieri?

Loiacono podrapał się w kark zdezorientowany.

– Przepraszam?

Scalviati popatrzył na niego stanowczo.

– Potrzebuję kogoś, kto by poszedł sprawdzić, czy jest tam kelnerka o imieniu Angela i czy pamięta, że obsługiwała Amerykanina. Chcę wiedzieć, czy Stoner jadł, jak twierdzi, *tajarìn* i *brasato*, i czy naprawdę zostawił wysoki napiwek. Pan i żona oczywiście możecie zamawiać wedle życzenia, będziecie moimi gośćmi.

– Oczywiście mogę wpaść do restauracji, żeby zadać kilka pytań, ale nie chciałbym nadużywać pana gościnności...

– Bzdura – uciał Scalviati. – Umieszczę rachunek w moich wydatkach służbowych. Ale bardzo pana proszę o dyskrecję. Żadnego munduru, to musi być całkowicie nieformalna kontrola. Obecność Amerykanina ma być daleko od reflektorów. Proszę powiedzieć, że jest pan w mieście, żeby zwiedzić, ja wiem, muzeum egipskie albo pałace sabaudzkie, że poznał pan Stonera w hotelu i on polecił panu restaurację. Dałby pan radę?

– Oczywiście – powiedział Loiacono, niemal prężąc się na baczność.

Naprzeciwko zatrzymał się radiowóz. Wsiadło dwóch techników w białych kombinezonach, jeden z nich niósł dużą walizkę, drugi – przewieszony przez ramię aparat. Mężczyzna w ciemnym płaszczu podszedł do prokuratora.

– Prokuratorze Scalviati – powiedział, wyciągając rękę.

– Inspektorze Costanza – odpowiedział tamten, ściskając ją energicznie.

– Widzę, że przywiózł pan ze sobą chłopaków z działu technicznego.

Costanza był mężczyzną około pięćdziesiątki, miał mięsistą twarz, zapadnięte oczy i zaczynałłysieć. W ustach miał zapalną, którą nieustannie przekręcał palcami.

– Z takim samym pożytkiem mógłbym przywieźć maga Silvana. Mam wrażenie, że to całe pryskanie odczynnikami i pobieranie tkanek na miejscach zbrodni tylko wszystko komplikuje. Jakbyśmy mieli mało papierów do wypełnienia. Jesteśmy policjantami, a nie cholernymi naukowcami.

– Cierpliwości, inspektorze – odparł Scalviati. – Rzeczywiście, mamy teraz okres przejściowy. Technologia zmienia nasze życie, nikt nie wie, czy

na dobre, czy na złe. Ale od kiedy doktor Di Cara jest szefem Wydziału Techniki Kryminalistycznej, wprowadził dużo innowacji, na przykład bardzo skuteczną metodę identyfikacji dowodów balistycznych.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, bardzo szanuję doktora Di Carę. Po prostu, może i jestem staroświecki, ale myślę, że kiedy trzeba wsadzić przestępcę za kratki, to metody starej szkoły są wciąż najlepsze.

– Stara szkoła nigdy nie odejdzie – powiedział Scaviati. – Wiem, że czasem praca techników laboratoryjnych może się wydawać niezrozumiała, ale trzeba ją zobaczyć w kontekście. Jestem przekonany, że będzie ona coraz potrzebniejsza do rozwiązywania spraw takich jak ta.

– Podwójne morderstwo, prawda?

Scaviati przytaknął. Opowiedział pokrótce, co zobaczył na miejscu zbrodni, nie pomijając analogii do zeszłorocznych morderstw.

– Potwór, hę? – skomentował inspektor. – Jeszcze tu tylko pieprzonego maniaka brakowało, w tym mieście świrów.

– Przepraszam, że przerywam, prokuratorze – wtrącił się Loiacono z wnętrza radiowozu. – Dzwoni centrala, chcą z panem rozmawiać.

– Przepraszam – powiedział tamten do rozmówcy. Podeszedł do samochodu i wziął słuchawkę przez okno. – Scaviati, słucham?

– Zidentyfikowaliśmy dziecko – powiedział głos po drugiej stronie linii. – To Tito Ferretti, syn małżeństwa Gaetano i Moniki Ferretti.

– Dobra robota. Jak do tego doszliście?

– Sam powiedział to policjantom, których wysłaliśmy do domu Bergesia.

– Więc musimy zakładać, że zwłoki przy lesie należą do Moniki...

– Jeszcze to sprawdzimy, ale wydaje się, że tak. Właśnie rozmawiałem przez telefon z panią Lucianą Bonfante, jej siostrą. Powiedziałem jej, co się stało, a ona na to, że właśnie w ten wieczór Monica prosiła ją o zajęcie się małym Tito, ale musiała odmówić, bo pracowała do późna.

– A co wiemy o ojcu?

– Chyba jest za granicą. Jest kierowcą ciężarówki.

– Rozumiem – powiedział Scalviati. Przynajmniej coś zaczynało się rysować w rekonstrukcji wydarzeń. Kobieta musiała zabrać ze sobą dziecko na spotkanie z kochankiem, Paolem Ginestrą, którego mały Tito nazywał „wujkiem”, co dawało do zrozumienia, że regularnie go widywał. Pozostawało pytanie, jak Tito dotarł do domu Bergesia.

– W tej chwili policjanci jadą z chłopcem na komendę. Pani Bonfante też powinna tam za chwilę być.

– Ja też w tej chwili ruszam. – To mówiąc, Scalviati wyciągnął z kieszeni kluczyki i szybkim krokiem poszedł w stronę swojej cromy.

## 10

– Co pani tu, kurwa, robi? – warknął inspektor Costanza. Kobieta zaczajona niedaleko taśmy ostrzegawczej kierowała obiektyw aparatu na miejsce zbrodni, gdzie krzątali się umundurowani policjanci i technicy zbierający odciski.

– Leda De Almeida, „La Stampa” – odpowiedziała, pokazując legitymację.

– Czy mógłby pan odpowiedzieć na kilka pytań?

– Żartuje pani?

– Wykonuję swoją pracę.

Costanza podszedł do niej niemal marszowym krokiem.

– Pani pracę? Niech mnie pani posłucha, De Almeida albo jak się tam pani nazywa. Ma pani stąd zaraz iść. Utrudnia pani czynności śledcze służb porządkowych. Do cholery, tutaj są zabici ludzie!

– Od kiedy zapewnianie prawa do informacji jest uznawane za utrudnianie czynności?

– Proszę mi dać ten cholerny aparat – wypalił Costanza, próbując jej go wyrwać z ręki.

Leda zrobiła krok wstecz. – No no, co za maniery!

– Loiacono! – krzyknął wobec tego inspektor. Kiedy młody aspirant się zbliżył, dodał: – Proszę stąd zabrać tę wścibską babę – i odszedł z wyrazem irytacji.

– Przepraszam – powiedział Loiacono, przechodząc nad taśmą ostrzegawczą – ale muszę panią poprosić o opuszczenie tego miejsca.

– Można wiedzieć, co mu się stało?

Loiacono schronił się za pobłażliwym spojrzeniem.

– Proszę mi nie kazać powtarzać. Słyszała pani, co powiedział inspektor.



– Proszę tylko o wypowiedź pańskiego przełożonego.

– W tym momencie jest to raczej niemożliwe. Proszę, odprowadzę panią do samochodu.

– Nie ma potrzeby. Dojdę sama. – Leda ruszyła ścieżką, ale zatrzymała się po kilku krokach i odwróciła się. – Jeśli inspektor nie jest w nastroju, może wystarczy mi kilka ogólnych informacji. Costanza mówił o zabitych ludziach. Czy mógłby pan powiedzieć coś więcej?

Loiacono zrobił krok naprzód.

– Musi pani iść. Proszę panią uprzejmie, proszę mnie nie wpędzać w kłopoty...

Oboje przez dłuższą chwilę wymieniali w ciszy spojrzenia. Leda wciągnęła powietrze i powiedziała:

– Loiacono, tak?

Tamten potaknął.

Leda przez chwilę się wahała, jakby szukała odpowiednich słów.

– Nie trzeba tu jasnowidza, żeby zrozumieć, że to jakaś poważna sprawa... Nie uważa pan, że ludzie mają prawo wiedzieć, co się dzieje?

– Dobrze pani wie, że nie mogę nic powiedzieć, śledztwo jest objęte tajemnicą. Proszę się nie sprzeciwiać, niech pani wraca do domu. Najprawdopodobniej jutro w ciągu dnia będzie konferencja prasowa. Będzie pani mogła zapytać, o co chce.

– Tak zrobię. Ale dziś w nocy muszę tak czy inaczej napisać artykuł. Czy Costanza się zgodzi, czy nie, jutro rano wyjdzie gazeta, wydanie nadzwyczajne, będzie tytuł na całą stronę i tak dalej. Problem polega na tym, że już krążą głosy, że po mieście krąży potwór.

– Rozumiem, ale...

– W interesie wszystkich jest, żeby mój artykuł był jak najlepiej udokumentowany, ponieważ bez dobrych informacji ludzie będą wierzyć w najgorsze plotki z baru. Pomyślą, że władze nic nie robią, żeby zatrzymać mordercę, albo co gorsza, że tego nie potrafią. Wybuchłaby panika. Coś takiego mogłoby się stać nawet sprawą polityczną. Ludzie

przestaliby wierzyć w tych, którzy ich chronią. Chyba pan tego nie chce, prawda?

– Oczywiście, że nie – powiedział Loiacono zmieszany. – Ale skąd pani to wszystko wie?

– Taką mam pracę – ucięła Leda. – I niech pan wie, że nie mam najmniejszego zamiaru dyskredytować sił bezpieczeństwa. Chodzi tylko o to, że nie mogę nic wymyślać, mogę napisać tylko o tym, co wiem. A w tej chwili nie jest tego dużo.

– Niech mnie pani zrozumie... Inspektor by mnie rozszarpał, gdyby wiedział, że coś palnąłem.

– Cokolwiek mi pan powie, przyrzekam, że zachowam dyskrecję.

Loiacono przez chwilę wydawał się pokonany, potem pokręcił głową.

– Nie mogę...

– Proszę posłuchać, niech pan to potraktuje jak szansę. Ma pan przed sobą osobę, która napisze artykuł na okładkę najważniejszego dziennika w tym mieście. Nie proszę o zdradzanie informacji wrażliwych, ale o kilka wyjaśnień, które pomogłyby zrozumieć tę sprawę, bo proszę mi wierzyć, za kilka godzin ludzie będą mówić tylko o tym. Czy chce pan, żeby turyńczycy nie czuli się już w mieście bezpiecznie? Żeby pozamykali się w domach, bo siły bezpieczeństwa nie wykonują dobrze swojej roboty? Ostatni urlopowicze wrócą w weekend. Czy myśli pan, że spokojnie wrócą do pracy, wiedząc, że ich dzieci nie są bezpieczne?

– To nie tak – zaprotestował Loiacono. – Zapewniam panią, że prokurator Scalviati robi, co może, by postawić sprawcę przed sądem.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati dostał tę sprawę?

Potaknięcie.

– Zna go pani?

– Kilka razy go spotkałam. Jestem pewna, że to porządny człowiek i na pewno świetny prokurator, ale czy na pewno nadaje się do takiego śledztwa?

– Na pewno tak. Wystarczył mu rzut oka na miejsce zbrodni, żeby zrekonstruować wydarzenia. Od razu znalazł łuskę od broni, z której padł strzał, a zapewniam panią, że nie było łatwo ją zobaczyć.

– Scalviati jeszcze tu gdzieś jest?

– Nie, właśnie pojechał. Prawdę mówiąc, minęła się z nim pani o parę minut.

Leda rozejrzała się krótko, jakby bała się, że ktoś nasłuchuje.

– Dziewczynie wycięto jakiś organ, prawda?

– Śledzionę – odpowiedział Loiacono. – To ja znalazłem zwłoki, tam, koło tamtych drzew. To było straszne. Ale jeszcze straszniejsze było odkrycie, że było tam dziecko, w samochodzie razem z zamordowaną parą. Musiało wszystko widzieć, chociaż na szczęście udało mu się uciec i poprosić o pomoc.

– Loiacono, do cholery! – zagrzmiął głos Costanzy. – Pozbądź się tej reporterki i wracaj tutaj, bo jesteś potrzebny!

– Przepraszam, teraz naprawdę muszę iść – powiedział, zwracając się do Ledy. – Powodzenia z artykułem. Przykro mi, że nie mogłem odpowiedzieć na pytania.

– No niech już będzie – odpowiedziała z uśmiechem. – Pomógł mi pan bardziej, niż się panu wydaje.

## 11

Leda ostatni raz spojrzała na miejsce zbrodni, potem podniosła oczy na księżyc. Był tak jasny, że wyglądał jak nocne słońce; rzucał długie cienie na ziemię i na okoliczne krzewy.

Kiedy Loi powiedział jej, że ta historia wstrząśnie społeczeństwem aż do fundamentów, myślała, że przesadza. Ale teraz, wracając do samochodu, nie miała wątpliwości, że przecucie jej prowadzącego okaże się prorocze.

Przebywając krótko na miejscu zbrodni, próbowała odgonić lekkie poczucie paniki, które pojawiło się w jej ciele jak choroba zakaźna przenoszona przez wdychane powietrze. Powietrze, które przenosiło mroczne myśli wraz z echem przemocy, której było świadkiem.

Wróciła do samochodu i usiadła na miejscu kierowcy. Otworzyła schowek. Wyciągnęła dyktafon i włożyła do niego czystą kasetę. Włączyła mały mikrofon i skierowała go w stronę ust, potem nacisnęła dwa przyciski, żeby zacząć nagrywanie.

– Prawda ma wiele form, czasem wiele twarzy – powiedziała. – Powinna być twarda jak skała, ale jakże często zmienia się jak morskie pływy. Dziś wydaje się ulotna jak nigdy wcześniej, wręcz nieuchwytna. Jak morderca, który krąży ulicami naszego miasta, atakując bezbronne ofiary, których jedyną winą jest to, że znalazły się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Para zakochanych została uśmiercona dziś w nocy strzałami z pistoletu na płaskowyżu Pian del Lot, kilka kilometrów od centrum miasta. Kolejne, pozornie bezsensowne podwójne morderstwo, które dołącza do dwóch poprzednich, wciąż owianych tajemnicą. Liczne poszlaki każą przypuszczać, że sprawcą jest maniak, choć aż do dziś nikt z organów ścigania nie potwierdził takiej hipotezy. Prawda umyka im, bo są wyrachowani czy niekompetentni? Czy oni też poruszają się po omacku, czy też wszystko to jest część strategii, która ma zaprezentować jakąś

wygodną prawdę, w której zło wydaje się odległe od naszej codzienności, od życia zwykłych obywateli, jakby mogło uderzać tylko w ciemnych zaułkach grup przestępczych, w tych, którzy mają konszachty z mafią albo są zamieszani w terroryzm? Rozmówca, który chce zachować anonimowość, poinformował nas, że według pierwszej rekonstrukcji świadkiem zbrodni było dziecko. Niewinna istota, która powinna być chroniona przez społeczeństwo, ale którego życie już na zawsze będzie naznaczone tym przerażającym doświadczeniem.

Zrobiła pauzę, by chwilę pomyśleć.

– Tylko poznając prawdę, mieszkańcy mogą szukać środków obrony – mówiła dalej. – A jak się bronić, skoro sami śledczy pod kierownictwem młodszego prokuratora Francesco Scalfiatiego okazują się wrogami prawdy, usprawiedliwiając własną niekompetencję niekorzystnymi okolicznościami?

Leda nacisnęła STOP, włożyła kluczyk w stacyjkę i uruchomiła silnik. Teraz, kiedy miała już pierwsze zdania artykułu, trzeba było pędzić do redakcji i pozwolić myślom płynąć, by skończyć pisanie.

## 12

Scalviati przekroczył próg poczekalni na komendzie.

Dwóch policjantów stało w gotowości niedaleko drzwi. Obok nich siedziała niepozornie wyglądająca kobieta, z włosami związanymi na słowo honoru i spojrzeniem cierpiącym, ale w głębi kryjącym surowość, co sprawiało, że wydawała się nieco nastroszona. Miała na sobie sukienkę trochę postrzępioną na brzegach, na którą narzuciła męską marynarkę. Tulila do siebie siedzące na jej kolanach może czteroletnie dziecko, głaszcząc je po szyi.

– Pani Bonfante, jak przypuszczam.

– Luciana – odpowiedziała chrapliwie.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati. Składam pani serdeczne kondolencje. Chcę, żeby pani wiedziała, że jestem zdeterminowany, żeby złapać odpowiedzialnego za to, co się stało pani siostrze.

– Niech pan tego nie mówi, jeśli nie zamierza pan tego naprawdę.

Scalviati zajął miejsce obok niej.

– To musi być mały Tito.

Luciana tylko przytaknęła.

Chłopiec miał włosy popielatoblond, ostrzyżone na pazia. Miał na sobie koszulkę z nadrukiem z krokodylem i co najmniej o rozmiar za duże spodenki, przytrzymywane przez elastyczne szelki.

Wyglądał na pogrążonego w niespokojnym, przelotnym śnie, z którego wybudzał się co chwilę, wydając cichy jęk albo gwałtownie ruszając stopą. Nie miał na sobie butów, tylko parę białych skarpetek, z ciemniejszymi plamami na piętach i palcach.

Jego widok, wczepionego w ciocię, ściskającego w ręku szmacianego króliczka, przyniósł Scalviatiemu pewną ulgę. Kiedy znalazł jego buciki

w samochodzie, w którym znajdowały się zwłoki Paola Ginestry, obawiał się najgorszego. Nie mógł sobie wyobrazić, przez co przeszedł, ale przynajmniej żył. I był bezpieczny.

– Był bardzo odważny – rzucił.

– Żadne dziecko nie powinno oglądać czegoś takiego. – Luciana skrzywiła się, potem wyjęła z torebki paczkę papierosów. Włożyła jednego w usta i kilkakrotnie próbowała go zapalić, ale gaz w zapalniczce musiał się skończyć.

– Miłość i wsparcie ze strony pani rodziny będzie bardzo ważne.

– Miłość i wsparcie... – Lucianie udało się wykrzesać z zapalniczki mały płomynek. – Spróbuję o tym pamiętać, kiedy mnie zapyta, dlaczego nie ma jego mamy i kto poprawi mu pościel.

Scalviati nie mógł się powstrzymać przed spojrzeniem na dłonie kobiety. Dłonie z połamanymi paznokciami i odciskami, które świadczyły o ciężkiej pracy. Była prawdopodobnie młodsza od niego, ale jej twarz była zniszczona, jak na starym pomniku wystawionym na wszelkie kaprysy pogody.

– Widzę, że Tito pani ufa, całkowicie się rozluźnił, przytulając się do pani. Często się nim pani zajmuje?

Luciana zaciągnęła się.

– Ja i Monica mieszkamy... – przerwała na chwilę, jakby chciała zwalczyć impuls złości – *mieszkałyśmy* w tej samej dzielnicy. Czasami, kiedy Gaetano wyjeżdżał, ona i Tito spali u mnie przez kilka dni. Nigdy nie mogła sobie pozwolić na opiekunkę, więc jeśli pracowała dłużej, zostawiała małego u mnie.

– Czym się zajmowała?

– Nie miała stałej pracy. Pracowała w firmie sprzątającej i na taśmie w papierni. Ostatnio była ekspedientką w sklepie spożywczym.

– Mąż jest kierowcą ciężarówki, prawda?

– I co z tego?

– Chciałem, żeby pani potwierdziła, że jest za granicą.

Kobieta przechyliła się w stronę stolika i zgasiła papierosa w popielniczce, wciskając kilkakrotnie iskrzący się koniec w ceramiczną powierzchnię.

– Wczoraj rano pojechał do Czechosłowacji.

– Pani siostra była w towarzystwie niejakiego Paola Ginestry. Z tego, co mi powiedziano, Tito mówił o nim „wujek”, ale przypuszczam, że to nie były więzi rodzinne...

– Oczywiście, że nie – odparła sucho. – Teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałabym wrócić do domu. Dziecko jest wykończone, potrzebuje pospać w łóżku.

– Nie chcę pani zatrzymywać. Proszę jednak pamiętać, że Tito był świadkiem morderstw. Wiem, że nie będzie to proste, ale w najbliższych dniach będę musiał zadać mu kilka pytań.

Luciana spojrzała na niego oburzona.

– Czy pan ma dzieci, prokuratorze?

Dwóch policjantów przy wejściu spojrzało na siebie niepewnie.

– Nie – odpowiedział odruchowo. Potem odchrząknął. – Tak naprawdę to moja żona jest w trzydziestym ósmym tygodniu ciąży.

– Gratulacje. Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka – odpowiedział, nie bez skrupowania. – A pani ma dzieci?

– Dwoje, chłopca i dziewczynkę. Urodziłam je wcześniej, pierwszego w wieku szesnastu lat. Ale niczego nie żałuję, chociaż nie mogłam zdać matury. Teraz są już duzi. Kiedy pana córeczka urośnie, prokuratorze Scalviati, zrozumie pan, co to znaczy próbować ją chronić przed złem tego świata i ponieść sromotną klęskę. Za. Każdym. Razem. Zrozumie pan, co to znaczy ją zawieść. I że być rodzicem, to znaczy także popełniać najgorsze błędy, chociaż miało się najlepsze intencje. I jak jest trudno żyć z poczuciem winy.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chciałem...

– Dopóki ojciec nie wróci, Tito jest pod moją opieką – przerwała mu Luciana. To ja muszę mu zapewnić minimum spokoju pomimo tej sytuacji,



mimo tego, co przeżył. Musi zostawić tę historię za sobą. Oczywiście nie mogę udzielać panu rad, ale jedno panu powiem. Niech pan go zostawi w spokoju, nie wydaje się panu, że już dość wycierpiał? On ma cztery i pół roku, do jasnej cholery!

Scalviati wytrzymał jej wzrok.

– Zrobię wszystko, by nie wytrącić go z równowagi. I oczywiście rozmowa odbędzie się w towarzystwie specjalisty od psychologii dziecięcej.

– Czasem wasze „wszystko” nie wystarczy.

– Wiem. Ale ja też mam wobec niego zobowiązania. Muszę aresztować osobę, która zabrała mu matkę w tak okrutny sposób. A żeby to zrobić, nie mogę niczego pominąć, nawet najmniejszej wskazówki. Wiem, że grzebiąc w jego wspomnieniach z tej nocy, sprawię mu ból, ale Tito mógł zauważyć coś pozornie bez znaczenia, co może okazać się kluczowe.

– Jest pan przyzwyczajony, że dostaje pan to, czego pan chce, prawda?

– Jestem zwykłym funkcjonariuszem publicznym, który próbuje pogodzić prawo i sprawiedliwość.

– Jak pan uważa. – Luciana wstała gwałtownie. – Czy mogę już iść?

– Oczywiście. Dziękuję pani za gotowość do rozmowy i za szczerość. Chociaż jestem pewien, że nie powiedziała mi pani całej prawdy o siostrze.

– Co pan sugeruje?

– Chłopiec. Monica często go pani zostawiała, prawda? I nie chodziło tylko o czas pracy.

Luciana głęboko westchnęła.

– Monica była... niespokojnym duchem. Nie wiem, czego konkretnie szukała, ale w tych ciągłych poszukiwaniach wiele razy się pogubiła. Ja też popełniałam błędy, ale jako starsza siostra chciałam jej dać wsparcie, którego nigdy nie dostałyśmy od matki. – Jej spojrzenie przesunęło się po fotografiach Turynu z początku wieku zawieszonych na ścianach. –

Monica często wychodziła, to prawda. I jeśli już pan chce to wiedzieć, to Paolo nie był jej jedynym kochankiem.

– Powiedziała pani, że wieczorem zamierza z nim wyjść?

– Nie. Tylko że chciałyby iść do kina.

– Powiedziała dokąd?

– Nie.

– Czy był jakiś gatunek, który szczególnie lubiła? Albo kino, do którego zwykle chodziła?

– Nie wiem... No, lubiła romantyczne filmy. Tylko tyle potrafię powiedzieć. – Z twarzy Luciany zniknęła poprzednia twardość. Oczy się zaczerwieniły, a wargi lekko zadrżały. Trzymając Tito na rękach, skierowała się do wyjścia.

Patrząc na oddalającą się kobietę, Scalviati powiedział:

– Ostatnie pytanie, jeśli mogę. Czy może zmieniała pani małemu Tito skarpetki?

Luciana znieruchomiała na progu.

– Słucham?

– Zauważyłem, że na skarpetkach nie ma śladów trawy ani ziemi, co jest dziwne, zważywszy, że dziecko szło kilometr przez las.

– Myśli pan, że wzięłam ze sobą skarpetki na zmianę? – odpowiedziała, nie patrząc na niego. – Po tym, jak odebrałam telefon z policji, wrzuciłam coś na siebie i przybiegłam tutaj.

Leda nieźle się znała na chemicznych odczynnikach używanych do wywoływania zdjęć. Kiedy ojciec po raz pierwszy pokazał jej ciemnię, poczuła się, jakby weszła do gabinetu osobliwości, a gdy minęło pierwsze oszołomienie tymi wszystkimi substancjami i oprzyrządowaniem, jak zakłeta oglądała obrazy wyłaniające się na papierze fotograficznym, w miarę jak karty były przenoszone z jednej kuwety do drugiej.

Zachowała przekonanie, że w tym procesie było coś magicznego, również wtedy, kiedy poznała każdy jego sekret, wszystko, co było potrzebne, by przyspieszyć suszenie i utrwalanie negatywów, albo by uwydatnić zaskakujące szczegóły nawet na prześwietlonych zdjęciach. Znajomość tych subtelności przydała jej się, kiedy była korespondentką zagraniczną i gdy nie miała możliwości powierzyć specjalście wywoływania zdjęć zrobionych na froncie.

Po dokładnym umyciu filmu zanurzyła go w roztworze stabilizującym. Po upływie trzydziestu sekund wyciągnęła go z pojemnika i pocięła na cztery części. Wreszcie, za pomocą specjalnych klamerek, przypięła pocięte negatywy do sznura rozpiętego między powiększalnikiem a umywalką i wyszła z pomieszczenia. Negatywy musiały wyschnąć, wtedy będzie mogła wywołać zdjęcia.

Kiedy weszła do obszernego open space'u redakcji, zobaczyła Enrica Loi siedzącego na jednym z biurek i czekającego na nią.

Gładko zaczesane włosy z przedziałkiem, nieogolona broda, marynarka z niebieskiego lnu i para jasnych jeansów, miał typowe dla siebie spojrzenie lunatyka, obecne na jego twarzy także wtedy, gdy okoliczności nie kazały mu się budzić o drugiej w nocy.

– Wszystko dobrze? Już zaczynałem się martwić.

– Nie przesadzaj – odpowiedziała. – Przy okazji zrobiłam na miejscu kilka zdjęć i byłam w ciemni, żeby je wywołać.

– Po tym wszystkim wciąż potrafisz mnie zaskakiwać. I pomyśleć, że byłem gotowy zadowolić się obrazem z bazy danych.

– Serio? Gdybym wiedziała, oszczędziłabym sobie kazania tego fanatyka, inspektora Costanzy. Byłam pewna, że to wpisane w umowę, że mam zrobić dokumentację fotograficzną.

– I bardzo słusznie. Mauro jest jeszcze na urlopie i nie dałem rady znaleźć innego fotografa. Miałem nadzieję, że się tym zajmiesz, ale przecież nie mogłem cię o to prosić.

– O, to teraz cię onieśmielam? – spytała Leda, siadając na swoim krześle. Wcisnęła włącznik komputera Olivetti M24 i zawiesiła ręce nad klawiaturą.

– Dobra, zostawiam cię, pracuj. Nie przejmuj się wywołaniem zdjęć, już się tym zajmę.

Czekając na uruchomienie się edytora tekstu Leda wyciągnęła z torebki dyktafon. Wyjęła z szuflady biurka słuchawki i podłączyła je do urządzenia. Potem zaczęła przepisywać początek artykułu nagrany w samochodzie.

Stukała w klawisze dość szybko, by zrównać się z tempem mówienia, ale nie za bardzo lubiła pisać na komputerze. Owszem, był wygodny, ale uważała go za urządzenie zdepersonalizowane, pozbawione tej intymności, jaką wyczuwała w swojej maszynie lettera 32, którą kupiła z drugiej ręki na bazarku Balon i z którą stawiała pierwsze kroki w świecie dziennikarstwa.

Nigdy się z nią nie rozstała, wciąż używała jej regularnie, choć postęp technologiczny sprawił, że zaczęła wydawać się przestarzałym narzędziem. Coraz częściej Leda musiała zapisywać w formie cyfrowej artykuły, które trzeba było później zredagować.

Być może była to tylko tęsknota za czasem, w którym technologia była mniej inwazyjna, ale miała sentyment do rytuału pracy na maszynie, do stukotu czcionek, do brzęku dzwonka na końcu wersu, do lekkiego oporu

wózka przy przesuwaniu do początku wersu. Tak jakby dialog z mechanizmem pomagał jej lepiej przelać emocje na papier.

Kończąc zapisywanie wstępu, Leda spojrzała na czarny ekran pokryty zielonymi znakami. Dała sobie kilka minut na przejrzenie tego, co napisała i uporządkowanie myśli. Potem znów zaczęła pisać, pozwalając, by prowadziły ją obrazy uchwycone oczami umysłu na miejscu zbrodni.

*Samotnie zaparkowany samochód z otwartymi drzwiami, wewnątrz którego znajdują się zwłoki – pisała – to symbol horroru, który z samotnych miejsc na przedmieściach rozlewa się na całe miasto, rzucając strach na mieszkańców poprzez niestychane okrucieństwo, które się tam dokonało.*

Pisała dalej, nie zatrzymując się i od czasu do czasu rzucając okiem na zegar ścienny. Zdała sobie sprawę, że serce bije jej szybciej, dopiero kiedy podniosła ręce znad klawiatury po napisaniu ostatniego zdania.

Jeszcze raz sprawdziła liczbę słów, by upewnić się, że nie przekroczyła limitu, włożyła dyskietkę do stacji i zapisała artykuł.

– Ciekawe masz zdjęcia na tym filmie – powiedział głos Enrica Loi. Stał na progu swojego gabinetu i ważył w dłoni kilka arkuszy papieru fotograficznego.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Ze dwie minuty. Ale nie chciałem przeszkadzać kreatorce w działaniu.

– Dzięki za troskę.

– Przyznaję, jest w tym trochę interesowności. Przyjechał grafik i nie chciałem opóźnić twojej pracy. Trzeba zacząć to składać.

Leda wręczyła mu dyskietkę z artykułem.

– Jest cały twój. Co mówiłeś o zdjęciach?

– Są świetne, już wybrałem najlepsze – odpowiedział, pokazując jedną z fotografii. – Ale jak przerzucałem negatywy, zauważyłem, że jest tam kilka osobistych zdjęć. Przepraszam, to było silniejsze ode mnie. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie rzucić okiem.

– Nie ma problemu, zapomniałam ci powiedzieć, żebyś nic nie robił z wszystkimi wcześniejszymi zdjęciami, są mojego syna.

– To jakiś arachnofil?

Leda spojrzała na niego zdezorientowana.

– O czym ty mówisz?

– Jest kilka zdjęć z pajakami gnieźdzącymi się między prętami balustrady. Dużo pajaków. Ciągle mam dreszcze.

– Pajaki? – odpowiedziała Leda ze zdumieniem.

– Dziesiątki. Niektóre naprawdę duże.

– Nie rozumiem. Carlo nigdy mi o tym nie mówił...

– Te zdjęcia musiały być zrobione niedawno, bo ta sesja kończy się zaraz przed twoimi zdjęciami z tej nocy. A wiesz, co mnie najbardziej zaintrygowało? Na pierwszy rzut oka to wygląda na balustradę mostu Wiktora Emanuela I.

Francesco Scaviati wrócił do domu w pierwszych blaskach dnia. Porządkowanie notatek zajęło mu więcej czasu, niż przewidział – musiał od razu rozplanować czynności śledcze, a wiedział już, że będą bardzo skomplikowane. Mógłby zająć się tym w poniedziałek rano, gdy otworzą się biura w prokuraturze, ale to nie leżało w jego naturze. Myślał szybko i za każdym razem, kiedy robił wizję lokalną na miejscu zbrodni, musiał na gorąco uporządkować swoje wrażenia, by móc pomyśleć o wszystkim na chłodno w kolejnych dniach.

Po rozmowie z Lucianą Bonfante poszedł do dyspozytorni komendy, gdzie spotkał starszego sierżanta Cortenovisa, dyspozytora, który odebrał zgłoszenie. Ten pokazał mu transkrypcję rozmowy z numeru 113, w której obok zeznań Bergesia figurowały słowa małego Tito, które powiedział do domofonu: „Otwórz, chce mi się spać. Taty nie ma, a mama i wujek nie żyją”.

Te słowa tylko wzmocniły przeczucie prokuratora, że sposób ucieczki dziecka był zupełnie nieoczywisty. Słowa, które wciąż dźwięczały mu w głowie, kiedy wracał myślą do tego detalu, który zauważył: czystych skarpetek chłopca, który musiał przejść przez las bez butów.

To nie była jedyna dziwna poszlaka. Nie mógł odpędzić wrażenia, że mały Tito nie do końca był sobą. Ciotka twierdziła z naciskiem, że jest po prostu śpiący, ale Scaviati był pewien, że nie mówiła całej prawdy.

Dziecko wydawało się być w odmiennym stanie świadomości. Być może z powodu przebytej traumy, ale prokurator zastanawiał się, czy nie jest to jakaś choroba. Innym wyjaśnieniem, niezbyt pocieszającym, było, że podano mu jakieś leki.

Przed wyjściem z komendy prokurator poczekał na powrót Loiacono, który poinformował go o efektach pracy techników. Nie znaleziono innych

śladów. W tym momencie łuska była jedynym istotnym dowodem.

Wreszcie poprosił inspektora Costanzę, by wysłał policjanta do obserwacji domu ciotki Tito i aby dowiedział się jak najwięcej o Paolu Ginestrze i Monice Ferretti. Jeśli kobieta miała naprawdę innego kochanka, trzeba było go jak najszybciej zidentyfikować.

W przeszłości obu ofiar mógł kryć się jakiś związek z poprzednimi sprawami. Scalviati był pewien, że morderca działał z premedytacją. Chociaż agent Stoner wspominał o osobach całkowicie obcych, z doświadczenia mógł wykluczyć, że ofiary były wybrane przypadkowo.

Jeszcze w tej chwili, kiedy kładł płaszcz i torbę na podłodze obok biurka w swoim gabinecie, wracał myślą do spotkania z agentem FBI. Był daleki od tego, by dać wiarę jego wersji wydarzeń, chciał za wszelką cenę odkryć, jakie są jego prawdziwe intencje.

Był wyczerpany, ale odparł pokusę położenia się na kanapie. Wszedł po schodach i otworzył drzwi sypialni, zdejmując buty przed wejściem.

Greta była oparta o wezglowie łóżka, skulona obejmowała nogi rękami, oczy miała szeroko otwarte, wbijała w niego wzrok, jakby był intruzem.

– Dlaczego już nie śpisz?

Żadnej odpowiedzi.

Greta miała szczupłą twarz o wyrazistych rysach, w której wybijał się lekko orli nos i mięsiste wargi, które zwykle podkreślała warstwą szminki w ognistoczerwonym kolorze. Na długich prostych włosach, czarnych jak atrament, błyskały różowe refleksy brzasku sączącego się przez szpary okiennic.

Scalviati usiadł na łóżku.

– Wszystko dobrze?

– To była straszna noc – powiedziała półgłosem.

Na chwilę umysł przeniósł Scalviatiego na miejsce zbrodni, przed zwłoki dziewczyny. Leżące bezładnie ciało, brzuch pokryty krwią.

– Czy coś się stało?



– Bałam się, że ktoś jest w domu – odpowiedziała z wahaniem. – Obudziłam się gwałtownie, bo usłyszałam jakieś odgłosy. Było ciemno, ale nie mogłam zapalić światła. Byłam jak sparaliżowana, nie byłam w stanie nawet wyjść z łóżka.

– Jakie to były odgłosy?

– Głuche uderzenie, jakby coś spadło na podłogę. Chciałam cię zawołać, ale nie mogłam wydobyć głosu. Czekałam, aż pojawisz się na progu, miałam nadzieję, że wreszcie wróciłeś do domu, ale im więcej mijało czasu, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że to nie mogłeś być ty.

Nie było to nic nowego. W ostatnich miesiącach zdarzało się, że Greta budziła się w środku nocy bez widocznego powodu, by potem pozostawać w stanie zawieszenia między snem a jawą, podczas którego nie reagowała na bodźce nawet przez kilka minut.

Scalviati przypisywał to emocjonalnej presji w czasie ciąży. Greta była zawsze krucha emocjonalnie i może powód tych epizodów krył się w lęku, że coś może pójść nie tak, zwłaszcza w świetle dwóch poronień, które ciężko przeżyła fizycznie i psychicznie.

– To pewnie jakiś koszmar. To normalne, że jesteś trochę spięta przy tych wszystkich szalejących hormonach. – Spróbował się uśmiechnąć, wyciągając rękę, by pogłodzić jej brzuch.

Greta cofnęła się przed jego dotykiem.

– To nie był koszmar! Dobrze wiem, co słyszałam.

– To może zbudził cię jakiś hałas na zewnątrz?

– Mówię ci, że to było tutaj!

– Przepraszam, próbuję to po prostu wszystko zracjonalizować. Gdyby było włamanie, zauważyłbym to, wchodząc do domu, ale wydaje się, że wszystko jest w porządku.

– Skąd wiesz? Obejrzałeś wszystkie pokoje?

Scalviati pokręcił głową.

– Więc nie traktuj mnie tak protekcyjnie. Nienawidzę, jak zachowujesz się wobec mnie jak urzędnik. Nie wiesz, co przeżyłam.

Popatrz, w jakim jestem stanie! – Uciekła przed wzrokiem męża, a do oczu napłynęły jej łzy. – Jestem ohydna. Wyglądam jak balon. Kostki mam w ruinie, ledwie jestem w stanie wstać sama, ciągle nie mam siły. Jak mogłabym się obronić przed napadem?

– Greta, błagam, popatrz na mnie. Jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy, kiedy cię poznałem. I wierz mi, nie mam najmniejszego zamiaru bagatelizować tego, co się stało, ani twoich emocji. Jeśli to ci pomoże, mogę rozejrzeć się po domu.

Nie czekając na odpowiedź, Scaviati wstał i zaczął lustrować każde pomieszczenie łącznie z łazienką, gdzie odsunął zasłonę, by spojrzeć do wanny, i ze schowkiem na środki czystości.

Kiedy wrócił do pokoju, zobaczył żonę pogrążoną we śnie z rękami na brzuchu i twarzą lekko zwróconą w stronę okna.

Wziął poduszkę, która spadła na podłogę, i włożył ją pod jej stopy, potem rozebrał się, zdjął zegarek i położył go na szafce. Po krótkim prysznicu założył koszulkę i skulił się obok niej.

## 15

Scalviati obudził się miło łechtany w nozdrza zapachem kawy. Wychylił się do szafki i spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

Z półpiętra dochodził brzęk energicznie rozkładanych talerzy i sztućców.

Wszedł na chwilę do łazienki, by się odświeżyć, szybko się ubrał i zszedł po schodach.

Greta była w kuchni zajęta stawianiem na leżącej na stole tacy dwóch pucharków ze spodeczkami i łyżeczkami, miseczki z *crema di latte* i drugiej z płynną czekoladą.

Gdy mąż pojawił się na progu, rozpromieniła się w uśmiechu.

– W końcu przyszedłeś, śpiochu.

Konstatacja, że jest w dobrym humorze po takiej nocy, była jednocześnie pocieszająca i zastanawiająca. Scalviati wiele robił, by przyzwyczaić się do jej częstych zmian nastroju, ale nadzieja, że miną po porodzie, dodawała mu otuchy.

– Spałem może ze trzy godziny.

– W każdym razie myślałam, że telefon cię obudzi.

– Ktoś dzwonił?

– Pytał o ciebie Bevilacqua.

– *Prokurator okręgowy Bevilacqua? Kiedy?*

Greta zgasila płomień pod kawiarką.

– Jakies pół godziny temu. Powiedział, że czeka na ciebie w prokuraturze w południe, będzie konferencja prasowa.

Salviati nerwowo potarł czoło. Miał nadzieję, że kierownictwo pozwoli przynajmniej odczekać weekend, zanim zacznie się ten medialny cyrk. Nie

był gotowy stawić czoła prasie, potrzebował więcej czasu na przejrzenie akt i przygotowanie strategii komunikacyjnej, która nie opierałaby się na *no comment*, ale też uniemożliwiałaby przecieki, które mogłyby zaalarmować sprawcę. I, w miarę możliwości, zapobiegłaby rozpętaniu psychozy strachu przed potworem wśród mieszkańców miasta.

Nic nie było w stanie bardziej skomplikować pracy organów ścigania niż nieustanna presja opinii publicznej. Pracy, która – przynajmniej on tak to rozumiał – wymagała czasu do spokojnego, twórczego namysłu.

Usiadł przy stole.

– Cóż za smakowity zapach – powiedział, by ukryć zdenerwowanie.

– Obudziłam się ze straszną ochotą na ciasteczka czekoladowe. – Greta założyła rękawice i wyciągnęła z pieca blachę wypełnioną dymiącymi ciastkami w rozmaitych kształtach. Wsypała je do miski i postawiła pośrodku stołu. Potem wlała do każdego z pucharków czekoladę, *crema di latte* i kawę. – Skoro już zaczęłam, to przygotowałam jeszcze *bicerin*.

– Przepyszne – skomentował Scavati, pociągnąwszy łyk. Wziął jedno ciastko i rozgryzł je. – No no... mogę się przyzwyczaić do takich śniadań.

– Nawet nie próbuj – odparowała, siadając naprzeciwko niego. – Przypominam ci, że niedługo będzie nas troje.

– Myślałaś może o imionach, o których rozmawialiśmy?

Greta lekko się skrzywiła.

– Tak, ale nie wiem. Wiem, że Vittoria to imię twojej babci i że bardzo ją kochałeś, ale nie wydaje ci się trochę górnolotne? A Cassandra... nie boisz się, że to brzmi jak ktoś... kto przynosi nieszczęście?

– Nieszczęście? To przepiękne imię!

Pociągnęła spory łyk swojego *bicerin*.

– Racja, ale pamiętasz *Iliadę*?

– Wiedziałem, że wcześniej czy później twoje klasyczne wykształcenie zwróci się przeciwko mnie.

– Chodzi o to, że chciałabym, żeby to imię wyrażało jej osobowość. Trzeba by spojrzeć jej w oczy, a z drugiej strony nie wyobrażam sobie, żeby

nasza malutka urodziła się nie mając imienia!

– Faktycznie, USG nie daje dobrego wyobrażenia o jej twarzy...

Greta wyciągnęła łyżeczką resztę kremu czekoladowo-kawowego z dna pucharka. – Wiesz, myślałam, żeby później zadzwonić do Riccarda.

– Do twojego agenta?

Greta była wschodzącą gwiazdą teatralną. Po typowych początkach, gdy grała role drugoplanowe w kilku pomniejszych spektaklach, zyskała sporą sławę, grając Mirandolinę w awangardowej interpretacji komedii Goldoniego, którą grano przez osiem miesięcy w teatrze Alfieriego. Jednak z powodu komplikacji, które pojawiły się w trzecim miesiącu ciąży, musiała opuścić scenę, licząc na to, że wróci do grania zaraz po urodzeniu dziecka.

Jej zwolnienie stało się problematyczne dla producentów, bo zastąpienie jej młodszą i mniej doświadczoną aktorką doprowadziło do szybkiego zawieszenia spektakli. Efektem był spór prawny o wynagrodzenie, który do tej pory nie został polubownie rozwiązany, zważywszy na to, że Greta do ostatniej chwili nie powiedziała producentom o swojej ciąży.

– Muszę już teraz zacząć myśleć, jakie będę miała możliwości, kiedy wrócę do grania.

Scalviati westchnął.

– Wydaje mi się, że to za wcześnie. Mała jeszcze się nie urodziła, a już robisz plany na czas, kiedy będzie samowystarczalna.

– Nie bądź głupi. Powiedziałam ci, że nie zamierzam się zmienić w jedną z tych matek, które przestają się realizować, żeby wychowywać dzieci.

– Nie możesz poczekać chociaż rok? Moja pensja daje nam jakąś stabilizację. Nie musimy oboje pracować.

– Jak możesz tak ordynarnie sprowadzać moje aspiracje do kwestii finansowych? Boże, czasem mam wrażenie, że słyszę mojego ojca. Fakt, że jestem kobietą, nie oznacza, że nie mam ambicji. Może nie zauważyłeś, ale żyjemy w latach osiemdziesiątych.

Scalviati wyciągnął ręce.

– Nie złość się. Byłem pewien, że zgadzamy się, że zrobisz przerwę w pracy w teatrze. Mała będzie potrzebowała kontaktu z mamą, żeby dobrze się rozwijać.

– A od kiedy jesteś ekspertem od psychologii noworodków? – Greta wstała, zaczęła sprzątać ze stołu i dodała: – W każdym razie ciągle uważam, że Eleonora to by było świetne imię.

W sali konferencyjnej w prokuraturze panowała aura spokojnego rozsądku. Z powodu sezonu wakacyjnego i słabego nagłośnienia konferencji przez kierownictwo obecnych było niewielu dziennikarzy, a prawie wszyscy byli zatrudnieni przez lokalne tytuły.

Nic dziwnego, artykuł Ledy został opublikowany zaledwie kilka godzin wcześniej, a wiadomość o podwójnym morderstwie w Pian del Lot nie zatoczyła jeszcze dość szerokich kręgów, by sprowadzić dziennikarzy z gazet krajowych.

Kiedy tylko prokurator okręgowy Giuseppe Bevilacqua zakończył wystąpienie, Leda zrozumiała, że przez cały czas bagatelizował konsekwencje tego, co wydarzyło się w nocy. Wyjaśniając przebieg podwójnego zabójstwa, urzędnik zrezygnował z użycia słowa „potwór”, określając sprawcę jako „zabójcę kierującego się niewyjaśnionymi motywami” i podkreślając, że „w przeprowadzonych badaniach nie wykazano znaczących związków z morderstwami popełnionymi w zeszłym roku”.

Obok Bevilacquy przy stole panelistów siedzieli inspektor Costanza i młodszy prokurator Francesco Scalviati, którzy od czasu do czasu wymieniali półgłosem jakieś uwagi. Leda pomyślała, że bardzo by chciała usłyszeć, co mówią. Była pewna, że ich tematy były o wiele ciekawsze niż stanowisko szefa prokuratury.

Nie umknęło jej spojrzenie, które rzucił jej Scalviati. Podniosła rękę, by zadać pytanie, ale głos oddano koledze z lokalnej telewizji, który siedział za nią; zapytał, czy ktoś jest już podejrzany.

Cierpliwie przeczekała odpowiedź Bevilacquy, dyplomatyczną i unikową, potem wstała.

– Leda De Almeida, „La Stampa” – powiedziała. – Chciałabym wiedzieć, czy czytaliście mój artykuł z dzisiejszej gazety.

– Pani De Almeida – powiedział Costanza. – Proszę panią o uszanowanie porządku konferencji. Prokurator odpowie na pani pytania, kiedy przyjdzie kolej na panią.

– To było pytanie retoryczne – uściśliła. – Mam wrażenie, że pan Bevilacqua dokładnie go przeczytał, bo jego słowa wydają się zaplanowane tak, żeby mu całkowicie zaprzeczyć.

Costanza zarechotał.

– To dość zarozumiałe.

– Zarozumiała jest ta słabo ukryta próba stworzenia narracji dalekiej od stanu faktycznego, która całkowicie ignoruje problem bezpieczeństwa mieszkańców pojawiający się w świetle takich zdarzeń. Zdarzeń systematycznie powtarzającej się agresji wobec bezbronnych obywateli.

Wśród obecnych podniósł się ożywiony pomruk, natychmiast zgaszony kolejnymi słowami inspektora.

– Za dużo sobie pani pozwala.

– Chciałabym wiedzieć, co o tych przestępstwach sądzi prokurator Scalviati, któremu nie podano mikrofonu, chociaż to on jest odpowiedzialny za śledztwo.

– Dobrze pani wie, że obowiązkiem śledczych jest zachowanie koniecznej dyskrecji w początkowych fazach dochodzenia. Zwłaszcza w przypadku morderstw.

– Chcę tylko jakiejś odpowiedzi. Nie proszę przecież o dostęp do akt prokuratury.

– Oczywiście, że czytamy gazety – przerwał Scalviati. – I oczywiście przeczytałem też pani artykuł. Uważam, że jest prowokacyjny. Pod pretekstem morderstwa próbuje pani zrobić raban, spekulując na temat bardzo dramatycznych wydarzeń.

Prokurator Bevilacqua krzywo na niego spojrział, jakby zachęcając go do spuszczenia z tonu.



– Prowokacyjny? Zamierzałam najwyżej ożywić dyskusję. I przypomnieć, że ludzie zaczynają się naprawdę bać.

– Nie sądzę, żeby rozpowszechnianie informacji wrażliwych było najlepszym sposobem na rozpoczęcie dyskusji. Z całym szacunkiem dla pani pracy, mogłaby pani odpuścić sobie pisanie o naocznym świadku, zwłaszcza, że chodzi o małoletniego, bo wystawia go pani na ogromne niebezpieczeństwo.

– Jeśli był w samochodzie razem z ofiarami, to wątpię, żeby mordercy umknęła jego obecność.

– A co pani o tym wie? Jest konkretny powód, dla którego chcielibyśmy uniknąć wycieku pewnych informacji, które w odpowiednich okolicznościach mogą pomóc w identyfikacji sprawcy.

– Mówi pan o łusce, którą znaleziono w miejscu zbrodni?

Scalviati zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Jesteśmy w trakcie analiz mających ustalić, czy model broni jest ten sam jak przy pozostałych morderstwach.

– Więc dopuszcza pan jednak możliwość, że po mieście krąży teraz potwór?

– Niech go pani nazywa jak chce. Zresztą pani ma wolność proponowania swoim czytelnikom tej interpretacji faktów, która się pani najbardziej podoba. Ale ja nie mogę odrzucić żadnej hipotezy. Morderstwa, o których pani mówi, mogły być ze sobą powiązane albo nie. Nie mogę zignorować ani elementów wspólnych, ani różnic, a moją opinię pozna pani wtedy, kiedy będę miał dość danych, żeby ją sformułować. A do tego czasu będę działał zgodnie z procedurami i obowiązkami przypisanymi do mojej roli, ale przede wszystkim z szacunkiem, który wszyscy jesteśmy winni ofiarom. Mam wobec obywateli i instytucji konkretną odpowiedzialność, czyli postawienie przed sądem sprawcy, albo sprawców. I proszę mi wierzyć, że to zrobię.

Po zakończeniu konferencji prasowej, kiedy dziennikarze i operatorzy telewizyjni wychodzili z sali, Bevilacqua otworzył neseser i wyciągnął z niego egzemplarz dziennika „La Stampa”. Tytuł głosił wielkimi literami: *Podwójne morderstwo w Pian del Lot. Morderca kochanków atakuje już po raz trzeci w ciągu kilku miesięcy. Tożsamość dwóch ofiar z tej nocy nie została jeszcze ujawniona. Na miejscu był obecny świadek. Bezpieczeństwo jest zagrożone, ale strategią organów śledczych jest bagatelizowanie wydarzeń.* Zdjęcie na środku strony pokazywało samochód na trawie i techników poszukujących odcisków oraz inspektora Costanzę wyciągającego dłoń przed siebie, jakby próbował przeszkodzić fotografowi.

– Dosyć wojownicza ta De Almeida – skomentował. – Gdybym jej nie znał, pomyślałbym, że ma porachunki z prokuraturą.

– O ile się nie mylę, była korespondentką zagraniczną – odparł Scaviati.

– Zaczynała w Teheranie w trakcie rewolucji, potem przeprowadziła się do Bejrutu, żeby pisać o rozwoju konfliktu w południowym Libanie. Na kilka lat zniknęła, niektórzy myśleli, że zginęła w zamachu.

– Sprawdzał ją pan, prokuratorze Bevilacqua?

– Szczerze mówiąc zawsze z przyjemnością czytałem jej artykuły. Była niezależna, przynajmniej w kwestiach polityki międzynarodowej. Może i polemiczna, ale zawsze dobrze poinformowana.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Parę minut temu, w czasie konferencji, Costanza opowiedział mi, jak zjawiała się znikąd na miejscu zbrodni. Była tam tylko kilka minut, ale to jej wystarczyło, żeby wydusić od kogoś z naszych dość informacji, żeby napisać artykuł. – Wiedział, że chodziło o Loiacono, ale nie chciał o tym wspominać. Nie chodziło o to, by

wpędzać w kłopoty młodego sierżanta, który prawdopodobnie zgrzeszył tylko naiwnością.

– Byłaby dobra na przesłuchaniach najtwardszych podejrzanych – zażartował Bevilacqua.

– À propos dzisiejszej nocy, chciałem z panem o czymś pomówić. Policjanci z patrolu, którzy najwcześniej byli na miejscu, złapali Amerykanina, niejakiego Issaka Stonera, który kręcił się w pobliżu miejsca zbrodni. Wygląda na to, że jest agentem FBI.

– FBI?

– Chciałem spytać, czy coś pan o tym wie. Stoner powiedział, że przyjechał do Włoch w porozumieniu z prokuraturą, jako konsultant przy śledztwie.

Bevilacqua pokręcił głową z dezaprobatą.

– *W porozumieniu z prokuraturą?*

– Tak powiedział. Przez chwilę rozmawialiśmy dziś w nocy. Nie chciał zbyt wiele mówić. Miałem wrażenie, że coś ukrywa.

– Cóż, nigdy nie wiadomo, co chodzi po głowie Amerykanom.

– Ma pan pomysł, z kim w prokuraturze mógłby być w kontakcie?

– Naprawdę nie wiem, ale wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby ktoś podjął taką inicjatywę. Komunikacja z obcymi wywiadami odbywa się przez Interpol lub Konsulat Generalny.

– Ostatecznie zwrócę się do nich. Wydawało mi się dziwne, że dobrze znał sprawy morderstw z zeszłego roku. I wydawał się pewny, że sprawca jest ten sam. Zresztą jest to możliwość, którą ja też uważam za prawdopodobną w obecnych okolicznościach.

– Na pewno – zgodził się Bevilacqua. – Teraz przypominam sobie, że niedawno było międzynarodowe spotkanie sił policyjnych. Konferencja o nowoczesnych metodach dochodzenia, która odbywała się właśnie w siedzibie FBI w Quantico, w Wirginii. Brał w niej udział również doktor Di Cara z Wydziału Techniki Kryminalistycznej.

– Nic o tym nie wiedziałem.

– Chyba pod koniec kwietnia albo na początku maja. Kilka tygodni po powrocie Di Cary dostałem faks z FBI. Propozycję konsultacji w sprawie zeszłorocznych morderstw.

– Rozmawiał pan o tym fakcie z Di Carą?

– Nie, przyznaję, że nie przywiązałem do tego wagi. Sądzi pan, że Di Cara pozostał w kontakcie z Amerykanami?

Scalviati zastanawiał się przez chwilę.

– Di Cara zawsze się interesuje nowymi technikami śledztwa. Mógł o tym z nimi rozmawiać, kiedy był w Stanach. Nie rozumiem tylko, co w tych morderstwach mogło zainteresować FBI do takiego stopnia, że przysłali tu swojego agenta.

– Boję się, że nie mogę panu pomóc – przyznał Bevilacqua. – Wtedy podziękowałem za pomoc i odrzuciłem ofertę i nie było od nich więcej wiadomości, przynajmniej do mojego biura.

Scalviati zamyślił się.

– Sądzi pan, że znajdę ten faks w archiwum?

– Oczywiście. Wśród setek innych dokumentów wymienianych w różnych sprawach z ministerstwem, innymi prokuraturami, posterunkami policji i żandarmerią.

– Poszukam. Może to mi pomoże zrozumieć cokolwiek z tej plątaniny.

– Dobry pomysł – uciął Bevilacqua. – Proszę mi lepiej powiedzieć, jak się czuje Greta?

– Dobrze, dziękuję – odparł Scalviati. Po krótkim wahaniu dodał: – Raz lepiej, raz gorzej.

– Zbliża się wielki dzień, prawda?

– Lekarka mówi, że powinna się urodzić mniej więcej za dwa tygodnie, plus minus kilka dni.

– Jeśli księżyc pozwoli.

– Słucham?

– Też przez to przechodziłem. Teraz wszystkie moje dzieci są dorosłe, Bogu dzięki, ale ani jedno nie urodziło się w terminie. Cała trójka czekała na zmianę fazy księżyca.

– Nie powiem, to bardzo sugestywne.

– Zdecydowaliście już, jak nazwać małego?

– To dziewczynka – uściślił Scalviati. – I chociaż przerobiliśmy imiona wszystkich bliskich krewnych i ulubionych bohaterów literackich Greta, mieliśmy długie dyskusje przy kolacji, sięgaliśmy do pomysłów z gazet dla mam i całej reszty, to nie osiągnęliśmy jeszcze kompromisu.

– Właściwe imię się pojawi, jak przestaniecie go szukać.

– Mam tylko nadzieję, że mała nie urodzi się wcześniej, bo Greta nigdy by mi tego nie wybaczyła. – Scalviati spojrział na zegarek. – Skoro o tym mowa, muszę już iść.

– Oczywiście. Nie zatrzymuję pana dłużej. – Bevilacqua wstał i uściśnął mu rękę. – A na pana miejscu nie przejmowałbym się tak słowami tej dziennikarki. Prokuratura jest po pana stronie, a dzisiejsza gazeta za kilka godzin będzie już makulaturą. Ale niech się pan trzyma od De Almeidy z daleka.

Wychodząc z prokuratury, Scalviati wcale nie czuł się spokojny. Z jakiegoś powodu słowa prokuratora Bevilacqua zamiast dodać mu otuchy wywarły odwrotny efekt. Czy prokuratura była *całkowicie po jego stronie*, to miało się jeszcze okazać, nie tylko z powodu sceptycyzmu, który Bevilacqua już wcześniej demonstrował wobec jego wizji dochodzenia, ale również dlatego, że jego nazwisko pojawiło się w prasie w niezbyt pochlebnym kontekście.

Co do Stonera, postanowił działać ostrożnie, ale stanowczo. Być może to rzeczywiście Di Cara nawiązał kontakt z FBI, ale przyczyny obecności Amerykanina w mieście pozostawały niejasne. Konieczna była wizyta w konsulacie.

I było coś jeszcze. To zdanie o wpływie faz księżyca na datę porodu wciąż dźwięczało mu w głowie. Nie myślał o narodzinach córki, ale o możliwym powiązaniu ze sposobem działania mordercy, którego ścigał. Powiązaniu, które przełożony mimo woli mu zasugerował.

Gdy szedł chodnikiem, jakiś głos wyrwał go z rozmyślań.

– Prokuratorze Scalviati!

Odwrócił się. Leda De Almeida skinęła mu na powitanie. Zanim zdążył się usunąć, była już obok niego.

– Czy próbuje pani fraternizować się z wrogiem?

Leda lekko się uśmiechnęła.

– To raczej propozycja rozejmu. Ma pan czas na kawę?

– Niestety, śpieszę się. – Nie zatrzymując się, Scalviati wyjął z kieszeni kluczyki.

– Proszę poczekać – powiedziała, utykając. – Obiecuję, że zabiorę panu tylko kilka minut.

Zatrzymał się przy swojej cromie.

– Dobrze się pani czuje?

– To tylko dawna rana, która czasami daje o sobie znać. Więc co by pan powiedział na małą przerwę? Jeśli woli pan sandwicha, możemy wyskoczyć do Mulassano.

– Dziękuję, ale żona czeka z obiadem.

– Pańska dama jest taka niecierpliwa?

Scalviati popatrzył na nią podejrzliwie.

– Mam tylko nadzieję, że nie planuje pani reportażu o moim życiu prywatnym.

– Nie musi się pan tak obwarowywać. Nie odwołuję tego, co napisałam, ale działałam etycznie. W moim zawodzie muszę opierać się na faktach, a fakty mówią o niewłaściwej komunikacji między władzami a społeczeństwem obywatelskim. Będąc po drugiej stronie barykady, musimy wiedzieć, czy prokuratura traktuje poważnie problem, który widzą wszyscy. Boję się tylko, że oceniłam pana zbyt surowo.

– Chce pani rozgrzeszenia, De Almeida?

– Rzecz w tym, że z tego, co widziałam dziś rano, jest oczywiste, że nie podziela pan oficjalnego stanowiska prokuratury. Pan już zrozumiał, że zeszłoroczne morderstwa były powiązane. Ale prokurator okręgowy pana nie wsparł, może ma za ciasne horyzonty albo grzeszy zbyt dużą ostrożnością. Mam rację?

– Jeśli to przeprosiny, to wybrała pani dziwny sposób.

– Myślę, że wszystkim przydałaby się lepsza komunikacja.

– Nie wątpię, że ma pani dobre intencje. Ale nie aprobuję pani metod.

– Z całym szacunkiem, ale mnie rozliczają czytelnicy gazety.

– Kosztem wyłudzenia informacji poufnych od funkcjonariusza policji?

– Costanza panu opowiadał, jak to naprawdę wyglądało?

– Nieważne, co mi powiedział Costanza. Opublikowała pani informacje, na których rozpowszechnienie nie byliśmy gotowi. I jest tylko jeden sposób

na to, jak mogła się pani tego dowiedzieć: wykorzystując czyjeś dobre intencje i popychając go do ujawnienia tego, o czym powinien był milczeć.

Leda westchnęła.

– Mam nadzieję, że sierżant Loiacono nie będzie miał kłopotów. To porządny człowiek, nie wciągnęłabym go w to, gdyby inspektor Costanza nie próbował mnie stamtąd wyrzucić.

– Jakkolwiek to się stało, dlaczego mam wierzyć, że teraz nie wciąga mnie pani w niewinną konwersację, by osłabić moją czujność? Może z nadzieją, że pozwolę sobie przy pani na jakąś niedyskrecję.

– Nigdy pan nie przestaje być prokuratorem, prawda?

– Po prostu nauczyłem się uważać na osoby takie jak pani.

– Teraz stanowczo pan przesadza. W każdym razie, jeśli chce pan zachować dystans, szanuję pańską decyzję.

– Trzymam panią za słowo.

Leda zrobiła krok w tył.

– Cóż, jeśliby pan zmienił zdanie, wie pan gdzie mnie szukać. Do widzenia, prokuratorze Scalviati.

Scalviati patrzył, jak się oddalała. „Żegnaj, Ledo De Almeida”.



Loiacono zadzwonił w niedzielę o szóstej po południu. Scalviati odebrał w jadalni, ale przeszedł do aparatu w swoim gabinecie, jak to miał w zwyczaju w sprawach służbowych.

– Wczoraj wieczorem poszedłem na kolację do Circolo Canottieri, tak jak mnie pan prosił – powiedział młody sierżant.

– Udało się panu porozmawiać z kelnerką, o której mówił agent Stoner?

– O tak. To był naprawdę miły wieczór, od wieków nie poszedłem z żoną na randkę. Wie pan, jak się ma dzieci i pracę na zmiany, to nie ma chwili na odpoczynek. Przede wszystkim chciałem panu podziękować za gościnę, również w imieniu żony. Chciała to zrobić osobiście, ale pomyślałem, że nie ma potrzeby.

– Nie musi pan za nic dziękować. Cieszę się, że spędziliście z żoną miły wieczór, ale tak czy owak to była sprawa służbowa. – Prokurator zaczął porządkować gazety leżące w stosie na biurku. Mimo tego, co twierdził Bevilacqua, poruszenie wzniecone przez artykuł De Almeidy wcale się nie uspokoiło. Notatka w „Corriere della Sera” była zatytułowana: *Czy w Turynie jest potwór?* Artykuł wydrukowano małą czcionką, ale jednak na pierwszej stronie, co sygnalizowało, że to, co działo się w mieście, zaczynało budzić zainteresowanie na poziomie krajowym. Natomiast „La Stampa” zaczynała od artykułu, w którym De Almeida łagodziła atak z poprzedniego dnia. Tytuł głosił: *Prokurator oznajmia: to polowanie na potwora.*

Obok zwyczajowych sprawozdań o korkach na autostradach spowodowanych masowymi powrotami, które powtarzały się co roku, pojawiła się też informacja o osobliwym fenomenie zaobserwowanym na moście Wiktora Emanuela I. Balustrada była zasiedlona przez populację

pająków, które pojawiły się nie wiadomo skąd, a most skolonizowały w ciągu kilku godzin.

– Ma pan rację, ale proszę pomyśleć, że *nie śmiałem sobie* nawet zadzwonić do pana na prywatny numer, tym bardziej w dzień świąteczny, chciałem poczekać do jutra, aż otworzą się biura – powiedział Loiacono z drugiego końca linii. – Wiem, że sam mi pan dał numer domowy i nawet mi pan kazał szybko pana poinformować, ale jest niedziela i bałem się przeszkadzać. Ale ponieważ zaraz wracam na służbę, to nie chciałem już tego dłużej odkładać. To nie jest zły moment, prawda?

– Absolutnie nie – powiedział Scaviati lekko zniecierpliwiony. – Proszę powiedzieć, czego się pan dowiedział.

– Oczywiście, zaraz przechodzę do rzeczy. Zacznę od tego, że kiedy weszliśmy i zaprowadzili nas do stolika, obsługiwał nas chłopak, niestety nie pamiętam imienia, a może go nie zapytałem. Ale moja żona kategorycznie zażądała, żeby obsługiwała nas Angela. Muszę przyznać, że odkryłem w Stefanii coś, czego nie znałem. Zachowywała się jak prawdziwy agent pod przykrywką. Przekonała personel, że nasz „amerykański przyjaciel” – tak go określiła – był tak zadowolony po swojej wizycie, że chcemy być obsługiwani przez tę samą osobę. Musieli odstąpić od swoich zasad, bo jak pan wie, każdy kelner jest przypisany do konkretnej części sali, ale moja żona była tak grzeczna, a jednocześnie zdecydowana, że chętnie się zgodzili.

– Błagam pana, Loiacono, niech się pan nie gubi na wstępie. Chcę tylko wiedzieć, czy kelnerka potwierdziła wersję Stonera.

– Słusznie, przecież po to tam poszedłem. Bo muszę panu powiedzieć, gdybym był tam sam, to na pewno wymknęłoby mi się, że pytam w imieniu prokuratury. Ale tu wszystko poszło gładko. Nie mogli wątpić, że ja i żona jesteśmy turystami. I dzięki pomysłowości Stefanii kelnerka nawet nas polubiła! Podała nam dodatkowy aperitif. Chociaż wydaje mi się w gruncie rzeczy, że miała nadzieję na duży napiwek. – Pauza. – Przepraszam, wiem, że znów zaczynam dywagować... Krótko mówiąc, moja żona udawała, że pyta o ciasto na *tajarìn* – na które doskonale zna przepis – i o to, czy *brasato*

jest dobre, a panna Angela potwierdziła, że te dania zamawiał także Amerykanin. Jeśli chodzi o wino, to nie pamiętała dokładnie, ale była prawie pewna, że to było Barbera.

– Mhm – mruknął Scalviati.

– Czyli wszystko w porządku, tak? Amerykanin nie kłamał.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Problem polega na tym, żeby odkryć, o co mu tak naprawdę chodzi.

– A jeśli po prostu chce pomóc?

– Albo poszukuje innych informacji pod pretekstem pomocy w śledztwie w sprawie domniemanego potwora.

– Jakich informacji?

– Nie wiem. Mógłby być zainteresowany kulisami naszej polityki wewnętrznej. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy Amerykanie próbują wtrącać się w sprawy włoskie. Proszę nie zapominać, że chociaż jesteśmy sojusznikami, to od końca wojny ich zachowanie wobec nas nie zawsze było transparentne.

– Więc boi się pan, że jest... szpiegiem?

– Wiem tyle, że jego zachowanie wydaje się co najmniej podejrzane. Począwszy od tego, z jak zdumiewającą dokładnością potrafił opisać zwykłe danie w restauracji.

– Nie pojmuję, o co panu chodzi.

– Spodziewałem się chociaż drobnej różnicy między wersją jego i kelnerki. A był tak dokładny, że sprawia to wrażenie, jakby przygotował sobie przykrywkę na wypadek, gdyby ktoś miał co do niego jakieś wątpliwości. Proszę, pamiętał nawet rocznik wina, które pił!

– Jak mówiłem, kelnerka nie była pewna...

– Rozumie pan, o co mi chodzi.

– Oczywiście, to jasne.

– Cóż, jeśli to wszystko, to zostawiam pana z obowiązkami.

Loiacono odchrząknął.

- Tak naprawdę to chciałem porozmawiać jeszcze o czymś.
- Co dotyczy Amerykanina?
- Nie, zupełnie... Nie wiem, jak to panu powiedzieć, ale...
- Jakiś problem z personelem w restauracji?
- Nie, skądże. Wszyscy byli bardzo uprzejmi. Mówię o artykule we wczorajszej gazecie. Kiedy czytałem, zdałem sobie sprawę, że w rozmowie z tą dziennikarką byłem niedyskretny. Pozwoliłem, by wyciągnęła ze mnie informacje, a nie należało tego robić. Naprawdę mi przykro, że z mojego powodu został pan zaatakowany.
- Proszę być spokojnym, Loiacono. Takie rzeczy zdarzają się nawet najlepszym.
- Co za ulga! Bałem się sankcji dyscyplinarnych.
- Ależ skąd! Tylko proszę, żeby się to więcej nie powtórzyło.
- Może pan na mnie liczyć.
- Nie pozostaje mi nic innego, jak się z panem pożegnać.
- Jeszcze ostatnia sprawa...
- Proszę mówić – westchnął Scaviati. Prawie całkiem zamyślony zaczął przerzucać strony gazety, którą miał przed sobą.
- Rachunek z restauracji.
- Słucham?
- Wydaliśmy z żoną 90.000 lirów i oczywiście musiałem je zapłacić z własnej kieszeni. Przecież nie mogłem powiedzieć kasjerkom, żeby wysłały rachunek do prokuratury. Sam pan rozumie, że z dwójką małych dzieci i pensją, która jest jaka jest, w tych czasach jest coraz trudniej związać koniec z końcem.
- Jutro to panu zwrócę – powiedział. – Proszę przyjść jak najwcześniej do mnie do biura i przynieść paragon. – Kiedy Scaviati doszedł do strony z repertuarem kinowym, aż podskoczył. Przez kilka chwil nic nie mówił.
- Prokuratorze, jest tam pan?

– Tak, oczywiście – odparł z roztargnieniem. – Skoro zaraz zaczyna pan służbę, to chciałem pana jeszcze o jedno poprosić.

## 20

– Carlos! – krzyknęła Leda, kładąc sztucce na stole. – Kolacja gotowa.

Chłopak zamknął podręcznik i przeszedł do kuchni.

– Mamo, proszę. Tysiąc razy cię prosiłem, żebyś mnie tak nie nazywała.

– Co to niby ma znaczyć? Tak masz na imię.

– Dobrze wiesz, że wolę „Carlo”. Myślałem nawet, żeby je zmienić w urzędzie.

– Znowu to samo? – westchnęła. – To jest imię, które ja i twój ojciec wybraliśmy dla ciebie. Jaką różnicę robi jedna litera więcej?

– Urodziłem się i zawsze żyłem we Włoszech, nie znam hiszpańskiego, a mimo to w szkole uważają mnie za imigranta. Nauczyciele, którzy mnie nie znają, mówią do mnie wolno i wyraźnie. Naprawdę chcesz wiedzieć? To dodatkowe „s” sprawia, że czuję się jak cudzoziemiec.

– Co za bzdury. A co jest złego w byciu imigrantem? Turyn stał się centrum przemysłu właśnie dzięki imigracji. Zanim się tu sprowadziłam, żyłam na całym świecie, jeżdżąc z ojcem, ale byłam zawsze dumna ze swoich korzeni.

– Zapomniałbym. Jak nie było cię w domu, dzwonił tata.

– Jakies nowiny z jego *buen retiro* w Toskanii?

Były mąż Ledy, Iacopo Brezzi, po tym, jak przez dziesięć lat prowadził kawiarnię, przebranzowił się na winiarza. Powrócił do rodzinnego miasteczka w dolinie Elsy, gdzie produkował chianti z uprawianych przez siebie winogron.

Poznali się w czasach studenckich. Leda zaszła w ciążę na kilka miesięcy przed obroną pracy magisterskiej, a ślub wzięli pod koniec jej praktyk dziennikarskich. Kolegom, którzy sugerowali, że Iacopo nie jest na jej poziomie, odpowiadała, że przy wszystkich nudnych intelektualistach,

z którymi ma do czynienia, on ma przynajmniej tę zaletę, że umie ją rozśmieszyć.

Relacja osłabła przez częste wyjazdy Ledy za granicę. Kiedy naczelny zaproponował jej wyjazd do Libanu, Iacopo poprosił, by rzuciła wszystko i by zaczęli wszystko od nowa.

Ale Leda postanowiła pojechać. A kiedy była w Bejrucie, Iacopo też wyjechał z Turynu i ruszył w stronę Toskanii. Rozstanie było bolesne, zwłaszcza że Carlo był jeszcze mały. Zgodzili się, że zostanie z ojcem aż do jej powrotu do Włoch. Ale zamach wszystko skomplikował.

– W czwartek przyjeżdża do miasta spotkać się z jakimś ważnym klientem – powiedział Carlo. – Umówiliśmy się, że zjemy razem kolację u nas. Nie masz nic przeciwko?

– Skąd – odpowiedziała Leda, starając się ukryć niezadowolenie. – Pewnie przywiezie ze sobą Deborę?

– Czemuż by nie. Mieszkają razem już od jakiegoś czasu.

– Jak to jest, że wszystkie nastolatki świata nienawidzą nowych partnerów swoich rodziców, a ty jesteś taki tolerancyjny? Może masz do niej jakąś słabość?

– To ty jesteś uprzedzona. Powiedz raczej, co się stało z moim aparatem? Dziś po południu chciałem znowu jechać na most, porobić trochę zdjęć w świetle dnia.

– Przepraszam, zostawiłam go na biurku w redakcji. Jutro go przywiozę.

– A nie ma nadziei na dwa nowe filmy przy okazji?

– Oczywiście. Muszę je kupić, skończyły się nam zapasy. Ale co ty mówisz o moście?

– Nie słyszałaś o tym? Co z ciebie za dziennikarka?

Leda spiorunowała go wzrokiem.

– Nie bądź taki mądry, dobra? No tak, widziałam te zdjęcia, które zrobiłeś. Matko święta, ile tych pajaków! Jak zabiorę twoją leicę, to wezmę też wywołane zdjęcia. Muszę powiedzieć, że są naprawdę niezłe. – I dodała łagodniejszym tonem: – Twój dziadek będzie z ciebie dumny.

Loiacono pokazał koledze, by zatrzymał radiowóz i poprosił go, by na niego poczekał. Ruszył do kasy kina „Charlie Chaplin” i stanął w kolejce czekających na kupno biletu.

– Dzień dobry, panie władzo. Żeby dostać ulgę, musi pan pokazać legitymację.

– Nie chcę iść na film – wyjaśnił. – Ale chcę zadać kilka pytań.

Dziewczyna wyjrzała przez szybę, by policzyć tych kilka osób, które czekały w kolejce. – Dobrze, ale mogę opuścić kasę dopiero kwadrans po rozpoczęciu seansu. Wie pan, spóźnialscy.

– Oczywiście. Mogę? – Loiacono zrobił krok w stronę wejścia.

– Proszę.

Wszedł i usiadł na stołku w barze. Zamówił oranżadę Tassoni i zaczął przeglądać z roztargnieniem prospekty oparte o blat. Zamienił słowo z barmanem, potem zaczął krążyć w tę i z powrotem, oglądając wiszące na ścianach plakaty wyświetlanych filmów.

Kiedy minął afisz *Cinema Paradiso*, zatrzymał się przed ogromnym zdjęciem Bruce’a Willisa ze *Szklanej pułapki*, kontemplując je, jakby stanął oko w oko z wysokim urzędnikiem państwowym. Strzepnął bluzę munduru, przyjął uroczystą postawę i z zaciętą, a może raczej zatroskaną miną mruknął:

– Do mnie mówisz?

– Pomylił pan filmy. – Głos za jego plecami sprawił, że podskoczył z zaskoczenia.

Odwrócił się, spotykając rozbawioną twarz kasjerki.

– Kto, ja? Aha... no tak, jasne.

– No więc, De Niro, o co chciał mnie pan zapytać?



Uśmiechnął się nerwowo.

– Loiacono. Aspirant Loiacono. – Zdjął czapkę i otarł pot z czoła. Miał wrażenie, że w środku jest jeszcze goręcej niż na zewnątrz. Potem, starając się nadać głosowi ton powagi, zapytał: – Czy była pani w pracy w piątek wieczorem?

– Myślę, że tak, skoro jestem jedyną kasjerką gotową ciągnąć ten kram w wakacje.

– Może pamięta pani parę z czteroletnim chłopcem? On koło czterdziestki, ona koło dwudziestu pięciu lat, blondynka, włosy gdzieś dotąd – dotknął swojego ramienia.

– Naturalna blondynka czy farbowana?

– O mój Boże... no nie wiem.

– Żartowałam. Oczywiście nie mogę zapamiętać wszystkich, którzy przychodzą tu po bilety. Tak naprawdę to zwykle nawet nie patrzę im w twarz.

– Rozumiem, ale nie wydaje mi się, żeby w tym okresie było aż tylu widzów.

– No rzeczywiście nie. A zwłaszcza na tych letnich przeglądach.

– Byłoby dobrze, gdyby postarała się pani sobie przypomnieć. Chodzi o to podwójne morderstwo z poprzedniej nocy.

Chwilę wcześniej, w czasie rozmowy z Loiacono, Scalviati spojrział na repertuar kin w mieście. Większość otworzyła się już po letniej przerwie, ale z niewielką liczbą seansów. Zauważył, że w kinie „Chaplin” trwał przegląd ponownie wyświetlanych filmów, a w ten weekend puszczali *Dziką namiętność*, komedię romantyczną, która odniosła spory sukces, gdy wyświetlano ją poprzedniej jesieni.

Według siostry Monica lubiła filmy romantyczne. Być może to w tym kinie spędziła wieczór, zanim zaszła się z kochankiem na wzgórzach w Pian del Lot. To był pierwszy krok do rekonstrukcji wydarzeń tej nocy, kiedy ją zabito. Może kogoś spotkała. Może właśnie swojego mordercę.

– Potwór? – przerwała kasjerka, rozglądając się wokół z niepokojem. – Sierzancie Loiacono, nie próbuje mnie pan podrywać?

– Z całym szacunkiem, śliczna z pani dziewczyna, ale jestem w szczęśliwym związku małżeńskim – wyjaśnił. – Z dwójką dzieci.

– Dziwnie pan to powiedział.

– Dlaczego, przepraszam?

– No bo można zrozumieć, że jest pan w związku małżeńskim z *dwójką* dzieci.

– Właśnie to powiedziałem.

– No właśnie.

– Czy możemy wrócić do tematu, pani...?

– Valerio.

– Dobrze, pani Valerio. Jeśli pani czytała poranną gazetę, to na pierwszej stronie z pewnością widziała pani twarze ofiar. Naprawdę nie może sobie pani przypomnieć, czy sprzedawała im pani bilety?

– Przykro mi, nie czytam gazet. Ale krótko mówiąc, to jest film dla par i rodziców z dziećmi raczej się na nim nie widuje. Zapamiętałam jedną dziewczynę, bo kiedy wychodziła, miała na ręku dość dużego chłopca. Spał jak aniołek, miał gdzieś hałas, jaki robili wszyscy ludzie naokoło.

– Była blondynką?

– Tak. – Valeria zmarszczyła czoło, jakby grzebała w pamięci, szukając jakiegoś umykającego wspomnienia. – Miała krótką, jasną sukienkę. Chyba białą. Nie, kremową.

## 22

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Scalviati w poniedziałek rano, kiedy tylko usiadł przy biurku w swoim pokoju w prokuraturze, było wyciągnięcie akt dwóch morderstw z zeszłego roku i sprawdzenie ich dat.

Potem wyciągnął z szuflady stary terminarz i sprawdził fazy księżyca.

Zdał sobie sprawę, że oba popełniono przy pełni księżyca.

Takiej samej pełni, jaka oświetlała niebo w nocy między piątkiem a sobotą, kiedy zabito Monicę Ferretti i Paola Ginestrę.

Nie miał do siebie pretensji, że nie zauważył tego wcześniej, na pewno nie leżało w jego zwyczajach zestawianie astronomii z przestępstwami z użyciem przemocy. Ale o ile dwa podwójne morderstwa w tej samej fazie księżyca mogły być przypadkiem, to trzecie pokazywało już pewien schemat.

Musiał być jakiś motyw, rytualny albo osobisty, dla którego morderca zabijał przy pełni. A klucz do rozszyfrowania go leżał być może już w pierwszym ogniwie tego krwawego łańcucha.

Otworzył teczkę dotyczącą zabójstwa Dantego Petrasanty i Lindy Frasso. Szybko przerzucił fotografie z parku Valentino z nocy w piątek 13 lutego 1987. Ciała ofiar podziurawione trzema strzałami z pistoletu: w serce, w prawe płuco, w głowę.

Rany, które stanowiły wierzchołki trójkąta.

Niektórzy twierdzą, że Turyn znajduje się na wierzchołku dwóch magicznych trójkątów: pierwszy, związany z białą magią, łączy go z Lyonem i Pragą. Drugi – trójkąt czarnej magii – z Londynem i San Francisco. Scalviati słyszał o tym w czasach licealnych, ale nigdy nie przywiązywał wagi do tych opowieści, które uważał za historie zmyślane po to, żeby podrywać dziewczyny.

Zatrzymał się na kadrze z medalionem, który został odnaleziony w ściskającej go dłoni chłopaka. Zauważył, że na medalionie wyryte jest jakieś przedstawienie.

Na początku nie było jasne, co to jest. Dało się je zidentyfikować dzięki temu, że Di Cara pasjonował się astronomią.

To było astrolabium, narzędzie do nawigacji morskiej, które pozwalało kalkulować odległości między ziemią a ciałami niebieskimi, na przykład Słońcem.

I Księżycem.

Ale astrolabium miało też znaczenie ezoteryczne.

Obecność tego medalionu na miejscu morderstw Frasso i Petrasanty kazała mu pogrzebać w świątku sekt i kultów pogańskich, które co jakiś czas zyskiwały uwagę prasy, czy to przez jakiś kontrowersyjny rytuał inicjacyjny, czy przez swoje praktyki seksualne.

Przekopując się przez ludowe wierzenia, Scalviati dowiedział się, że plac Statuto był uznawany za czarne serce miasta, do tego stopnia, że niektórzy utożsamiali skrzydlatą postać na szczycie pomnika ofiar z Fréjus z Lucyferem.

Ścisłym wierzchołkiem trójkąta zła miało być astrolabium umieszczone na niewielkim obelisku wznoszącym się na tym samym placu. Nieważne, że tak naprawdę zostało tam umieszczone w wyniku matematycznych wyliczeń południka przechodzącego przez Turyn. Niektórzy szukają mrocznych znaczeń nawet w tym, co powinno być emblematem myśli racjonalnej.

„Trójkąt”, powtórzył w myśli Scalviati.

Jak figura, w którą układały się rany z broni palnej zadane ofiarom.

Może zabójca miał jakieś motywacje ezoteryczne. Był fanatykiem, który używał mistycyzmu w maniackalnej formie, by uzasadnić swoje mordercze fantazje. Czy trzeba więc było założyć, że jest w to zamieszana jakaś sekta?

W czasie zeszłorocznego dochodzenia nie wypłynęły żadne powiązania między ofiarami a światem okultyzmu. Dwóch zabitych chłopaków miało

zainteresowania całkiem typowe dla swoich rówieśników i, według swoich znajomych, żyli w zasadzie całkiem zwyczajnie.

Otworzył teczkę drugiej sprawy, datowanej na 6 września 1987. Jako pierwsi na miejscu zbrodni interweniowali dwaj policjanci z komisariatu w Rivoli, zawiadomieni przez wędkarza z okolicy.

Znaleźli zwłoki dwóch ofiar, Roberta Lescaux i Alice Dallary, w okolicy zagajnika nad brzegiem rzeki Dora Riparia. Oboje byli nadzy, on wewnątrz namiotu, w którym spędzili noc, ona leżąca na trawie, z wnetrznościami wystającymi z brzucha po tym, jak wyjęto jej śledzionę. Cięcie nie było precyzyjne. Sprawca znał podstawy anatomii, ale nie był profesjonalistą.

W ten sam sposób okaleczono Monicę Ferretti.

„Dlaczego śledziona?”, pomyślał prokurator.

Popatrzył w protokoły przesłuchań, w większości ludzi ze środowiska dilerów, w którym obracał się Lescaux. Czy to możliwe, że cała ta praca była bezużyteczna?

Wziął z szafki segregator i włożył do niego dokumentację obu spraw. Na etykietce zapisał: *Krwistoczerwony byk*.

Wydawało mu się odpowiednie nadać operacji schwywania potwora imię legendarnego czerwonego byka, który w czasach założenia miasta uwolnił od smoka dolinę, w której leży Turyn.

Właśnie skończył porządkować biurko, kiedy głos Cecilii, jego sekretarki, zawiadomił go przez interkom, że ma oczekującą rozmowę telefoniczną. Dzwonił inspektor Costanza.

## 23

– Gaetano Ferretti, mąż ofiary, wrócił wczoraj wieczorem z Czechosłowacji – powiedział Costanza.

– Został powiadomiony o tym, co się stało?

– Oczywiście. Był wstrząśnięty, ale nie wydawał się zaskoczony, że żona była w towarzystwie innego mężczyzny. Obawiam się, że wiedział o jej zdradach.

– Rozumiem.

– Zdaję sobie sprawę, że śledztwo przybrało inny kierunek, ale chciałbym sprawdzić, czy Ferretti naprawdę znajdował się za granicą, czy może zainscenizował wyjazd, żeby zapewnić sobie alibi. Jeśli o mnie chodzi, uważam go za mocnego podejrzanego o zabójstwo żony i jej kochanka. Rozmawiałem z ich sąsiadem, małżonkowie mieli często dość głośne kłótnie.

– Skontaktowaliście się z jego pracodawcą?

– Jeszcze dziś się tym zajmę.

– Coś nowego od patrolujących przed domem Bergesia?

– Raczej nie. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie było tam żadnych podejrzanych ruchów. Mogę ich odwołać?

– Proszę bardzo. Priorytetem jest ochrona małego Tito.

– Na tym froncie też wszystko spokojnie. W tej chwili jest nadal u ciotki. Policjanci, którzy pilnują domu, nie raportowali niczego dziwnego w jego okolicach.

– Bardzo dobrze. Jutro rano zaczniemy przesłuchania, więc proszę poinformować pana Ferrettiego i pana Bergesio, że będą wezwani. W tym czasie wysłucham też małego Tito.

– Jeszcze przed południem wyślę ludzi.

– Był pan w stanie dowiedzieć się czegoś o drugiej ofierze, Paolu Ginestrze? Chciałbym porozmawiać z jego rodziną i z kimś z kręgu przyjaciół.

– Byliśmy u niego w domu – odparł Costanza. – Mieszkał sam, w mieszkaniu w dzielnicy Barriera. Jeśli chodzi o najbliższą rodzinę, to oboje rodzice nie żyją, ale jest brat, który mieszka w prowincji Varese. Ginestra był pracownikiem poczty. Pracujemy nad sporządzeniem listy jego współpracowników.

– Jutro chciałbym przesłuchać co najmniej dwoje współpracowników. Może takich, którzy lepiej go znali.

– To nie będzie problem.

– Dobrze. Proszę wracać do pracy.

Kiedy odłożył słuchawkę, zadzwonił do Cecilii i podyktował jej pismo. Poprosił, by wysłała je do konsulatu amerykańskiego w Mediolanie.

Potem powiedział, że wychodzi z urzędu na resztę przedpołudnia. Wziął płaszcz i ruszył do wyjścia.

– Prokuratorze Scaviati, cieszę się, że pana widzę. – Luigi Di Cara podniósł się z miejsca u stóp drewnianej konstrukcji, która schematycznie przedstawiała nadwozie samochodu. W środku był ustawiony stolik ze sklejki z wyrysowaną na powierzchni ludzką sylwetką. Z trzech punktów wychodziły kawałki czerwonego sznurka, które rozgałęziały się promieniście, jakby stanowiły część jakiegoś dziwnego warsztatu tkackiego.

– Proszę mi wybaczyć najście, pomyślałem, że zajdę tu do laboratorium, by poprosić pana o pierwsze wieści o odciskach – powiedział prokurator, ściskając dłoń tamtego. – Z tego co widzę, już zabrał się pan do pracy.

Di Cara dobiegał czterdziestki, miał wcześniej siwiejące włosy, poruszał się z niewymuszoną elegancją. Rysy twarzy miał wyraziste, wzrok świdrujący – wydawało się, że przenika nim rozmówców tak samo jak dowody, które badał.

– Przepraszam za bałagan, kończę rekonstrukcję miejsca odnalezienia Paola Ginestry.

– Rozumiem, że ta sylwetka to ofiara.

– Widzi pan te sznurki? Jeden koniec jest przyczepiony do punktu, w którym kula przebiła ciało, a rozgałęzienia łączą się z miejscami w samochodzie, gdzie odnaleziono krople krwi.

– Fascynujące.

– Czasem patrzenie na wizualną rekonstrukcję może pomóc zrozumieć, co się stało, znacznie lepiej niż raport napisany na maszynie.

– Trochę jakby zatrzymał pan czas w momencie oddania strzałów.

– Mniej więcej. Do rekonstrukcji posłużyłem się zdjęciami zrobionymi przez moich chłopaków i rzutami przestrzennymi. Trochę trzeba było się



napracować, ale jestem dość zadowolony z rezultatu.

– Patrząc na rozmieszczenie odprysków krwi, można by powiedzieć, że strzały padły z dwóch różnych miejsc.

Di Cara zrobił krok w tył, pokazując prokuratorowi, by zrobił to samo.

– Strzał w serce padł z tego miejsca. – Wskazał na okrągłą naklejkę na podłodze, w pewnej odległości od drzwi samochodu. – Dlatego odpryski krwi rozchodzą się skośnie. By wystrzelić kulę, która trafiła ofiarę w czoło, morderca zrobił dwa kroki w przód, strzelał prawie przy skórze.

– To pierwsze, co zauważyłem.

Di Cara doszedł do przedniego końca drewnianego modelu.

– A trajektoria kuli, która przebiła prawe płuco, zaczyna się po drugiej stronie.

– A więc morderca, zanim wycelował, przeszedł na stronę pasażera.

– Dokładnie tak. – Di Cara pokazał prokuratorowi kolejną naklejkę na podłodze. – Strzelał z tego miejsca.

Scalviati zastanawiał się przez chwilę.

– A więc trzeci strzał nie padł w tym czasie, co dwa pierwsze.

– Powiedzmy, że nasz człowiek dał sobie czas. W mojej opinii wystrzelił pierwsze dwie kule, żeby unieruchomić Ginestrę, potem zajął się dziewczyną. Musiała być krótka szamotanina, co widać po rozdeptanym podłożu koło drzwi pasażera. Monica Ferretti próbowała wyrwać się agresorowi, zaczęła uciekać. Morderca biegł za nią przez trawę. Strzelił do niej, kiedy dotarła na skraj zagajnika. Znów, pierwszy strzał trafił w serce, ale tym razem przez plecy, gdzie widać otwór wlotowy kuli.

– Upadła na ziemię...

– Kiedy morderca się zbliżył, oddał jeszcze dwa frontalne strzały – kontynuował Di Cara. – Po czym przeszedł do wycięcia śledziony, potem wrócił na miejsce, gdzie stał samochód, by oddać trzeci strzał do Ginestry, choć ten był już w pewnością martwy. Pytanie brzmi: dlaczego miałby coś takiego robić?

– Przy każdym morderstwie rany tworzyły ten sam schemat – wyjaśnił Scalviati. – Morderca ma jakąś obsesję na punkcie trójkątów.

Di Cara zdjął okulary.

– Mamy do czynienia z osobą wybitnie metodyczną, która nic nie pozostawia przypadkowi. Świadczą o tym brak pozostawionych dowodów oraz fakt, że pozostawione odciski palców należały tylko do ofiar. Jedyne, których nie zidentyfikowano, to przypuszczalnie odciski dziecka. Morderca precyzyjnie oczyścił miejsce zbrodni, jedynymi śladami jego obecności są ofiary.

– A jednak coś mu umknęło.

## 25

– Oczywiście ma pan na myśli łuskę.

– Znalazł pan czas, żeby na nią zerknąć?

– Proszę za mną. – Di Cara podszedł do biurka. Wziął z teczki kilka zdjęć i podał je prokuratorowi. – Proszę spojrzeć na te powiększenia.

Scalviati przyglądał się zdjęciom przez kilka chwil.

– Na dnie łuski jest wybita litera H. Czy to oznakowanie jakiegoś szczególnego naboju?

– Nie do końca. Tak naprawdę to dość powszechny model. Litera H to oznakowanie producenta – firmy Winchester – na wszystkich nabojach kaliber *.22 long rifle*, które produkuje.

– Kaliber *.22* – powtórzył Scalviati. – Ten sam co w podwójnych morderstwach w zeszłym roku.

Di Cara potaknął.

– Również w sprawach Frasso/Petrasanta i Dallara/Lescaux kule wyciągnięte ze zwłok były typu *long rifle*, z miedziowanego ołowiu. Są nazywane *lupaloy* – to bardzo szybkie naboje. Jestem przekonany, że kiedy dostanę do analizy kule użyte w piątek wieczorem, będą takie same.

– Ma pan jakieś hipotezy co do rodzaju broni?

– Trzeba będzie dokładniej przeanalizować łuskę, ale po śladzie zostawionym przez iglicę strzelałbym, że to beretta 70.

– Czyli w tym przypadku też dość powszechna broń.

– Jednak to byłby duży krok naprzód. Zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę sceptycyzm prokuratora Bevilacqua w stosunku do pańskiej hipotezy maniaka.

– *Serial killer*, jakby powiedzieli Amerykanie.

Di Cara spojrział na niego z ciekawością.

– Pan też zainteresował się amerykańskimi metodami, prokuratorze?

– Przedwczoraj w nocy miałem rozmowę z agentem FBI. Niejakim Isaakiem Stonerem.

– Stoner? – Di Cara wyglądał na zaskoczonego. – Nie wiedziałem, że jest we Włoszech.

– Zna go pan?

– Spotkałem go na konferencji w Quantico, w kwietniu. To tam się nauczyłem nowych metod analizy plam z krwi.

– Co to za człowiek, ten Stoner? Myśli pan, że można mu ufać?

– Zna się na rzeczy. Cudowne dziecko, jeśli chodzi o studiowanie umysłów zbrodniarzy. Trochę grzeszy arogancją, ale to może z powodu młodego wieku.

– Więc rozmawiał pan z nim, kiedy był pan w Stanach.

– Oczywiście. Z nim i kilkoma jego kolegami ze studiów behawioralnych.

– Nie chciałbym być niedyskretny, ale czy w rozmowach wspominał pan może o zeszłorocznych morderstwach?

– Tak było – przyznał Di Cara. – Zastanawiałem się, jak by podeszło FBI do sprawy takiej jak tamte, gdzie pojawia się wyjątkowo mało dowodów rzeczowych. Dlaczego pan o to pyta?

– Próbuję zrozumieć, dlaczego Stoner jest w Turynie.

Di Cara zmarszczył czoło.

– Kiedy byłem w Stanach, pytali mnie często, jak to jest żyć we Włoszech, w kontakcie z tyloma cudami dawnej architektury, z taką wielką przeszłością za plecami. Tradycje kulinarne, łagodny klimat... Urodziłem się w małym miasteczku w prowincji Fogii, ale sam pan wie, jak lubię mieszkać w Turynie. Miejsce urodzenia jest przypadkowe, ale żyje się w miejscu, które się wybiera. Przyznaję, że może pozwoliłem sobie na lekką przesadę wobec amerykańskich kolegów, opowiadając o moim podziwieniu dla naszego miasta. Ale nie sądziłem, że jestem tak przekonujący, że któryś z nich postanowi przyjechać tu na wakacje.

– Według niego nie chodzi wcale o turystykę. Ani o spróbowanie śródziemnomorskich specjałów, chociaż wydaje się znawcą naszej kuchni. Wydaje się, że przyjechał współpracować przy śledztwie.

– Powiedział to panu wprost? Nie owijając w bawełnę?

– Tak jak ja to panu mówię.

– Ciekawe. Nie miałem kontaktu ani ze Stonerem, ani z jego kolegami, od kiedy wróciłem do Włoch.

– Dziękuję. To wszystko, co chciałem wiedzieć. Do widzenia, panie doktorze. Proszę się ze mną skontaktować, kiedy tylko skończy pan analizy.

Recepcjonistka z hotelu Principi di Piemonte uśmiechnęła się grzecznie.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati, tak?

– Tak.

– Proszę chwilę poczekać. – Podniosła słuchawkę i wybrała numer na klawiaturze. Po kilku chwilach powiedziała:

– *Good morning, mister Stoner. Deputy attorney Francesco Scalviati would like to speak with you. Can I let him go up there?* – przez chwilę dziewczyna słuchała odpowiedzi z drugiego końca linii. – *Thank you, I'll let him know* – powiedziała wreszcie.

– Wszystko dobrze? – spytał Scalviati.

– Oczywiście. Pan Stoner powiedział, że zaraz wychodzi na obiad i poprosił, czy może pan na niego poczekać na dole.

Scalviati zerknął na zegarek. Nie zdawał sobie sprawy, że minęło już południe.

– Z przyjemnością.

Usiadł na sofie i zaczął przeglądać leżącą na stoliku gazetę. Na pierwszej stronie wyróżniały się dramatyczne zdjęcia z katastrofy lotniczej, która rozegrała się poprzedniego dnia w bazie NATO w Ramstein w Niemczech, w czasie pokazu lotniczego grupy Frecce Tricolori.

W wyniku zderzenia dwa samoloty spadły na płytę. Jeden uderzył w publiczność oglądającą pokaz. Był to najpoważniejszy wypadek w historii pokazów akrobatycznych. Trwało liczenie ofiar, a tragedia kazała zgłaszać wątpliwości co do środków bezpieczeństwa w czasie widowisk lotniczych.

Widząc Stonera wychodzącego z windy, Scalviati podniósł się, by wyjść mu na spotkanie.

Nie mówiąc ani słowa, uścisnęli sobie ręce i pozdrowili się skinięciem głowy. Potem skierowali się razem do wyjścia.

– Zacząłem się bać, że nie chce się pan już ze mną spotkać – powiedział Stoner.

– Musiałem pomyśleć o tym, co mi pan powiedział.

– *Fair enough*. – Gdy znalazł się na chodniku, popatrzył wokół, jakby szukając punktu odniesienia wśród zaparkowanych przy ulicy samochodów i wieżowców w stylu racjonalistycznym, które pięły się na tle krystalicznego nieba. – Jeśli zna pan jakiś dobry lokal w okolicy, możemy zjeść razem obiad.

– Jest taka restauracja kilka minut stąd. Właściciel jest moim starym przyjacielem.

– Czego chceć więcej.

– Proszę, zaprowadzę pana.

Ruszyli wzdłuż via Gobetti, skręcili w via Cavour, a potem w via Roma.

Na placu Comitato di Liberazione Nazionale prokurator zatrzymał się przed majestatyczną statuą o kobiecych kształtach leżącą nad fontanną. Światło słońca sprawiało, że była niemal oślepiająco biała. Popatrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

– *Magnificent* – powiedział Stoner.

Scalviati milczał o kilka chwil za długo.

Potem odwrócił się do rozmówcy i wysilił się na luźny ton.

– Symbolizuje Dorę Riparię, jedną z najważniejszych rzek płynących przez Turyn. A statua brodatego mężczyzny obok symbolizuje Pad.

– To fascynujące, że każde włoskie miasto kryje takie czarujące skarby sztuki. Za każdym rogiem człowiek trafia na coś nowego, niespodziewanego. Może pan się do tego przyzwyczaił, ale dla mnie to wciąż nowe odkrycie.

Prokurator nie odpowiedział. Myślał o czymś zupełnie innym niż artystyczne dziedzictwo miasta. Przez moment wrócił myślą do akt, które czytał rano, do podwójnego morderstwa Dallara/Lescaux. Zwłoki

znaleziono pod Turynem, nad brzegiem Dory Riparii, gdzie tych dwoje nocowało pod namiotem. Morderstwo z piątkowej nocy popełniono niedaleko od brzegu Padu. Dokładnie tak, jak morderstwo Frasso/Petrasanta, dokonane w parku Valentino, który jest obmywany przez wody rzeki.

Wszystkie trzy napaści dokonały się w pobliżu głównych rzek miasta. To nie mógł być przypadek. Było tu jakieś połączenie, jakaś symbolika tych miejsc, które sprawiały, że właśnie one zostały wybrane.

Idąc w stronę piazza San Carlo, Scaviati niemal czuł na plecach wzrok dwóch postaci, jakby były niemymi świadkami sekretu, którego nie mogły wyjawiać.

Jeszcze nie.



Kelner z gospody Rondò podszedł do stolika.

– Mogę przynieść wam kieliszek wina, zanim wybieriecie dania?

– Chętnie – odparł Stoner, odrywając wzrok od menu. – Coś pan poleca?

– Cóż, mamy świetne Grignolino del Monferrato, ale jeśli wolicie białe...

– To będzie idealne, dziękujemy – wtrącił Scalviati. Poczekał aż kelner się oddali, potem zwrócił się do Amerykanina. – Proszę mi opowiedzieć o tych nowych metodach śledztwa, o których wspominał pan w piątek w nocy.

– *Straight to the point, uh?*

– Obawiam się, że moment na wstępne rozpoznanie już minął, agencje Stoner. Prowadzę dochodzenie w sprawie działalności maniaka, który od ponad roku rozlewa niewinną krew w moim mieście, nie zostawiając żadnych śladów, które pozwoliłyby go zidentyfikować.

– Wyjaśnił więc pan moje położenie z prokuratorem okręgowym?

– Powiedzmy, że w chwili obecnej nie mam powodu wątpić w pana dobre intencje.

– Ale jeszcze mi pan nie ufa.

– Ufam doktorowi Di Carze, który wyrażał się o panu z respektem.

– Cieszę się, że to słyszę. Niestety, mogłem z nim spędzić mniej czasu, niżbym chciał, ale wydawał mi się świetnie wykwalifikowany. Ma pewną rzadką w naszym zawodzie cechę: kreatywność.

– Zgadzam się.

Kelner znów pojawił się przy stole i pod uważnym wzrokiem Stonera nalał wina do kieliszków.

– Czy więc mam sądzić, że wystarczyły słowa Di Cary, żeby przekonać pana, by zmienił pan swój stosunek do mnie?

– Cóż, zweryfikowałem pana informacje. Kelnerka z Circolo Canottieri miło pana wspomina. Na razie jednak proszę uznać nasze spotkanie za nieformalną rozmowę. Zadecduję we właściwym momencie, czy i na jakich zasadach zaangażować pana w dochodzenie. – Scalviati czekał na reakcję rozmówcy, ale ten nie pokazał po sobie żadnych emocji, pociągnął tylko z kieliszka łyk wina.

Nie było w tym nic dziwnego, ostatecznie Stoner zademonstrował już wcześniej pewną zdolność do samokontroli, prawdopodobnie zawdzięczał ją przebytemu szkoleniu. Ale jego swoboda była tylko kolejnym potwierdzeniem tego, co podejrzewał prokurator: Stoner coś ukrywał.

– Nie spodziewałem się niczego innego. Na pana miejscu byłbym tak samo podejrzliwy.

Stoner przeniósł spojrzenie na mężczyznę koło pięćdziesiątki, który szybkim krokiem zbliżał się do stolika. Miał przerzedzone włosy i krzaczaste brwi. Ubrany był nie do kompletu – czerwona marynarka i białe spodnie – a jego wąskie wargi rozciągały się w szerokim uśmiechu.

– Francesco! – wykrzyknął mężczyzna, rozkładając ramiona.

Scalviati podniósł się i energicznie uścisnął mu rękę.

– Enzo, kochany! Jak widzisz, dotrzymałem obietnicy i przyszedłem cię odwiedzić. Przykro mi, że nie mogłem wpaść wcześniej, ale obowiązki w pracy, Greta w ciąży – i zawsze był jakiś powód, żeby to przełożyć.

– Cieszę się, że teraz jesteś. W takim razie zapraszam na kolację ciebie i twoją panią, koniecznie chcę jej osobiście pogratulować. Oczywiście będziecie moimi gośćmi.

– Przyjdziemy na pewno. À propos, przedstawiam ci Isaaka Stonera. Kilka dni temu przyleciał z Ameryki.

– Miło pana poznać, panie Stoner. Przyjeżdża pan w interesach czy dla przyjemności?

– Zdecydowanie w interesach. Ale to nie znaczy, że nie podoba mi się *a taste of Italian lifestyle*.

Enzo wybuchnął głośnym śmiechem.

– Rozumiem, co ma pan na myśli. To mam nadzieję, że nie rozczaruję pańskiego podniebienia. – I zwracając się do obydwu, dodał: – Czyli wiecie już, co zamówić?

– *Not really...*

– Dwa razy *agnolotti* – odpowiedział Scalviati.

– Świetny wybór. Macie chęć na przystawkę?

– Tylko butelkę wody mineralnej. Marzę o zrobieniu porządnej degustacji, ale niestety dziś mam mało czasu.

– Rozumiem – powiedział Enzo, poważniejąc. – Czytam gazety. To musi być trudne, te niewybredne ataki jakiejś dziennikarzyny.

– Dziękuję za wsparcie, ale teraz mam dużo poważniejsze zmartwienia niż nastroje prasy.

– Mogę sobie wyobrazić. Cóż, to życzę wam smacznego obiadu. – To mówiąc, oddalił się w stronę kuchni.

Zostali sami, z głośników na sali wybrzmiewały ostatnie takty *E ti vengo a cercare Battiato*; przez chwilę obaj milczeli.

Potem zaczął mówić Stoner.

– Jestem pewien, że wybrał pan to, co najlepsze, ale przyznaję, że chętnie spróbowałbym bawolej mozzarelli.

– Bawolej mozzarelli? – wykrzyknął Scalviati. – Na miłość boską, jesteśmy w Piemoncie!

– Wylewny typ z pańskiego przyjaciela – rzekł Stoner.

Scalviati wzruszył ramionami.

– Jako chłopak ciągle rozrabiał i pakował się w kłopoty, dziewczyny traciły dla niego głowę. Byliśmy sąsiadami, dla mnie był jak starszy brat. Żyliśmy w zgodzie, może dlatego, że nie przejmowałem się jego wyczynami. Potem, kiedy jego rodzice przeprowadzili się do Asti, straciliśmy się z oczu. Dowiedziałem się, że podróżuje po świecie, pracując jako kucharz na statkach wycieczkowych. W zeszłym roku wrócił do Turynu z pomysłem na własną restaurację i cieszę się, że spełnił swoje marzenie.

– A pan jakim był typem jako chłopak?

– Dość nudnym. Kiedy moi rówieśnicy śnili o rewolucji, ja siedziałem nad podręcznikami.

– *Sorry, I don't buy it.* Pod tym dystyngowanym stylem kryje się niespokojny duch. Pana spojrzenie pana zdradza.

– Czy możemy wrócić do tematu rozmowy?

– Ma pan rację. – Stoner odchrząknął. – Niedawno powiedział pan, że na miejscach zbrodni nie ma żadnych wskazówek. Cóż, to nie do końca prawda.

– Nie ma odcisków palców, śladów butów na podłożu, strzępów tkaniny zerwanych z ubrania. Morderca zatroszczył się o to, by zatrzeć wszystkie ślady. Poza kulami wyciągniętymi z ofiar i łuską znaną w piątek nie ma nic, co można poddać ekspertyzie.

– To dlatego, że podchodzi pan do miejsca zbrodni z punktu widzenia fizycznego, dotykającego. Ale w sprawach takich jak ta niezwykle skuteczne jest podejście psychologiczne.

Scalviati zmarszczył brwi.

– Proszę powiedzieć więcej.

– Z pewnością zadawał już sobie pan pytanie w obliczu ohydnej, pozornie pozbawionej motywu zbrodni: jaki człowiek mógł zrobić coś takiego? I właśnie jakieś dziesięć lat temu dwóch moich kolegów ze studiów behawioralnych, John Douglas i Robert Ressler, zadali sobie to samo pytanie. I żeby znaleźć odpowiedź, zaczęli objeżdżać więzienia w Stanach i robić wywiady z odsiadującymi wyrok za seryjne morderstwa.

– Wywiady?

Stoner potwierdził skinieniem.

– Wysłuchiwać ich wersji wydarzeń. Obsesji, impulsów. Pytali ich, jak przygotowywali się do morderstwa i w jaki sposób pozbywali się zwłok. Ale też jakie mieli relacje z rodzicami, słuchali nawet o epizodach z dzieciństwa.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Chodziło o to, żeby dać tym osobnikom jakieś psychologiczne wsparcie? Skoro już zostali skazani, to po co jeszcze zgłębiać, jak popełnili swoje zbrodnie?

– Celem było zrozumienie tego typu przestępców. Złapanie seryjnego mordercy jest skomplikowane, bo trudno przewidzieć jego ruchy. Bo w końcu jak możesz ubiec wariata, jeśli nie wiesz, jak myśli? Mówimy o mordercach kompulsywnych, ale niekoniecznie irracjonalnych. O ludziach, którzy często mają iloraz inteligencji powyżej średniej i są w stanie w najdrobniejszych szczegółach zaplanować swoje ataki.

– I ci więźniowie współpracowali?

– Większość tak. Douglas i Ressler stworzyli standardowy kwestionariusz i zgromadzili w trakcie trwania projektu trzydzieści sześć wywiadów. Z pomocą psychiatry Ann Burgess przeprowadzili psychologiczną interpretację uzyskanych danych. W największym skrócie sklasyfikowano dwie główne kategorie seryjnych morderców: niezorganizowany i zorganizowany. Pierwszy jest impulsywny, może używać narzędzia, które właśnie wpadło mu w ręce. Drugi jest świadomy,

metodyczny. Uważnie planuje swoje zbrodnie i często zna procedury śledcze.

– Nasz z pewnością należy do drugiej kategorii.

– Ta praca to teoretyczny fundament pod VICAP – *Violent Criminal Apprehension Program*. Co by się tłumaczyło...

– Program zrozumienia przestępców przemocowych.

– To jednostka FBI wyspecjalizowana w morderstwach, porwaniach, zaginięciach i napaściach seksualnych, przy których jest podejrzenie o działalność seryjną. Zostałem zrekrutowany do VICAP w 1986 roku, po tym jak przez kilka lat pracowałem jako negocjator przy uwalnianiu zakładników. Teraz moja praca polega zasadniczo na analizie miejsc zbrodni, by stworzyć to, co określa się jako psychologiczny profil behawioralny napastnika.

– Coś w rodzaju rysopisu... mentalnego.

– Można to tak nazwać, chociaż *profiling* nie dotyczy tylko charakteru czy osobowości przestępcy, bierze też pod uwagę pozycję społeczną, pochodzenie geograficzne, przynależność etniczną.

– I to wszystko jest pan w stanie wywnioskować z samej analizy miejsca zbrodni?

– Wiem, że może się to wydawać nieprawdopodobne, ale jest wiele śladów, które zostawia morderca, a które odzwierciedlają jego sposób myślenia. Począwszy na przykład od ułożenia zwłok albo od braku – jak w tym przypadku – materialnych śladów, jak odcisków palców czy butów. Albo od faktu, że zbiera łuski naboju.

– Czy to nie jest wewnętrznie sprzeczne? – zaproponował Scalviati.

– Napastnik zawsze zostawia coś z siebie na miejscu zbrodni – odparł Stoner. – Czasem jest to tylko jego historia, jego fantazje. Brak śladów sam w sobie jest śladem.

– Proszę to wyjaśnić.

– To człowiek cierpiący na coś w rodzaju zaburzenia obsesyjno-kompulsywnego, które każe mu usunąć wszystkie znamiona jego

obecności. Podoba mu się myśl, że jest niewidzialny, że potrafi uderzać i znikać, jak mu się podoba. Prawdopodobnie odczuwa coś w rodzaju wstydu wobec siebie. Z jakiegoś powodu nie lubi patrzeć w lustro, ale lubi kontemplować efekty swoich napaści. Lubuje się w oglądaniu spektaklu śmierci, który potrafi uruchomić. To sprawia, że czuje się potężny. I dlatego pozostawia scenę nietkniętą – nie przemieszcza zwłok, nie zamyka nawet drzwi samochodu, w którym napadł na ofiary. Niektórzy przestępcy lubią *staging* – świadomie zmieniają scenę tylko po to, by zmylić pościg, na przykład pozorują napad. Ale nie on. Tak jakby uważał się za jakąś nadprzyrodzoną siłę, zdolną zadawać straszne ciosy i rozpląwać się wśród nocy.

– Robi wrażenie – skomentował Scaviati. – Ale nie jest dla mnie jasne, jak te dedukcje mogą nas doprowadzić do ujęcia sprawcy zabójstw.

– Profil przestępcy służy ukierunkowaniu śledztwa, zawężeniu kręgu podejrzanych, jak najlepszemu sformułowaniu pytań na przesłuchaniach. Zapewniam pana, że to jest tylko początek. Gdybym miał dostęp do akt tych spraw, byłby pan zaskoczony ilością informacji, które bym stamtąd wyciągnął.

Leda De Almeida zawiesiła ręce nad klawiaturą swojej maszyny do pisania i westchnęła. Hałas dochodzący z pobliskiej budowy rozpraszał ją tak bardzo, że nie była w stanie uporządkować pomysłów na artykuł, nad którym pracowała. Mimo upału musiała zamknąć okno, by stłumić odgłosy z zewnątrz.

Loi poprosił ją o pogłębiony tekst na tysiąc słów, który streści poprzednie sprawy, pokazując analogie z tym, co wydarzyło się w piątek w nocy.

Nie napisała jeszcze ani jednego.

Wpatrywała się przez kilka chwil w białą kartkę wsuniętą pod wałek. Brzeg drżał pod strumieniem powietrza z wentylatora ustawionego na podłodze w rogu gabinetu. Umysł skoncentrował się na szeleście papieru, potem na brzęczeniu śmigieł.

„Nie dam rady”, pomyślała. Miała wrażenie, że powietrze się gotuje. Wytarła kroplę potu, która spływała jej po skroni, i poprawiła kok na karku, zbierając kosmyki, które wysunęły się spod gumki.

Wstała, otworzyła okno; natychmiast ogarnął ją gorący podmuch wilgotnego powietrza i metaliczny stukot narzędzi robotników na budowie. Od razu je zamknęła.

Podeszła do sprzętu stereo i zaczęła grzebać wśród albumów, szukając jakiejś muzyki, która wyrwałaby ją z odrętwienia. Wahając się między *Black Celebration* Depeche Mode a *Heaven Up* Echo & the Bunnymen, w końcu wybrała *New Gold Dream* Simple Minds. Wyjęła płytę z okładki, włożyła do gramofonu stroną A i ustawiła igłę na pierwszym utworze. Potem zdecydowanie obróciła pokrętło, zwiększając głośność.



Kiedy dźwięki *Someone Somewhere (in Summertime)* rozchodziły się w mieszkaniu, Leda poszła do kuchni, odkręciła mokę, do pojemnika wlała wodę, a do filtra wsypała dużo kawy, mocno uklepując ją łyżeczką. Zapaliła ogień i zaczęła cierpliwie czekać. Gdy usłyszała pierwszy bulgot, zdjęła kawiarkę z ognia i wlała jej zawartość do shakera, dodając cukier trzcinowy i kilka kostek lodu. Wstrząsnęła energicznie, wlała kawę do kubka i wróciła do gabinetu.

Popatrzyła na krzesło, nie mogąc się zdecydować, czy na nim usiąść. Pociągnęła łyk kawy, przejrzała pierwsze strony dossier, które dał jej Loi – miała się na nim oprzeć, pisząc artykuł.

Gdy spojrzała na zdjęcie zwłok Alice Dallery, ofiary drugiego morderstwa, ścisnęło jej się serce.

Problemem nie był tylko upał i hałas z budowy. Zanurzenie się w tym temacie budziło nigdy nieukożone wspomnienia z czasu, kiedy była na froncie.

Był czas, kiedy sądziła, że może się przyzwycząić do pociętych trupów, okaleczeń, ran postrzałowych i tej ciągłej gotowości do ucieczki wywoływanej bombardowaniem i pomrukiem obrony przeciwlotniczej, dochodzącym z terenów okupowanych przez siły propalestyńskie. Ale było to tylko złudzenie, kryjące to, co zawsze wiedziała. Że w każdej chwili sama może się znaleźć po niewłaściwej stronie lufy.

I właśnie to stało się tej przeklętej nocy pięć lat temu.

To była środa. Wyjechała z Bejrutu rano, kierując się do południowego Libanu, by kontynuować śledztwo o handlu bronią pochodzącą z Włoch, w który, jak podejrzewano, mogły być zaangażowane służby specjalne.

Razem z Grazianem, operatorem, i Yūsufem, tłumaczem, przekroczyła rzekę Litani, chcąc dotrzeć do obozu uchodźców w okolicy zamku Beaufort, gdzie miał się z nią spotkać jej informator.

Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak przewidywali. Wkrótce po północy ich jeep został zatrzymany przez patrol Hezbollahu jakieś dwadzieścia kilometrów od celu.

By przekonać ich, aby puścili samochód dalej, Yūsuf schylił się, by wyciągnąć ze schowka jedną ze skrzyń z lekami, która miała być zapłatą dla informatora Ledy.

Ale żołnierze byli zbyt zdenerwowani, może bali się, że ukrywają tam broń. Wymierzyli w nich kałasznikowy, każąc im wysiąść z pojazdu.

Yūsuf coś krzyknął, prawdopodobnie próbując apelować do rozsądku dowódcy patrolu.

Widząc wahanie całej trójki, jeden z żołnierzy oddał kilka strzałów w powietrze.

Leda nigdy nie miała się dowiedzieć, czy chcieli ich wziąć na zakładników, czy była to akcja odwetowa za niedawne bombardowania izraelskie, które zebrały setki ofiar wśród bojowników i cywili. Wiedziała tylko, że sytuacja się pogarsza i nie ma już miejsca na dyplomację.

W porywie desperacji Graziano wcisnął gwałtownie pedał gazu, manewrując, by ominąć blokadę.

Granica z Izraelem była wystarczająco blisko, by spróbować zagrać o wszystko.

Zaskoczeni żołnierze wahali się z reakcją chwilę za długo. Dowódca patrolu rzucił się na ziemię, by uniknąć potrącenia.

Kiedy jeep jechał z pełną prędkością gruntową drogą, a odgłos strzałów coraz bardziej się oddalał, Leda pomyślała, że im się udało.

Ale nie miała już nigdy zapomnieć rozbrzmiewającego w powietrzu świstu rakiety wystrzelonej przez bazookę. Jeszcze teraz, gdy myślała o tym intensywnie, mogła niemal usłyszeć, jak gwizdże.

Wypiła ostatni łyk kawy, włożyła botki i wybiegła z mieszkania.

– Niech mi pan przypomni nazwę tych pierożków – poprosił Stoner, kiedy wyszli z restauracji.

– *Agnolotti*.

– Zanim wrócę do Stanów, muszę poprosić o przepis.

– Wydaje się pan zafascynowany naszymi specjałami.

– Złapał mnie pan na gorącym uczynku. Tak się mówi, prawda?

– No, gdyby miłość do dobrej kuchni była przestępstwem, to nie byłoby dość miejsc w więzieniach.

Stoner odchrząknął.

– Skoro już przełamaliśmy lody, może kontynuujemy naszą rozmowę w pańskim biurze?

– Z pewnością pobudził pan moją ciekawość – przyznał Scalviati. – Ale nie mogę zapomnieć, że moją rolą jest koordynowanie dochodzenia w bardziej... tradycyjnym stylu.

– Rozumiem. Przesłuchania świadków, analiza śladów i sterta *paperwork*.

– Doskonale pan rozumie moją sytuację.

– Jestem do pana dyspozycji. Proszę mi powiedzieć, kiedy możemy się spotkać.

– Wrócimy do tej rozmowy w środę. Może być?

– *Fair enough*. – To mówiąc, Stoner skierował się w stronę hotelu.

Scalviati patrzył, jak tamten się oddala, aż zniknął za rogiem. Potem sam ruszył do prokuratury.

Wątpliwości co do faktycznych kompetencji agenta specjalnego zniknęły, zaczynał myśleć, że obecność Stonera jest błogosławieństwem. Z braku innych wskazówek trzeba było skonstruować mentalny obraz

człowieka, którego ścigał. Obraz, który na razie był rozmazany, ale rysowały się już pierwsze szczegóły.

Kiedy wchodził do biura, dobiegł go głos sekretarki.

– Przyszły wyniki autopsji. Położyłam je na biurku.

– Wielkie dzięki, Cecilio.

Scalviati usiadł i zaczął czytać. Za przyczynę śmierci Paola Ginestry uznano ranę postrzałową w serce, która spowodowała szybkie wykrwawienie i ustanie czynności mózgu w ciągu kilku sekund.

Również u Moniki Ferretti ta rana była śmiertelna. Z analizy wynikało, że dziewczyna miała tego wieczoru stosunek seksualny, ale nie było śladów wywierania przymusu. Ta okoliczność pojawiała się również w poprzednich sprawach, co kazało prokuratorowi pomyśleć, że w czasie, kiedy ofiary się kochały, morderca już się czaił.

Obserwował je, może nawet z bliska, czekając z rozpętaniami swojej morderczej furii.

„Jaki człowiek mógł zrobić coś takiego?”

Choć wciąż nie ufał Stonerowi, prokurator pomyślał, że tamten w jednym miał rację – by złapać przestępcę tego rodzaju, nie wystarczały tradycyjne metody.

Trzeba było myśleć poza powszechnymi schematami, szukać nowego podejścia. Pojąć motywy, którymi się kierował, nawet jeśli były wynaturzone.

Ponieważ zachowanie mordercy było wewnętrznie sprzeczne i umykało zwykłej logice kryminalisty.

Skoro porzucił pomysł, że morderstwa były wynikiem przypadkowych wybuchów przemocy, mógłby założyć, że motyw był natury seksualnej. Ale brak gwałtu pokazywał pewien brak zainteresowania tą sferą.

A więc jakiego człowieka ścigał? Kogoś z dewiacją seksualną, to pewne, kogo może podniecała myśl o zabijaniu. Ta dewiacja łączyła się jakoś z jego zainteresowaniem ezoteryką.

Otworzył terminarz i zaczął robić notatki, próbując uporządkować myśli.

Wreszcie głos sekretarki dobiegający z interkomu oderwał go od rozmyślań: – Czeka aspirant Loiacono.

– Proszę go wpuścić.

Kilka chwil później Loiacono pojawił się na progu.

– Dzień dobry, prokuratorze – powiedział z szacunkiem. Potem, trochę skrępowany, podszedł do biurka i położył na nim karteczkę.

Scalviati przez kilka chwil oglądał rachunek z Circolo Canottieri. Nie mówiąc ani słowa, wyciągnął bloczek czeków, wypisał jeden i podał go młodemu aspirantowi.

– Rachunek proszę dać Cecilii.

– Oczywiście.

– Czy zrobił pan to, o co pana prosiłem?

Loiacono potaknął.

– Wczoraj wieczorem w czasie służby zaszedłem do kina „Chaplin” i rozmawiałem z kasjerką. Była bardzo uprzejma, chociaż boję się, że trochę wyszedłem na głupka. Przy wejściu był taki plakat i...

– Proszę tylko powiedzieć, czy potwierdziła naszą hipotezę – przerwał Scalviati.

– I owszem. Powiedziała, że pamięta, jak sprzedała bilety parze z dzieckiem w piątek wieczorem. Nie zwróciła uwagi na mężczyznę, ale ona była blondynką i miała na sobie kremową sukienkę. Według niej przy wyjściu z sali trzymała chłopca na rękach.

Opis pasował, sądząc po kolorze sukienki. Czy więc Monica Ferretti i Paolo Ginestra spędzili wieczór w kinie, zanim zaszyli się na wzgórzach w Pian del Lot?

– Powiedział pan: „na rękach”?

– Głęboko spał. Może ten film nie był wcale taki ciekawy... Mój szwagier też na nim był i zasnął w połowie projekcji.

– Nie sędzę, żeby to był jedyny powód.

Im więcej szczegółów się pojawiało, tym bardziej był pewny, że z małym Tito było coś nie tak. Nic w jego zachowaniu w piątkową noc nie było normalne. Jeśli był tak zaspany, że nie zbudził się nawet w strasznych chwilach morderstwa, przy strzałach i krzykach matki, jak mógł uciec przed mordercą, a potem iść przez las nie gubiąc się?

Czy to możliwe, że ktoś *zaniósł* go do domu Bergesia? Obecność innych świadków była wykluczona – miałby to być ten sam człowiek, który przed chwilą zabił matkę?

Taka hipoteza była niemal *nie do pomyślenia*.

– Dobra robota, Loiacono.

– Bardzo dziękuję, prokuratorze. Jeśli jest coś jeszcze...

– Tak, coś by było. Chciałbym, żeby nawiązał pan kontakt z personelem hotelu Principi di Piemonte, gdzie mieszka nasz wspólny znajomy z Ameryki.

– Nawiązać kontakt... w jakim sensie?

– Proszę porozmawiać z recepcjonistami i personelem sprzątającym. Chcę wiedzieć, czy Stoner przyjmuje gości, znać godziny, w jakich wychodzi z pokoju, czy są mu przekazywane telefony i od kogo. I w razie czego, niech go ktoś pilnuje i sprawdza, gdzie chodzi.

– Czyli mamy go uważać za faktycznego podejrzanego?

– Oczywiście, że nie. Chodzi tylko o to, żeby to trochę wyjaśnić. Ale bardzo proszę: dyskrecja przede wszystkim.

– Dobrze. Może pan na mnie liczyć.

Leda pozdrowiła skinieniem chłopaka za ladą Mole Records i zaczęła krążyć między stojakami obladowanymi winylowymi płytami, dokładnie podzielonymi według gatunków, włożonymi w przezroczyste koperty opatrzone ceną i datą produkcji. Nowości na płytach kompaktowych mieściły się w zaledwie dwóch witrynkach z o wiele słabszym asortymentem.

Choć zajmował lokal o powierzchni kilku metrów kwadratowych, był to jeden z najlepiej zaopatrzonych sklepów muzycznych w mieście i jeden z nielicznych, gdzie można było kupić edycje limitowane i albumy z importu, nie do dostania w tradycyjnym obiegu.

Ściany pokrywały plakaty koncertowe mniej lub bardziej znanych zespołów, reprodukcje najsłynniejszych okładek w historii rocka i zdjęcia z koncertów, a nad wszystkim górowało logo sklepu: rysunkowy kret wczepiony w iglicę Mole Antonelliana. Był to parodia słynnego kadru z *King Konga*, bazująca na tłumaczeniu angielskiego *mole* (kret) i na fakcie, że sklep znajdował się w pobliżu słynnej budowli.

Leda szła tam za każdym razem, gdy szukała czegoś nowego do swojej kolekcji – nie musiała tam obijać się o sztapowe komercyjne hity nadawane przez radio. Kiedy przeglądała płyty z działu new wave, poczuła dotknięcie na ramieniu i podskoczyła.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć! – powiedział chłopak stojący obok niej. Odblaskowo niebieski irokez sprawiał, że zdawał się mieć jeszcze więcej niż swoje metr osiemdziesiąt. Ubrany był cały na czarno, a na kurtce miał przypiętą nieskończoną liczbę znaczków najróżniejszych zespołów.

– Ludwig! – wykrzyknęła, uśmiechając się szeroko. – Myślałam, że jesteś jeszcze w trasie z zespołem!

Ludovico Vignali był dla wszystkich Ludwigiem, może z powodu podobieństwa z księciem, który wybudował najbardziej niezwykle bawarskie pałace, a także łączącej ich ekscentryczności.

Był wielką postacią na turyńskiej scenie muzyki niezależnej; jeśli ktoś chodził do lokali z muzyką na żywo, musiał go znać. Gitarzysta i wokalista Sturm und Glory, wyposażył suterенę w swoim domu we wszelkiego rodzaju sprzęt analogowy i cyfrowy, urządzając tam domowe studio nagrań.

– Rozwiązaliśmy się na początku lipca. Teraz przygotowuję kilka kawałków do mojego solowego projektu. Może któregoś dnia się spotkamy i dam ci do posłuchania, a ty powiesz mi, co o tym sądzisz?

– Mam teraz sporo roboty.

– W razie czego masz mój numer, nie?

Leda niepewnie przygryzła wargę.

– Myślę, że... nie.

Ludwig pogrzebał w torbie, podzwaniając swoimi srebrnymi bransoletkami, i wyciągnął ulotkę klubu nocnego. Pożyczył długopis od kasjerek, zapisał na odwrocie numer i dał kartkę Ledzie.

– Proszę bardzo.

Obróciła ulotkę w rękach – była odbita na powielaczu, w ramie z pajęczyn figurowała sylwetka gitarzysty z krukiem na ramieniu. – Spider Dark Night?

– W najbliższy czwartek wieczorem w Tuxedo. Roznoszę ulotki w różnych miejscach. To będzie pierwszy września, świętujemy otwarcie sezonu pająków.

– Chodzi o pająki z mostu Wiktora?

– Niezłe, co? Są już autokary, które zwożą ludzi z całego regionu, żeby to oglądać.

– Mówisz, jakby to było jakieś zjawisko paranormalne.

Ludwig wzruszył ramionami.



– A jak to wyjaśnisz? Przychodzi mi do głowy David Bowie i *Spiders from Mars*.

– Z Marsa? Poproszę o informacje kolegę z pracy, który się tym zajmuje. Chociaż tak między nami, to wątpię, żeby te pająki przybyły tu do miasta z aż tak daleka.

– W każdym razie w czwartek koło północy robię DJ set. Jeśli nie masz innych planów, możesz wpaść.

– W czwartek mam kolację, której chętnie bym uniknęła. Nie obraż się, ale prawdopodobnie będę w łóżku, zanim staniesz za konsolą.

– Jak chcesz. Ale z tego, co wiem o twoich gustach muzycznych, to moja selekcja powinna ci się spodobać.

– Nie wątpię. Właśnie szukałam nowych inspiracji. Muszę napisać artykuł na tysiąc słów, ale mam jakiś lęk przed białą kartką.

– Kiedy nie mam żadnego pomysłu na kawałek, zaczynam grać na gitarze moje ulubione piosenki, czasem z akompaniamentem kilku przyjaciół i chłodnego piwka.

– Niestety, mnie to nie pomoże. Zawsze chciałam nauczyć się grać na gitarze, ale w końcu wybrałam pióro.

– Mogę ci dać parę lekcji.

– Czy ty mnie przypadkiem nie podrywasz? Wiesz, że mam z dziesięć lat więcej niż ty?

– Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak wyglądało – odparł Ludwig, czerwieniąc się na bladej twarzy. – Tylko że nie widzieliśmy się od tak dawna, a ja kocham mieć przy sobie ludzi, których lubię.

– I ja należę do tej kategorii?

– Dziewczyno, jesteś  *fucking rockstar* dziennikarstwa!

Leda wybuchła śmiechem.

– Czegoś takiego nikt mi nigdy nie powiedział.

– W każdym razie, jeśli szukasz czegoś nowego do słuchania, żeby oczyścić głowę z dźwięków tła tego szalonego społeczeństwa, mogę

doradzić ci to. – Wziął album ze stojaka. – Nowa płyta Litfiby. Nie jest taka awangardowa jak *Desaparecido* ani taka intymna jak *17 Re*, ale jest taka... idealistyczna. I kilka kawałków jest naprawdę wielkich. Widziałem ich na żywo w Tenax i zapewniam cię, że we Włoszech są bezkonkurencyjni.

– Znam ich, ale nie wiedziałam, że wydali nowy album. Ten na okładce to nie Jasper Darden?

– To on. Piętnaście lat w celi śmierci, siedem razy na egzekucji, której nie wykonywano. Posadzili go na krześle w marcu, mimo że wciąż były wątpliwości co do jego winy.

– Tak. Smutna historia.

– Powinnaś napisać o tym artykuł.

– Niestety, nie jestem już korespondentką zagraniczną.

– Teraz ścigasz potwory, tak?

– Skoro już tak chcesz to ująć... – Leda wzięła album w jaskrawoczerwonej okładce. – Nie mam tego The Cure. Dobrze?

Ludwig wzruszył ramionami. – *Kiss me, kiss me, kiss me...* Eklektyczne, trochę chaotyczne, jednym słowem: doskonałe.

– Więc już mi to nie umknie – odparła. – OK, teraz muszę już naprawdę wracać do pracy. Powodzenia w twoich projektach.

Szykując się do płacenia za nowe zakupy, odwróciła się w stronę chłopaka po raz ostatni.

Ludwig patrzył na nią z drugiego końca sklepu, w jednej ręce wymachując siedmiocalową *Call Me* Blondie, a drugą przykładając do ucha w geście słuchawki.

Zachód słońca zabarwiał jaskrawymi kolorami niebo nad wzgórzami Pian del Lot, kiedy Francesco Scalviati prowadził fiata cromę po gruntowej drodze, przejeżdżając tę samą trasę co w piątkową noc. Kiedy dojechał w pobliże miejsca zbrodni, zaparkował i dalej szedł pieszo.

Wietrzyk poruszał taśmą ostrzegawczą rozciągniętą wokół terenu, pośrodku którego widniał samochód ofiar. Zabarwiony światłem zachodu, wyglądał jeszcze bardziej widmowo, z drzwiami otwartymi jakby w oczekiwaniu na pasażera, który nigdy się nie pojawi.

Prokurator pozdrowił dwóch policjantów, którzy z radiowozu obserwowali okolicę.

Kierowca wychylił się przez okno.

– Dobry wieczór, prokuratorze.

– Dobry wieczór. Jakies nowości?

– Nic specjalnego. Jak zwykle trochę ciekawskich i dziennikarzy.

– Zrobię oględziny, wrócę najdalej za pół godzinki.

– Bardzo proszę. Będziemy tutaj aż do końca zmiany, do północy.

Scalviati ruszył ścieżką. Dochodząc w pobliże samochodu, zatrzymał się, by obejrzeć otoczenie.

Krzaki i zarośla wokół tworzyły gęstwiny, zza której morderca mógłby śledzić swoje ofiary zajęte uściskami i zupełnie nieświadome wiszącego nad nimi niebezpieczeństwa.

Zaczął przeszukiwać każde zagłębienie terenu w nadziei znalezienia czegoś, co nie zostało zauważone w czasie pierwszej wizji lokalnej. Wszedł między krzaki, ostrożnie stawiając kroki, badając podłoże, przesuwał gałązki. Wreszcie jego uwagę przykuło coś nietypowego na korze jednego z drzew.

Nieuważne oko uznałoby to po prostu za nieregularność powierzchni. Ale miało zbyt charakterystyczny, geometryczny kształt, by mogło mieć naturalne pochodzenie.

Nie. Ktoś ostrym narzędziem narysował okrągły kształt składający się z koncentrycznych okręgów i przerywanych linii, pośrodku zaś wybijały się dwie głębiej zarysowane średnice. To nie mógł być miłosny znak pozostawiony przez parę, która przypadkiem się tu znalazła. Ponieważ było to przedstawienie astrolabium, proste, ale całkiem podobne do wzoru na medalionie odnalezionym na miejscu zabójstwa Frasso/Petrasanta.

Morderca zostawił więc specjalnie dowód swojej obecności, dobrze skryty wśród krzewów, jednak widoczny dla każdego, kto byłby dość zdeterminowany, żeby go znaleźć. Niczym wyzwanie.

Scalviati przeniósł wzrok na polanę. To w tym miejscu czaił się morderca. Poczul dreszcz. Był wystarczająco blisko, by widzieć, co dzieje się wewnątrz samochodu, ale nie aż tak, by ryzykować, że go zauważą.

Jak długo obserwował dwoje kochanków? Jechał za nimi aż do tego miejsca, czy czekał tutaj, aż jakaś para pojawi się w miejscu, które wybrał, by uderzyć?

Obie hipotezy były możliwe. Druga bardziej, ze względu na bliskość Padu.

Morderca miał szczególne upodobanie do ustronnych miejsc blisko brzegu rzeki. Czy to możliwe, że przy każdej pełni czekał na tych wzgórzach, czekając na przybycie potencjalnych ofiar? A może objeżdżał całą serię możliwych miejsc, którym przypisywał jakieś ezoteryczne znaczenie?

Przeszedł aż do miejsca odnalezienia zwłok Moniki Ferretti.

Rzucił okiem na sylwetkę zarysowaną białym lakierem na trawie wciąż zabrudzonej krwią, potem skręcił w schodzący ku miastu las, aby skierować się w stronę domu Bergesia, próbując sobie wyobrazić trasę ucieczki małego Tito i szukając jakichkolwiek śladów jego przejścia, na przykład złamanych gałęzi albo fragmentów tkaniny rozerwanej w biegu.

Nie spodziewał się znaleźć odcisków stóp, zresztą podłozę było wyschnięte od suszy panującej w ostatnich tygodniach. Ale im dalej szedł, tym bardziej potwierdzało się, że hipoteza zwyczajnie uciekającego dziecka była nieprawdopodobna.

Przejsie przez las nie było łatwe, wszędzie pełno było suchych gałązek, sosnowych igieł i przedwcześnie pożółkłych liści.

A jednak skarpetki chłopca były czyste.

Jakby zmaterializował się przed domem Bergesia, nie zrobiwszy ani kroku.

Jeśli był inny świadek morderstw, który ogarnięty litością zaniósł go aż tam, to dlaczego sam nie złożył doniesienia? Grożono mu i bał się o własne bezpieczeństwo? A może był to jakiś podglądacz, który nie chciał zostać spisany?

A jeśli to morderca przeniósł dziecko, to czy nie bał się, że zostanie zobaczony? I dlaczego wybrał właśnie ten dom?

Scalviati miał nadzieję, że przesłuchania rzucą jakieś światło na te niewiadome. Ale nie był w stanie zdobyć się na optymizm.

Miał wrażenie, że ściga ducha. Właśnie tak, jak sugerował Stoner.

Niewidzialnego mordercę, który potrafił rozsnuć za sobą gęstą mgłę tajemnic.

Wróciwszy do domu, Scalviati zastał nakryty stół w salonie. W brytfannie były wystygłe już kotlety po aostańsku i gotowane ziemniaki.

Greta siedziała na sofie, patrząc w telewizor z wyłączonym dźwiękiem, na którym zmieniały się obrazy jakiegoś starego filmu.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

Ona tylko lekko pokręciła głową, nie odwracając się.

Scalviati podszedł do niej i usiadł obok.

– Przepraszam, że wracam tak późno. Prosiłem Cecilie, by dała ci znać, dzwoniła?

– Tak. Tylko że... miałam nadzieję, że wrócisz trochę wcześniej.

– Masz całkowitą rację. Problem polega na tym, że to, co zdarzyło się w poprzedni weekend, jest bardzo poważne i wywróciło mi całkiem plan i godziny pracy. Wiem, że muszę coś z tym zrobić.

– Wiem, ciągle to powtarzasz. Ale ja jestem cały dzień sama w domu i czasami czuję się taka... bezużyteczna.

– Jak możesz tak myśleć? – Scalviati popatrzył jej prosto w oczy. – Pomyśl o nowym życiu, które w sobie nosisz. O życiu naszej córki.

– Więc jestem tylko tym? Naczyniem z nowym życiem? Matką i tyle? Ja też mam swoje potrzeby i pragnienia. Mam wrażenie, że zrezygnowałam ze wszystkiego, co pozwalało mi poczuć się osobą. I już siebie nie rozpoznaję, ani w umyśle, ani tym bardziej w ciele.

– Proszę cię, nie mów tak. Trudno pogodzić się ze zmianami, a ty masz przed sobą wyzwanie wspaniałe, ale i przerażające. Ale nie jesteś sama. Możesz mi zaufać. Zawsze. Tak długo pragnęliśmy naszej córeczki. Razem się wpakowaliśmy w tę przygodę i nie zamierzam teraz się wycofywać. Wiedz, że jestem zawsze przy tobie.

– W domu nie ma cię nigdy, Francesco! Kiedy jesteś, to tak jakby cię nie było. Zamykasz się w gabinecie i kartkujesz akta i papiery. I to nie tylko w tym ostatnim czasie, to tak wygląda od miesięcy.

Scalviati przez chwilę wahał się, zanim odpowiedział. Kiedy zaczął, silił się na ugodowy ton.

– Wiem, że to dla ciebie trudne. Ale nie ma powodu, dla którego miałabyś siedzieć sama w domu. Przecież mówiłaś, że zaprzyjaźniłaś się z tą panią, która mieszka obok.

– Tą, która robi spacerów o drugiej w nocy po tym, jak wlewa w siebie butelkę brachetto?

– Moglibyśmy zaprosić twoją siostrę, żeby do nas przyjechała, przynajmniej dopóki sytuacja się nie ustabilizuje.

– Moją siostrę? Przez całe życie nie robiła nic innego, tylko krytykowała moje wybory. Marzy o tym, żeby zobaczyć moją porażkę tylko po to, żeby udowodnić, że jest lepsza ode mnie. Prosić ją o pomoc to jak przyznać, że przegrałam.

– Posłuchaj – wyszeptał Scalviati. – Jestem tutaj teraz. Jeśli coś cię martwi, możesz ze mną o tym porozmawiać.

Greta wyprostowała plecy, siadając naprzeciwko męża.

– Chcesz znać prawdę? Boję się, że nie będę już nigdy taka jak kiedyś. Że to nie są warunki przejściowe, ale moja nowa normalność. Że będę musiała się przyzwyczaić do tego, że mieszkam w ciele, którego nie uważam za swoje. I że będę straszną matką, ponieważ nie mogę się pogodzić z osobą, którą się stałam.

– To głupstwa! Będziesz wspaniałą matką. Pamiętasz, jak po raz pierwszy poczułaś, że się rusza? To była sobota rano, w sklepie odzieżowym.

– Jak mogłabym to zapomnieć? – odpowiedziała, lekko się uśmiechając. – Śmiertelnie się przeraziłam. Chyba zrobiłam jakąś absurdalną minę, bo chłopak z obsługi podbiegł do mnie, pytając, czy dobrze się czuję. Pewnie myślał, że zaraz zemdleję.

– Tamtego dnia miałaś ochotę na truskawki, więc zatrzymaliśmy się przy straganie pod portykiem na piazza Castello...

– Były najlepsze, jakie kiedykolwiek jadłam.

– Nie bój się tego, co czujesz. Odrobina niepewności przed tak wielkim krokiem jest normalna. – Scalviati ujął jej dłoń w swoją.

Greta ścisnęła ją swoimi smukłymi palcami o paznokciach polakierowanych na czerwono. Lekko pokręciła głową.

– Mam tyle wątpliwości. Jak będę mogła przekazać jej pewność siebie? Jak będę mogła dać jej siłę, by wierzyła w swoje marzenia, jeśli już nie wiem, czy mam siłę wierzyć we własne?

– Wiem, że będziemy ją kochać tak, jak nigdy nie kochaliśmy samych siebie. Nasza córka będzie najbardziej kochaną istotą na powierzchni ziemi.

Westchnienie.

– Czasem czuję, że duszę się w tych czterech ścianach. Są dni, kiedy wydaje mi się, że nie mam już kontroli nad własnymi myślami. Tak, jakby był we mnie jakiś głos, który podszeptuje najgorsze rzeczy. Zawsze się boję, że stanie ci się coś złego albo że coś pójdzie nie tak w trakcie porodu.

– Nic mi się nie stanie. A tobie idzie świetnie, lekarka też tak powiedziała. Maleńka jest zupełnie zdrowa, nie masz powodów do zmartwienia.

– Ten potwór, którego ścigasz... Mam wrażenie, że czuję jego obecność unoszącą się gdzieś niedaleko. – Ukryła twarz w dłoniach. – Mój Boże, jakie to straszne, co on zrobił tym dzieciakom!

– Nie sugeruj się za bardzo tym, co czytasz w gazetach. Złapiemy go wcześniej, niż myślisz.

– Zazwyczaj umiem udawać, że nic się nie dzieje, ale dzisiaj naprawdę nie mogłam uciszyć tego głosu! Zaczęłam gotować, żeby się czymś zająć. Myślałam, że tak mi szybciej minie czekanie na twój powrót, ale nie wracałeś i nie wracałeś. Chciałam ci zrobić niespodziankę, że przychodzisz, a kolacja czeka. Teraz trzeba to wszystko wyrzucić.



– Podgrzejemy to w mikrofalówce. Te kotlety na stole wyglądają przepysznie.

Greta wybuchła perlistym śmiechem.

– W mikrofalówce? Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie.

Leda spojrzała na biurko i westchnęła. Był tam taki bałagan, że bała się, iż biorąc to, czego szukała, wywoła katastrofalny efekt domino.

Goniło ją jakieś niewyraźne przeczucie. Jakby umysł uchwycił jakiś szczegół, ale go do końca nie wyświetlił. Czytając dossier, które dał jej redaktor prowadzący, zdała sobie sprawę, że twarz Moniki Ferretti miała w sobie coś znajomego.

Była pewna, że już ją gdzieś widziała. Ale potrzebowała potwierdzenia.

Chwyciła stos słowników, których używała w czasie pisania, i położyła je na podłodze. Włożyła do szuflady plik kserokopii, oczyściła blat ze sterty gazet, która rosła dzień po dniu; większości z nich nie miała nawet czasu przeczytać. Przełożyła na bok maszynę do pisania i wyciągnęła spod góry magazynów pudełko z materiałami zebranymi w czasie śledztwa o zorganizowanej prostytucji, które musiała zawiesić.

Nigdy ich nie wyrzuciła, jakby jakaś jej część zawsze wiedziała, że jeszcze się przydadzą.

Otworzyła pudło; kiedy wertowała notatki i zdjęcia z polaroida, jej umysł zagłębił się ze wspomnienia z tamtego trudnego okresu. To były kadry z życia, które tak naprawdę nie należało do niej, fragmenty symulacji, która pozwoliła jej nawiązać kontakt z innymi życiami, pojawić się w nich i zniknąć jak meteor.

Na przykład w życiu Giulii. Dziewczyny, która podnajęła jej pokój, który miał służyć jako mieszkanie-przykrywka.

Uśmiechnęła się przez moment na widok zdjęcia, na którym ta stała w maleńkiej kuchni swojego mieszkania z otwieraczem do butelek, który trzymała jak mikrofon i śpiewała piosenkę Baglioniego, wymyślając na bieżąco sporą część tekstu.

Świetnie pamiętała moment, kiedy Giulia zwierzyła jej się, że jest w tej branży i że jeśli Leda chce, może jej pomóc się w to wkręcić. Tak jak pamiętała wyraz jej twarzy, kiedy pewnej nocy wróciła pobita. Leda zapytała, kto to zrobił. Giulia nie chciała odpowiedzieć. To nic takiego, powiedziała. Bo tacy klienci też mogą się zdarzyć, ale nie trzeba się tym tak przejmować, bo już się tym zajmie kto trzeba.

Nic nie pomogło. Nic nie pomogło przekonywanie, by zadzwoniła na policję. Giulia była niewzruszona. Przerazała ją myśl, że pomoc społeczna może zabrać jej córeczkę.

Potem słyszała, jak Giulia płacze, choć starała się zagłuszyć szloch wodą z prysznicą.

Urodziła Carlottę sześć miesięcy po tym, jak wyjechała z Monreale do Turynu. Miała nadzieję, że przekona do ślubu swojego chłopaka, który wyjechał na północ za pracą. Wyjechała pełna nadziei, biorąc do walizki listy, w których wyznawał jej miłość na wieki, i ubranka dla małej, które dostała od mamy. Ale rzeczy nie potoczyły się tak, jak tego chciała.

Kiedy byli od siebie daleko, on znalazł już inną dziewczynę i wcale nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności.

„Nie czuję się gotowy zostać ojcem”, powiedział jej. Dla Giulii to był bardzo ciężki cios, ale za bardzo się wstydziła, żeby wrócić do swojego miasteczka. Prawdopodobnie miała jeszcze nadzieję, że chłopak zmieni zdanie i zgodzi się z nią ożenić. I tak postanowiła zostać w wielkim mieście, gdzie wiązała koniec z końcem dzięki dorywczym pracom, z pomocą czeków, które od czasu do czasu przysyłała jej siostra w tajemnicy przed resztą rodziny.

Dopóki nie nawiązała kontaktu z kimś, kto wciągnął ją w prostytucję.

Leda była przekonana, że to ktoś umocowany w samorządzie. Od samego początku śledztwa było jasne, że poza ludźmi z organizacji przestępczych siedział w tym ktoś z lokalnych władz.

Była zdeterminowana bardziej niż kiedykolwiek, żeby odkryć, o kogo chodzi, ale przewyciężenie nieufności siedzących w tym dziewczyn i przekonanie ich, żeby wymieniły jakieś nazwiska, okazało się niemożliwe.

Nigdy nie zaufałyby komuś spoza ich grupy. Zwłaszcza dlatego, że tak jak Giulia, z pewnością również pozostałe żyły pod ciągłą groźbą jakiegoś szantażu. Wejście w ten proceder wydawało jej się więc jedynym sposobem na odkrycie prawdy.

I tak Leda zbudowała sobie fikcyjną tożsamość, zdobywając nawet fałszywe dokumenty dzięki kontaktom w świecie drobnych przestępców, które zyskała, kiedy była uzależniona od środków przeciwbólowych.

Przedstawiała się jako Anna i udawała, że jest uchodźczynią z Chile, uciekającą przed represjami reżimu Pinocheta z nadzieją na nowe życie we Włoszech. Mówiła na prawo i lewo, że potrzebuje mieszkania. Ta prośba dotarła do Giulii, którą Leda miała już na oku od jakiegoś czasu i wiedziała, że szuka współlokatorki.

W czasie tych tygodni wspólnego mieszkania nawiązała się między nimi niespodziewana nić przyjaźni. Giulia była ekstrawertyczna, promienna, a trudy życia nie zdołały zniweczyć jej beztroskiego charakteru.

Leda zaproponowała, że zaopiekuje się małą Carlottą, kiedy mama będzie poza domem. Nie było łatwo zachować dystansu za każdym razem, kiedy Giulia mówiła, że wychodzi na to, co nazywała „gorącą randką”. Były to aranżowane spotkania, o których dowiadywała się na kilka godzin wcześniej z wiadomości przekazanych szyfrem przez telefon.

Dla Ledy było dużym przedsięwzięciem pogodzić życie pod przykrywką z życiem prywatnym. Na szczęście na wakacje letnie Carlo przeprowadził się do ojca, żeby popracować trochę w winnicy. Leda dzwoniła do niego, kiedy tylko mogła, a często musiała wymyślać usprawiedliwienia, bo nie była w domu, kiedy on do niej dzwonił. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała powiedzieć mu prawdę, ale ciągle to odkładała, bo nie chciała, by się przejmował, albo – gorzej – by porozmawiał o tym z ojcem. Nie miała ochoty wysłuchiwać kazań byłego męża o niebezpieczeństwie, w jakie się pakowała, ani tym bardziej przywoływania do odpowiedzialności.

Teraz, kiedy znów oglądała te zdjęcia, nie mogła nie zadać sobie pytania, gdzie jest Giulia. Kto wie, czy wszystko u niej w porządku.

Leda znikła z jej życia z dnia na dzień bez wyjaśnienia, zostawiając dużą część ubrań u niej w domu. Ciekawe, jak zareagowała. Ciekawe, czy jej szukała.

Odkurzenie starych notatek wpędziło ją w pewną melancholię, nie mogła temu zaprzeczyć. Przejmowała się też losem małej Carlotty. Przywiązała się do niej przez te kilka tygodni.

Zamarła, przeglądając zdjęcia z polaroida.

Jedno z nich zrobiła w czasie urodzin Giulii.

Wpadło wtedy pięć innych dziewczyn. Piły taniego szampana i jadły tort czekoladowy. Poszły tańczyć do Studio Due, a kiedy wróciły do domu, ona i Giulia do świtu gadały na balkonie.

W momencie robienia zdjęcia, zaraz po kolacji, jedna z dziewczyn niezręcznie podniosła kieliszek do toastu i wylała część zawartości na włosy dziewczyny, która stała obok. Ta odskoczyła, i tak fotografia uwieczniła moment, kiedy wszystkie były w ruchu, ze śmiechem uchylając się przed latającym szampanem.

Leda zanotowała na odwrocie imiona dziewczyn obecnych tamtego wieczora.

Były tam Natasza i Lorna, obie pochodzące z Albanii. Były Mariastella i Sonia.

I była też Monica, zwana Mimì. Dziewczyna, która na zdjęciu miała w ręku kieliszek, uchwycona w momencie, kiedy go przechylała.

Monica Ferretti. Okrutnie zamordowana w piątek w nocy przez potwora, który terroryzował miasto.

Leda nie mogła w to uwierzyć. Ale było jasne, czemu miała wrażenie, że gdzieś już ją widziała.

Podświadomość zasugerowała jej związek ze starym śledztwem.

Nadszedł moment, gdy trzeba było wyrównać rachunki z przeszłością.

– Panie Bergesio, proszę, by wrócił pan myślami do nocy między piątkiem 26 a sobotą 27 sierpnia. Czy wydarzyło się coś szczególnego albo chociaż nietypowego, zanim pojawił się mały Tito?

– Chyba nie. Oglądaliśmy z żoną telewizję do pół do jedenastej. Przyznaję, że ze dwa razy przysnąłem. Byłem po tygodniu pracy, dosyć zmęczony. Moja żona przygotowała sobie herbatkę ziołową i potem, chwilkę... Poszliśmy spać koło jedenastej.

– Pracuje pan w sklepie z narzędziami, prawda?

– Jestem magazynierem w firmie z materiałami przemysłowymi.

– Ma pan dzieci?

– Dwoje. Aldo, starszy, pracuje jako mechanik w warsztacie samochodowym. Filippo za parę tygodni idzie do piątej klasy technikum ekonomicznego, jeśli nie zrobi jakiejś głupoty na poprawce. Ten dureń sobie wymyślił, że chce mieć dwóję z geografii. No mówię, czy ktoś kiedyś słyszał o człowieku, który na chwilę przed maturą ryzykuje, że go obleją, bo nie wie, w którą stronę kręcić globusem?

– Obawiam się, że jest takich więcej niż pan myśli. Czy obaj mieszkają z panem?

– Tylko Filippo. Aldo ożenił się rok temu i ma dom w Settimo. Musi dojeżdżać, ale ceny najmu w mieście są kosmiczne.

– Ma pan mocny sen, panie Bergesio?

– Dosyć. Rzeczywiście, to żona mnie obudziła, mówiąc, że ktoś dzwoni do drzwi.

– Potrafi pan powiedzieć, która to była godzina?

– Tak, zaraz spojrziałem na budzik. Była 00:52.

– A pana syn? Też się obudził?

- Skąd! Jego nie obudzą nawet bomby. O niczym nie wiedział.
- A żona? Wyobrażam sobie, że się przestraszyła, słysząc dzwonek o tej godzinie.
- Oczywiście! Próbowałem ją przekonać, że to jakiś żart, potem znowu zadzwonił. Wtedy wstałem, żeby sprawdzić, co się dzieje. Myślałem, że ktoś miał awarię samochodu i potrzebuje zadzwonić po pomoc.
- Dlaczego pan tak pomyślał? Coś takiego się już kiedyś wydarzyło?
- Raz, w styczniu 1985 roku. Pewnie pan też to pamięta, zima stulecia. Ulicami nie dało się przejechać. W środku nocy zjawili się trzech chłopaków, widać, że pijanych. Wychodzili z dyskoteki tu niedaleko i zgubili się. Odwiozłem ich do miasta swoją campagnolą.
- A tym razem nie bał się pan, że to może być ktoś, kto ma złe intencje?
- Z całym szacunkiem, panie sędzio, tacy to nie dzwonią do drzwi.
- Słuszna uwaga. Z tego, co zrozumiałem, dzwonek zadzwonił dwa razy.
- Dokładnie. Chociaż za pierwszym razem, jak mówiłem, jeszcze spałem.
- Więc wyobrażam sobie, że nie słyszał pan strzałów albo innych dziwnych odgłosów z lasu.
- Nie. Prawdopodobnie nic bym nie słyszał, nawet gdybym nie spał. Na tej przestrzeni las pochłania większość odgłosów.
- Ile czasu minęło od drugiego dzwonka do momentu, kiedy otworzył pan drzwi?
- Najwyżej dwie minuty. Musiałem włożyć coś na siebie i zejść po schodach.
- Otworzył pan od razu drzwi czy najpierw spytał pan kto to?
- Spytałem. Byłem bardzo zaskoczony, że słyszę głosik dziecka. Powiedział: „Otwórz, jestem śpiący. Taty nie ma, a mama i wujek nie żyją”.
- Tylko tyle?
- Tylko tyle. Wtedy otworzyłem i zapytałem go, co się stało.
- I co odpowiedział?

– Popatrzył na mnie przez chwilę, wydawał się zdezorientowany. Potem przytulił się do mnie. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale chwilę potem zasnął.



– Jesteś dziś jakaś zamyślona.

Po chwili wahania Leda odwróciła wzrok od ekranu komputera.

– Przepraszam, co mówiłeś?

– No właśnie – powiedział Loi z uśmiechem. – Zastanawiałem się, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Tak, jasne.

W redakcji było gwarno jak zwykle rano, ludzie wciąż chodzili z pokoju do pokoju albo do kanciapy z kopiarką, ciągle brzęczały telefony. W obszernym open space’ie praktykant przemieszczał się od biurka do biurka, rozdając korespondencję.

– Znam cię dość dobrze, żeby wiedzieć, że coś cię martwi.

– Jestem trochę zmęczona. Dziś w nocy nie spałam długo i obudziłam się ze strasznym bólem głowy.

– Jeśli potrzebujesz dnia odpoczynku, to po prostu mi powiedz. Od kiedy zaczęła się ta historia, nie miałaś chwili przerwy.

– Dzięki, nie ma potrzeby. A poza tym nieźle mi idzie pisanie artykułu o początku przesłuchań. Udało mi się dostać listę świadków z sekretariatu prokuratury.

– Świetna robota. Później pogadam z jednym z moich kontaktów w komendzie, jak rozwój sytuacji.

– Wciąż nadstawiasz ucha, co tam w kuluarach wymiaru sprawiedliwości, tak?

Loi wzruszył ramionami.

– Na tym polega ta zabawa. I wydaje mi się, że ty też nieźle sobie radzisz. Masz chęć na herbatę?

- Naprawdę ci zależy, żeby mnie oderwać od biurka!
- Albo na kawę? Chciałbym tylko chwilę pogadać, żeby zobaczyć, gdzie jesteśmy.
- Niech będzie kawa. – Leda poszła za nim do kuchni, gdzie stał ekspres. Gdy oboje mieli już swój napój, Loi odchrząknął.
- Więc jak ci się wydaje?
- Co? – spytała Leda zdezorientowana.
- Potwór, dochodzenie. Jak myślisz, jak to sprzedawać? Według ciebie trzeba utrzymać ostry kurs wobec władz czy skoncentrować się bardziej na społecznych aspektach tej sprawy?
- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.  
Podmuchał swoją herbatę.
- Po prostu chciałbym znać twoje zdanie, tylko tyle. W niedzielnym artykule spuściłaś z tonu wobec Scaviatiego.
- Masz obiekcje do tonu mojego artykułu?
- Ależ skąd. Próbuję zrozumieć, czy coś się zmieniło w twoim spojrzeniu na tę sprawę i dlaczego.
- Moje spojrzenie na tę sprawę liczy się w niewielkim stopniu, zresztą jestem tylko osobą, która przekazuje wiadomości. Mam ambicję robić informacje, a nie rozrywkę. Interesuje mnie tylko poszukiwanie prawdy. Kiedy zaproponowałeś mi zajęcie się tą sprawą, powiedziałam ci jasno, że zrobię to po swojemu.
- Oczywiście, niczego innego się nie spodziewam. Tylko że... mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz.
- Szukasz podtekstów nawet w zwykłym bólu głowy?
- Ból głowy może mieć wiele powodów. Albo bezsenna noc. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie potrafił zauważyć, że coś jest zamiecione pod dywan.
- No dobrze – sapnęła Leda. – Myślę, że coś odkryłam, ale nie wiem jeszcze co. Próbuję to rozpracować i podjąć decyzję, co dalej.

– Mogłabyś być bardziej... precyzyjna? Ktoś ci coś podrzucił? To jakiś podejrzany, którego tożsamości jeszcze nie ujawniono? Albo okoliczności, których śledczy nie wzięli pod uwagę?

– Chodzi o dziewczynę zabitą w piątek. Miałam wrażenie, że już ją gdzieś spotkałam. Nie myliłam się...

Twarz Loi się rozjaśniła.

– Chcesz powiedzieć, że... ją znałaś?

– Pamiętasz moje śledztwo o prostytutce?

– Miałem nadzieję, że czas pretensji mamy już za sobą.

– Nie o to chodzi. Kiedy działałam pod przykrywką, miałam zwyczaj robić każdemu zdjęcia, tłumacząc, że robię album z mojego „nowego życia” we Włoszech. Wszystkim wydawało się to normalne, przecież przekonałam ich, że uciekłam z Chile i zerwałam ze swoimi korzeniami. Byłam Anną, ekscentryczną włóczykijką, która nigdy nie rozstawała się z aparatem. Ale wczoraj, kiedy grzebałam w zdjęciach, znalazłam jedno, na którym jest Monica Ferretti.

– Czekaj. Ferretti była prostytutką?

Leda pokręciła głową.

– Nie, to znaczy... nie wiem. Spotkałam ją tylko raz. Była gościem w wieczór urodzin mojej współlokatorki, a potem zniknęła z radarów.

Loi przez chwilę nic nie mówił.

– Co zamierzasz zrobić?

– Moja racjonalna strona podpowiada mi, żeby porozmawiać o tym ze Scaviatim i pozwolić, żeby on stwierdził, czy to wskazówka, czy zbieg okoliczności.

– A co ci mówi instynkt?

– Że to nie jest zbieg okoliczności. Że może był to motyw, dla którego Monica została zamordowana, coś więcej niż tylko głód krwi potwora. I że prawdopodobnie jestem jedyną osobą, która może to wyjaśnić.

– Jedno jest pewne. Jeśli za tym rzeczywiście coś się kryje, jeśli zbrodnie potwora są jakoś powiązane z twoim starym śledztwem, to... mogłaby być prawdziwa sensacja. – Loi zastanowił się przez chwilę, zanim zaczął mówić dalej. – Ale nie mogę ignorować faktu, że to by cię stawiało na bardzo niebezpiecznym gruncie. Nie mówimy już o czerpaniu korzyści z prostytucji, tylko o krwawych morderstwach popełnionych przez szaleńca. Jeśli o mnie chodzi, to decyzja należy do ciebie. Możesz kontynuować śledztwo. Ale jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– Zupełnie nie – przyznała Leda. – Ale boję się, że nie mogę inaczej.

– Panie Ferretti, przede wszystkim chcę panu złożyć szczere kondolencje. Wyobrażam sobie, że nie jest łatwo odpowiadać na pytania, które dotyczą śmierci pana żony.

– Dziękuję, panie sędzio. Chociaż wątpię, czy mogę jakoś pomóc. Jak pan wie, w zeszły weekend byłem w pracy za granicą.

– Pracuje pan w Transfreeze, firmie transportowej, prawda?

– Dokładnie. Pracuję tam od sześciu lat jako kierowca ciężarówki.

– Jakie obowiązki wykonywał pan w zeszły weekend?

– Musiałem dostarczyć do Bratysławy ładunek pomarańcz. Stamtąd ruszyłem do Brna i tam załadowałem wołowinę, którą przywiozłem do Turynu.

– Powiedziano mi, że wyjechał pan w piątek rano. Czy może mi pan powiedzieć, o której godzinie?

– O czwartej.

– Żona coś panu mówiła przed wyjazdem?

– A co miała mi powiedzieć? Nawet nie do końca się zbudziła. Ledwie mnie pożegnała.

– Pamięta pan, o której godzinie dojechał na miejsce?

– Do magazynu w Bratysławie dojechałem o piątej po południu.

– Z moich informacji wynika, że do Turynu wrócił pan dopiero w niedzielę wieczorem. Zazwyczaj zatrzymuje się pan dłużej w miejscach, do których dostarcza pan towar?

– Kiedy mam długie trasy zazwyczaj ruszam następnego ranka. Ale w Brnie było opóźnienie logistyczne, potrzebny był cały dzień, żeby to

rozwiązać. Nie miałem pojęcia, co się tutaj stało, gdybym wiedział, wróciłbym natychmiast. Ale nie wiedziałem... Nie sądziłem, że...

– Proszę się nie martwić, rozumiem, jak się pan czuje. Jeśli potrzebuje pan chwili przerwy, wystarczy dać znać. Może poproszę o szklankę wody?

– Dziękuję, nie ma potrzeby.

– Na pewno chce pan kontynuować?

– Tak. Przepraszam, miałem chwilę słabości.

– W każdej chwili może pan przerwać rozmowę. Nie chcę, żeby czuł się pan w jakikolwiek sposób pod presją. Jednak chociaż nie mam powodu wątpić w to, co mi pan powiedział, jest moim obowiązkiem poprosić pana o dokumenty transportowe, które potwierdzą etapy pana trasy.

– Przyniosłem je ze sobą. Inspektor mówił, że trzeba będzie pokazać.

– Doskonale. Proszę je dać mojej sekretarce. Teraz chciałem zadać panu osobiste pytanie. Jak określiliby pan swoją relację z żoną?

– Przepraszam, w jakim sensie?

– Czy się kłóciliście, czy ostatnio były jakieś powody do konfliktów...?

– Nic specjalnego. Monica była specyficzną osobą, to prawda. Czasem zdarzało się, że kłóciliśmy się o głupoty, ale zawsze w końcu się godziliśmy.

– Czy wiedział pan, że żona spotykała się potajemnie z panem Ginestrą?

– Ja... nie wiem... No, to już i tak jest trudne...

– Proszę mówić swobodnie. Tolerowanie zdrady współmałżonka to nie przestępstwo.

– Miałem podejrzenia, owszem. Czasem Monica chowała się w kącie i rozmawiała przez telefon, ale nie miałem powodu sądzić, że chodziło o mężczyznę. Musiałbym częściej być w domu, ale przy mojej pracy to nigdy nie było łatwe.

– Czy kiedykolwiek robił pan sceny zazdrości? Pana sąsiad twierdzi, że często się kłóciliście.

– Tak jak panu mówiłem, to były głupoty. Czasem chodziło o pieniądze, czasem o coś, co się działo w domu. Monica łatwo wybuchała i, no, mogło

się zdarzyć, że ja też traciłem cierpliwość. Ale nigdy nie podniosłem na nią ręki, przysięgam!

– Wierzę panu, panie Ferretti. I chcę podkreślić, że jest pan tu jako osoba znająca fakty, nie jako podejrzany.

– Proszę wybaczyć, nie chciałem pana obrazić.

– Proszę się nie przejmować. Proszę powiedzieć, czy kiedykolwiek usłyszał pan coś z tych... rozmów na boku?

– Nie. Monica zamykała się w sypialni i nie pozwalała mi nawet wejść. Raz powiedziała mi, że rozmawiała ze swoim aptekarzem. Pomyślałem, że sobie ze mnie żartuje i na tym się skończyło.

– Z jej... aptekarzem?

– Tak powiedziała.

– Może w dniach poprzedzających morderstwo tych telefonów było więcej?

– Nie wydaje mi się... Nie wiem.

– Pana żona spotykała się z kimś na co dzień? Z przyjaciółkami, z koleżankami z pracy, z rodziną?

– Zdarzało się, że przychodziły jakieś jej przyjaciółki. Pamiętam Mariastellę, była też jakaś Natasza. I dość często widywała się z siostrą. Zazwyczaj to Luciana do niej dzwoniła, ale wiem, że często się spotkały, kiedy wyjeżdżałem. Monica zawsze bała się spać sama.

– Czego się bała według pana? Może miała jakichś wrogów, może ktoś chciał jej zrobić krzywdę? Czy kiedykolwiek ktoś jej groził?

– Z tego, co wiem, to nie... Może nie była idealna, ale wszyscy ją lubili w naszej dzielnicy.

– A jak zachowywała się wobec waszego syna?

– Insynuuje pan, że nie była dobrą matką?

– W żadnym wypadku. Chciałbym tylko wiedzieć, jakim rodzajem matki była? Była opiekuńcza, tolerancyjna, surowa?

– Surowa? Nawet nie pozwalała na niego nakrzyczeć, jeśli zrobił coś nie tak. Dla Moniki Tito był... wszystkim. Oddałaby za niego życie.

– Wie pan o tym, że po zakończeniu naszej rozmowy chcę zamienić parę słów z pana synem, prawda?

– Wiem, ale... nie sądzi pan, że trochę na to za wcześnie? Chcę powiedzieć... Po tym wszystkim, co przeszedł... Czy to naprawdę konieczne?

– Niestety tak. I proszę mi wierzyć, chętnie bym z tego zrezygnował, gdyby okoliczności były inne. Ale Tito jest jedynym świadkiem wydarzeń i mógłby dostarczyć nam informacje niezbędne do schwytania mordercy pana żony.

– Panie sędzio, proszę mi wybaczyć szczerą, ale... Tito ma cztery i pół roku. Co mógłby takiego powiedzieć, co może być przydatne w śledztwie?

– Rozumiem pana wahanie. Ale jeśli to pana pocieszy, ta rozmowa będzie tak krótka, jak to tylko możliwe i odbędzie się w towarzystwie psycholożki.

– Poddaję się. Taką ma pan pracę. Pan odpowiada za to, żeby było jak najlepiej.

– Tak będzie, zapewniam pana. Zanim się z nim spotkam, chciałbym spytać pana o parę rzeczy, które powinienem wiedzieć. Na przykład, czy cierpi na jakąś chorobę...

– Co...? Nie! Tito jest zupełnie zdrowym dzieckiem. Trochę ruchliwym, to prawda, ale to chyba normalne w tym wieku.

– Czyli nie przyjmuje leków ani nie jest pod opieką lekarza?

– Ale co pan mówi! Nie, oczywiście, że nie! Oprócz aspiryny. Musiał ją brać ostatniej zimy, jak się nabawił paskudnej grypy.

– A pana żona? Czy wie pan, żeby miała przepisane jakieś leki?

– Absolutnie nie. Co mogę panu powiedzieć, wszyscy w rodzinie jesteśmy krzepcy.



Loiacono podniósł oczy znad gazety, której czytanie udawał, by odprowadzić wzrokiem agenta Stonera, który zmierzał do wyjścia z hotelu. Położył gazetę na stoliku lobby i ruszył za nim.

Pamiętając, że młodszy prokurator Scaviati prosił o dyskrecję, przyszedł w cywilu, w zwykłej koszulce Lacoste, jeansach i adidasach. By wyglądać swobodnie, pokazał się z puszką coli, którą co jakiś czas popijał przez słomkę.

Nie żeby szczególnie lubił ten smak. Wprawiało go w dobry humor wspomnienie reklamy, którą nadawali w telewizji przed Bożym Narodzeniem, z tymi wszystkimi zgromadzonymi na wzgórzu dzieciakami trzymającymi świece i ustawionymi w kształt choinki. A on kochał Boże Narodzenie, zwłaszcza dlatego, że pozwalało spotkać się z rodziną, która wciąż mieszkała w Apulii.

Zauważył, że Stoner patrzył na mapkę miasta. Zastanawiał się, dokąd idzie. Z pewnej odległości widział, jak skręca, a potem wchodzi w via San Francesco d'Assisi. Poczekał kilka chwil i sam skręcił.

Stoner przechodził przez skrzyżowanie z via Lascaris.

Loiacono podłączył się do grupki przechodniów i szedł dalej, starając się nie stracić z oczu swojego obiektu.

Właśnie minęła jedenasta i asfalt zaczynał się nagrzewać. Słońce górowało nad dachami domów, błyszcząc pośrodku krystalicznego nieba. Młody aspirant pożałował, że zostawił w domu kapelusz borsalino, który dostał od kuzyna Saverio kilka miesięcy wcześniej; dobrze byłoby przynajmniej przykryć głowę.

Po skręceniu w via Bertola śledzenie zaczęło się robić wyczerpujące przez upał, ruch w Quadrilatero, stukot tramwajów. Na końcu via Passalacqua

Stoner przeszedł pod łukami i wszedł na piazza Statuto.

Loiacono podbiegł, żeby dotrzymać mu kroku, ale musiał się ukryć pod portykiem, kiedy zdał sobie sprawę, że Stoner jest kilka metrów od niego. Wyglądał na zatopionego w kontemplacji pomnika ofiar z Fréjus.

Pomnika, który zresztą aspirantowi nigdy się nie podobał. Ktoś wytłumaczył mu, że pod aniołem znajdowali się powaleni tytani i że to symbol triumfu rozumu nad dziką siłą, ale jemu wyglądało to raczej na dusze potępieńców, które próbowały wydobyć się z piekielnej otchłani.

Śledził wzrokiem Amerykanina, gdy ten szedł w stronę obelisku, który zaznaczał południk przechodzący przez Turyn.

Loiacono coraz mniej rozumiał. Czy to była jakaś dziwaczna wycieczka turystyczna?

Było mu gorąco, ale nie stracił ducha, gdy Stoner ruszył dalej. Po kilku krokach zobaczył, jak wchodzi do miejskiej biblioteki.

Wrzucił pustą puszkę do kosza i odczekał kilka minut, zanim sam wszedł do środka.

Dziewczyna w błękitnej garsonce weszła do biura Scalviatego, prowadząc za rękę małego Tito. Chłopiec miał trochę zagubioną minę, ale ogólnie wydawał się spokojny. Trzymał swojego szmacianego króliczka z kilkoma dziurami, wylupianymi oczami i niesfornym kosmykiem na głowie.

– To jest sędzia Francesco Scalviati, bardzo ważny człowiek – powiedziała dziewczyna. – A to inspektor Costanza, który mu pomaga. Zadadzą ci kilka pytań o to, co się stało w poprzedni weekend. Potrzebują tylko kilku minut, ale jak chcesz, to możesz przerwać spotkanie w każdej chwili. Co ty na to? Możemy zaczynać?

Chłopiec potaknął, energicznie kiwając głową i podszedł do krzesła. Dziewczyna usiadła obok niego.

– Dzień dobry, pani Vinci, dziękuję, że pani przyszła – zwrócił się do niej Scalviati. Potem, odwracając się do chłopca, dodał: – Cześć, Tito. Piękny króliczek. Jak się nazywa?

– Ziggy – odparł Tito.

– Dostałeś go od mamy? – Tego samego króliczka chłopiec trzymał w sobotnią noc.

Tito tylko twierdząco skinął głową.

– Wygląda jakoś wyjątkowo.

– Jest przyjacielem dobrego snu.

– Pomaga ci zasnąć?

Mały potwierdził.

– Jest ci czasem trudno zasnąć?

– Czasami.

– Czemu?

– Mama mówi, że jestem superlatywny.

Scalviati i Costanza spojrzeli po sobie niepewnie.

– Może raczej superaktywny? – spytała psycholożka.

Skinięcie głową.

– Lubisz z nią być?

Tito wzruszył ramionami. Scalviati zapisał coś w terminarzu.

– A co myślisz o tym wujku Paolu?

Mięśnie na twarzy Vinci lekko się skurczyły, popatrzyła na minę dziecka, jakby bojąc się negatywnej reakcji.

– Jest fajny! – odpowiedział jednak tamten z nagłym entuzjazmem.

– Czemu?

– Kupuje mi lody nawet wtedy, kiedy mama nie chce.

– Często go spotykałeś?

Tito wahał się przez chwilę. Popatrzył wokół, jakby chciał się upewnić, że nikogo innego nie ma w pokoju.

– To... tajemnica.

– Co to znaczy?

Tito przejechał palcami po ustach, jakby zapinając zamek błyskawiczny.

– To mama cię prosiła, żebyś nie mówił? – spytał prokurator.

Chłopiec nie odpowiedział.

– Wiesz, że tutaj jesteś bezpieczny? – wtrąciła się psycholożka. – Tutaj można powiedzieć wszystkie sekrety.

Tito spuścił głowę, przytulając do siebie króliczka.

– Spokojnie – powiedział prokurator. – Nikt się nie dowie.

– Tata też nie?

– Tata też.

– Mama mówi, że jak mu powiem, to będzie mu smutno.

– A ty nie chcesz, żeby tata był smutny, prawda?

Tito pokręcił głową.

– Pamiętasz, kiedy ostatni raz widziałeś wujka Paola?

– Tamtego dnia – odpowiedział po krótkim wahaniu.

– W piątek wieczorem, tak?

Chłopiec potwierdził.

– Możesz mi opowiedzieć, jak wyglądał ten wieczór? Jadłeś kolację z mamą, a potem przyjechał po was wujek Paolo czy jedliście razem?

– Wujek przyjechał po kolacji.

– Samochodem?

Potwierdził.

– I pojechaliście do kina.

– Tak.

– Możesz mi powiedzieć, jaki film oglądaliście?

Tito pokręcił głową.

– Przypominasz sobie jakąś konkretną scenę, twarz aktora, a może muzykę?

– Nie wiem... – powoli przeniósł spojrzenie na psycholożkę, jakby szukając jej aprobaty.

– Wszystko jest dobrze – powiedziała tamta. – Nie ma nic złego w tym, że czegoś nie pamiętasz.

– A może zasnąłeś w czasie filmu?

Tito popatrzył na niego, nie odpowiadając.

– Zdarzyło ci się już może przy innych okazjach zasnąć w czasie filmu, a może przy oglądaniu telewizji?

– Chyba tak.

Prokurator zastanawiał się przez chwilę. Nie mógł zaprzeczyć, że był w kłopotcie. Chłopiec ewidentnie miał trudności i nie chciał go przyciskać. Ale musiał wiedzieć, czy coś ważnego nie było pogrzebane wśród jego wspomnień.

– Wróćmy do piątkowego wieczoru. Pamiętasz, co robiliście, jak wyszliście z kina?

Tito pokręcił głową.

– Nie przejmuj się, już prawie skończyliśmy – wtrąciła psycholożka ugodowym tonem. – Bardzo dobrze ci idzie.

– To prawda – powiedział Scalviati. – Jesteś bardzo odważnym chłopcem. To, co teraz robisz, jest bardzo ważne, żebyśmy mogli zrozumieć, co się stało twojej mamie. Dlatego proszę cię jeszcze o troszkę wysiłku. Myślisz, że dasz radę?

Tito potaknął.

– Pamiętasz, czy obudziłeś się w samochodzie z mamą i wujkiem? Już po filmie.

Tito wyglądał, jakby się wahał. Przygryzł wargi z trochę nadąsaną miną, wyrócił oczy do góry, jakby grzebał w pamięci.

– Był grzmot.

– Obudził cię grzmot?

Potaknął.

– I co zobaczyłeś?

– Wujek był dziwny.

– Wysiadłeś z samochodu?

Tito pokręcił głową.

– Pamiętasz, że szedłeś przez las?

– Nie.

– Zostałeś w samochodzie?

Potaknął.

– Bałeś się czegoś?

– Drzew – odpowiedział z oporami.

– Co to znaczy? – dopytał Scalviati?

– Mocno się ruszały. – Tito mocno ścisnął króliczka.

– Dlaczego tak mocno się ruszały według ciebie?

– Bo... była burza.

Psycholożka chwyciła go za rękę i zachęciła go ruchem głowy.

Scalvati i Costanza wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Obaj wiedzieli, że w ostatni piątek nie było żadnej burzy. Było jednak możliwe, że mały Tito zamienił w wyobraźni huk pistoletu na grzmoty. Ale ruszające się drzewa?

– Pamiętasz, że później tamtej nocy kogoś spotkałeś?

Tito zawahał się i spojrzał na psycholożkę. Ale nie odpowiedział.

– To wystarczy – powiedziała. – Chłopiec jest wyczerpany.

– Dobrze – odparł prokurator. – Bardzo dziękuję pani za pomoc. I dziękuję tobie, Tito, że zgodziłeś się z nami porozmawiać. Pamiętaj, że będziemy strzec twojej tajemnicy.

– Chciałbym wiedzieć, czy ten jegomość, który właśnie wszedł, ten w ciemnym garniturze, pytał o coś szczególnego?

Chłopak na stanowisku w bibliotece spojrzał na Loiacono nieufnie.

– Przepraszam pana?

– Niech mnie pan źle nie zrozumie. Jestem w cywilu, ale jestem policjantem. Prowadzę śledztwo. – Loiacono wyjął legitymację z tylnej kieszeni jeansów i podał bibliotekarzowi.

– Miło mi, aspirancie Loiacono. Mogę spytać, co ma pan na myśli, mówiąc: „coś szczególnego”?

– No nie wiem, zamawiał książki, potrzebował wskazówek czy po prostu szukał toalety?

– Ten pan w ciemnym garniturze, tak?

Loiacono upewnił się, czy w pobliżu nie ma Stonera.

– Jest Amerykaninem. Nazywa się Stoner.

Bibliotekarz zrobił miejsce na blacie, żeby zajrzeć do potężnego rejestru.

– Rzeczywiście, poprosił o dwie książki.

– Czy mogę wiedzieć jakie?

– Sekcja 520. *Praktyczny podręcznik astronomii i Astrolabium*.

Loiacono wydawał się zdezorientowany.

– Jest pan pewny?

– Niech pan sam spojrzy. Tu jest napisane.

Nachylił się nad stanowiskiem, by zajrzeć w notatki bibliotekarza w rejestrze obecności.

– Widzę, widzę. – Tak naprawdę nie był w stanie odcyfrować tej kaligrafii i musiał zdać się na to, co mu powiedziano.



– Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

– Chyba nie. Cóż, do widzenia. – To mówiąc, Loiacono ruszył w stronę wyjścia. Czuł ulgę, że kończy się jego zmiana i marzył o powrocie do domu i prysznicu. Chętnie uniknąłby kolejnego marszu przez miasto w pełnym słońcu śladem „astronomicznych” zainteresowań Amerykanina.

– Bardzo chciałbym poznać pana zdanie – powiedział Scalviati.

– Rozumiem, że nie chodzi o risotto, które zamówiłem – zarechotał Costanza.

Po zakończeniu porannej sesji przesłuchań poszli we dwóch do restauracji niedaleko prokuratury, gdzie często spędzali przerwę obiadową.

– Chodzi mi szczególnie o małego Tito. Nie uważa pan, że jego zeznania są dość niezborne?

– Zeznania? Odpowiadał na pytania monosylabami albo kawałkami zdań. A w najgorszym razie wzruszeniem ramion albo przestraszoną miną.

– Nie to, żebym się spodziewał dużo więcej, trzeba brać pod uwagę jego wiek.

– No tak. I ja myślałem, że już wszystko widziałem w tym zawodzie. A teraz musiałem uczestniczyć w przesłuchaniu czterolatka.

– Sam pan chyba rozumie, że to było konieczne.

– Dobrze, ale niech mi pan wybaczy, Scalviati... Ten mały nie może być w żaden sposób wiarygodny.

– Może. Ale jestem przekonany, że niektóre rzeczy można by pogłębić, zarówno to, kiedy milczał, jak i słowa, które wybierał.

– Na przykład „superlatywny”?

– Właśnie – powiedział Scalviati. – Dziecko w tym wieku ma ograniczone słownictwo, składające się głównie z tego, co słyszy w rodzinie.

– Mam nadzieję, że nie włącza pan w to wujka Paola.

– Cóż, jest jasne, że Monica Ferretti spotykała go często, ale nie codziennie. Wyobrażam sobie, że nazywała Tito „superaktywnym” z powodu jego żywiołowego charakteru... Żywiołowe dziecko, które nagle zapada w sen kilkakrotnie w ciągu wieczoru. Nawet w objęciach nieznanego człowieka.

– No, biorąc pod uwagę godzinę i okoliczności...

– Kiedy widziałem go w sobotę w nocy, wciąż spał jak kamień, w czasie kiedy jego ciotka rozmawiała ze mną, często podnosząc głos.

– Myślę, że u dzieci w tym wieku to normalne.

– Nie, jeśli przyjmiemy hipotezę, że chłopiec jest bardzo żywiołowy.

– Na pewno chodzi o tego samego chłopca, którego widziałem przed chwilą u pana w biurze?

– Teraz najwyraźniej był onieśmielony sytuacją – zasugerował Scaviati.

– Niech mi pan wybaczy, nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Już mówię. Jestem przekonany, że w piątek wieczorem był pod wpływem jakichś leków.

– Ojciec mówił, że jest zupełnie zdrowy.

– Nie chodzi mi o lekarstwa, ale o środki uspokajające. To by wyjaśniało, dlaczego jego wspomnienia z tej nocy są takie niejasne.

– Chce mi pan powiedzieć, że Monica Ferretti mogła odurzyć swojego syna?

– Myślę, że nie znalazła nikogo, kto by się nim zajął, ale nie chciała zrezygnować z wieczoru z kochankiem.

– To nie mogła po prostu wziąć kochanka do domu? – zaproponował Costanza.

– Z sąsiadami, którzy wciąż nasłuchują, co się dzieje u niej w mieszkaniu?

– Też prawda.

– Przypuśćmy, że to nie był jedyny raz. Że przy innych okazjach Ferretti uśmierzała ruchliwość syna jakimiś środkami. To by wyjaśniało, dlaczego

zdarzało mu się wcześniej zasypiać przed telewizorem.

– Jaka matka zrobiłaby coś takiego?

– Wcale nie mówię, że nie była troskliwą matką. Monica Ferretti była nieszczęśliwa, a kiedy jest się nieszczęśliwym, czasem popełnia się straszliwe błędy.

– Rozumiem, o co panu chodzi. Chociaż trudno to przetrwać.

– Poproszę o ekspertyzę toksykologiczną. Ślady takich substancji pozostają w organizmie przez kilka dni.

– Będzie to trzeba wyjaśnić ojcu i ciotce, skoro, jak rozumiem, chłopiec zostanie u niej jeszcze przez jakiś czas.

– Gaetano Ferretti wygląda na dobrze współpracującego. Co do Luciany Bonfante, boję się, że nie powiedziała mi wszystkiego, co wie. Rzuciła półgębkiem, że Monica mogła mieć poza Ginestrą innego kochanka.

– Mam ją wezwać?

– Boję się, że formalne przesłuchanie wrogo by ją nastawiło. Miałem wrażenie, że miała bardzo opiekuńczy stosunek do siostry. Może nie chce stawiać jej w złym świetle.

– No, na siłę na pewno nic z niej nie wydusimy.

W oczach Scalviatiego pojawiła się decyzja.

– Proszę spróbować z nią porozmawiać. Niezbyt formalna pogawędka, tak żeby nie czuła się pod presją.

Costanza potaknęła.

– Może pan na mnie liczyć.

– Musimy jeszcze wyjaśnić, jak mały Tito znalazł się w domu Bergesia.

– Czyste skarpetki... Niezła zagadka.

– Jest jasne, że ktoś go tam zaniósł. Ktoś, kto powiedział mu, że mama i wujek nie żyją.

– Skąd ta pewność?

– Tito powiedział, że wujek był „dziwny”. Nie nieżywy. Tamtej nocy musiał być tak ogłupiony, że nie rozumiał, co się dzieje.

Costanza podrapał się w kark.

– Czyli mamy przypuszczać, że morderca uległ odruchowi współczucia?

– Albo że na miejscu zbrodni był ktoś inny.

– Wspólnik? Podglądacz?

Scalviati rozłożył ręce.

– A któż to wie? Ktokolwiek to był, musimy założyć, że zaniósł chłopca aż do domu Bergesia, żeby był bezpieczny.

Właśnie skończył mówić, kiedy pojawił się aspirant Loiacono.

– Przepraszam, że przeszkadzam – bąknął Loiacono, widocznie zgrzany.

– To nic takiego, właśnie skończyliśmy jeść – powiedział Scalviati. – Dowiedział się pan czegoś o Amerykaninie?

– Jakim Amerykaninie? – wtrącił się Costanza.

– Potem panu opowiem.

– Czegoś tak. Chociaż raczej nie chodzi o to, czego się pan spodziewał, prokuratorze Scalviati. – Loiacono wahał się przez chwilę. – Bardzo przepraszam – dodał zziębnięty, chwytając serwetkę, by otrzeć pot.

– Proszę usiąść, napić się łyka wody – burknął Costanza. – Wygląda pan jak człowiek, który przeszedł przez pustynię.

– Dziękuję, inspektorze. Chodziłem pieszo przez cały ranek w pełnym słońcu.

Scalviati wezwał gestem kelnera. Kiedy ten podszedł do stolika, poprosił o jedną szklankę więcej.

– Musiał pan za nim chodzić? – spytał aspiranta.

– Kilometrami. Jest gorszy niż Dustin Hoffman w *Maratończyku*.

– Spotykał się z kimś?

– Nie – odparł Loiacono, kiedy kelner podawał mu czystą szklankę. – Łaził przez cały ranek z mapą w ręce. Wydaje mi się, że to była jakaś trasa turystyczna.

– Dlaczego?

Loiacono chwycił karafkę z wodą i napełnił szklankę po brzegi, po czym wypił ją chciwie jednym haustem.

– Przeszedł przez całe Quadrilatero na drugą stronę miasta. Zastanawiałem się, dlaczego nie wsiadł w tramwaj, byłoby dużo wygodniej!

W każdym razie w końcu zatrzymał się na piazza Statuto i oglądał pomnik ofiar z Fréjus, ten z aniołem.

- Skrzydlatym Geniuszem – sprecyzował Costanza.
- Właśnie ten. Potem podszedł do obelisku z kulą.
- Astrolabium – skomentował Scalviati.
- Dokładnie.
- Nic więcej?

Loiacono podniósł lekko jedno ramię.

- Poszedł do biblioteki i poprosił o dwie książki o astronomii do czytania. Bardzo przepraszam, ale już nie pamiętam tytułów.

- Nie szkodzi – powiedział Scalviati. Nie mógł zaprzeczyć, że Stoner wciąż potrafił zaskakiwać.

Z pewnością nie oglądał dwóch słynnych pomników na piazza Statuto w ramach trasy turystycznej. Było jasne, że o morderstwach wiedział więcej niż to, co dawał do zrozumienia.

Począwszy od medalionu z astrolabium odnalezionego na miejscu pierwszego z podwójnych morderstw, choć dobrze się pilnował, żeby o tym nie wspomnieć.

Prokurator miał wrażenie, że im bardziej chciał rozszyfrować zagadkę Isaaka Stonera, tym bardziej tamten mu umykał.

– Która godzina? – spytał Costanza.

– Piętnaście po czwartej – odparł posterunkowy Bocci stojący przy stanowisku z maszyną do pisania.

– Następny to ostatni na dziś, prawda?

Scalviati spojrział w grafik przesłuchań.

– Dokładnie. Fabrizio Toschi, kolega z pracy Paola Ginestry.

– Bądźmy dobrej myśli. Gość, którego teraz przesłuchaliśmy, nic specjalnego nam nie dał.

Po przerwie obiadowej Scalviati i Costanza wrócili na przesłuchania. Wysłuchali zeznań współpracownika Paola Ginestry, niejakiego Vallesiego, ale nie był to materiał przydatny w śledztwie. Mężczyzna opisał Ginestrę jako człowieka małomównego, który niezbyt spoufalał się z kimkolwiek w pracy, ale potrafił sobie radzić z kobietami.

– Prawdopodobnie znajomość Vallesiego z ofiarą była powierzchowna, ograniczona do kontaktów w pracy.

– Pan Toschi już jest – powiedziała sekretarka Scalviatiego przez interkom. – Mogę go wpuszczać?

– Oczywiście. Dziękuję, Cecilia.

Chwilę potem pojawił się na progu mężczyzna pod pięćdziesiątkę, z nieogoloną brodą, dość mocno opalony, z wyraźnym zaczesem na czole.

– Proszę usiąść – powiedział Costanza.

Mężczyzna posłuchał, ostrożnie się poruszając.

– Nie ma pan powodów do niepokoju – rzekł Scalviati, widząc, że tamten wciąż ociera ręce o materiał spodni, jakby chciał go wygładzić. – Został pan tu wezwany jako osoba znająca fakty. Proszę pana tylko o kilka informacji



o życiu i zwyczajach pana Ginestry, bo jak wiem, był pana kolegą w urzędzie pocztowym.

– Oczywiście, panie sędzio.

Costanza usiadł wygodniej.

– Pod koniec rozmowy damy panu do podpisania pana zeznania, które będą na bieżąco spisywane przez obecnego tu posterunkowego Bocci. Wszystko jasne?

– Jak najbardziej.

– Więc możemy procedować – powiedział Scalviati. – Zaczniemy od pana danych.

– Toschi Fabrizio, urodzony w Albie 22 marca 1936, zamieszkały w Turynie.

– Moja matka jest z Alby – rzucił Scalviati.

– Cóż za zbieg okoliczności! Przez jakiś czas pracowałem tam na poczcie, może ją znam.

– Wątpię. Przeprowadziła się do Turynu w wieku osiemnastu lat.

– Rozumiem.

Scalviati odchrząknął.

– Proszę mi powiedzieć, panie Toschi, od jak dawna znał pan Paola Ginestrę?

– Od siedmiu lat, od kiedy zacząłem pracować tu na poczcie.

– Jaki to był człowiek?

– Był dobrym pracownikiem. Wykonywał obowiązki i nie tracił czasu, kiedy była kolejka do okienka. W sumie dość spokojny typ. Kiedy był w pracy, mało z nami rozmawiał, z kolegami. Ale wobec koleżanek był troskliwy, zawsze szarmancki. No istny adorator. Nie wykluczam, że któraś może i uległa jego pochlebstwom.

– Powiedział pan: „kiedy był w pracy”. Chce pan powiedzieć, że widywaliście się też poza pracą?

Toschi potaknął.

– Przez jakiś czas wychodziliśmy dość regularnie w weekendy.

– I jak się zachowywał przy tych okazjach?

– Był zupełnie innym człowiekiem. Błyskotliwy, wylewny, no dusza towarzystwa. Przynajmniej, kiedy dobrze mu szło.

– Przepraszam, nie rozumiem. Co mu dobrze szło?

Toschi rozejrzał się szybko wokół z chytrą miną, potem pochylił się naprzód.

– Powiem panu, panie sędzio, ale nie chciałbym się wpakować w kłopoty. Wie pan, to nie jest całkiem legalne.

– Mogę wiedzieć, o czym pan mówi?

– Oprócz kobiet Paolo był zafiksowany na pokerze. No nie był w stanie siedzieć z dala od kart.

– Przecież poker nie jest nielegalny – powiedział Costanza. – Sam od czasu do czasu gram ze szwagrem.

– Mówię o tajnych turniejach w podziemiach pewnych knajp, odbywających się po zamknięciu lokalu. Żeby nie było, ja nigdy nie brałem w tym udziału, nie? Chodziłem tam co najwyżej dla towarzystwa. Były nie tylko stoliki do gry, piło się, żartowało...

– Chodzi o tę działalność dwóch Sardyńczyków, której ukręciła łeb policja skarbową? – wtrącił Costanza.

– Braci Canu – sprecyzował Scalviati.

Dobrze pamiętał to nazwisko. Wyplłynęło w trakcie śledztwa w sprawie drugiego z podwójnych morderstw, Dallara/Lescaux. Według jednego ze świadków Salvatore Canu dostarczał narkotyki, którymi chłopak od czasu do czasu dilował. Scalviati szukał potwierdzenia tego zeznania, ale bezskutecznie.

– „Ukręciła łeb” to niewłaściwe wyrażenie – uściślił Toschi. – Początkowo, na kilka miesięcy sprawy zwolniły... Canu byli oskarżeni, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek ich aresztował. A potem, z tego, co wiem, wszystko ruszyło, tak jak wcześniej. Ale jeśli o mnie chodzi, nie chodziłem już do takich lokali. Wycofałem się i moja żona bardzo się cieszyła, że już

nie wychodzę z Paolem, on się jej nigdy nie podobał. Ale z tego, co zrozumiałem, on nigdy nie przestał grać. A wiadomo, w grze raz się jest na wozie, raz pod wozem. To ruletka, w jednej chwili można spaść z piedestału naprawdę nisko. Według mnie kilka tygodni temu dostał niezłe lanie. Musiał stracić sporo pieniędzy, bo chodził po ludziach i prosił o pożyczkę wszystkich przyjaciół.

Inspektor Costanza doszedł do bloku Luciany Bonfante o siódmej wieczorem, po krótkiej wizycie w sklepie z zabawkami.

Kilka razy nacisnął przycisk domofonu, podnosząc co chwila wzrok do okien, by sprawdzić, czy ktoś przez nie wygląda, ale nikt nie odpowiadał.

– Nie działa, inspektorze – dobiegł go głos z samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

Costanza się odwrócił, rozpoznając od razu jednego z dwóch policjantów w cywilu, którzy mieli pilnować mieszkania.

– Aspirancie Scognamiglio – zwrócił się do niego. – Wszystko tu w porządku?

– Wszystko dobrze. Może oprócz paru chłopaczków, którzy w środku nocy bawią się petardami.

– Lepsze to niż strzelaniny.

Scognamiglio się uśmiechnął.

– Ma pan rację, inspektorze. W każdym razie jeśli pan szuka pani Bonfante, to proszę iść na trzecie piętro. Brama jest ciągle otwarta, ale nie ma windy.

– Cóż, odrobina aktywności fizycznej nie zaszkodzi. – Spojrzał na stojącego obok oficera sanitarnego: – Co pan powie, doktorze Pisani? Jest jeszcze szansa zrzucić trochę tego sadelka?

– Jak chce pan to robić na poważnie, to mogę panu pożyczyć kasety wideo z aerobikiem mojej córki. Kojarzy pan lekcje wideo Jane Fondy?

– Litości! Widzi mnie pan w getrach i dresiku z lycry?

– Niespecjalnie. Ale w życiu nigdy nic nie wiadomo, nie?

Dowcipkując, ruszyli we dwóch do hallu bloku. Gdy weszli po schodach, Costanza zadzwonił do drzwi państwa Bonfante i zastygł w oczekiwaniu.

Ze środka dochodził hałas telewizora włączonego na cały regulator, przebijany jazgotliwym głosem dziecka.

– Dobry wieczór, inspektorze – powiedziała Luciana przez szparę w drzwiach. – Nie spodziewałam się pana wizyty.

– Dobry wieczór, pani Bonfante. Przepraszam za porę. Czy możemy wejść? Zabiorę pani tylko kilka minut.

Kobieta spojrzała na jego towarzysza.

– A to kto?

– Doktor Pisani z lokalnej jednostki sanitarnej.

– Jak to kolejny psycholog, to dzieciak ma już dość na dziś.

– Nic z tych rzeczy. To specjalista od analizy laboratoryjnej. Proszę nas wpuścić, wszystko pani wyjaśnię.

Luciana skrzywiła się z dezaprobatą. Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi na taką szerokość, żeby goście mogli wejść. Zaprowadziła ich do kuchni i podeszła do zlewu, w którym płukała naczynia.

– Kto tam dzwonił? – spytał męski głos z salonu.

– Już ja się tym zajmę! – wrzasnęła, by przebić się przez dźwięk telewizora. Potem, zwracając się do Costanzy, dodała: – Nie ma co mówić mojemu mężowi, że jesteście z policji. Nie wszystkim podobają się ci pana policjanci, co ciągle siedzą tam na dole, jakbyśmy byli kryminalistami.

– Sama pani rozumie, że robimy to dla bezpieczeństwa małego Tito. Skoro o nim mowa, to dla niego. – Położył na stole plastikową torebkę z nadrukowanym zdjęciem robota.

Luciana spojrzała na nią przelotnie.

– Co to jest?

– Nic takiego – odparł Costanza, siadając. – Tak dla odmiany – samochodek policyjny. Najnowszy model. Alfa 75 z silnikiem 1.8

i elektronicznym wtryskiem. Jak moje dzieci były w jego wieku, to uwielbiały takie rzeczy.

– Dziękuję, ale nie trzeba było. Tito ma wszystko, czego potrzebuje.

– Nie wątpię w to.

– No więc? Co tam jeszcze?

Costanza szybko się rozejrzała, jakby szukała w otoczeniu odpowiednich słów.

– No więc prokurator poprosił o zrobienie chłopcu testu toksykologicznego. Przyszliśmy pobrać od niego próbkę moczu.

Jak na potwierdzenie słów inspektora doktor Pisani podniósł mały pojemnik z przezroczystego plastiku.

– Mówi pan poważnie?

– Nigdy bym nie żartował w tak delikatnej sprawie.

– Można wiedzieć, skąd wam przyszedł do głowy taki pomysł? – wybuchła Luciana. – Co wy sobie myślicie, że Tito to jakiś... narkoman?

– Niech pani tego źle nie zrozumie. To standardowa procedura, dodawana do zeznań w sprawach o morderstwo. – Costanza przygotował sobie zawczasu takie wyjaśnienie, sądząc, że zabrzmie przynajmniej prawdopodobnie. Nie mógł przecież insynuować, że Monica Ferretti odurzała syna, żeby uspokoić jego żywiołowość.

– Tito świadkiem? Czy wy rozumiecie, że on ma niewiele ponad cztery lata?

– Proszę posłuchać...

– Kim wy, kurwa, jesteście? – na progu pojawił się mężczyzna ubrany tylko w spodnie moro i sportowe skarpetki.

– Doktor Costanza i doktor Pisani – odpowiedziała szybko Luciana. – Pracują w szpitalu, mają zrobić badania Tito.

– W domu? – zaoponował mężczyzna.

– Pan Bonfante, prawda? – powiedział Costanza, wstając. Wyciągnął rękę. Mężczyzna tylko na nią spojrzał, ale jej nie uścisnął. – Biorąc pod

uwagę okoliczności, chcemy się upewnić, że chłopiec jest w dobrym zdrowiu.

– Tito świetnie się czuje, ja wam to mówię. A teraz wynocha.

– Panie Bonfante, proszę... Wykonujemy tylko swoją pracę...

W tym czasie Tito stanął na progu i patrzył na intruzów z pewnym niepokojem.

– Nie widzicie, że się was boi? Wychodźcie, bo zawołam policję!

Costanza westchnął.

– Przyniosłem mu to. – Wyciągnął z torebki pudełko z samochodzikiem i pochylił się, żeby podać je chłopcu.

Tito wziął je i natychmiast rozpakował.

– Wow! – krzyknął rozradowany, obracając zabawkę w dłoniach. Potem ruszył na czworaka i zaczął jeździć po podłodze w korytarzu. – Bruuum! Bruuum!

– Podoba mu się – skomentował Pisani.

– Wyjdziemy, zanim się zaczną wiadomości – powiedział Costanza, rozkładając ręce.

Bonfante popatrzył na niego przez chwilę ze smutkiem, potem odwrócił się.

– Róbcie, jak chcecie – i wrócił do salonu.

Inspektor skinął do oficera sanitarnego.

Pisani ruszył na korytarz i zamruczał coś do chłopca. Dał mu pojemnik, poczekał aż wejdzie do łazienki i stał, pilnując drzwi.

– Przepraszam za męża – powiedziała Luciana. – Ale to okropny czas. Mamy nerwy w strzępach.

– Rozumiem – odpowiedział. – I to ja przepraszam, jeśli byłem niedelikatny.

– Tak naprawdę to był pan bardzo grzeczny. Prezent spodobał się Tito.

– To musi być bardzo trudne, opiekować się synem siostry.

Luciana lekko pokręciła głową.

– Chętnie to robię. Wszyscy kochamy tę małą zarazę. A ojciec przecież ciągle wyjeżdża w pracy, jutro rano jedzie do Catanzaro.

– Wie pani, bardzo panią podziwiam. Jestem pewien, że siostra też panią podziwiała.

– W takim razie niezbyt dobrze to okazywała – odparła. – Nigdy nie zrozumiałam, skąd był u niej ten niepokój, ta złość. Czasem sprawiała wrażenie, że chce pożreć cały świat. Taka już była, ale nie zasługiwała na taką śmierć. – Odwróciła się nagle, by ukryć łzy.

– Złapiemy tego sukinsyna – orzekł Costanza. – Obiecuję to pani.

– Naprawdę? – Luciana znów spojrzała mu w oczy. – Bo mam wrażenie, że osoby takie jak Monica albo ja, osoby z marginesu, o których się nie mówi, dopóki nie stanie się coś złego, tak naprawdę nikogo nie obchodzą. Nawet sędziego Scalviatego, który traci czas na przesłuchiwanie dziecka, kiedy trzeba zająć się łapaniem mordercy, który pokroił jego matkę.

– A według pani, w którą stronę powinno iść śledztwo?

Kobieta uciekła wzrokiem.

– Niczym pana nie poczęstowałam. Chyba się pan zgrzał. Napije się pan czegoś?

– Faktycznie, trzy piętra bez windy to w moim wieku niezłe wyzwanie.

Luciana wzięła z szafki szklankę i nic nie mówiąc, naląła do niej wody z kranu.

– Coś pani wie, prawda? – podpytał Costanza. – Żeby było jasne, nie chcę pani naciskać. Jeśli pani woli, może pani powiedzieć wszystko prokuratorowi w czasie przesłuchania.

– A co ja mam wiedzieć? – Postawiła szklankę na stole. – Monica przecież nie rozmawiała ze mną o tym, co robi, jak wychodzi wieczorami. I może tak było lepiej. To była jej sprawa.

– Jest pani pewna? Z tego, co zrozumiałem, widywałyście się dość często. Nigdy się pani nie zwierzyła? Proszę mi wierzyć, mówię z doświadczenia: pozornie nieważny szczegół mógłby być decydujący.



Luciana zaczęła oddychać nieregularnie, tak, że wydawało się, że za chwilę coś jej się stanie. Kilka razy odchrząkała, potem westchnęła.

– Monica miała wielu mężczyzn. Zawsze myślałam, że to nienormalne, że coś się za tym kryje albo że ona ma jakiś problem. To było czasem widać. Telefon dzwonił o każdej porze, a ona zamykała się w pokoju, żeby odebrać, nawet jeśli w domu byli goście.

Mimo woli Costanza wrócił myślą do tego, co zeznał Gaetano Ferretti na temat tajemniczych telefonów do żony. Monica mogła wymyślić tyle wymówek, a wybrała jakąś co najmniej dziwną, mówiąc, że dzwoni jej aptekarz.

– Więc pewnego dnia pod koniec zeszłego roku przyparłam ją do muru i zmusiłam do rozmowy – ciągnęła Luciana. – Ostro się pokłóciłyśmy, jak już dawno się nie zdarzało. I w końcu przyznała się do czegoś strasznego. Czegoś, o czym nie śniłam nawet w koszmarach, czego nigdy nie chciałabym usłyszeć. Nie od swojej siostry. Nie w ten sposób.

Doktor Pisani pokazał się w drzwiach rozradowany, trzymając w ręku pojemnik z moczem małego Tito. Costanza spiorunował go wzrokiem niepozostawiającym wątpliwości i tamten zrobił krok w tył, znikając za ścianą.

– Co to było?

– Ja... nie wiem...

Costanza popatrzył na nią uważnie.

– Cokolwiek mi pani powie, pozostanie to w zaufaniu. Może i jestem psem, ale nie mam zwyczaju sądzić ludzi po błędach, jakie popełnili.

Luciana otarła łzę, pocierając oko wierzchem dłoni.

– Monica... pracowała dla biznesu zarabiającego na prostytucji. Powiedziała, że jakiś czas temu z tego wyszła, ale nie spaliła mostów z niektórymi klientami. To byli przedsiębiorcy, politycy albo po prostu amatorzy luksusu, którzy mogli przehulać miesięczną pensję, żeby zabawić się jak wielcy panowie. – Przerwała, pociągając nosem. – Zawsze lubiła wychodzić wieczorami, chodzić do restauracji, kupować sukienki

i wszystko, na co nie mogła sobie pozwolić z tych groszy, które jej dawał ten nieudaczny mąż.

– Paolo Ginestra był jednym z jej byłych klientów?

– Nie, to znaczy... nie wiem. Był bez grosza, ale wiem, że się lubili. Myślę, że przy nim czuła się pewnie. Tak jakby ich samotność jakoś się dopełniała.

– Mówiła pani kiedykolwiek o jakimś innym mężczyźnie, którego widywała?

– Nigdy nie wymieniała nazwisk. O Paolu dowiedziałam się pokątnie, o reszcie nie wiedziałam nic. Ale jedno mogę panu powiedzieć. Monica miała zwyczaj dawać każdemu przezwisko. Zawsze tak robiła, od dziecka. I był taki jeden... Nazywała go Markizem. Za każdym razem, kiedy o nim mówiła, czułam się jakoś nieswojo. Nie umiem wyjaśnić dlaczego, ale budził we mnie straszne przeczucia.

Stoner przekroczył próg biura ubrany nienagannie jak zwykle.

Scalviati wstał, by uścisnąć mu dłoń.

– Ranny ptaszek z pana, agencie Stoner.

– Najlepsze pomysły przychodzą mi rano – odparł. – Zresztą nie mogłem stawiać się w złym świetle przychodząc spóźniony. To nasze pierwsze oficjalne spotkanie.

– No, jeśli tak na to spojrzeć...

Stoner wskazał na okno, przez które sączyło się słabe światło.

– Dzisiaj niebo jest zachmurzone. Przy tym wietrze zapowiada się niezła burza.

– Lato się kończy – odparł Scalviati tonem człowieka nieobecnego myślami.

Stoner usiadł naprzeciwko niego.

– Mówią, że Włochy są krajem słońca. Byłem pewien, że klimat tu jest zawsze łagodny, trochę jak w Kalifornii.

– Na pewno jest pan Amerykaninem? Myślałem, że to typowo angielski zwyczaj, przełamywać lody rozmawiając o pogodzie.

– Prawdę mówiąc, mój dziadek był Niemcem. Nazywał się Steiner, Isaak Steiner, tak jak ja. Wyemigrował do Stanów na początku wieku, ale pracownik Urzędu Stanu Cywilnego źle zapisał nazwisko, więc stał się Stonerem. Dorastałem, wstydząc się swoich korzeni. Ojciec opowiadał mi, co robili naziści w czasie drugiej wojny światowej.

– Pana ojciec był na froncie?

– *Yes, sir. Marines.*

– Mój ojciec też opowiadał mi o wojnie, kiedy byłem mały – odparł Scalviati z goryczą. – Miejsce piątkowych morderstw było kiedyś sceną potwornej masakry. W czasie niemieckiej okupacji na wzgórzu Pian del Lot było stanowisko obrony przeciwlotniczej Flak. W kwietniu 1944 naziści rozstrzelali z zimną krwią dwudziestu siedmiu chłopaków w odwecie za to, że jeden kapral został zabity przez partyzantów. Większość z nich nie miała jeszcze dwudziestu lat. To był jeden z najokrutniejszych odwetów nazistowskich na terytorium Włoch. Rannych nawet nie dobito. Pogrzebali ich jeszcze konających pod stanowiskiem artylerii. Siedmiu z nich nigdy nie zidentyfikowano.

Stoner spuścił wzrok.

– To hańba, która wykracza daleko poza wojenną strategię.

– Niektóre rany goją się bardzo trudno... I mimo tego, że niektórych odpowiedzialnych postawiono przed Trybunałem Międzynarodowym, nie można powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość. Nie do końca.

– Tak. Ale dziś Niemcy to kraj, który bardzo się różni od tego, o którym opowiadali nasi ojcowie. To kraj podzielony, który próbuje pogodzić się z własną przeszłością. I ja też, na swój sposób, starałem się pogodzić z miejscem pochodzenia mojej rodziny. Przed powrotem do Stanów chciałbym odwiedzić Krefeld w Westfalii, gdzie urodził się mój dziadek.

– Nie jest to pięć minut stąd – powiedział Scalviati. – To daleko na północ, przy granicy z Holandią.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale połączenie do Nowego Jorku ma przesiadkę we Frankfurcie, więc nie będzie tak trudno tam dotrzeć.

– W każdym razie teraz mamy co innego do roboty. Z tego, co wiem, pan też pogrzebał trochę w tej sprawie.

– Powiedział to panu ten policjant? Ten, który popijał colę, śledząc mnie? Scalviati uśmiechnął się pod wąsem.

– Loiacono nie jest mistrzem dyskrecji.

– Przepraszę go za tę pieszą przeprawę, ale nie chciałem utrudniać mu pracy. Zresztą nie mam nic do ukrycia.

– Skąd pan wiedział o astrolabium, które znaleźliśmy w zeszłym roku na miejscu zbrodni?

– Doktor Di Cara powiedział mi o tym medalionie, kiedy był w Quantico. Ten szczegół od razu wydał mi się bardzo interesujący.

– Ale przypuszczam, że nie wie pan, że ten sam symbol znalazłem w Pian del Lot, wyryty na korze jednego z drzew.

Spojrzenie Stonera przez moment straciło niewzruszoność, którą do tej chwili się odznaczało.

– Ten symbol musi być szczególnie ważny dla seryjnego.

Scalviati oparł się na krześle.

– Astrolabium, starożytne narzędzie do mierzenia odległości między ciałami niebieskimi, jak Słońce, gwiazdy...

– ...i Księżyc, z którym nasz obiekt wydaje się mieć jakąś więź.

– Nie umknęło panu, że każde z morderstw popełniono przy pełni księżyca.

– Szczegóły w mojej pracy to podstawa.

– Szczegóły, o których dużo pan wie.

– W tych dniach miałem dużo wolnego czasu.

Scalviati spojrzał na niego spode łba.

– Jednak tych szczegółów nigdy nie ujawniono w mediach.

– Nie trzeba czytać gazet, żeby sprawdzić fazy księżyca, prokuratorze Scalviati.

– Też prawda – przyznał. – Ale nie mogę nie zadawać sobie pytania, co pana na to naprowadziło.

Stoner uśmiechnął się nerwowo.

– *Good point.* Jak już mówiłem, nie chciałem się wygłupić. Co by sobie pan o mnie pomyślał, gdybym przyjechał nieprzygotowany? Wiem, że mogę pomóc w śledztwie, ale znaleźliśmy się na rozdrożu. Od pana zależy, czy mi pan zaufa, czy nie. *Anyway*, jeśli chce pan dać mi formalny przydział do ekipy śledczej, to jestem gotowy brać się do pracy.

Scalviati ważył w myślach jego słowa. Nie mógł zaprzeczyć, że jego sytuacja była trudna. Ale Amerykanin miał rację, nie było już miejsca na półśrodki. Albo przyjmie propozycję współpracy Stonera, albo mógł równie dobrze odesłać go skąd przyjechał, odpuszczając sobie jego teorie o tym, jak złapać seryjnego zabójcę, który nie zostawia śladów na miejscu zbrodni.

Jednak był pewien problem. Nie zadowalały go informacje, jakie zebrał o Stonerze. Wiedział, że był z niego uparty skurczybyk. Poza tym kompletna ciemność. I choć dwa dni wcześniej wysłał faks do konsulatu amerykańskiego, odpowiedź wciąż nie nadeszła.

– No dobrze. – Poprosił Cecilie do biura i wręczył jej teczkę *Krwistoczerwony byk*. – Może mi to pani uprzejmie skopiować?

– Już to robię – odpowiedziała i zaraz zniknęła za progiem.

– W środku jest pełna dokumentacja o trzech sprawach przypisywanych naszemu człowiekowi – ciągnął Scalviati. – Protokoły z wizji lokalnej i z przesłuchań, analizy lekarza sądowego, ekspertyzy, dokumentacja fotograficzna. Jest to oczywiście materiał chroniony tajemnicą procesową, której musi pan strzec jako konsultant prokuratury. Jeśli coś wycieknie do prasy, wsadzę pana w pierwszy samolot do Stanów Zjednoczonych jako *persona non grata*.

– Może pan liczyć na moją dyskrecję. – W tonie Stonera czuć było z trudem ukrywaną nutkę satysfakcji. Było oczywiste, że pragnął tego momentu jak wilk patrzący na najcenniejszą część swojego łupu.

– Ma pan to, czego pan chciał – skwitował Scalviati. – Ile czasu pan potrzebuje, żeby stworzyć profil obiektu?

– Proszę o czterdzieści osiem godzin. Ale mam nadzieję, że pierwsze wrażenia przekażę panu już jutro rano.

Kiedy Leda doszła do spółdzielni, gdzie mieszkała Giulia, dochodziło południe.

Był to skromny budynek w okolicach porta Palazzo wybudowany jakieś dwie dekady wcześniej, kiedy konieczność budowania mieszkań dla imigrantów napływających do fabryk samochodowych pozwalała konstruktorom ignorować wszelkie skrupuły w kwestiach estetycznych.

Burza zaskoczyła ją w momencie, gdy wyszła z redakcji. Deszcz nie przestawał padać, zmuszając ją do schronienia się pod daszkiem osłaniającym bramę.

Potrzebowała całego ranka, by zdecydować się na konfrontację z dawną współlokatorką. Co mogłaby jej zresztą powiedzieć, by usprawiedliwić tak nagłe zniknięcie, jak i niespodziewany powrót na scenę? Leda godzinami przygotowywała jakiś scenariusz, jakby miała znów zdawać egzamin z przygotowania do zawodu dziennikarza. I w końcu zdecydowała, że trzeba skończyć z kłamstwami. Musiała zrzucić maskę i wyjawić swoją tożsamość.

Niestety, świadomość, że trzeba się przyznać do prawdy, sprawiła, że była zdenerwowana jak nigdy. Bo udawanie pozwoliło jej w gruncie rzeczy zdystansować się emocjonalnie od sytuacji, w którą weszła w czasie śledztwa i, w pewnym sensie, rozgrzeszało ją z tego, co robiła. To była prawdziwa bariera dla emocji.

Emocji, które teraz zaczynały ją zalewać, jakby chroniące ją tamy całkiem się rozsypały.

Emocji, którym nigdy nie chciała przyjrzeć się z bliska, ani tym bardziej ich przepracować. Ale fakt, że żyła – choćby przez krótki czas – życiem

alternatywnym, nie oznaczał, że była odporna na cierpienie, które tam spotkała.

Gdy zakończyła śledztwo i wróciła do codzienności, próbowała zamknąć to doświadczenie w jednej z szufladek swojego umysłu, jak wiele innych nierozwiązanych kwestii związanych z pracą.

Ale czasem nachodziła ją wręcz tęsknota, gdy wracała myślą do momentów przeżytych na torach tego równoległego życia.

Teraz trzeba było wyrównać rachunki i Ledę ogarniały sprzeczne uczucia. Kiedy dzwoniła do domofonu, jakaś jej część miała nadzieję, że nikogo nie ma w domu. Że Giulia gdzieś się przeprowadziła, może do innego miasta, bo znalazła dobrą pracę zapewniającą jej i małej Carlocie przyszłość godną tego miana. Że nawet nie zostawiła adresu, bo stare życie zostawiła definitywnie za sobą.

Ale kiedy z głośnika domofonu doszedł wysoki głos Giulii, kolana się pod nią ugięły.

– Kto tam?

– To ja – odpowiedziała, pokonując opór głosu, który ledwie przechodził jej przez gardło. – To... Anna.

Nastąpiło kilka sekund ciszy.

– O mój Boże...

Brama otworzyła się z brzękiem i Leda, po tym jak ostatni raz obejrzała się za siebie, podnosząc oczy nad trakcje tramwajowe, do nieba pokrytego sinymi chmurami, zrobiła pierwszy niepewny krok w stronę dziedzińca, pozwalając, by pochłonął ją półmrok.



– Anna, to naprawdę ty – powiedziała Giulia od progu. Miała na sobie legginsy i oversizową marynarkę, którą zamykała na piersi dłonią. Wielkie błękitne oczy, w których stały łzy, wybijały się na twarzy w kształcie serca o regularnych rysach i z pełnym gracji francuskim nosem.

Leda pokonała ostatni stopień i stanęła przed nią. Zmierzyła ją długim spojrzeniem i spróbowała wywołać na twarzy uśmiech.

– Przepraszam, że nie dawałam o sobie znać.

Policzek. Suchy, niespodziewany.

Potem Giulia przytuliła się do niej z impetem, tak mocno, jakby chciała ją rozgnieść.

– Kiedy zniknęłaś, wyobrażałam sobie wszystko, co najgorsze – wyszeptala. – Całymi nocami nie byłam w stanie zasnąć, a potem, jak to się stało Mimì, było jeszcze gorzej. – Potrząsnęła głową, cofając się o krok. –

Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Nie wiem, czy czuję większą ulgę, czy wkurzenie.

– Musimy porozmawiać.

Tamta zaprowadziła ją do kuchni.

– Jadłam. Jest kawa, jeśli chcesz.

– Chętnie. – Usiadła. Była tak zdenerwowana, że zaczęła bębnić stopą w podłogę. – Jak Carlotta?

Giulia wzięła mokę i nalala kawę do dwóch filiżanek, potem sama usiadła.

– Dziś rano obudziła się z małą gorączką. Śpi w swoim pokoju.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– O, nagle cię to obchodzi?

– Ja... nie... – bąknęła Leda. Potem przygryzła wargę. – Masz rację. Zachowałam się jak suka.

– No to przynajmniej co do tego się zgadzamy. – Giulia nerwowo odgarnęła włosy. Kiedyś opadały jej w nieładzie do połowy pleców. Teraz miała puszystą grzywkę okoloną mocnym tapirem.

– Obcięłaś włosy.

– Serio? Przyszłaś pogadać o mojej fryzurze?

– Nie – przyznała Leda. – Przyszłam powiedzieć ci prawdę.

Wzrok Giulii spochmurniał.

– Prawdę o czym?

– O mnie. – Jej oczy przez chwilę błędziły po pomieszczeniu. – Nie jestem osobą, za którą mnie uważasz.

– Co to znaczy?

– Zniknęłam z dnia na dzień nie bez powodu. Ale to nie był mój wybór.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – odparła Giulia, zagubiona. – I dlaczego nagle mówisz tak świetnie po włosku?

– Nie nazywam się Anna. Nie uciekłam z Chile. Urodziłam się w Barcelonie, nigdy nie miałam trudności materialnych. Nazywam się Leda De Almeida i jestem dziennikarką. – Powiedziała to jednym tchem, jakby bała się, że jeśli nie opróżni tego worka za jednym razem, potem zabraknie jej na to odwagi.

Giulia zmroziła ją spojrzeniem.

– Dziennikarką?...

– Osoba, którą znałaś, nigdy nie istniała. To była przykrywka, zbudowana, żebym mogła wniknąć w ten biznes. Chciałam odkryć, kto tym kierował, bo jestem przekonana, że to ktoś z lokalnych władz. Ktoś, kto wykorzystuje młode dziewczyny w trudnej sytuacji, by wciągnąć je w prostytucję zorganizowaną w zмовie z mafią. Byłam przekonana, że tę historię trzeba opowiedzieć, bo nikt się nigdy nie zajmuje problemami zwykłych ludzi, tym bardziej jeśli chodzi o kobiety w warunkach uwłaczających ich godności.

– Czyli wszystko było w dobrej sprawie.

Leda zignorowała prowokację.

– Chciałam napisać coś, co by to zmieniło. Ale mój redaktor prowadzący zablokował to śledztwo. Musiałam wszystko odpuścić i zostawić także ciebie. Chociaż to było ostatnie, czego wtedy chciałam.

– Wiesz, w dupę sobie wsadź swoją dobrą sprawę – ucięła Giulia. – I swoje dobre intencje, swoją śliczną pracę chujowej dziennikarki. Oszukiwałaś mnie od pierwszego dnia. Kłamałaś mi w oczy. Wpuściłam cię do mojego domu, pozwoliłam ci się zbliżyć do mojej córeczki!

– Przywiązałam się do Carlotty! I przywiązałam się do ciebie. Stałaś się moją przyjaciółką zanim się spostrzegłam. Jedną z niewielu przyjaciółek, jakie kiedykolwiek miałam.

– W chuj się przywiązałaś! Nawet nie wiesz, co to znaczy! Bo nie traktowałaś ludzi jak rzeczy, których się używa, a potem wyrzuca. Jeśli tak rozumiesz przyjaźń, to naprawdę musisz poszukać pomocy.

Leda spuściła głowę.

– Przykro mi.

– Przykro ci?! Że mnie zmanipulowałaś dla jakiegoś głupiego artykułu, który potem porządni ludzie będą mogli przeczytać w kawiarni, jedząc śniadanie, współczując przez chwilę tym wykorzystywanym dziewczynom i myśląc, że jednak ostatecznie to tylko prostytutki i wiedziały, w co się pakują? Porządni ludzie, którzy w następnej chwili o tym zapomną i wrócą do swojego bezpiecznego życia... zresztą dokładnie tak, jak ty to zrobiłaś!

– To nie miał być głupi artykuł – zaprotestowała Leda. – Przyłapałibyśmy winnych, żeby zapobiec dalszemu wykorzystywaniu dziewczyn takich jak ty.

Giulia wstała gwałtownie, odpychając ją ze złością.

– Pieprz się, Ledo De Almeida! Jak śmiesz mnie osądzać! Kto to niby są „dziewczyny takie jak ja”? Te, które zostały odepchnięte, oszukane przez osoby, którym najbardziej ufały? Które nie są w stanie opłacić czynszu, bo

nikt nie da prawdziwej pracy dziewczynie z dzieckiem? Czy te, które nie potrafią się o siebie zatroszczyć, bo nie ma nikogo, kto by je ochronił?

– Nie chciałam cię obrazić. Źle się wyraziłam.

– Nie mogę uwierzyć, że byłam taka naiwna! Tak bardzo przejęłam się twoją sytuacją, że nie zwracałam uwagi na te wszystkie szczegóły, które powinny mnie zaalarmować. Na przykład, że nikt o tobie wcześniej nie słyszał, że ciągle zadawałaś pytania, kto to jest, albo gdzie mieszka ta czy tamta dziewczyna, że ciągle pstrykałaś te głupie fotki! Podeптаłaś życie prawdziwych ludzi tylko po to, żeby tobie się to opłacało. Naprawdę uważasz, że jest jakaś różnica między tobą a ludźmi, którzy kierują tym biznesem?

– Teraz to już przesadzasz. Wiem, że źle zrobiłam, ale zrobiłam to w dobrej wierze. I nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. To nie miało się tak skończyć. Chciałam powiedzieć ci prawdę wtedy, kiedy będziesz gotowa ją przyjąć i może pomóc mi w opisanu tego wszystkiego.

Giulia odwróciła się do niej tyłem i stanęła w oknie, patrząc ostentacyjnie w szybę, na którą spadały krople deszczu.

– Dlaczego przyszedłaś właśnie teraz?

– Z powodu Moniki – odpowiedziała. – Miałam nadzieję, że możesz mi coś o niej powiedzieć. Podejrzewam, że ten, kto ją zabił, był jakoś związany z biznesem.

Giulia odwróciła się gwałtownie ze wzburzonym wyrazem twarzy.

– Wynocha stąd. Idź sobie. I więcej się tu nie pokazuj.

Leda wstała i spróbowała do niej podejść, ale tamta ją odepchnęła.

Ostre ukłucie bólu rozlało się od biodra aż do kostki. Leda zatoczyła się do tyłu i musiała oprzeć się o zlew, by nie stracić równowagi. Tak jakby wszystkie pretensje przyjaciółki wyładowały się na tych starych bliznach.

Przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, łapiąc oddech, zaciskając zęby i powieki, jakby to mogło wystarczyć, by odgonić ból. Wydawało jej się, że noga złapała się w pułapkę. Wzrok stracił ostrość, do oczu napłynęły łzy.

Giulia patrzyła na nią, jakby była jakimś dziwnym zwierzęciem.

Idąc wolno, z trudem, Leda ruszyła do wyjścia, nie mówiąc już ani słowa.

Zanim otworzyła drzwi, wyciągnęła z kieszeni kurtki fotografię i położyła ją na półce w korytarzu.

Polaroidowe zdjęcie z pięcioma dziewczynami, w wieczór urodzin Giulii, kiedy Monica Ferretti zwana Mimì przez nieuwagę wylała kieliszek szampana i wszystkie się śmiały, uskakując przed lejącym się płynem.

Z konsulatu amerykańskiego oddzwonili późnym popołudniem, kiedy Scalviati przestał już na to liczyć.

Wcześniej czytał raport Di Cary o wyjętych ze zwłok kulach. Bronią, z której oddano strzały, był znów pistolet beretta. Ciężko ustalić dokładny model. Taki typ naboju mógł być włożony do siedmiu modeli o kolejnych numerach od 70 do 76, które różniły się między sobą stylem wykonania, długością lufy i pojemnością magazynka.

Scalviati przyjął w biurze inspektora Costanzę, który przekazał mu informacje od Luciany Bonfante.

*Markiz.* Prokurator zanotował dużymi literami w terminarzu ten pseudonim, świadomy, jak trudno będzie zidentyfikować tego człowieka.

– Scalviati – powiedział, podnosząc słuchawkę.

– Dzień dobry – powiedział głos z amerykańskim akcentem z drugiego końca linii. – Nazywam się David Terrazzano, jestem sekretarzem w Konsulacie Generalnym Stanów Zjednoczonych.

– Witam pana, panie Terrazzano.

– Chciałbym panu przekazać, że otrzymaliśmy pana prośbę o informacje przesłaną faksem. Nie mogę zaprzeczyć, że wydała mi się bardzo niecodzienna.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Proszę być pewnym, że nie chodzi tu o podejrzliwość, ale o prawdziwą wolę zrozumienia zadania powierzonego agentowi Stonerowi, żeby jak najlepiej mu pomóc.

Bezwstydnie kłamał. Scalviati miał wobec Stonera więcej podejrzeń niż kiedykolwiek, ale nie mógł przecież wymachiwać nimi na wszystkie strony. Tym bardziej nie mógł dzielić się nimi z funkcjonariuszem konsulatu, ryzykując spowodowanie incydentu dyplomatycznego. Chodziło mu o to,

żeby sprawdzić, czy Stoner działa poprzez kanały instytucjonalne, czy kieruje się pobudkami osobistymi.

– Czy dzielił się pan tymi wątpliwościami z bezpośrednio zainteresowanym?

Scalviati odczekał chwilę zanim odpowiedział. Dobrze wiedział, że musi ważyć każde słowo, żeby przezwyciężyć nieufność interlokutora.

– Oczywiście. Był uprzejmy, ale dość wymijający. Uznałem więc, że będzie dobrze skontaktować się z konsulatem, żeby skorzystać z oficjalnego kanału komunikacji, do którego Stoner powinien się odnieść. Proszę tylko o jakieś wyjaśnienie, które pozwoliłoby mi lepiej zrozumieć jego stanowisko.

Terrazzano po drugiej stronie linii milczał przez kilka chwil, które wydawały się wiecznością. Może powiedział za wiele, może zabrzmiało to, jakby działał w złej wierze? Może tamten okopie się za grzeczną, ale stanowczą odmową współpracy?

– Żeby było jasne, nie chcę kwestionować, że to uprawnione pytanie – powiedział Terrazzano. – Ale muszę pamiętać, że rozmawiamy o amerykańskim funkcjonariuszu działającym w obcym państwie. To delikatna sprawa i nie mogę telefonicznie udzielać panu wyjaśnień, o które mnie pan prosi.

Na to potwierdzenie czekał Scalviati. Naprawdę było coś dziwnego w obecności Stonera w Turynie. Jakaś strategia, którą Amerykanin próbował ukryć swoimi unikami i irytującym milczeniem.

Więc może za szybko przekazał mu dokumentację śledztwa? Czy miał sądzić, że w tych teczkach ukryte były jakieś informacje, które zaalarmowały rząd Stanów Zjednoczonych tak bardzo, że przysłali agenta, by prowadził śledztwo pod przykrywką?

– Rozumiem – powiedział po prostu.

– Czy chciałby pan spotkać się ze mną w moim biurze, w siedzibie konsulatu w Mediolanie?

– Bardzo bym się z tego ucieszył. Możemy nawet jutro rano, jeśli to nie przeszkodzi panu w pracy, oczywiście.

– Jutro rano? – z drugiej strony linii dobiegł szelest kartek. – Tak, myślę, że da się to zrobić. Możemy się umówić na dziesiątą?

– Niech będzie dziesiąta.

– Wobec tego do jutra, prokuratorze Scalviati.



– Jutro rano muszę jechać do Mediolanu. Mam spotkanie w konsulacie amerykańskim.

Greta odłożyła widelec i popatrzyła na męża z wahaniem.

– W konsulacie? Planujemy podróż do Stanów Zjednoczonych?

– Nie chodzi o wizę, to sprawy służbowe.

– Aha.

– Co nie znaczy, że w przyszłości...

– Oszczędź sobie tej śpiewki o przyszłości – odparła. – Jedno, co jest pewne, to że zawsze znajdziesz jakiś powód, żeby odłożyć podróż, które planowaliśmy przed ślubem. Na początku chodziło o twoją karierę, potem o kredyt na dom, teraz o dziecko. Biedaczka, pewnie zanim osiągnie pełnoletniość, ani razu nie zobaczy morza.

– No, w tym roku byliśmy na Capri. Morze nie jest tam złe, co?

– Szkoda, że miałam nadzieję, że to dobry czas na zwiedzenie Portugalii. Pałacu Sintra, opactwa Alcobaça, księgarni Lello z książkami po portugalsku. Zamiast tego tydzień z japiszonami, którzy głądzili o dywidendach i fluktuacjach na rynku akcji, to było wykańczające.

– Za rok możemy zaplanować podróż do Lizbony.

– Albo do Aten.

– Czemu nie.

– Jedziesz sam?

Scalviati zmarszczył czoło.

– Przepraszam, dokąd?

– Do Mediolanu.

– Tak, oczywiście.

– Mogłabym jechać z tobą.

Zaskoczony, Scalviati nie ukrył w porę grymasu zakłopotania.

– To chyba nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? Przecież nie zamierzam ci przeszkadzać w twoim ważnym spotkaniu. Od dawna chcę zwiedzić Pinakotekę Brera. Może to odpowiednia okazja. Zresztą co ma konsulat do twojej pracy?

– To długa historia. Jest taki Amerykanin, niejaki Stoner, który wszędzie wciska nos. Żeby było ciekawiej, to agent FBI.

– Proszę, proszę – skomentowała Greta. – Skoro ten Stoner jest taki nachalny, to czemu nie zajmie się nim Bevilacqua?

– Bevilacqua podrzucił mnie tego gorącego ziemniaka. Stoner wydaje się zainteresowany moim śledztwem.

– I mrok wokół sprawy się zagęszcza – skomentowała, by zająć się resztą swojej porcji gulaszu.

– W każdym razie wolę jechać sam. Mam dużo pracy, nie mogę sobie pozwolić na stratę całego dnia. – Złagodził ton i dodał: – Będzie jeszcze okazja do podróży dla przyjemności, do Mediolanu albo każdego innego miasta, które będziesz chciała zwiedzić.

Greta nie odpowiedziała.

Po skończonym posiłku naląła sobie barolo na jeden palec, zaczęła obracać je w kieliszku, patrząc prowokująco na męża, jakby czekając na obiekcje albo wymówki z jego strony, które jednak się nie pojawiły.

Powoli piła wino. Potem, pod uważnym spojrzeniem Scalviatego, wstała i zaczęła sprzątać jego stronę stołu, poruszając z gracją dłońmi migocącymi od pierścionków, wkładając talerze i szklanki do zmywarki wdzięcznym gestem. Wreszcie przeniosła się na sofę i z zamyślonym wyrazem twarzy zaczęła czytać książkę w pogiętej okładce.

Była daleka.

W swoim niedostępnym miejscu.

Scalviati zdał sobie sprawę, że był zbyt kategoryczny. Ale problem polegał na tym, że już wiedział, jakby się to skończyło, gdyby pozwolił

żonie jechać ze sobą. Greta chciałaby zatrzymać się na obiad, może w jakiejś restauracji, o której słyszała dobre opinie, potem spędzić popołudnie na spacerach pod rękę, najpierw po deptaku, a potem w dzielnicy projektantów mody, oglądając wystawy luksusowych sklepów i marząc o założeniu wystrzałowej kreacji, kiedy tylko wróci do dawnych kształtów.

A może był po prostu zarozumiały? Zawsze uważał, że już wcześniej wie, jak potoczą się sprawy, nawet jeśli nic nie było takie oczywiste? Może za daleko wybiegał wyobraźnią. Zresztą sam wiedział, że zachowanie Grety umykało wszelkim prognozom.

Bo ona była zagadką nie do rozszyfrowania. Jak jej oczy.

Było takie zdjęcie Grety, oparte na półce ściennej przy wejściu. Scalvati patrzył na nie codziennie, wracając z pracy. Często, odkładając klucze i portfel, zatrzymywał się, by na nie popatrzeć.

Był to portret sprzed lat, zrobiony za kulisami inscenizacji *Makbeta*, gdzie grała jedną z trzech wiedźm. Miała na sobie kostium: długą szatę z detalami z metalu i naszyjnikiem z lusterek. Na głowie miała futrzany toczek z wpiętymi płaskimi kamieniami. Została uchwycona w momencie przerwy w próbie generalnej. Prawdopodobnie nawet nie zauważyła obecności fotografa.

Rzadko widział u niej ten promienny uśmiech. Zawsze myślał, że na tym zdjęciu Greta wydaje się być gdzie indziej, z nieuchwytnym, niemal rozmarzonym spojrzeniem, jakby dotarła do tego miejsca wewnątrz siebie, gdzie nikt nie mógł jej niepokoić.

Czasami to zdjęcie wywoływało w nim dziwną melancholię.

Może tęsknotę za czymś, czego nigdy nie potrafił określić, ale co – tego był pewien – nigdy już nie wróci.

I strach, że mimo wszystkich prób zbliżenia się, w tym miejscu nigdy nie będzie mógł jej spotkać.

Że miłość nie wystarczy, by zapewnić im jedność, że zawsze będą wobec siebie dalecy. Że nigdy nie będą jednością, tylko dwiema jednostkami,

które idą razem drogą życia.

Scalviati zadawał sobie często pytanie, czy to spojrzenie pojawi się znów, gdy Greta zostanie matką, mając irracjonalną obawę, że czar przysł już w momencie, gdy była zmuszona rozstać się ze sceną.

Zanim wstał od stołu, zadał sobie pytanie, czy także ich córka w przyszłości będzie próbowała zbliżyć się do wewnętrznego świata matki, do którego, być może, nigdy nie uda jej się wejść.

Leda odłożyła młotek na biurko i zawiesiła zdjęcie na gwoździu, który wbiła w ścianę pomiędzy oknem a plakatem *Magnum P.I.*

– I co powiesz?

Carlo cofnął się o krok, by zobaczyć z perspektywy, jak nowy element komponuje się z umeblowaniem jego pokoju.

– Muszę powiedzieć, że te pająki są trochę straszne.

Leda oprawiła w ramkę jedno ze zdjęć zrobionych przez syna na moście Wiktora. To miała być zachęta, by kontynuował swoje eksperymenty na taśmie, idąc śladami dziadka fotoreportera.

– Dobre zdjęcie musi coś przekazywać, a twoje z pewnością nie pozostawia widza obojętnym.

– Dobrze, ale nie jestem pewien, czy będę mógł zasnąć obserwowany przez te cosie.

– Jeśli są takie straszne, to czemu je sfotografowałeś?

– Bo miałem wrażenie, że to coś ważnego. Nawet nie byłem pewny, czy te pająki zostaną na moście. Sądziłem, że wrócę następnego dnia i zastanę wszystko w porządku. Nie mogłem sobie wyobrazić, że staną się czymś w rodzaju atrakcji turystycznej.

– I dlatego już cię nie obchodzą? Bo wszyscy o nich mówią?

– Skąd. – Carlo pokręcił głową. – Rzecz w tym, że patrzenie znowu na to zdjęcie mnie niepokoi. Może to kwestia kadrowania, tego wyraźnego światła... Rower leżący na chodniku i samochód, który śmiga koło niego. To wygląda jak scena wypadku.

Leda spojrzała na niego zrezygnowana.

– Najwyżej powiesimy je w korytarzu.

– Albo jutro sprezentujemy je tacie do jego nowego domu. Wyobrażasz sobie jego minę?

Leda zapomniała o kolacji z Iacopo. Odsunęła od siebie wzruszeniem ramion myśl o tym, że godzinami będzie musiała znosić jego nową dziewczynę.

– Dobrze, możesz zrobić, co chcesz ze swoim zdjęciem, ale masz prawo być z niego dumny. Na początku pomyślałam nawet, żeby je sprzedać gazecie na ilustrację artykułu o pająkach.

– Czemu nie? To byłby mój pierwszy zarobek fotoreportera.

– Tak naprawdę to je zaproponowałam, ale w redakcji uznali je za zbyt dramatyczne.

– To zrozumiałe – odparł Carlo z wyższością.

– Słuchaj, jeśli naprawdę nie chcesz go mieć koło łóżka...

*Dryyyyń! Dryyyyń!*

Leda przerwała rozproszona dzwonieniem dochodzącym z kuchni.

Spojrzała na zegarek. Dziesiąta wieczorem. Rzadko ktoś do niej dzwonił o tej porze.

– Czekasz na telefon od któregoś z przyjaciół?

Carlo wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Leda ruszyła do kuchni i podniosła słuchawkę. Może to Giulia zmieniła zdanie?

– Halo?

Odpowiedział jej sygnał wolnej linii. Ktokolwiek dzwonił, już odłożył słuchawkę.

Nie, to nie mogła być Giulia. Nie dała jej przecież numeru, a w książce telefonicznej ten numer figurował jeszcze pod nazwiskiem Iacopo.

– Kto to był? – usłyszała głos syna.

– Nikt – odpowiedziała. – Pewnie pomyłka.

Właściwie to mógł być właśnie Iacopo. Przez chwilę Leda miała nadzieję, że były mąż chce odwołać kolację. Jego nowa dziewczyna była projektantką mody, to by była wielka ulga nie musieć wysłuchiwać jej przemówień o trendach na nadchodzącą jesień.

*Dryyyyń!*

Telefon znów zaczął dzwonić.

– De Almeida.

Cisza po drugiej stronie linii.

– Halo?

Cisza, w której jednak można było wyróżnić jakiś cichy, rytmiczny odgłos.

– Jest tam kto?

Jak ciężki oddech.

Leda odłożyła słuchawkę.

– Idiota – powiedziała do siebie.

Zezłoszczona została przy aparacie. Ale nie było powodów do paniki. To na pewno kiepski żart. Jakiś dzieciak otworzył książkę telefoniczną w przypadkowym miejscu i chciał się zabawić.

*Dryyyyń!*

– Halo!

Znów ten pełzający, zakradający się oddech.

– Jeśli to ma być żart, to nie jest śmieszny – i trzasnęła słuchawką.

Leda poszła do łazienki i wzięła prysznic, ale woda spływająca po ciele nie mogła przegnać jej niepokoju. Bo to nie wyglądało jak typowy telefoniczny żart, który zazwyczaj kończył się jakimś błyskotliwym zdaniem albo wybuchem śmiechu.

Wręcz przeciwnie, w tym oddechu było coś złowrogiego. Coś, co zmroziło w niej krew. Jakby połączyła się telefonicznie z jakąś mroczną istotą.

Gdy suszyła włosy, jej umysł nie przestawał wypracowywać coraz bardziej fantazyjnych wyjaśnień.

A może ktoś z biznesu obserwował Giulię, czekając na fałszywy krok z jej strony?

Czy to możliwe, żeby ten *ktoś* ją śledził?

Kiedy wychodziła z mieszkania Giulii, była zbyt poruszona, by zwrócić na to uwagę.

– Cholera, co ja wymyślam – powiedziała do siebie.

A jednak pozostała pobudzona przez resztę wieczoru, a kiedy się położyła, myśl o tym telefonie była ostatnią, zanim odpłynęła w niespokojny sen.



Fasada konsulatu amerykańskiego była strzeżona przez patrol żołnierzy z dobrze widocznymi karabinami stojącymi obok małej ciężarówki ze znakiem armii włoskiej. Kwadratowa wieża, na której powiewała gwiazdzista flaga, wznosiła się na szczycie imponującego budynku w kształcie prostokąta o widocznych wpływach racjonalistycznych.

Scalviati pojechał pociągiem o siódmej. Jak zwykle wolał ruszyć z dobrym zapasem, żeby nie ryzykować, że opóźnienie zaburzy jego plan zajęć.

Wybrał wagon pierwszej klasy, nie dlatego, że lubił towarzystwo menadżerów i białych kołnierzyków, ale dlatego, że kochał ciszę. W wagonach drugiej klasy jechały tłumnie rodziny, turyści i pracownicy dojeżdżający do miasta, a ciągły szmer nie pozwalał na skupienie myśli. Potrzebował koncentracji, by przygotować się na spotkanie z sekretarzem konsularnym. Na dworzec w Mediolanie jechało się dwie godziny i zamierzał poświęcić je na rozmyślanie o sprawie.

Czuł większą presję niż kiedykolwiek. Przy każdej rozmowie z prokuratorem okręgowym, nawet najbanalniejszej, czuł ciężar jego oczekiwań, jakby Bevilacqua był przekonany, że w każdej chwili może nastąpić przełom w śledztwie, który będzie można triumfalnie obwieścić prasie.

Czuł na sobie oczy całego miasta, świadomy, że na razie bynajmniej nie oceniano pochlebnie jego działań. I trzeba było podziękować tej reporterce, że wywalila to – dosłownie – na pierwszej stronie.

Krajobrazy przemykały za oknem, a Scalviati wrócił myślą do nazwiska, które pojawiło się w czasie przesłuchań: Salvatore Canu. Zastanowił się, jakie podejście byłoby najlepsze w stosunku do kogoś takiego jak on. Przesłuchiwał go po morderstwie Roberta Lescaux i Alice Dallary, ale

tamten po prostu wszystkiemu zaprzeczał. Powiedział, że nigdy nie znał zamordowanego chłopaka, a tym bardziej nie był zamieszany w handel narkotykami. Z tego, co mówił, było to nieporozumienie wynikające z podobieństwa nazwisk z handlarzem dragów Canoi, który działał na początku lat osiemdziesiątych, a potem zniknął z radarów po wyjeździe do Kolumbii.

Scalviati pamiętał z przesłuchania jego zimny głos. Kiedy próbował rozszyfrować jego reakcje, wydawało się, że tamten też go rozpracowuje.

Nie trzeba dodawać, że Canu miał wtedy żelazne alibi. Widziano go w kasynie w Saint-Vincent w noc morderstw. Ale jeśli pogłoski na jego temat miały jakieś podstawy, to przekupienie świadków byłoby dla niego dziecinną zabawą.

Salvatore Canu zarządzał wraz z bratem Efisiem spółką handlującą sardyńskimi produktami regionalnymi, której księgi rachunkowe były – jak się zdawało – w doskonałym porządku. Scalviati kazał go śledzić. Kazał kontrolować jego telefony. Ale jego zachowanie było bez zarzutu. Jeśli naprawdę równolegle prowadził handel narkotykami, to bardzo zręcznie unikał kontroli.

I tak, z braku obiektywnych potwierdzeń, prokurator był zmuszony zawiesić śledztwo wobec niego. Kilka miesięcy później zaczęło się dochodzenie policji finansowej na temat hazardu, ale zostało uznane za niezwiązane ze sprawą morderstw.

Teraz wszystko się zmieniło. To nie mógł być zbieg okoliczności, że jego nazwisko wypłynęło w dwóch z trzech podwójnych morderstw przypisywanych potworowi.

Nadszedł moment, by wymyślić skuteczniejszą strategię przygwoźdzenia Canu. A inspektor Costanza był bez wątpienia odpowiednim człowiekiem do takiego zadania.

Widok budynku konsulatu wyrwał Scalviatiego z rozmyślań, które towarzyszyły mu przez całą drogę. Zbliżył się szybkim krokiem, minął kolejkę osób, które czekały przed wejściem i ignorując protesty niektórych

z nich skierował się bezpośrednio do strażnika przy wejściu, informując go o umówionym spotkaniu z sekretarzem.

– Na drugim piętrze – odpowiedział, pozwalając mu wejść.

Scalviati skierował się w stronę schodów, ale zanim zdołał wejść na pierwszy stopień, usłyszał za plecami władczy głos.

– Halo! Gdzie się pan wybiera?

Był to jakiś osiłek w stroju ochroniarza, o przenikliwym wzroku i wyrazistych brwiach odcinających się od twarzy jak z granitu. Miał bliznę biegnącą z boku szyi aż pod uniform. Mężczyzna przekroczył czterdziestkę, ale prawdopodobnie w fizycznym starciu wygrałby z każdym połowę młodszym od niego.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati, prokuratura w Turynie. Jestem umówiony z panem Terrazzano.

– Mogę zobaczyć pana dokument?

– Oczywiście – pod uważnym wzrokiem ochroniarza Scalviati wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, by wyciągnąć z niej portfel.

– Nie ma takiej potrzeby – przerwał mu człowiek nadchodzący z przeciwnej strony hallu.

Miał zapadniętą twarz o regularnych rysach, przez czoło i pod kośćmi policzkowymi przechodziło kilka zmarszczek. Ciało opinał mu elegancki granatowy garnitur z jaskrawą poszetką wystającą z kieszonki na piersi.

– *Thank you, Kristof, you can go* – dodał. – *Mister Scalviati is with me.*

– Pan Terrazzano? – spytał Scalviati, wyciągając rękę.

Tamten ścisnął ją energicznie.

– Miło mi pana poznać, panie Scalviati. Mam nadzieję, że podróż przebiegła dobrze.

– Widzisz? Nie odpowiada. – Leda wciąż stukała w klawiaturę komputera, nie doczekując się reakcji. Cursor migał pod tekstem widocznym na ekranie, jakby się ze niej śmiał.

Technik podrapał się w kark, zamyślony.

– Nie rozumiem. Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby się tak zawiesił.

– Jakiś problem? – wtrącił się Enrico Loi.

– Tak – wypaliła Leda. – Zawsze mówiłam, że tym dynksom nie można ufać.

– Mówiąc „dynksy”, masz na myśli nowoczesne komputery osobiste, które szalenie przyspieszyły proces składu?

– Gdybyś mi pozwolił używać mojej maszyny do pisania, nie miałabym teraz kłopotu.

– Nie zapisałaś kopii tego artykułu?

– Dlaczego miałabym to robić? Jeszcze go pisałam!

Technik nieśmiało podniósł palec wskazujący, jakby prosząc o głos.

– Dobrym zwyczajem jest często zapisywać dokumenty, żeby zapobiec utracie danych w razie awarii prądu.

– I to ma być logiczne? – odparowała Leda. – A wiesz, że maszynopis zostaje na kartce nawet w czasie black-outu?

– Witamy w dwudziestym wieku – rzekł uroczyście Loi. – W erze układów scalonych.

– Raczej rozłączonych.

– Obawiam się, że jedynym sposobem na odblokowanie urządzenia będzie reset – wtrącił technik.

– Mogę? – Loi ostrożnie podszedł do biurka.

– Zapraszam serdecznie. Ta partia jest już przegrana.

Loi pochylił się i zaczął macać tył skrzyni komputera.

– Masz nadzieję, że obudzi się od łaskotek?

– Podłączam na nowo klawiaturę. Spróbuj teraz.

Leda niechętnie wcisnęła kilka klawiszy i w magiczny sposób litery zaczęły wyskakiwać na ekranie.

– Ops – bąknęła. – Pewnie się rozłączyła, kiedy przesunęłam monitor. Faktycznie, poczułam szarpnięcie.

– Przepraszam – powiedział technik. – Tak już przywykłem do kaprysów tych maszyn, że nie przeszło mi przez myśl, żeby najpierw sprawdzić podłączenia.

– Wybaczone – powiedział Loi, kiedy tamten odchodził. I dodał, patrząc na Ledę: – Ale wydajesz mi się jakaś zdenerwowana dziś rano.

– Ja? Co ty mówisz! Najzwyklejszy czwartek. – Mogła okłamywać samą siebie, ale spotkanie z Giulią i ten dziwny telefon zostawiły w niej utajony niepokój.

– Ma to coś wspólnego z twoim odkryciem?

– Właśnie, w związku z tym. Spotkałam się... – Leda przerwała nagle, wbijając w osłupieniu wzrok w jakieś miejsce w głębi sali.

Loi zmarszczył brwi.

– Z kim się spotkałaś?

Na progu pojawiła się Giulia, trzymając za rękę małą Carlottę. Stała nieruchomo, rozglądając się trochę niepewnie.

– Giulia! – krzyknęła Leda, by przebić się przez szmer sali, podnosząc rękę, by być bardziej widoczna. Poszła w jej kierunku, ale kiedy stała już przed nią, musiała się powstrzymać przed objęciem jej, obawiając się, że tamta poczuje się niezręcznie.

– Leda – wymamrotała Giulia.

– To ja.

– Mimo wszystko to ładne imię.

– Dziękuję – Leda uśmiechnęła się do dziewczynki. – Mój Boże, jak ty urosłaś!

Carlotta, trzylatka o rudawych, poczochranych włosach i z uroczymi piegami na nosku, patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami; usta miała zaciśnięte, ale lekko drżące, jakby zaraz miała coś powiedzieć albo wybuchnąć płaczem.

– Pamiętasz mnie, prawda? Jestem ciocia Anna, ta, która ci opowiadała przed snem historie o świstaku Poldziaku. Przepraszam, że tak nagle zniknęłam. Naprawdę strasznie mi przykro...

Carlotta nie odpowiedziała, ale na jej buzi pojawił się uśmiech. Wyciągnęła rękę.

Leda dała jej palec, pozwalając, by dziewczynka go uścisnęła, jakby przedstawiała jej się pierwszy raz.

– Cieszę się, że znów się widzimy. – Potem zwróciła się do Giulii. – Chodźmy do salki konferencyjnej, będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Giulia cofnęła się o krok.

– Nie mam dużo czasu, mamy wizytę u pediatry.

– To może kawa? W barze na dole jest świetne *bicerin*.

– Przyszłam ci to oddać – Giulia dała jej grupowe zdjęcie zrobione w dniu jej urodzin.

– Miałam nadzieję, że będziesz chciała je zatrzymać.

Giulia tylko pokręciła głową.

– Nie proszę, żebyś mi przebaczyła – westchnęła Leda. – Ale daj mi dwie minuty na wyjaśnienie, dlaczego to zrobiłam. Potem możesz mnie już nigdy nie zobaczyć, jeśli tego właśnie chcesz.

Biuro sekretarza konsularnego było skromnie umeblowane: kilka egzotycznych roślin doniczkowych i kilka mebli, na których ustawiono dekoracyjne bibeloty. Szafa na dokumenty ustawiona była koło okna wychodzącego na ulicę, obok była wyeksponowana amerykańska flaga. Wśród obrazów na ścianach wyróżniał się portret prezydenta Reagana.

– Przepraszam za Kristofa – powiedział Terrazzano. – Jest bardziej przyzwyczajony do twardości pola bitwy niż do subtelności dyplomatycznych.

– Jest weteranem? – spytał Scalviati. – Nie dało się nie zauważyć blizny na szyi.

– To pamiątka od ludzi z Sajgonu, z czasu służby w Wietnamie. Miejmy nadzieję, że nie będziemy już oglądać takich konfliktów. Negocjacje o rozbrojeniu nuklearnym wyglądają obiecująco i przynoszą atmosferę rozluźnienia, jaka jeszcze kilka lat temu byłaby niewyobrażalna.

– Zgadzam się. Zważywszy na nasze strategiczne położenie, Włochy skorzystałyby na deeskalacji zimnej wojny. Na pewno dobrze pan rozumie, o co mi chodzi.

Nastąpiła naelektryzowana cisza, w trakcie której rozmówcy wydawali się wzajemnie badać. Potem Terrazzano uśmiechnął się z satysfakcją.

– Podoba mi się pan, prokuratorze Scalviati. Wyraża się pan bezpośrednio, to dość rzadka zaleta w pana zawodzie. I moim też.

– Wymóg dyplomatyczności nie jest niezbędny w pracy w wymiarze sprawiedliwości.

– Więc ja też będę bezpośredni. Przyznaję, że w innych okolicznościach po prostu zignorowałbym pana pytanie.

– W takim razie, jakie okoliczności pana przekonały, żeby na nie odpowiedzieć?

Terrazzano wzruszył ramionami.

– Przede wszystkim jego ton. Sposób, w jaki bez specjalnego owijania w bawełnę wyraził pan konieczność wyjaśnień w sprawie obecności agenta specjalnego Stonera we Włoszech. Jest pan człowiekiem szukającym prawdy i to musi budzić podziw.

– To rzecz punktu widzenia. Wielu lokatorów gmachu w Vallette widzi to inaczej.

– Nie wątpię – odparł Terrazzano. – W każdym razie mam zamiar być z panem zupełnie szczerzy, nie tylko dla dobra relacji między naszymi krajami, ale również dlatego, że prowadzi pan bardzo ważne śledztwo. Chciałbym jednak, żeby zrozumiał pan, że nie jest mi łatwo zaprzeczyć części informacji zawartych w dokumencie, który mi pan wysłał.

– Co ma pan na myśli?

– Twierdzi pan, że poznał pan agenta Stonera w zeszłą sobotę, w trakcie wizji lokalnej na miejscu morderstwa będącego, jak się wydaje, częścią serii, która rozpoczęła się ponad rok temu.

– Dla dokładności, podwójnego morderstwa.

Sekretarz oparł łokcie na biurku i splótł dłonie.

– Mogę więc sobie wyobrazić pana zaskoczenie, gdy spotyka pan na miejscu pracownika obcych służb, który motywuje swoją obecność chęcią współpracy przy śledztwie – mówił tonem spokojnym, ale z lekkiego drżenia palców przebijało zdenerwowanie.

– Właśnie tak powiedział – skomentował Scalviati.

– Powiedział też, że przyjechał do Włoch kilka dni wcześniej, w uzgodnieniu z pańską prokuraturą.

– Dokładnie. Jednak prokurator Bevilacqua wyjaśnił mi, że była to inicjatywa jednostronna. Delikatnie mówiąc, oferta współpracy w śledztwie nie dotarła do naszych organów.



– Czy to możliwe, że pojawiło się jakieś nieporozumienie? – zasugerował Terrazzano. – Nie wiem, może pobieźny przekład depeszy z FBI, który doprowadził do nieporozumienia w sprawie czasu i sposobu uzgodnienia tej współpracy...

– Nie sprawdzałem jeszcze korespondencji archiwalnej, nie mogę wykluczyć takiej możliwości.

Terrazzano odchrząknął.

– Widzi pan, zadaniem konsulatu jest między innymi pomoc współobywatelom, którzy goszczą w obcym państwie. W przypadku agenta Stonera skontaktowano się ze mną, by ułatwić jego przybycie na wasze terytorium. Osobiście poinformowałem go o relacjach między organami sądowymi naszych krajów i dałem mu kilka praktycznych rad. Na przykład, gdzie się zatrzymać albo jaka jest wartość waluty – muszę panu powiedzieć, że to często budzi zmieszanie u osób przyzwyczajonych do dolara.

– Nie ma w tym nic dziwnego.

– Faktycznie, nie ma. – Terrazzano wziął z biurka pióro i zaczął bawić się skuwką. Przez moment wyglądał wręcz na zmieszanego. Mimo że obiecywał pomoc, wydawał się walczyć między naturalną lojalnością wobec funkcjonariusza swojego kraju a szczerą chęcią spełnienia prośby prokuratora. Kiedy znów zaczął mówić, ton jego głosu był niższy, jakby właśnie miał zdradzić jakąś tajemnicę. – Niestety, ta wymiana informacji miała miejsce już dość dawno. Widzi pan, agent Stoner jest we Włoszech od dwóch miesięcy.

– Nie musisz mi nic tłumaczyć – powiedziała Giulia. – Wystarczy mi to, co powiedziałaś wczoraj.

– Więc czemu chciałaś się ze mną spotkać? – spytała Leda.

W czasie, gdy popijały kawę, mała Carlotta zmagала się z wielką szklanką spienionego mleka szczerze posypanego kakao. Niezręcznie grzebiąc łyżeczką wyjmowała spore porcje słodkiej pianki, które potem wciągała za jednym razem.

– Sama nie wiem. Może chciałam zobaczyć, jak żyjesz?

– I jak to dla ciebie wygląda?

Giulia wzruszyła ramionami.

– Nic specjalnego.

– Masz rację, ty też mogłabyś tak żyć. Życiem „nic specjalnego”, które pozwoliłoby ci nie musieć już... – Leda nie dokończyła zdania. – Znam kogoś, kto mógłby ci pomóc wejść w świat pracy.

– Nie rób tego. Nie traktuj mnie protekcyjnie.

– Cholera, Giulia. Wiem, co sobie myślisz. Nie ma nic złego w tym, żeby przyjąć pomoc.

– Uważasz, że biurko w redakcji daje ci prawo osądzać ludzi? Nie masz bladego pojęcia, jak funkcjonuje świat. I nic nie wiesz o mnie. O tym, co musiałam przejść, o uprzedzeniach, z którymi się zderzałam i o tym, jak często trzaskano mi drzwiami przed nosem. Ale powiem ci jedno: jestem już kimś innym niż osoba, którą poznałaś. I może powinnam ci podziękować, że otworzyłaś mi oczy. Bo ludzie tacy jak ja, obici przez życie, muszą sobie wydrzeć zębami to, co im się należy. I naprawdę zamierzam pokazać zęby.

– Nie myśl, że mnie życie nie obilo. O mało mnie nie zabili, kiedy bylam w Libanie.

– A po co tam jechałaś?

– Robiłam śledztwo o handlu bronią.

Giulia uśmiechnęła się szyderczo.

– Widzisz, to jest właśnie różnica między tobą a mną. Ja nigdy nie miałam wyboru. Ty mogłaś studiować, wybrać karierę, która wydawała ci się najodpowiedniejsza dla twoich zdolności. Miałaś wszystko, ale najlepsze, co przyszło ci do głowy, to było rzucenie się w środek wojny, żebyś potem mogła narzekać na konsekwencje. A ja pochodzę z rodziny biednych ludzi. Mój ojciec jest stolarzem, który ledwo zarabia na utrzymanie rodziny. Kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, to miałam przed sobą dwie możliwości: albo zostać w miasteczku jako pohańbiona, albo przyjechać do miasta i zacząć od nowa. Postanowiłam zareagować. Nie poszło to tak, jak sobie wyobrażałam, ale przynajmniej mam czym wyżywić rodzinę.

– I po to tutaj jesteś? Żeby mi przypominać, jaka jestem uprzywilejowana, mając wsparcie rodziny, jakby to był jakiś grzech pierworodny?

Nastąpiła długa cisza, w trakcie której świdrowały się spojrzeniem. Potem odezwała się Giulia.

– Wiedziałaś, że Mimì była świetna w pracy z ceramiką?

Leda potrząsnęła głową.

– Nie miałam pojęcia.

– Zrobiła trzy klasy w liceum artystycznym, ale porzuciła naukę, żeby zająć się matką, która miała chorobę zwyrodnieniową.

– Przykro mi.

– Dała mi tę bransoletkę, którą mam na sobie, na urodziny. Paciorki są z ceramiki raku, wypalanej starą japońską metodą, którą u nas rzadko się spotyka.

Leda lekko się uśmiechnęła.

– Pamiętam to. Nie wiedziałam, że zrobiła ją własnoręcznie. Wręczyła ci ją w paczuszce z pomarańczową wstążeczką, a kiedy ją zobaczyłaś, powiedziałaś, że nie będziesz jej nosić, bo boisz się ją popsuć.

– Od dnia, kiedy ją zabito, nie zdjęłam jej z ręki.

Leda nie znalazła słów, by odpowiedzieć.

Giulia pomogła małej Carlocie wyciągnąć ze szklanki ostatnie kropelki mleka, potem odchrząknęła.

– Może dlatego chciałam się z tobą spotkać. Żeby opowiedzieć ci trochę o Mimì. To znaczy o prawdziwej Mimì. By nie została zapamiętana tylko jako ofiara szaleńca. Może ty potrafisz opowiedzieć, kim była naprawdę. Dumną kobietą, która miała swoje zalety, swoje wady i swoje słabości. Kobietą, która kochała życie, której siła ducha pozwalała iść naprzód mimo niesprawiedliwości, jakiej doznała.

– To pomóż mi oddać jej sprawiedliwość – powiedziała Leda z bólem w głosie. – Ty jedna możesz mi pomóc zrozumieć, dlaczego ją zabito.

Giulia wyglądała, jakby przez chwilę rozważała te słowa. Potem lekko pochyliła się do Ledy.

– Jeśli to zrobię, czy obiecujesz, że nie powiesz policji, że to ja powiedziałam?

– Masz moje słowo.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Co chcesz wiedzieć?

– Nie wiem... Czy miała jakieś szczególne nawyki, czy z kimś często się spotykała, nie licząc Paola Ginestry...

– Nie mów mi o tym nieudaczniku – syknęła. – Według mnie to przez niego tak się skończyło. Grał w karty i na koniec zadłużył się u wszystkich, łącznie z braćmi Canu. To są źli ludzie. Niebezpieczni.

– Tylko tyle?

– Nie miałam zwyczaju jej pytać, gdzie chodzi, z kim i dlaczego. Zajmuję się swoimi sprawami i szanuję prywatność innych. Ale jedno mogę ci powiedzieć. Kiedy jeszcze była w biznesie, Mimì nabrała złego nawyku.

Brała takie paskudztwo, które dostarczał jej ktoś z organizacji. Po pewnym czasie zdarza się, że niektóre z nas nie radzą już sobie z emocjonalną presją takiego życia i przestają spać albo mają napady lękowe. To wyczerpujące musisz codziennie kłamać wobec własnej rodziny, a skoro nie możesz szukać pomocy w służbie zdrowia, w końcu zwracasz się do kogoś w organizacji, jak w jakimś błędnym kole. Jeśli chodzi o Mimì, to starałam się pomóc jej to rzucić, ale mówiła, że te substancje pozwalają jej uciszyć głosy, które ją dręczą. Głosy z wnętrza, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Leda skinęła głową. Coś wiedziała o złych nawykach. Tak jak wiedziała, że kiedy czujesz, że toniesz, wtedy chemiczny pomocnik wydaje się jedyną rzeczą, która utrzyma cię na powierzchni.

– Co brała?

– Przede wszystkim valium.

– Kto jej go dostarczał?

– Nie znam jego nazwiska. Mimì nazywała go Aptekarzem.

– Wiesz, gdzie go mogę znaleźć?

– Oszalałaś?

– No przecież nie zamacham mu przed nosem legitymacją dziennikarską.

Giulia patrzyła na nią przez chwilę, jakby próbując rozszyfrować jej prawdziwe intencje. Może zastanawiała się, czy ta dziewczyna naprawdę jest gotowa iść na całość. Czy jest tak nieświadoma, że daje się wciągnąć w taką historię, w której giną ludzie?

– Spotykali się na torze wrotkarskim w piątki wieczorem – powiedziała w końcu. – Tylko tyle wiem.

Scalviati załomotał w drzwi.

– Stoner, niech pan otworzy! Wiem, że pan tam jest.

Stukot maszyny do pisania dochodzący z wnętrza pokoju nagle ucichł.

– Scalviati? – powiedział głos Amerykanina, przytłumiony zamkniętymi drzwiami.

Prokurator nie pofatygował się z odpowiedzią. Czekał w hotelowym korytarzu, ukrywając wściekłość za nieodgadnionym spojrzeniem, choć jego niecierpliwość znać było po sposobie, w jaki co chwila ścisnął i rozluźnił pięści, jakby zgniatał w dłoniach jakiś śmieć.

Zamek zwolnił się ze zgrzytem. Twarz agenta FBI pojawiła się w szparze.

– Skłamał pan – wypalił Scalviati.

– O czym pan mówi?

– Świetnie pan wie. Odkryłem pana blef. Dziś rano rozmawiałem z sekretarzem konsularnym. Powiedział, że jest pan we Włoszech od dwóch miesięcy. *Dwóch miesięcy*, do cholery! Czy mogę wiedzieć, o co naprawdę panu cho... – przerwał w momencie, gdy Stoner otworzył drzwi i gestem zaprosił go do środka.

Scalviati zrobił krok naprzód.

Ściany pokoju były w całości wyłożone fotografiami – portretami ludzi, panoramami jezior i lasów, detalami przedmiotów, maszynopisami, wycinkami z gazet i map, karteczkami pełnymi notatek. W tej gigantycznej kompozycji nie było centymetra wolnej przestrzeni, była ona tak gęsta, że wyglądała jak tapeta szaleńca.

– A co to...

– Chciał pan wiedzieć, Scalviati, o co mi chodzi? – przerwał Stoner – Już panu mówię. – Wyrwał kartkę z za wałka maszyny do pisania i wręczył ją prokuratorowi.

Scalviati przetłumaczył w myślach z angielskiego pierwsze wersy dokumentu. „Obiekt niezidentyfikowany, przejściowo określany pseudonimem Zenit. Z ekspertyz wynika, że zbrodnie popełniła ta sama osoba, choć pozostają uzasadnione wątpliwości, czy nie było współudziału jednej lub większej liczby osób. Sprawca jest mężczyzną, praworęcznym, białym, o wzroście szacowanym na 5 stóp 8 cali, w wieku 45–50 lat”. Przestał czytać, przesuwając wzrok na Stonera. – Kto to ma być, ten Zenit?

– Trzyma pan w ręku opracowywany przeze mnie profil seryjnego mordercy, którego ścigamy. Zenit to pseudonim, pod którym był znany w czasie, gdy popełniał zbrodnie w Stanach Zjednoczonych.

Leda była niespokojna.

W głowie miała gonitwę pytań.

Czy naprawdę mogła sobie pozwolić na prowadzenie tak niebezpiecznego śledztwa, kiedy doświadczenie nakazywało jej ostrożność?

Czy naprawdę mogła ufać Giulii? Dostała ten anonimowy telefon tego samego dnia, kiedy ją spotkała.

Odgłos oddechu, który słyszała z słuchawki, zagnieździł się w jej głowie jak pasożyt. Wyczuła coś nieokreślonego, jakies złowrogie zamiary, których nie mogła lekceważyć.

To była wiadomość.

Czy raczej próba zastraszenia.

Po drugiej stronie linii był ktoś, kto nie używając słów, dał jej do zrozumienia, jak niebezpieczna jest droga, w którą się wybierała.

Giulia miała rację, mówiąc, że Leda nic o niej nie wie. Czy mogła powiedzieć, że dobrze ją zna? I jak dobrze?

Być może kierujący organizacją zagrozili jej, zmuszając do skontaktowania się z Ledą, by wybadać jej zamiary.

Więc co robić?

Problem polegał też na tym, że ci ludzie wiedzieli, gdzie mieszka. Zadzwonili do jej domu, gdzie żyje ze swoim synem.

Leda zniosłaby każdą groźbę. Ale nie mogła pozwolić na to, by jej zachowanie naraziło Carla na niebezpieczeństwo.

Instynktownie podniosła słuchawkę i wykręciła numer prokuratury. Tak, to było najlepsze, co mogła zrobić: poinformować o sprawie organy



śledcze. Nie było powodu bawić się w detektywa.

– Biuro młodszego prokuratora Francesco Scavatiiego – powiedział kobiecie głos po drugiej stronie linii.

– Leda De Almeida, „La Stampa”. Chciałabym porozmawiać z prokuratorem Scaviatim.

– Jeśli chodzi o wywiad, to niestety jest to niemożliwe.

– Nie o to chodzi. Chodzi o sprawę związaną ze śledztwem.

– Przykro mi, ale jeśli potrzebuje pani jakichś wyjaśnień, to trzeba poczekać na najbliższą konferencję prasową.

– Przepraszam, źle się wyraziłam. Chodzi o to, że... weszłam w posiadanie informacji, która mogłaby być istotna dla śledztwa i chciałabym o tym porozmawiać bezpośrednio z nim.

– Rozumiem – odpowiedziała kobieta. – W tej chwili prokurator nie może odebrać. Jeśli pani chce, mogę panią umówić na spotkanie. W tych dniach jest bardzo zajęty, będzie się mógł z panią spotkać w przyszłym tygodniu.

Leda skrzywiła się z niezadowoleniem. „W przyszłym tygodniu może być już za późno”, pomyślała.

Giulia powiedziała, że Monica spotykała się z Aptekarzem na torze wrotkarskim w piątki wieczorem.

Jeśli to była prawda, to trzeba było działać szybko. Zanim ci z organizacji, czując zagrożenie, zmienią plany.

Do diabła z ostrożnością. Będzie działać sama.

– Nie ma takiej potrzeby. Dobrego dnia. – I odłożyła słuchawkę.

– W Stanach Zjednoczonych? – wypalił Scalviati. – Może mi pan wyjaśnić, co się dzieje?

Stoner przesunął się do brzegu mozaiki, którą wytapetował ściany pokoju, i wskazał na dwie fotografie.

– Sheryl Cambell, siedemnaście lat, zabita w grudniu 1969 na parkingu przy Cañada Road, niedaleko strefy zabudowanej San Francisco, gdzie przebywała ze swoim chłopakiem Michaeliem Gedrickiem. Para została przyłapana przez mordercę w samochodzie, zabito ich z pistoletu kaliber .22. – Przesunął rękę obok, pokazując kolejne dwa zdjęcia. – Bonnie Saint Thomas i Paul Kinney, odpowiednio dwadzieścia jeden i dwadzieścia pięć lat. Zaatakowani w lipcu 1970 nad brzegiem jeziora Berryessa, na północ od San Francisco, gdzie spędzali noc pod namiotem. Chłopak cudem wyleczył się z ran – opowiadał potem, że do niego i jego dziewczyny zbliżył się człowiek w czarnym kapturze. Twierdził, że jest poszukiwany. Zabrał kluczyki od samochodu i pieniądze, potem związał ich sznurem, który miał ze sobą. Dzieciaki myślały, że to napad, ale napastnik, zanim odszedł, wyciągnął nóż i zaczął ich z wściekłością dźgać. – Kolejny krok, Stoner przeszedł do następnych dwóch zdjęć. – W listopadzie tego samego roku, kolejna para została zaatakowana w okolicach jeziora San Andreas, na zachód od Zatoki. To byli Melody Ann Richardson, dwadzieścia trzy lata i Terry Pereira, dwadzieścia dwa, zostali zabici z pistoletu, gdy siedzieli w samochodzie. W marcu 1972 ofiarą był taksówkarz z San Francisco, Benjamin Nielsen; został zabity jednym strzałem z pistoletu w głowę (znów kaliber .22) w trakcie pracy na nocnej zmianie w dzielnicy Pacific Heights. Nigdy nie ustalono, kto odpowiada za te wszystkie morderstwa.

Scalviati lekko pokręcił głową.

– Dobrze, ale co to ma wspólnego z moją sprawą?

– Każda z napaści miała miejsce przy pełni księżyca i w okolicy rzeki – odpowiedział Stoner, nie tracąc rezonu.

– Sugeruje pan, że to ten sam morderca, którego poszukuję? I że z tego powodu przyjechał pan do Turynu? Żeby ścigać seryjnego mordercę, który piętnaście lat wcześniej zabijał w okolicach San Francisco? – Scaviati skrzywił się z niesmakiem. – Słyszysz pan, jak absurdalnie to brzmi?

– *Of course*, do cholery! – wypalił Stoner. – Właśnie dlatego nie mogłem się do pana z tym zwrócić, kiedy przyjechałem do Włoch dwa miesiące temu! Przed rozmową na ten temat musiałem sprawdzić zbieżność faktów, upewnić się, że moja hipoteza jest prawdopodobna, że jest wystarczająco danych, żeby ustalić pewny związek między morderstwami z San Francisco i z Turynu. Jeśli przyszedłbym do pana biura w czerwcu, zaśmiałby mi się pan w twarz, dokładnie tak, jak zrobił to mój przełożony za pierwszym razem, kiedy opowiedziałem mu o swojej teorii. Ale wiedziałem, że instynkt mnie nie myli i moja wytrwałość została nagrodzona.

– Nie wydaje się panu, że grzeszy pan zarozumiałością?

– Żeby złapać takiego osobnika, trzeba umieć wyjść poza schematy – odparł Stoner. – Trzeba uznać za możliwą każdą hipotezę, również najdziwniejszą. Śledztwo w sprawie Zenita było prowadzone przez policję w San Francisco, ale niedawno stało się przedmiotem badań VICAP. Niepewność budził między innymi fakt, że Zenit zniknął praktycznie z dnia na dzień w 1973 roku. Ostatnie morderstwo, które mu przypisywano, popełniono w 1972, ale on przez kolejny rok pisał do prasy szaleńcze listy.

– Jakie listy?

– Pisał do redaktora naczelnego „San Francisco Chronicle”. Każdy list był podpisany pseudonimem Zenit.

– Jest pan pewien, że to nie jakiś mitoman?

– *Good point*, ale znajdowały się tam szczegóły morderstw, których nie podawano do wiadomości publicznej, które tylko sprawca (i policja, oczywiście) mógł znać. Z listem wysłanym w grudniu 1972 Zenit przesłał

nawet w kopercie prawo jazdy zabitego taksówkarza, na którym były jeszcze ślady jego krwi.

– Czyli przez listy chciał dowieść, że to on dokonał morderstw?

– Częściowo. Zresztą takie osoby często cierpią na narcystyczne zaburzenia osobowości i mają przymus ciągłego znajdowania się w centrum uwagi. W dwóch przypadkach sam zadzwonił na policję, by poinformować o obecności zwłok, jakby rzucał im rękawicę. Korespondencja z jedną z głównych gazet w mieście musiała dawać mu satysfakcję, może był to też sposób na przywołanie przyjemności czerpanej z dokonywanych morderstw. Przyjemności zwiększonej myślą, że jego manifesty były publikowane na pierwszej stronie.

– Jak to możliwe, że władze pozwoliły na coś takiego?

Stoner rozłożył ręce.

– Nie mieli wyboru. Zenit groził, że dokona masakry, jeśli listy nie będą publikowane. Raz ogłosił, że porwie autobus z dziećmi wracającymi ze szkoły, innym razem, że zdetonuje bombę w parku. Nigdy się nie dowiemy, czy tak by się stało, ale nikt nie chciał tym ryzykować.

– Rozumiem.

– I tak dochodzimy do września 1973. Ostatni list Zenita zawiera dziwny kod, napisany alfabetem, którego nawet eksperci kryptografii nie mogli odszyfrować. A potem nic. Skończyły się listy i morderstwa. Przez lata śledczy zadawali sobie pytanie, co chciał zakomunikować tym listem. Niektórzy sądzą, że ujawnił tam swoją tożsamość, inni – że uzasadnił swoje zniknięcie. – Stoner wskazał na reprodukcję ręcznie napisanego dokumentu, który zawierał szereg symboli, uporządkowanych w kolumnach, ale najwyraźniej pozbawionych sensu. Niektóre były zwykłymi literami alfabetu łacińskiego albo greckiego, czasem zapisane jako lustrzane odbicie, inne wydawały się symbolami geometrycznymi.

– Przypomina mi to sprawę manuskryptu Wojnicza.

Stoner spojrział na niego z zaciekawieniem.

– *Excuse me?*

– Średniowieczny manuskrypt odnaleziony we włoskim klasztorze na początku wieku przez Wilfrida Wojnicza, polskiego kupca. Wyróżnia się tym, że zapisano go nieznanym alfabetem. Do dziś nikt go nie odcyfrował.

– Zbadam tę sprawę – skomentował Stoner.

Scalviati westchnął.

– To, co mi pan powiedział, jest na pewno sugestywne, ale wydaje mi się, że to niewiele, by stwierdzić związek między morderstwami w San Francisco i w Turynie.

– To prawda. I zapewniam pana, że taki pomysł nie przeszedłby mi przez myśl, gdyby doktor Di Cara nie zapytał mnie o zdanie odnośnie dwóch spraw, nad którymi głowili się śledczy w Turynie: podwójnych morderstw Frasso/Petrasanta i Dallara/Lescaux. Dopiero wtedy pojawiła się w mojej głowie hipoteza, że Zenit mógł przeprowadzić się do Europy. A konkretniej, do Włoch.

– Proszę mi wierzyć, prokuratorze, mój szef był tak samo sceptyczny jak pan, kiedy podzieliłem się z nim tą teorią. Pomimo początkowych wahań zachęcił mnie do dalszych poszukiwań, kiedy opowiedziałem mu o medalionie znalezionym w dłoni Dantego Petrasanty. O medalionie z symbolem astrolabium. – Mówiąc to, wskazał na reprodukcję jednego z listów Zenita do gazety.

Było tam napisane: „Będą kolejni. Będą migotać w blasku księżyca”.

W stopce, zamiast podpisu, widniało koło z wpisanym w nie krzyżem, przez który przebiegała skośna linia.

– Ten symbol...

– Schematyczne astrolabium – stwierdził Stoner. – Nierzadko rysowano je w ten sposób w starych tekstach albo na pomnikach wielkich żeglarzy z przeszłości, na przykład Samuela de Champlain w Ottawie w Kanadzie.

Scalviati myślał przez chwilę.

– Załóżmy, że pana teoria ma podstawy. Pozostaje jednak czternastoletnia przerwa między końcem morderstw w San Francisco a początkiem w Turynie.

– *True*. Od września 1973 do lutego 1987 nie zarejestrowano żadnej aktywności Zenita. W mojej jednostce czas pomiędzy działaniami seryjnego mordercy nazywamy *cooling-off period*. Ta faza jest bardzo ważna, ponieważ pozwala obiektowi przetrwać emocje, przepracować je. Można to porównać z kacem alkoholika albo ze zjazdem narkomana. To przerwanie działania na pewien czas w oczekiwaniu na powrót do akcji. Na poziomie psychologicznym seryjny morderca jest podobny do każdego, kto cierpi na uzależnienie: wcześniej czy później poczuje palącą konieczność zaspokojenia swojego pragnienia. Ale zamiast dawki heroiny

albo butelki whiskey będzie szukał nowej ofiary. Jednak rzadko przerwa trwa aż tak długo.

– Wyobrażam sobie.

– Mój przełożony twierdzi, że żeby złapać seryjnego mordercę, trzeba myśleć tak jak on. Do 1973 *cooling-off period* Zenita trwał maksymalnie kilka miesięcy. Zacząłem sobie wyobrażać, co mógł czuć, zmuszony wrócić do mniej lub bardziej zwyczajnego życia po jeźdźeniu latami na emocjonalnym *roller coasterze*. Co musiało się stać, żeby zmusić go do przerwy?

– Zwłaszcza że, jeśli pana hipoteza jest prawdziwa, wrócił do swojej działalności jak gdyby nigdy nic.

– Przyznaję, że to pytanie ciągle mnie męczy. Sam próbowałem przeanalizować tę ostatnią zaszyfrowaną wiadomość wysłaną do gazety, przekonany, że tam jest odpowiedź. Zacząłem pracować nad wiadomością z pomocą nowoczesnego kalkulatora, wspierany przez zespół ekspertów od szyfrowanych komunikatów wojskowych. Od początku miałem trudności: wydawało się, że ten kod nie ma cech żadnego znanego szyfru. Ani prostego, jak Atbasz albo szyfr Cezara, ani bardziej skomplikowanego, jak dysk Albertiego albo szyfr Vigenère'a. W tej chwili ta zagadka wydaje się nie mieć odpowiedzi.

– Czyli kręgi na wodzie.

Stoner wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że to ciągle kwestia otwarta, ale analogie między zbrodniami Zenita w Stanach Zjednoczonych i potwora z Turynu są ewidentne. Dlatego przekonałem szefa, by powierzył mi zadanie zorientowania się we Włoszech i zebrania jak największej liczby poszlak, które pozwoliłyby potwierdzić moją teorię lub ją odrzucić.

– I, jak rozumiem, doprowadzić do ekstradycji ewentualnego oskarżonego.

– *Correct*. Kiedy połączyłem dane, którymi dysponowałem, z dokumentacją otrzymaną od pana, opracowywany przeze mnie profil

potwora jest zaskakująco podobny do profilu Zenita. Jednak jest różnica we wzroście: według zeznań Paula Kinney, który przeżył napad nad jeziorem Berryessa, sprawca był wzrostu około 5 stóp 8 cali, czyli 1,75 metra, natomiast według ekspertyzy doktora Di Cary w Turynie strzały były oddawane przez osobę wysokości około 1,85 metra.

– Dziesięć centymetrów, które wszystko zmieniają.

– Albo i nie. W obu przypadkach mówimy tylko o szacunkach.

Scalviati nie mógł zaprzeczyć, że teoria Stonera była w gruncie rzeczy spójna. Było wiele wspólnych cech amerykańskiego seryjnego mordercy i potwora. Ale trzeba było wiele więcej, by przekonać go, że był to ten sam człowiek.

– A dlaczego według pana miałby się przeprowadzać właśnie do Włoch?

– A czemu nie? – brzmiała odpowiedź. – Może miał jakieś związki z waszym krajem, może przeprowadził się ze względu na pracę. Astrolabium było narzędziem żeglarzy. Może nasz człowiek ma jakąś działalność związaną z morzem, która zajmowała go przez czternaście lat, zanim mógł znaleźć czas, by na nowo zorganizować się w obcym kraju.

– Czternaście lat na morzu pozwoliłoby mu pięćdziesiąt razy okrążyć Ziemię.

– Może został aresztowany za inne przestępstwo i uderzył ponownie po odbyciu kary?

– To z pewnością bardziej prawdopodobne.

– Zresztą badania na ten temat pokazują, że bywają czynniki stresowe związane z emocjonalną przeszłością, które mogą sprawić, że fantazje o morderstwie mogą stać się nie do odparcia. Być może właśnie takie czynniki – konflikty rodzinne, w pracy albo towarzyskie – osłabły w pewnym momencie życia Zenita w San Francisco, by pojawić się znów po latach, gdy mieszkał już we Włoszech.

Scalviati zaczął oglądać na ścianie nakreślony przez Stonera diagram. Twarze ofiar, miejsca, gdzie znaleziono zwłoki zaznaczone pinezkami na fragmentach map, samoprzylepne karteczki, na których zapisano, jak



dokonano morderstw. To drobiazgowe gromadzenie materiałów, graniczące z manią, doskonale wyrażało stopień fiksacji Stonera na punkcie Zenita.

Mógłby to określić tylko jednym słowem. Obsesja.

– A gdyby chodziło o naśladowcę? – zasugerował. – Morderstwa mocno nagłośnione w mediach, jak tamte z San Francisco, mogłyby wywołać załamanie w zaburzonym umyśle.

– Nie sędzę, by chodziło o *copycat*. Wtedy byłaby tu po prostu imitacja tamtych morderstw, ale tutaj we Włoszech są zmiany w *modus operandi*. Nie, to ten sam człowiek. Czuję to w kościach. Ale z biegiem lat jakby się rozwinął, doskonalił swój sposób działania. W morderstwach w Stanach, na przykład, rany postrzałowe nie układały się w trójkąt, a tylko raz posłużył się nożem. Zenit nie okaleczał zwłok, a potwór w dwóch przypadkach na trzy wycinał śledzionę zabitym dziewczynom. Tak jakby Zenit był czymś w rodzaju... embrionalnej wersji tego, kogo nazywacie potworem.

Czy tylko mu się wydawało, a może spojrzenie Stonera kryło błysk podziwu dla seryjnego mordercy, którego ścigał?

Czy to możliwe, że był tak zamroczony koniecznością złapania go, że nabrał przekonania, że potwór jest tym samym człowiekiem, choć brakowało obiektywnych dowodów?

Stoner przemierzył Atlantycką, kierując się co najmniej ryzykowną hipotezą. Scaviati nie kwestionował jego talentów śledczych, ale teraz, po raz pierwszy, wątpił w to, czy można mu ufać.

A przede wszystkim w to, czy jest w pełni poczytalny.

Leda weszła do Tuxedo chwilę przed północą. Po bokach schodów stało w grupkach pełno chłopaków i dziewczyn ubranych ekscentrycznie, zazwyczaj na czarno, palących papierosy i rozmawiających z dala od ogłuszającej muzyki, która dobiegała przytłumiona z parkietu.

Przypadkiem wpadło jej w ręce zaproszenie od Ludwiga i choć była wykończona, pomyślała, że parę godzin rozrywki jak za dawnych lat jest tym, czego właśnie chce.

Kolacja z byłym mężem była tak dołująca, jak się spodziewała. Był widocznie spięty i jego dowcipy nie były już tak cięte, jak kiedyś. A jego nowa dziewczyna była tak strasznie irytująca, próbując mu się przypodobać.

Leda musiała robić dobrą minę do złej gry, kiedy Iacopo zaproponował Carlo, by spędził ostatnie dni przed rozpoczęciem roku w Toskanii, by pracował przy winobraniu i zobaczył tłoczenie winogron.

Pomysł jej nie zachwyił. Uznała to za zasadzkę. Ale Carlo był tak nakręcony, że nie miała siły mu odmówić.

„Naprawdę dlatego?”, zastanowiła się. Nie, było coś więcej.

Tak naprawdę bała się, że jej mieszkanie nie jest już bezpieczne. Jeśli organizacja ją śledziła, to czuła się spokojniejsza, wiedząc, że Carlo jest poza miastem.

Choć wściekała się, musząc to przyznać, nie była już nieustraszoną dziennikarką sprzed pięciu lat. Perspektywa rzucenia się w nowe śledztwo, któremu w przeszłości stawiała czoła z pełną swobodą, teraz przyprawiała ją o prawdziwy strach.

Ale nie zatrzyma się. Nie teraz, kiedy czuła, że ma w rękach informację, która może zmienić wszystko. Leda była zdeterminowana, by wykorzystać

przewagę i odkryć, czy naprawdę istnieje jakaś relacja między organizacją a działalnością potwora.

Była to winna Giulii, małej Carlotcie, a także Mimì. Zetknęła się z nią tylko na kilka godzin, to fakt, ale śmierć tej dziewczyny głęboką nią wstrząsnęła.

Była to winna upartej korespondentce wojennej, którą kiedyś była. I była to winna swojemu synowi. Temu chłopakowi tak podobnemu do dziadka, który ruszał w świat, tak pełen ideałów, mający całe życie do napisania.

Leda spróbowała otrząsnąć się z niepokoju wzruszeniem ramion. Zostawiwszy płaszcz w szatni, ruszyła do głównej sali, z której dochodziły rozedrgane nuty *Transmission Joy Division*.

Na tę okazję wyciągnęła z szafy kilka rzeczy z czasów, kiedy chodzenie do takich lokali było jej nawykiem.

Leda zaczesła włosy po bokach do tyłu, wytapirowała na górze i utrwałała dużą ilością lakieru, podkreśliła spojrzenie grubą kreską eyelinera, założyła wielki sweter-nietoperz i legginsy do tydki, spod których wychodziły kabaretki.

Przecisnęła się przez tłum, żeby dojść do baru i po krótkim oczekiwaniu udało jej się zdobyć uwagę barmanki, która podała jej gin z tonikiem.

Kiedy smakowała pierwszy łyk, nagły błysk światła przeciął półmrok sali. Piosenka gwałtownie się urwała i dwa reflektory skrzyżowały wiązki czerwonego światła na stanowisku dj-a.

Ludwig lekko wskoczył po schodkach i doszedł do konsoli. Jego grzywa niebieskich włosów prawie dotykała ledowego wyświetlacza, na którym przesuwiał się w kółko napis: „Spider Dark Night”. Nogi opinały mu bardzo obcisłe winylowe spodnie mocno kontrastujące z miękką białą koszulą rozpiętą na piersi, którą ścisnął w nadgarstkach dwiema szerokimi skórzanymi bransoletami z ćwiekami.

Położył na podłodze torbę winyli, założył słuchawki. Położył płytę na odtwarzaczu, nastawiając pierwszy utwór. Pierwsze takty *A Day Clan of Xymox* rozbrzmiały w sali, wywołując entuzjastyczne okrzyki obecnych.

Leda pokonała dzielącą ich przestrzeń i kiedy stanęła obok niego, podniosła szklankę jak w toaście.

– Nie wierzę, że przyszedłeś! – wykrzyknął Ludwig, wychylając się, by pocałować ją na przywitanie.

– Szczerze mówiąc, to ja też nie.

– No popatrz, popatrz! Wyglądasz, jakbyś wyszła prosto z *Zagadki nieśmiertelności*.

Półuśmiech.

– Uważaj, bo będę gryźć.

– Tylko na to czekam.

Nastąpiła krótka, pełna zakłopotania cisza. Leda upiła łyk drinka.

– Idę na parkiet.

– Zobaczymy się później?

– Jasne. Ale mogę zostać tylko do wschodu słońca. – Odwróciła się od niego, kierując się tam, gdzie parkiet był mniej zatłoczony.

Z głośników rozlegały się pierwsze słowa *In the flat field* Bauhausu; Leda zamknęła oczy, pozwalając, by pociągnął ją rytm. W miarę, jak mijały minuty i zmieniały się kolejne piosenki, czuła, jak jej ciało coraz bardziej się odpręża.

Do głębi przenikała ją świadomość własnego ciała, ramion, nóg, tak jakby jej członki odzyskiwały czucie po długim odrętwieniu.

Czuła, że faluje w jakiejś nieokreślonej przestrzeni, zanurzona w cieczy utworzonej z muzyki i słów. Od jak dawna nie czuła się tak bardzo wolna... Nieważne, że była w zadymionym klubie, otoczona ludźmi, których zupełnie nie знаła. W objęciach muzyki czuła swoje ciało. Po raz pierwszy od momentu, kiedy o mało nie straciła go na zawsze.

Przy dźwiękach *She cries alone* Skeletal Family poczuła na rzesie łzę. Huragan emocji przepływał jej w piersi z niepowstrzymaną siłą.

Otworzyła oczy i trafiła na wzrok dziewczyny, która przyglądała się jej z sofy.

Miała fryzurę na boba z obfitą grzywką do samych brwi. Ubrana była w długą syrenią suknię i szpilki z zapięciem na kostce.

Uśmiechnęła się i wstała. Podeszła niemal ostrożnie i zaczęła tańczyć naprzeciwko Ledy, drobnymi, pełnymi wdzięku krokami wprawiającymi ją w ruch wijący się do przodu i do tyłu, jakby była jakimś morskim stworzeniem miotanym załamującą się falą; kołysała rozłożonymi rękami, chcąc jakby utrzymać się na powierzchni wody.

Piosenka stopniowo się wyciszyła, ustępując miejsca *Enola gay* Orchestral Manoeuvre in the Dark.

Jeszcze jedna wymiana spojrzeń, dziewczyna pomachała dłonią i zniknęła w tłumie.

– No i jak ci się podoba?

Leda uświadomiła sobie, że Ludwig pojawił się obok niej.

– O czym ty mówisz?

– Oczywiście o wyborze muzyki.

– Podoba mi się. Nie za bardzo oczywisty.

Ludwig uśmiechnął się z satysfakcją.

– Zauważyłem, że spodobałaś się Betty.

– Komu?

– Dziewczynie, która z tobą tańczyła. Połowa obecnych tu chłopaków umierała z zazdrości. Ona zazwyczaj stoi z boku i nigdy przed nikim się nie otwiera.

– Pewnie zajmuje się własnymi sprawami.

– Pewnie tak. Mogę ci coś postawić?

Leda zauważyła, że wciąż trzyma w ręce szklanekę, z odrobiną wody, w której pływał maleńki kawałek lodu.

– No nie wiem. Uciekłam z wykańczającej kolacji, a jutro muszę wcześniej wstać i iść do pracy...

– Gin z tonikiem, tak? – powiedział, idąc w stronę baru.

Zaraz zrobiły się z tego dwa giny z tonikiem, bo Leda czuła się w obowiązku postawić następną kolejkę.

Siedząc na sofie, pili i rozmawiali o muzycznej awangardzie z taką samą powagą, z jaką dyskutowaliby o dziurze ozonowej albo o *Realpolitik*, krytykując niektóre kawałki wybrane przez następnego dj-a, potem zaczęli tańczyć przy nutach *Shoplifters of the world unite* Smithsów.

– Teraz naprawdę muszę już iść – powiedziała Leda.

– Jeszcze nawet nie ma drugiej – zaprotestował Ludwig.

– Może ty jesteś do tego przyzwyczajony, ale dla mnie to sport ekstremalny.

– Dobrze, odprowadzę cię do samochodu.

– Możesz mnie odprowadzić do budki telefonicznej, przyjechałam tu taksówką. Całe szczęście, bo w tym stanie naprawdę nie powinnam prowadzić.

– Daj spokój – powiedział. – Chodź, podwiozę cię.

Romano Costanza znał swój fach, jeśli chodzi o wyduszanie informacji, których potrzebował, nawet z najbardziej opornych przestępców z ulicy.

Przemaglował aresztanta, który robił interesy z braćmi Canu i dowiedział się, że urządzili nielegalną salę gry w Caligola, lokalu niedawno otwartym na bulwarze Murazzi.

Kiedy wysiadał z furgonetki, spojrzał porozumiewawczo na dwoje towarzyszy, aspiranta Raffaele Loiacono i starszą posterunkową Dianę Fornasier z jednostki mobilnej.

– Pamiętajcie, pomagajcie mi, to prawdopodobnie nikomu nic złego się nie stanie.

Fornasier miała krótkie włosy z przedziałkiem z boku i makijaż „kocie oko” mimo blizny, która dzieliła na pół lewą brew; suknia wieczorowa z głębokim rozcięciem odsłaniała umięśnioną nogę. Poprawiła krótką skórzaną kurtkę i odpowiedziała tylko lekkim skinieniem głowy.

Loiacono był ostrożniejszy; dopytał:

– W jakim sensie „prawdopodobnie”?

– No, nie wchodzimy teraz do klasztoru franciszkanów. W takich sytuacjach zawsze pojawia się jakiś geniusz, który nabija sobie w głowę, żeby rozwiązać konflikt siłowo.

– W takim razie... nie byłoby prościej wezwać Canu na komendę?

– Canu okazał się za sprytny, żeby przyznać się do czegoś w trakcie przesłuchania. Powiedzmy, że myślę o trochę... skuteczniejszej metodzie, żeby zmusić go do powiedzenia, co wie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – powiedział Loiacono. – Nawet nie wiemy, czy jest tam w środku.

– Niech się pan nie przejmuj. Jeśli mój informator mówił prawdę – a nie mam powodu w to wątpić – to znajdziemy Canu właśnie tam, gdzie jest nam potrzebny.

– Dobrze, ale jak chce pan go przekonać do współpracy?

– Odpowiedź, drogi Loiacono, jest tu w środku – oświadczył Costanza, klepiąc bok torby, którą miał przewieszoną przez ramię.

– Po prostu wydaje mi się dziwne spotykać się z nim w lokalu o złej sławie, o tej godzinie i w dodatku w cywilu. Prokurator Scalviati wyraził zgodę na tę operację, prawda?

– Żartuje pan? – sapnął Costanza. – Scalviati nie ma bladego pojęcia o tym, co robimy. I niech mi pan wierzy, że to lepiej.

Mimo górnołotnej nazwy Caligola był raczej bezbarwnym lokalem z barem z boku i stolikami rozstawionymi wokół; część z nich znajdowała się na podwyższeniu, na które wchodziło się po dwóch schodkach. Jedynymi odniesieniami do starożytnego Rzymu były dwie kolumny z korynckimi kapitelami przy łuku wejściowym do sali bilardowej, widocznym w głębi pomieszczenia.

Kiedy trójka weszła do środka, nieliczni klienci odwrócili się leniwie, by się im przyjrzeć.

Costanza uśmiechnął się szeroko i zwrócił się do barmana.

– *Ad maiora!* – zawołał z przekonaniem. Jego informator twierdził, że było to hasło wstępu do sali gry.

Mężczyzna przyjrzał mu się raczej podejrzliwie, a Costanza odsunął lekko zamek torby, tak by móc poszperać w środku.

Barman skinął, potem zwrócił się do napakowanego typu, który pilnował wyjścia ewakuacyjnego.

– Wpuść ich.

Drzwi się otworzyły, ukazując Costanzę i jego towarzyszom korytarz o czerwonych ścianach, oświetlony nagą żarówką zwisającą z sufitu.

Na ścianie po lewej metalowe drzwi prowadziły do sali, która, sądząc po skrzyniach z alkoholem spiętrzonych po bokach, musiała początkowo



służyć za magazyn, ale teraz była wyposażona w rozmaite stoły do gry.

Była tam ruletka, stolik do blackjacka, stolik do pokera. Powietrze było przesycone papierosowym dymem i głośnymi rozmowami ludzi zbyt zajętych zakładami, by zauważyć wejście nowo przybyłych.

Blondynka w srebrnej ołówkowej sukience z głębokim dekoltem siedziała przy biurku, które było zarazem barem, jak i kasą z żetonami.

Costanza wręczył jej dwa pliki banknotów po pięćdziesiąt tysięcy lirów wyciągnięte z torby, a tamta, z szerokim uśmiechem, podała mu pudełko pełne żetonów z wizerunkiem czterech Maurów z sardyńskiej flagi.

– Skąd pan wzięł te wszystkie pieniądze? – spytał Loiacono spanikowanym tonem, kiedy szli w stronę środka sali.

– Niech pan przestanie, bo nas pan wyda – syknął Costanza, wskazując na dwóch osilków w słuchawkach, którzy obserwowali, co się dzieje. – To tylko makulatura, którą pożyczyłem z depozytu dowodów. Pochodzi z konfiskaty podrobionych pieniędzy, którą przeprowadziliśmy kilka tygodni temu. – Dał mu stosik żetonów. – Proszę z nich zrobić dobry użytek.

Loiacono zawahał się i przez moment wyglądał, jakby chciał uciec.

– No przestań robić za harcerza, spróbuj wyglądać swobodnie – przykazała mu Fornasier.

– Jeśli zauważą, że to fałszywki, będzie niezły bajzel.

Costanza pociągnął go za rękaw kurtki.

– I właśnie o to mi chodzi. – Potem zwrócił się do krupiera blackjacka. – Co tam, znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego?

– Proszę – odpowiedział tamten, wskazując na stołek.

Costanza rozsiadł się.

– Ty zostań ze mną – powiedział do Fornasier. – Czuję, że przyniesiesz mi szczęście.

Ona wybuchła perlistym śmiechem, weszła w swoją rolę.

Loiacono, wstrząśnięty i zalękniony, usiadł przy stole z ruletką.

Inspektor obstawiał coraz wyżej i kazał ciągle donosić sobie picie. Kieliszek za kieliszkiem rosso antico, napiwki dla krupiera. Przegrane komentował barwnymi okrzykami, które budziły wesołość innych graczy.

– Do diabła – powiedział w pewnym momencie. – Ta gra mnie nudzi. Chyba idę na pokera.

W tym momencie podszedł do niego goryl w czarnym garniturze.

– Przepraszam, że przerywam, ale dyrektor chce z tobą rozmawiać.

– A komu się tak śpieszy? Chyba mam prawo się odkuć.

– Może później – goryl chwycił go za ramię.

– Zostaw mnie! – burknął Costanza, wyrrywając się.

– Ej! Nie zmuszaj mnie do użycia siły!

– Możesz mi powiedzieć, jaki masz problem? – wtrąciła się Fornasier.

– Zajmij się sobą – warknął goryl.

– No dobra – wybełkotał Costanza zachrypniętym głosem. – Mogę iść, ale ona idzie ze mną.

– Boisz się, że ci ją zabiorą?

Wzruszył ramionami.

– Wystarczająco mnie kosztowała.

Tamten przyglądał się Fornasier przez chwilę, potem pokazał gestem drzwi.

Kiedy już mieli przekroczyć próg, Costanza udało się wywinąć. Dobiął do ruletki, gdzie stał Loiacono, który niespodziewanie zgromadził wielką ilość żetonów.

Zanim goryl zdążył chwycić go za kurtkę na plecach, Costanza dał młodemu aspirantowi kluczyki od furgonetki. – Wjedź na tyły i czekaj na nas z włączonym silnikiem. Leć!

## 61

– I to jest twój środek transportu? – spytała Leda ze zdumieniem.

– Nie mam prawa jazdy – Ludwig siedział triumfalnie na rowerze cruiser, czerwonym jak ferrari.

– Chyba żartujesz?

– Wcale nie. Wsiadasz czy nie?

Popatrzyła podejrzliwie na pojazd.

– Ale gdzie? Nawet nie ma bagażnika!

– No chyba na ramię! – Podał jej rękę, pomagając jej usiąść.

– O Boże – powiedziała Leda, wczepiając się w kierownicę, kiedy Ludwig pedałowal dziarsko, by nie stracić prędkości. – Już wiem, że rozwalimy się o jakąś kolumnę. Albo nie, ktoś nas przejedzie, wpadniemy do Padu i będą musieli przysłać nurków, żeby nas wyciągali.

– Nigdy wcześniej nie siedziałaś na rowerze?

– Siedziałam, ale ostatni raz ze dwadzieścia lat temu!

– Przestań odgrywać przede mną dojrzałą kobietę!

– Ale ja *jestem* dojrzałą kobietą!

– Trzymaj się mocno – ostrzegł Ludwig, kiedy rower przemknął przez skrzyżowanie i wjechał w uliczkę z luźno ułożonym brukiem.

– Można wiedzieć, dokąd jedziemy? – burknęła Leda, zaciskając zęby. Nocne powietrze smagało ją po twarzy i niszczyło jej fryzurę. – Jeszcze ci nie powiedziałam, gdzie mieszkam.

– Zaraz zobaczysz – odpowiedział enigmatycznie. Po kilku zakrętach zatrzymał rower na przyczółku mostu Wiktora Emanuela I.

Leda zsiadła ostrożnie i zbliżyła się do balustrady, gdzie bezustannie krzątały się pająki.

– Matko święta... – westchnęła. – Wdziałam zdjęcia, ale to nie to samo. Nie miałam pojęcia, że tyle ich jest. I jakich wielkich!

Ludwig doszedł do niej, prowadząc rower ręką.

– Moim zdaniem niedługo skolonizują całe miasto.

– Może jeszcze cały kraj?

– Czemu nie?

Leda uśmiechnęła się, wiodąc spojrzeniem za pająkiem, który tępo przebierał nogami, schodząc ku dołowi pajęczyny.

– Wygląda na to, że tutaj świetnie się czują.

– Niektórzy mówią, żeby je wytruć – skomentował Ludwig. – Wyobrażasz sobie gorsze barbarzyństwo?

– No, mam parę pomysłów.

– Nigdy nie zrzucasz kostiumu dziennikarki zaangażowanej?

– Co ci mam powiedzieć, to jedyny, w którym nie jest mi ciasno. A wracając do pajaków, myślę, że to by była przesada. Fakt, że są trochę straszne. Ale nie rozumiem, komu przeszkadzają.

– To takie tajemnicze stworzenia – Ludwig wyciągnął spod koszulki łańcuszek z wisiorkiem w kształcie pająka.

– Założyłeś go specjalnie na ten wieczór?

– Ładny, nie? Zrobił mi go przyjaciel jubiler, który pracuje w srebrze.

– Pasuje ci.

Patrzyli na siebie przez chwilę, kiedy księżyc na moment wychynął zza chmur, odbijając się w wodach rzeki.

– Co powiesz, żeby wpaść do mnie i wychylić strzemiennego? Tylko na chwilę, żebyś posłuchała moich solowych kawałków, i odwiozę cię do domu, obiecuję.

Leda zastanowiła się chwilę.

– Kawałków posłucham, ale wolę szklankę wody.

– Słusznie. Nawadnianie przede wszystkim.

Wsiedli na rower i Ludwig ruszył w stronę wzgórz, pedałując energicznie, by pokonać wzniesienie.

Salvatore Canu miał twarz o niewyraźnych rysach i orli nos, które upodabniały go do Roberto Begnigniego z utlenioną fryzurą na czeskiego piłkarza. Miał na sobie hawajską koszulę w jaskrawych kolorach, która podkreślała oliwkowy kolor skóry. Ciemne jak asfalt oczy mocno zezowały; gdy zaczął mówić, Costanza nie był do końca pewny, czy to do niego.

– Jest cała masa sposobów, które ma do dyspozycji człowiek, który chce się targnąć na swoje życie, ale ten jest naprawdę pomysłowy – powiedział. – Przynosić do mojego lokalu fałszywe pieniądze... Jestem pod wrażeniem, nie ma co mówić.

– Do mnie pan mówi? – spytał Costanza.

Stojący za jego plecami goryl popchnął go.

– A niby do kogo?

Costanza zatoczył się do przodu i chwycił się biurka, by nie stracić równowagi. Gdy wrócił do pozycji wyprostowanej, poprawił marynarkę i skierował drżący palec na rozmówcę.

– Panie Canu, musi pan stanowczo przemyśleć swoją politykę, jeśli chodzi o stosunek personelu do gości. Ta małpa bez przerwy ciąga mnie wte i wewte po korytarzach, jakbym był paczką na poczcie.

– Jesteś stuknięty czy tylko pijany? – spytał Canu.

Może przez sympatię albo z poczucia satysfakcji również goryl zaczął się śmiać, co podchwyciła zaraz Fornasier.

– A ona to kto?

– Dziwka, jak sędzę.

Canu patrzył na nią przez kilka chwil.

– Dla kogo pracujesz?

– Jestem freelancerką – odpowiedziała, niezgrabnie naśladowując amerykańską wymowę.

– Skąd wiecie o tym miejscu?

Costanza wzruszył ramionami

– Wieści krążą...

– Co to znaczy „krążą”? Gdzie? Jak?

– Kolega na poczcie powiedział mi, że w Caligola się gra na poważnie. Powiedział: *Ad maiora!*

Twarz Canu się zachmurzyła. Wpatrywał się w rozmówcę przez kilka bardzo długich sekund, jakby przypominał sobie, że już gdzieś kiedyś go spotkał.

– Jak się nazywa twój kolega?

– Paolo Ginestra – powiedział sucho Costanza.

Jego słowa pogрузyły pokój w lodowatej ciszy.

Ale ani Canu, ani pracujący dla niego goryl nie wiedzieli, że to nazwisko było hasłem, które Costanza i Fornasier ustalili na moment, kiedy należało przestać grać i przejść do działania.

I rzeczywiście, na twarzach obu mężczyzn było widać wyraźne zaskoczenie, kiedy Costanza skoczył i chwytając Canu za kołnierz koszuli, pociągnął go za biurko, rzucając nim o podłogę, wywracając maszynę do liczenia banknotów, lampę, komputer i wszystko, co było do niego podłączone.

Teraz nie było już wątpliwości: nie tylko nie był ani stuknięty, ani pijany, ale miał też siłę nietypową dla człowieka w jego wieku.

Goryl już miał rzucić się do przodu, by go zatrzymać, ale jego ruch został podstępnie przerwany przez coś, co uderzyło w niego z impetem na wysokości kostek, sprawiając, że runął na ziemię.

Szybkimi ruchami głowy rozglądał się wokół. Był tak ogłupiony i zaskoczony, że na chwilę stracił poczucie przestrzeni. Wybałuszone oczy spotkały się z oczami starszej posterunkowej Fornasier, która wracała do ładu po tym, jak podcięła go obrotowym ruchem.

Było coś jeszcze, czego ani on, ani jego szef nie mogli wiedzieć: Fornasier, zanim zaciągnęła się do policji, mieszkała z matką w Tajlandii, gdzie nauczyła się najbardziej śmiercionośnych technik boksu tajskiego, walcząc już jako nastolatka na mieszanych zawodach, gdzie nie liczyła się różnica płci, tylko sama zręczność.

Fornasier pozbyła się butów na obcasie i gestem zachęciła goryla, by się podniósł. Tamten cofnął się, czołgając aż do ściany, potem skierował dłoń do marynarki, do kabury pod pachą, gdzie miał pistolet.

Ona powiedziała „nie” drobnym ruchem głowy, ale to nie wystarczyło, by go od tego odwieść. Goryl ledwie zdążył wyciągnąć broń, a ta natychmiast wyleciała mu z ręki po kopnięciu tak silnym, że mężczyzna bał się, że złamał nadgarstek. Jednak nie miał czasu wylizać się z ran. Dziewczyna usiadła na nim okrakiem, dając mu w twarz cios za ciosem, tak precyzyjne i mocne, że położyłaby nimi średniej wagi niedźwiedzia.

W tym czasie Canu zdołał się wywinąć z uścisku Costanzy. Otarł krew z kąta ust.

– Mogę wiedzieć, kim ty, kurwa, jesteś?

– Świetnie wiesz, kim jestem.

Nagle w oczach Canu pojawił się błysk zrozumienia.

– Niech mnie diabli... Jesteś tym pieprzonym psem, który był ze Scavia...

Nie skończył zdania, bo inspektor bez ostrzeżenia natarł na niego, dociskając go do ściany, chwytając za nadgarstek, który potem wykręcił mu na plecach; Canu był zmuszony uklęknąć.

Goryl zdołał wymierzyć Fornasier cios głową; ta instynktownie podniosła rękę do ochrony nosa. Ten moment niepewności wystarczył, by mężczyzna ją odepchnął, podniósł się i ruszył biegiem do drzwi.

Zdołał tylko musnąć klamkę. Fornasier ścisnęła mu szyję ramieniem, próbując sprawić, by stracił świadomość. Kiedy wydawało się, że mężczyzna zaraz upadnie, udało mu się trafić ją serią ciosów łokciem w żebra i tak zmusił ją, by połuźniła uścisk.



Kobieta cofała się, aż trafiła na biurko. W jej oczach malował się ból po uderzeniach.

Widząc, że jest jej trudno, goryl spróbował ją zaatakować serią prostych i sierpowych, które miały trafić ją w twarz. Ale udało jej się uskakiwać na boki przed każdym ciosem, jednocześnie uchylając się przed napastnikiem i skracając dystans do niego; rozcięcie w sukience co chwila odsłaniało i zasłaniało umięśnione nogi. Potem przebiegłym ruchem wyrzuciła do przodu ręce i chwyciła go za kark.

Jednym szarpnięciem pokonała opór goryla, który mimo woli pochylił głowę w dół. Jego broda spotkała się z błyskawicznym kopem kolanem, który Fornasier wymierzyła zaskakująco precyzyjnie. Przy uderzeniu rozległo się suche trzaśnięcie, jakby rozłupywanego drewna.

Fornasier odskoczyła do tyłu.

– I kto teraz jest dziwką?

Kiedy tamten zataczał się zamroczony, wymierzyła mu jeszcze kopniaka w głowę, definitywnie go nokautując.

Costanza natomiast pokonał Canu. Z kieszeni spodni wyjął kajdanki i unieruchomił mu ręce za plecami.

Potem odszukał wzrokiem Fornasier.

– Idziemy!

Dziewczyna rzuciła się do drzwi biura. Kiedy znalazła się na korytarzu, ruszyła do tylnego wyjścia z lokalu, a jej śladem Costanza, który ciągnął za sobą więźnia.

Wyskoczyli we troje, zziajani, w słabo oświetlonym zaułku, obok dwóch kontenerów wypełnionych śmieciami.

Przez chwilę panowała cisza, a noc zdawała się oglądać ich z góry.

Nikt na nich nie czekał.

– Kurwa – syknął Costanza. – Gdzie, u chuja, jest Loiacono?

Ludwig zatrzymał się przed furtką z kutego żelaza, a kiedy ją otworzył, poprowadził ręką rower długą alejką wiodącą do secesyjnej willi; zatrzymał się przed bocznym wejściem.

Idąc o krok przed Leda, zszedł po kilku schodkach i wszedł do sutereny z łóżkiem w rogu, u którego stóp stał wielki wzmacniacz. Były tam rozmaite instrumenty oparte o futerały, a wśród nich kolekcja gitar akustycznych, gitara basowa, dwie klawiatury i nawet saksofon; całą ścianę zajmowały elektroniczne urządzenia ułożone jedno na drugim.

– Słyszałam, że masz studio w suterenie.

– Naprawdę ktoś myśli, że mieszkam w suterenie?

Leda zbliżyła się do biurka, na którym stało coś, co wyglądało na niezmiernie mały komputer, zupełnie inny od tych, do których przyzwyczała się w redakcji: monitor i komputer w jednym kawałku, mający obok wejścia na dyskietki znaczek z wielokolorowym nadgryzionym jabłkiem. Osobliwe urządzenie z przyciskiem pośrodku leżało obok klawiatury.

– Co to jest?

Ludwig uśmiechnął się z satysfakcją.

– Moje najcenniejsze urządzenie, Macintosh Plus Apple'a. Bestia z procesorem Motorola 68000 8 MHz, 4 megabajty pamięci RAM, interfejs MIDI pozwala na połączenie z syntetyzatorem.

– Nic nie rozumiem.

– Pokażę ci. – Chłopak usiadł przy biurku i nacisnął włącznik. Po usłyszeniu miłego akordu zobaczyli na monitorze obraz w odcieniach szarości z ikonami migającymi po bokach. – Interfejs graficzny z oknami. Najnowsza technologia w komputerach osobistych.

– Powiedziałaś z oknami? A czemu nie taras z widokiem na morze?

Ludwig zaśmiał się, chwytając urządzenie leżące obok klawiatury. Przesunął nim delikatnie po blacie biurka, sprawiając, że poruszyła się strzałka na ekranie.

– To jest myszka. Wystarczy jeden klik i wybierasz, jaki program uruchomić. – Na ekranie pojawiły się prostokąty, a w każdym figurowała lista, której każde hasło było nazwą jakiegoś instrumentu. – Teraz połączyłem się z syntetyzatorem. Muszę już tylko wybrać akompaniament, typ dźwięku, którego chcę użyć i możemy zacząć nagrywać.

Z głośnika zaczął rozchodzić się podkład rytmiczny, a Ludwig chwycił jedną z klawiatur. Usiadł na stolku, oparł palce na białych klawiszach i głęboko odetchnął. Potem zaczął kolejno w nie uderzać, improwizując *Toccatę i fugę* Bacha, której dźwięki wydawały się wydobywać gdzieś z głębi kosmosu.

– Fantastyczne, ale można na tym też pisać?

– Żartujesz? Z makiem możesz zrobić wszystko. To moja stacja do komponowania i miksowania, ale używam go też do projektowania grafiki ulotek. Gdybym chciał, mógłbym na nim złożyć cały fanzin.

– Nie wierzyłam, że mogę coś takiego pomyśleć, ale... Chyba wyślę na emeryturę moją starą maszynę do pisania. Chcę koniecznie mieć takie coś u siebie.

– Świetny pomysł. – Ludwig usiadł znów przy komputerze i, podziaławszy przez chwilę myszką, oznajmił: – To jest kawałek, który skomponowałem do nowego singla *Sturm und Glory*, ale teraz stanie się debiutanckim singlem mojego projektu solowego. Potrzebuję tylko ścieżki wokalne, ale z tym mogę sobie poradzić w każdej chwili. – Rzucił porozumiewawcze spojrzenie Ledzie, która usiadła na brzegu łóżka.

Kiedy z głośników rozlegał się wibrujący podkład, chłopak ściągnął z szyi łańcuszek i otworzył brzuch srebrnego pająka, wysypując na blat biurka trochę białego proszku, który znajdował się w środku. Wyciągnął z szuflady kawałek słomki, pochylił się i mocno wciągnął. Potem chwycił mikrofon, stanął pośrodku pokoju i zaczął śpiewać, wystukując rytm stopą.

– Można wiedzieć, co ty, kurwa, robisz? – przerwała Leda, wstając.

Spojrzał na nią w osłupieniu.

– ... śpiewam?

– Wyłącz to. Wychodzę.

– O co ci chodzi? Taki słaby ten kawałek?

– A co ma do tego piosenka! Jesteś kutasem, oto czym jesteś.

– Ku... – Ludwig pokręcił głową. Wyłączył muzykę i stanął przed nią. – Chodzi o kokę? Przepraszam, że cię nie poczęstowałem, możesz bez problemu się obsłużyć.

Leda podniosła oczy do nieba.

– Masz pojęcie, jakie to robi spustoszenie? Najpierw spieprza ci mózg, a potem całe życie!

– Robię to tylko dla rozrywki, okazjonalnie! – zaprotestował.

– Jesteś idiotą, jeśli sądzisz, że możesz utrzymać pod kontrolą uzależnienie. Nie masz pojęcia, przez co przeszłam z powodu takich śmieci.

Ludwig zrobił nieszczęśliwą minę.

– Jesteś... uzależniona?

– Od środków przeciwbólowych. Codziennie walczę z pragnieniem powrotu na róg ulicy, gdzie mogłabym sobie skołować trochę tego gówna, które nazywasz „rozrywką”.

– Przepraszam... nie wiedziałem...

– Nieważne, nie chodzi mi o twoje współczucie – mruknęła. – I nie myśl sobie, że będziesz mnie teraz wiozł do domu swoją pułapką na dwóch kółkach. Jeszcze mnie tyłek boli.

Na chwilę zapadła cisza. On bezskutecznie próbował nie wybuchnąć śmiechem. Leda sama nie zdołała stłumić wesołości.

Popatrzyli na siebie krótko, zbyt skrępowani, by cokolwiek powiedzieć. Potem Ludwig dotknął jej dłoni.

– Słuchaj, przykro mi, że tak się stało. Masz rację, jestem kutasem. Zrobiłem głupotę i masz prawo nie chcieć mnie znowu zobaczyć. Ale o tej godzinie nie znajdziesz taksówki, nawet jak się pomodlisz do świętego Krzysztofa. Czemu nie prześpisz się tutaj tę jedną noc? Moi rodzice popłynęli w rejs i wrócą dopiero w przyszłym tygodniu. Ja mogę spać na kanapie, w salonie na górze.

– Już wolę iść pieszo.

– Jak możesz coś takiego mówić, jak tam grasuje ten potwór?

Leda wzruszyła ramionami.

– Nie zauważyłeś, że on zabija tylko przy pełni księżyca?

– Tak? – Ludwigo się zamyślił. Dodał: – Słuchaj, co za różnica? To wariat, mógłby w każdej chwili zmienić zdanie.

– Wierz mi, wystarczająco się w to wgryzłam, żeby wiedzieć, jak działa. Może to i wariat, ale potwornie przytomny.

– Zaraz. Ty prowadzisz coś w rodzaju... prywatnego śledztwa?

– Bez „coś w rodzaju” – przyznała Leda. – Tak naprawdę to w czasie innego śledztwa poznałam dziewczynę, którą teraz zabito, i próbuję odkryć, czy jest związek między tymi historiami.

– Żartujesz? – bąknął Ludwigo wstrząśnięty.

– Nigdy nie mówiłam poważnie.

– I nie boisz się?

– Robię pod siebie, ale co z tego?

– Nie powinnaś o tym pogadać z policją i pozwolić, żeby zrobili swoją robotę?

– Nie cieszę się wielką estymą służb. Myślę, że w biurze prokuratora Scalviatego jest tarcza do lotek z moim zdjęciem na środku.

– Wiedziałem, że jesteś twarda, ale nie sądziłem, że aż tak.

– Może jestem po prostu nieświadoma. Odkryłam, że ta biedna dziewczyna spotykała się z dilerem w piątki wieczorem na torze wrotkarskim. Z gościem, na którego mówią Aptekarz...

– Znam mniej więcej wszystkich dilerów na torze wrotkarskim, ale o nim nigdy nie słyszałem – powiedział Ludwig. – Tylko się nie wściekaj!

– Mam to gdzieś, możesz wrzucić swoje życie do kibla i splukać, kiedy tylko chcesz.

– Chciałem powiedzieć, że mógłbym ci pomóc zyskać zaufanie któregoś z nich. To nie są ludzie, z którymi możesz się umówić na wywiad.

Leda spojrzała na niego z mieszaniną wahania i zainteresowania. Potem pokręciła głową.

– Daj spokój, to zbyt ryzykowne. Nie wiem jeszcze nawet, czy mam iść tym tropem, czy poprosić o przeniesienie do kroniki obyczajowej i skończyć z tym wszystkim.

– Nic nie będę ryzykować, przecież będę miał ciebie do obrony – zadeklarował uroczyście Ludwig. Potem wyciągnął rękę. – Więc co ty na to, współniczko? Idziemy ścigać potwory?

Ryk furgonetki wdarł się w ciszę zaułka, w którym schronili się Fornasier i Costanza. Ten ostatni trzymał przy sobie Salvatora Canu, używając kajdanek jak bardzo krótkiej smyczy.

Gwałtowne hamowanie i aspirant Loiacono wychylił się przez okno kabiny.

– Przepraszam, panie inspektorze, ale zapomniałem, gdzie zaparkowałem samochód.

Costanza go zignorował. Otworzył tylne drzwi z takim impetem, że o mało nie wyskoczyły z zawiasów. Wskoczył na pakę wciągając do środka Canu i kazał Fornasier usiąść za kierownicą.

– Gazu, gazu! – krzyknął, waląc dłonią w ściankę oddzielającą ich od kabiny.

Fornasier wrzuciła wsteczny i docisnęła maksymalnie pedał gazu. Furgonetka ruszyła do tyłu z piskiem opon.

Gdy znaleźli się na ulicy, dziewczyna przełożyła dźwignię, by pojazd mógł jechać do przodu, potem ruszyła z pełną prędkością.

– Nareszcie sami – powiedział Costanza ironicznie.

– Kompletnie oszalałeś – warknął Canu. – Wiesz, że właśnie podpisałeś na siebie wyrok śmierci?

– Kwestia punktu widzenia. Chwilowo to ty jesteś w kajdankach i to ja mógłbym cię wrzucić do rzeki, nie zastanawiając się dwa razy. Ale nie przejmuj się, mam inne plany.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?

– Że teraz powiesz mi wszystko, co chciałbym wiedzieć.

– Niezależnie o co chodzi, nic nie wiem, OK? A teraz mnie wypuść! – Canu zaczął szarpać kajdanki, które unieruchamiały mu nadgarstki za

plecami.

– Nie rzucaj się, albo zrobisz sobie krzywdę. Musisz być w pełni świadomy i odpowiedzieć spokojnie na moje pytania. Ostatecznie mamy dużo czasu. Noc jeszcze młoda.

– Mylisz się. Twoje godziny są policzone, psie.

Costanza zignorował prowokację.

– Na dobry początek wróćmy do 6 września zeszłego roku. Pamiętasz, co się wtedy wydarzyło, prawda?

– Mogę wiedzieć, o czym ty bredzisz?

– Dobra dobra. Morderstwo Dallara/Lescaux to twoja robota, nawet zaczynam myśleć, że cała ta historia z potworem to przykrywka dla innych interesów.

– Już to mówiłem twojemu szefowi! Nie było mnie nawet w mieście, jak zabili tamtą dwójkę!

– Pamiętasz, że byłem na twoim przesłuchaniu? Nie kupiłem nic z tego, co powiedziałaś. Zawsze myślałem, że to ty nacisnąłeś spust. Rok jeszcze nie minął, a twoje nazwisko znowu wyskakuje przy podwójnym morderstwie. Chcesz, żebym uwierzył, że to zbieg okoliczności?

– Wierz w co chcesz. To nie moja sprawa.

Costanza zrobił grymas niezadowolenia.

– Będziesz miał gorsze problemy, jak mi się teraz nie wypłaczesz.

– Możesz mnie torturować, nic ze mnie nie wyciągniesz.

– Nie mam najmniejszego zamiaru cię torturować! Przed wszystkim byłoby to bardzo męczące, a ja wolę spędzać czas bardziej produktywnie niż brudząc ręce takim śmieciem jak ty. Wręcz przeciwnie, dam ci możliwość wakacji. Co ty na to?

– O czym ty głędzisz, staruchu?

– Tydzień wypoczynku, na przykład w jakiejś dalekiej wiosce w Val di Susa. Zasługujesz na to po całym wysiłku, jaki włożyłeś w utrzymanie swojej nielegalnej działalności, nie uważasz? Tylko będzie problem, jak to



wyjaśnić współpracownikom... Wyobrażasz sobie reakcje w mieście? Wszyscy zastanawialiby się, co ci się stało. Ale nie martw się, na to też mam rozwiązanie. Sam bym rozpuścił plotkę, że przeniesiono cię w miejsce odosobnienia, bo postanowiłeś współpracować z policją. –

Costanza zrobił pauzę, żeby wy badać reakcję rozmówcy. – A teraz powiedz: jak zareagowaliby według ciebie twoi przyjaciele z Kolumbii, którzy dostarczają ci towar, który sprzedajesz dzieciakom na ulicy? Wystarczyłby mi jeden telefon, nie, nawet mógłbym wysłać pieprzony telegram do samego Pabla Escobara, żeby się upewnić, że się o tym dowie. A potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeniósłbym cię z powrotem do miasta. Raczej by cię nie witali chlebem i winem, nie uważasz?

Canu odetchnął głęboko, potem gwałtownie wyrzucił powietrze przez nozdrza jak byk przed szarżą.

– Nie możesz tego zrobić. Jesteś psem. Szanuj reguły.

Costanza wybuchnął głośnym śmiechem.

– Tak myślisz? – odparł, opierając się plecami o ścianę furgonetki. – Cóż, mam dla ciebie wiadomość. Nikt, ani na komendzie, ani tym bardziej w prokuraturze, nie wie o tej operacji. Nikt nie wie, że byliśmy w twoim lokalu. Ludzie, którzy są ze mną, nawet nie mieli dziś w nocy zmiany. I zaprzeczają, że kiedykolwiek cię widzieli. Nawet ta furgonetka oficjalnie nie istnieje! Nie ma tablic, od lat gniła w depozycie sądu.

– Blefujesz.

– Jak uważasz – powiedział Costanza, rozkładając ręce. – Wybieraj. Ale przypomnisz sobie ten moment, kiedy jakiś przypadkowy cyngiel odetnie ci kończyny piłą motorową, bo jakaś szycha będzie myśleć, że jesteś wtyką. – Potem odwrócił się do przegrody z kabiną i dwa razy puknął dłonią.

– Wszystko dobrze, inspektorze? – spytała Fornasier.

– Jedź na krajową 25. Przejedziemy się w góry.

Gdyby można było zabić spojrzeniem, to w pewnym momencie podróży Costanza padłby rażony piorunem rzuconym przez oczy Salvatora Canu. On jednak siedział sobie w ciszy, trzymając łokcie na kolanach, spokojny jak dziecko, które najadło się biszkoptów, a jego więzień patrzył na niego z nienawiścią.

– Ty sukinsynu... Zapłacisz mi za to.

Pojazd podskoczył na wyrwie w asfalcie, a odgłos nienaoliwionego mechanizmu rozniósł się w powietrzu.

– We właściwym czasie – odparł Costanza, nie tracąc rezonu. – A teraz powiedz: Lescaux pracował dla ciebie, prawda?

Canu zgrzytnął zębami tak mocno, jakby chciał je sobie połamać.

– Dostarczał... towar.

– Co zmaisztował, że tak się na niego wkurwiłeś?

– Odcinał towar i odsprzedawał działki na własne konto. Jak pierwszy raz to zauważyłem, to odpuściłem, w końcu to był tylko dzieciak. Ostrzegłem go, żeby więcej nie nawalił, ale mnie nie posłuchał.

– I dlatego strzelałeś do niego i jego dziewczyny? Dla paru gramów białego proszku?

Nastąpiła długa cisza, tylko odgłos opon toczących się po asfalcie był tłem dla ich konfrontacji.

– To nie byłem ja.

– Kazałeś to zrobić któremuś ze swoich pomagierów, tak? Jesteś zbyt tchórzliwy, żeby brudzić sobie ręce?

Canu energicznie potrząsnął głową.

– Ty nie rozumiesz. Ta historia jest większa od ciebie i ode mnie też. Ja jestem tylko statystą. Chciałem pozbyć się Lescaux, to prawda. Ale był protegowanym mojego brata, nie mogłem się sam z tym wychylić. Z Efisio od dawna jesteśmy na stopie wojennej, ten *mincimortu* kwestionuje każdą moją decyzję. Na papierze wszystko wyglądało świetnie. Ale ta biedna dziewczyna... Nie sądziłem... Nie przypuszczałem... że ten demon może zrobić coś takiego.

– Oświeć mnie – powiedział Costanza. – Jaka była twoja rola?

Twarz Canu się skrzywiła, jakby walczył sam ze sobą, by powstrzymać potok słów, a z drugiej strony musiał mówić.

– Po prostu powiedziałem jego nazwisko. Tylko tyle.

– *Komu* powiedziałeś jego nazwisko? – nalegał Costanza. – Pomocnikowi?

– To nie był mój pomocnik! – tamten zaprotestował.

– Tracę już cierpliwość, Canu. I wierz mi, to nie jest coś, co chciałbyś oglądać, zwłaszcza w twojej obecnej sytuacji. Mam dość wyciągania z ciebie słów pęsetą. Zaczynam poważnie myśleć, żeby wziąć lewerek i skończyć z tobą już tutaj, a potem zostawimy cię na poboczu, żeby dzikie zwierzęta zjadły twoje resztki. – Costanza powiedział to głosem tak lodowatym, że wydawało się, jakby temperatura na tej niewielkiej przestrzeni nagle spadła.

– Spotkałem go tylko jeden raz, tamtej nocy, zanim wyjechałem do Saint-Vincent – wymamrotał Canu. – Byłem pewien, że chce pieniędzy, ale praktycznie zaśmiał mi się w twarz. Kiedy uścisnąłem mu rękę to czułem się, jakbym podpisywał pakt z diabłem.

– Wynajęłeś płatnego mordercę, żeby zabić drobnego dilera? – wycodził Costanza. – Za kogo ty się, kurwa, uważasz, za Tony'ego Montanę?

– Jakiego płatnego mordercę! Tu nie chodzi o pieniądze. Ten typ lubi zabijać. To dla niego jak narkotyk. Ciągłe szuka kogoś, kto będzie „błyszczal w blasku księżycy”... przynajmniej tak mówi.

– Błyszczał w blasku księżyca? – powtórzył Costanza. – Co to ma niby znaczyć?

Canu potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Mówił urywanymi zdaniami, nie zrozumiałem ani połowy z tego, co mówił, miał też mocny akcent. Wiem tylko, że wzbudził we mnie jakiś pieprzony strach. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto czułby taką przyjemność z zabijania drugiego człowieka.

– Jaki to był akcent?

– Obcy.

– Jaki obcy? Albański? Francuski? Kolumbijski? Ktoś z kartelu?

– Nie, kartel nie ma nic do tego. To chyba Amerykanin.

– I mam uwierzyć, że pośpieszył ci z pomocą, nie biorąc nic w zamian?

– Powiedział tylko, że kiedyś poprosi mnie o przysługę i nie będę mógł odmówić.

– Jaką przysługę?

– A skąd mam wiedzieć? Potem już o nim nie słyszałem.

– Jak się nazywa?

– Wiem tylko, że nazywają go Zenit.

– Co to ma być za imię?

– Nie ma się z czego śmiać. Ten człowiek to zło wcielone.

Dziwne było widzieć Canu tak wystraszzonego – twardość członków jego klanu była przysłowiowa.

– Jak go poznałeś? – przycisnął Costanza. – Ktoś ci go przedstawił?

– Wszystkie kontakty były przez BBS.

Costanza wyglądał na zdezorientowanego.

– Co to jest, kurwa, BBS?

– *Bulletin Board System* – wyjaśnił Canu. – System komunikacji między komputerami.

– Nigdy nie słyszałem o komunikacji między komputerami. Nie robisz sobie jaj?

Canu był blady i ciągle oblizywał usta. Jego postawa była zupełnie inna od bezczelności, która wyróżniała go na przesłuchaniu rok wcześniej. Wydawał się naprawdę przestraszony, jakby mówienie na ten temat wystawiało na ciężką próbę jego nerwy.

– Słuchaj. Powiedziałem, co wiem. A teraz mnie puść.

– Dopiero zaczęliśmy – zgasił go Costanza. – Nie wystawisz palca z tej furgonetki, dopóki mi nie opowiesz, co się stało z Monicą Ferretti i Paolem Ginestrą.

– Myślisz, że kazałbym zabić kogoś, kto wisiał mi pieniądze?

– Nie mam pojęcia, co sobie myśli twoja chujowa głowa.

– Nie mam nic wspólnego z tą historią! Powtarzam, że nie miałem z nim więcej kontaktu. Prawdopodobnie Ginestra i ta dziewczyna znaleźli się po prostu w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

– Czemu miałbym w to wierzyć?

– Bo wszystko jest w moim komputerze. Wiadomości, które wymienialiśmy, numer telefonu do BBS i cała reszta. To jest w moim biurze, wszystko tam znajdziesz.

– Numer telefonu? Nie mówiłeś, że to komunikacja między komputerami?

– Tak to działa. Wybierasz numer przez linię telefoniczną przez tak zwany modem. A odpowiada nie człowiek, tylko inny komputer.

– Jak faks.

– Albo teleks.

Costanza przez chwilę nic nie mówił, zastanawiając się nad słowami Canu. Pamiętał, że w jego biurze był komputer, ale myśl o powrocie do lokalu, żeby go zabrać, wcale nie była kusząca.

Zapukał w przegrodę, by zwrócić uwagę Fornasier.

– Znajdź budkę telefoniczną i zatrzymaj się – powiedział, nie odrywając wzroku od swojego więźnia. – Muszę zadzwonić.

O 3:14 rano czarny nieoznakowany samochód opancerzony wyruszył z komendy, eskortowany przez dwa radiowozy z wyłączonymi sygnałami. Niewiele ponad dziesięć minut później mały konwój dotarł przed wejście do lokalu Caligoli i zatrzymał się z piskiem opon.

Z wozu opancerzonego wysiadło czterech antyterrorystów w kominiarkach ubranych w sprzęt ochronny. Każdego uczestnika operacji można było odróżnić po naszytej na mundurze odznace z hasłem *Sicut nox silentes*; byli wyposażeni w kamizelki kuloodporne i pistolety maszynowe M12.

Drzwi radiowozów otworzyły się i wychylili się z nich policjanci mierzący z pistoletów.

Wejście do lokalu było zasłonięte metalową żaluzją, przypiętą do kółka wystającego z asfaltu dużą kłódką. Jeden z antyterrorystów pochylił się, żeby przeciąć ją obcęgi.

Jako pierwszy wszedł dowódca oddziału, za którym – na jego sygnał – podążyli pozostali w ustawieniu taktycznym.

Wewnątrz głównej sali panowała jakaś nierzeczywista cisza. Światła były zgaszone, stołki wsunięte pod bar, krzesła leżące do góry nogami na stołach.

– Wolne – powiedział dowódca do radiotelefonu przymocowanego na piersi, kiedy sprawdził wnętrze pomieszczenia. Potem zbliżył się do bocznych drzwi i nasłuchiwał przez kilka sekund.

Za progiem była tylko cisza.

Drobny gest wystarczył, by wezwać jednego z jego ludzi. Gdy skonstatowali, że drzwi są zamknięte na klucz, ten ostatni wyważył zamek dobrze wymierzonym uderzeniem kolbą pistoletu.

Grupa weszła w korytarz, poruszając się z nieskazitelną koordynacją, zataczając latarkami koła po czerwonych ścianach. Dowódca grupy oparł się plecami o ścianę obok metalowych drzwi i dał znak, by je wyważyć.

Sala była pusta, z wyjątkiem kilku spiętrzonych kartonów, które okazały się zawierać butelki z alkoholem.

Powietrze było nasączone ostrym zapachem potu zmieszanego z wiszącym dymem papierosowym. Nie było śladu po stołach do gry albo innych sprzętów, które widzieli Costanza i jego ludzie, ale zarysowania na podłodze świadczyły o tym, że wyciągano stamtąd w pośpiechu coś dużego i ciężkiego.

Grupa weszła w głąb korytarza.

Kiedy policjanci znaleźli się wewnątrz biura Salvatora Canu, czekało tam na nich tylko puste biurko i stojący w rogu fotel.

Nie było komputera ani innych urządzeń elektronicznych.

Inspekcja trwała kilka sekund: tyle czasu było trzeba, by sprawdzić, że w ścianach ani w podłodze nie ma ukrytych nisz.

– Nic tu nie ma – powiedział dowódca do radiotelefonu.

Wyszedł do zaułka przez tylne drzwi i razem ze swoimi ludźmi przejrzał kubeł na śmieci. Rozpruli plastikowe torby, z których wyłoniły się tylko puste butelki, zgnieciony papier i resztki jedzenia.

Cokolwiek mogłoby obciążać Salvatora Canu albo potwierdzić jego zeznania, zostało zabrane i umieszczone z dala od niedyskretnych spojrzeń.

– Kurwa – warknął Costanza, rzucając słuchawką telefonu. – Nalot nic nie wykazał. Wyczyścili wszystko, razem z komputerem.

Scalviati, który siedział naprzeciwko niego w biurze inspektora, spojrzał na niego zrezygnowany.

– Można było się tego spodziewać. Canu nie są ryzykantami.

– Trzeba było mieć lokal na oku, ale nie mogłem ryzykować pozostania w pobliżu z tym burakiem na pace furgonetki. Ktoś z jego pomagierów mógł próbować go uwolnić i kto wie, jak by się to dalej potoczyło. Musiałem po prostu wrócić na komendę, żeby sformalizować jego areszt.

– Areszt, który w tej chwili nie ma żadnych podstaw.

Choć Costanza wmówił Salvatorowi Canu, że wiezie go w jakieś odludne miejsce, to tak naprawdę kazał jeździć w kółko obwodnicą Turynu, przekonany, że wcześniej czy później więzień się rozsypie. Miał rację, ale teraz zrozumiał, że nie docenił umiejętności przeciwnika.

Kiedy dotarł do budki telefonicznej, zadzwonił do Scalviatego, by powiadomić go o wyznaniach przestępcy i poprosić o interwencję antyterrorystów, którzy mieli zarekwirować komputer i sprzęt do gry z lokalu Caligola, którego prowadzenie samo w sobie byłoby świetnym pretekstem do aresztowania.

Problem polegał na tym, że czas potrzebny do organizacji nalotu wystarczył pomocnikom Canu, by odpowiednio się zabezpieczyć.

– Cóż, mamy jego zeznania – podsunął Costanza.

– Zeznania wymuszone w sposób całkowicie sprzeczny z procedurami i którym w żaden sposób nie możemy ufać.

– Przyznał się, że był zamieszany w podwójne morderstwo Roberta Lescaux i Alice Dallery!



– I co z tego? Powiedział też, że sam nie nacisnął spustu, a winą za morderstwo obciążył jakiegoś nieznajomego, z którym kontaktował się przez tajemniczą sieć telematyczną.

Costanza pokręcił głową.

– Prawdopodobnie ten drań powiedział mi same wymysły, żeby uratować tyłek. Kiedy wymienił imię pomocnika, pomyślałem, że musi to wymyślać na bieżąco.

– Imię? – przerwał Scalviati zaskoczony. – Czemu nie powiedział mi pan od razu?

– Bo to jest fikcyjne imię. Amerykanin, który każe się nazywać Zenit... Jak marka zegarków, rozumie pan?

Scalviati był jak rażony piorunem. Jeśli na początku teoria Stonera o seryjnym mordercy po przeprowadzce wydawała mu się fantastyczna, teraz był zmuszony potraktować ją poważnie.

– Jest pan pewien?

– Tak, dlaczego? To panu coś mówi?

Scalviati uniknął odpowiedzi. Jeszcze przetrwał rewelacje Stonera, a to imię z impetem wracało na pierwszy plan. Ale stracił szansę na przyciśnięcie prawdopodobnego pomocnika. Dobrze wiedział, że Canu na formalnym przesłuchaniu wycofa się z każdego słowa.

– Kiedy prosiłem, żeby zajął się pan Salvatore Canu, to proszę mi wierzyć, że nie o tym myślałem – powiedział tylko.

– A czego się pan spodziewał, że będę mu przynosił śniadanie do łóżka?

– Miałem nadzieję, że przynajmniej będzie się pan trzymał najbardziej podstawowych zasad kodeksu postępowania karnego! To trudny czas, zaraz zacznie się reforma wymiaru sprawiedliwości. Za kilka tygodni parlament przyjmie ustawę. Takie podejście do śledztwa nie będzie tolerowane, a ja na pewno nie będę na coś takiego pozwalał! Rozumie pan, że może pan dostać postępowanie dyscyplinarne?

Scalviati przesunął wzrok na ścianę, gdzie wisiała fotografia prezydenta Cossigi i, jakby czuł się obserwowany, zniżył głos.

– Musimy tylko mieć nadzieję, że wiadomość o tym, co się stało dziś w nocy, nie wycieknie do prasy, bo jak nie, to zacznie się jazgot.

– Canu nie będzie rozmawiał z prasą. Nie ma w tym interesu.

– A skąd pan wie?

– Nie widział pan jego wzroku w momencie, kiedy go przesłuchiwałem. Może i jest rekinem, ale czegoś się boi. Albo raczej kogoś. Jeszcze większego rekina...

– W każdym razie właśnie zagraliśmy naszą najlepszą kartę, by wypchnąć to śledztwo z błota. A jeśli chodzi o Zenita, to ekscesy tej nocy prawdopodobnie tylko go zaalarmują.

– Przestraszone zwierzę łatwiej złapać – powiedział Costanza wyzywająco.

– Naprawdę pan wierzy, że osobników takich jak ten łatwo przestraszyć? Kogoś, kto latami potrafił zabijać z zimną krwią niewinnych ludzi?

– Latami? Pierwsze morderstwo było w lutym zeszłego roku.

Scalviati westchnął. Wolałby zatrzymać dla siebie teorię Stonera, przynajmniej dopóki nie będzie miał możliwości dowiedzieć się więcej. Ale teraz wyjdzie na to samo, jeśli odsłoni karty.

– Pamięta pan tego Amerykanina, który pojawił się na miejscu zbrodni w Pian del Lot?

– Agent FBI? Chyba nie będzie chciał go pan angażować w śledztwo.

– Już go zaangażowałem – przyznał Scalviati. – Dziś rano wyjaśnił mi, dlaczego jest we Włoszech. Poszukuje mordercy, który siał postrach w okolicach San Francisco na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i rozpląnął się w powietrzu piętnaście lat temu. Kazał na siebie mówić Zenit.

– Więc to nie były kręgi na wodzie – wypalił Costanza. – Jest coś z prawdy w tym, co mówił Canu!

– Za wcześnie się cieszyć. Nie mamy w ręku nic konkretnego.

– Musimy znaleźć ten cholerny komputer. Mamy czterdzieści osiem godzin zanim minie dozwolony czas zatrzymania. Docisnę brata Canu

i jego zbirów, nie odpuszczę im, dopóki go nie pokażą.

– Nic pan nie zrobi – zgasił go prokurator. – Już dość pan narozrabiał, nie możemy pozwolić sobie na kolejny fałszywy krok. To nie jest kruczata. Tu chodzi o wiarygodność dochodzenia.

– Do cholery – warknął Costanza, waląc pięścią w stół. – Nie możemy teraz się poddać. Musimy kuć żelazo póki gorące.

Scalviati wstał.

– A kto mówi o poddawaniu się? – powiedział, patrząc mu w oczy. – Zapewniam pana, Costanza, że nie mam najmniejszego zamiaru odpuszczać Salvatorowi Canu. Ale teraz trzeba się liczyć z okolicznościami i poluzować uścisk. Chwilowo zachęcam pana do ostrożności. On sam zrobi fałszywy krok, tego jestem pewien, a kiedy to się stanie, my będziemy na to gotowi.

Kilka godzin później, kiedy Scalviati dotarł do swojego biura w prokuraturze, bez zaskoczenia zastał tam adwokata Salvatora Canu. Pozwolił mu głądzić przez dziesięć minut o prawach obywatelskich, nadużyciu władzy i domniemaniu niewinności, nie odpierając ciosów. Na koniec spotkania ustalono, że klient będzie mógł opuścić areszt w ciągu dnia, kiedy tylko zostaną dopełnione formalności administracyjne.

Przed południem Cecilia wręczyła prokuratorowi wyniki analizy moczu małego Tito. Nie poprawiła mu humoru wiadomość, że odkryto tam ślady diazepamu, substancji czynnej valium.

Chłopiec był odurzany przez własną matkę – to wyjaśniało jego zagubienie tamtej nocy. Było to straszne, ale Scalviati pomyślał, że może tak było lepiej. Przynajmniej okrutne obrazy zabójstwa matki i jej kochanka nie będą go nękać przez resztę życia.

Jedyną rzeczą, której pewnie nigdy nie zapomni to drzewa, które „mocno się ruszały”. Teraz Scalviati wiedział już, o co chodziło chłopcu w czasie przesłuchania.

Obudzony krzykiem uciekającej matki, prawdopodobnie spojrział, co się dzieje na zewnątrz samochodu.

I nieświadomie stał się świadkiem czegoś strasznego, co dokonywało się pod lasem.

Był to obraz tak wstrząsający, że jego umysł zamroczony lekiem odmówił zapamiętania go, dostrzegając tylko ruchy krzewów w czasie, kiedy potwór rozcinał ciało jego matki.

Scalviati musiał głęboko odetchnąć, by nie ulec pokusie załamania. Musiał za wszelką cenę złapać potwora. Zanim znów zabije.

Ale im bardziej zgłębiał tę historię, tym bardziej czuł, że kręci się wokół prawdy, nie mogąc się do niej przybliżyć. Dał sobie chwilę na refleksję.

„Valium”, pomyślał. Niezwykle mocny środek uspokajający, można było go dostać tylko na receptę.

Zerwał się na nogi. Wyciągnął teczkę *Krwistoczerwony byk* i zaczął gorączkowo przerzucać dokumentację, szukając protokołu z przesłuchania ojca Tito. Kiedy go znalazł, zaczął czytać transkrypcję.

Gaetano Ferretti mówił, że nikomu w rodzinie, żonie też, nie przepisano leków. Prokurator zatrzymał się na jednym zdaniu.

*Raz powiedziała mi, że rozmawiała ze swoim aptekarzem.*

Wtedy nie wydało mu się to ważne. Pomyślał, że Monica Ferretti żartuje z męża. Ale jeśli tak nie było? Jeśli w stanie ciężkiej irytacji powiedziała najczystsza prawdę?

Monica Ferretti każdemu przypinała jakieś przezwisko. I tak jak mógł być jakiś Markiz, mógł też być... Aptekarz.

Ktoś, kto dostarczał jej środki uspokajające, by zwalczyć bezsenność, a które kobieta zaczęła wreszcie dawać dziecku, by przytłumić jego żywiołowość.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej przekonywał się, że za tymi dwoma przezwiskami kryły się dwie postacie kluczowe dla morderstwa Ferretti /Ginestra.

Ale jak to wszystko miało się łączyć z teorią Stonera o mordercy przybyłym zza oceanu, którą w dodatku teraz właściwie potwierdziły zeznania Canu?

Czy to możliwe, żeby w morderstwa zamieszanych było więcej osób? Jeśli tak, to w tę sprawę zaangażowana była sieć pomocników, której struktura i motywy były jednak wysoce niejasne.

Czy to była organizacja przestępcza? Sekta? Spisek?

Hipoteza wyjaśniałaby, dlaczego ktoś chciał zanieść małego Tito w bezpieczne miejsce po dokonaniu morderstwa. Pomocnik, który w odruchu współczucia zaniósł chłopca do domu Bergesia.

No i było zdanie przytoczone przez Canu, o którym wspomniał Costanza w swoim sprawozdaniu:

*Żeby błyszczał w blasku księżyca.*

Te same słowa, które przeczytał w jednym z manifestów wysłanych przez Zenita do gazety, w którym zamiast podpisu widniał symbol astrolabium. Ale żeby zrozumieć, co to znaczy, trzeba było wejść do głowy zabójcy.

A choć bardzo nie chciał się do tego przyznać, znał tylko jedną osobę, która to potrafiła.

Spotkali się w Rondò. Zostali ciepło przyjęci przez Enza, właściciela, który skorzystał z okazji, by opowiedzieć jedną ze swoich anegdot z czasów, gdy przemierzał ocean statkiem wycieczkowym.

Kiedy usiedli, Stoner wręczył Scalviatiemu ciekawą teczkę zawierającą kilkukartkowy, napisany na maszynie dokument.

– Profil potwora – oznajmił.

Scalviati zaczął go przeglądać.

– Niewiele pan dodał do tego, co widziałem wczoraj.

– Pracowałem przede wszystkim nad potwierdzeniami.

– Czemu uważa pan, że on ma czterdzieści pięć-pięćdziesiąt lat?

– Jest kilka powodów, które każą przypuszczać, że to dojrzały mężczyzna. Przede wszystkim wysoki stopień organizacji. Po drugie, ze względów statystycznych. Zakładając, że miał około dwudziestu pięciu lat, kiedy zaczął zabijać, teraz byłby właśnie w takim wieku. Poza tym, strzelając, robi to z niewielkiej odległości. Zawsze był dobrym strzelcem, ale prawdopodobnie nie mierzy już tak dokładnie jak kiedyś. Może z biegiem lat pogorszył mu się wzrok. Woli nie ryzykować, że chybi celu.

Scalviati odniósł takie samo wrażenie na pierwszej wizji lokalnej na miejscu zbrodni.

– Uznaje pan za oczywiste, że Zenit jest naszym człowiekiem.

– W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj.

Kelner zbliżył się do stołu i zapytał, czy wiedzą już, co chcą zamówić. Scalviati właśnie miał poprosić, by wrócił za chwilę, ale ubiegł go Stoner, który z entuzjazmem poprosił o porcję bawolej mozzarelli z warzywami sezonowymi.

– W takim razie dla mnie *risotto alla piemontese*.

- Chcecie spojrzeć w kartę win?
- Nie ma potrzeby. Woda zupełnie wystarczy.
- Ja poproszę kieliszek pinot – wtrącił Stoner.
- Jak pan sobie życzy. – Po zanotowaniu zamówień w bloczku kelner oddalił się.

Scalviati wrócił do lektury dokumentu.

- Mówi pan o uzasadnionych przypuszczeniach co do udziału jednego lub więcej pomocników...

– Jestem otwarty na taką hipotezę – przyznał Stoner. – Jak jestem przekonany, że w San Francisco działał tylko jeden napastnik, tak zaczynam myśleć, że tu we Włoszech mamy do czynienia z bardziej skomplikowanym scenariuszem.

– À propos. Dziś w nocy inspektor Costanza przesłuchał przedstawiciela lokalnej przestępczości, Salvatora Canu, podejrzanego o współudział w jednym z morderstw.

– Współudział... w jakim sensie? Mówi pan, że aresztowaliście możliwego pomocnika?

– Nie do końca aresztowaliśmy. Niestety nie udało się go zatrzymać na dłużej z powodu braku dowodów i z powodu... kontrowersyjnego sposobu, w jaki odbyło się przesłuchanie i nad którym wołałbym się nie rozwodzić. Wystarczy, że panu powiem, iż Canu przyznał się, że miał kontakt z niejakim Zenitem przez system telematyczny pod nazwą BBS, i że spotkał go w noc morderstw, 6 września zeszłego roku.

– Zenit? – przerwał Stoner. – *Holy shit!* Miałem rację!

Scalviati pozostał niewzruszony.

– Niestety straciliśmy możliwość przeanalizowania danych z komputera Canu i sprawdzenia jego zeznań.

– Cóż, znam system BBS. O ile się nie mylę, to wymiana danych między komputerami następuje przez połączenie telefoniczne – w jego oczach drżała ekscytacja.



– Dokładnie. Zanim tu przyszedłem, rozmawiałem z doktorem Di Carą i kazałem mu zażądać bilingów telefonicznych Canu z ostatnich dwóch lat. Jednym z numerów, na które dzwonił, musi być numer BBS.

– Ale to będzie jak szukanie igły w stogu siana.

– W tej chwili mamy tylko to.

Stoner wyglądał, jakby chciał przejrzeć swojego rozmówcę, szukając ledwie odczuwalnej niepewności.

– Jestem jednak pewien, że jest coś jeszcze. Coś, o czym pan jeszcze nie powiedział.

Scalviati długo wypuszczał powietrze.

– No, jest coś jeszcze. Według zeznań Canu morderca jest cudzoziemcem mówiącym z wyraźnym akcentem, do tego stopnia, że chwilami nie rozumiał tego, co tamten mówił. Ale zapamiętał jedno szczególne zdanie. Zdanie, które pokazał mi pan w jednym z listów, które Zenit wysłał do „Chronicle”, kiedy pisał, że jego ofiary będą „błyszcząc w blasku księżyca”.

Mężczyźni przez chwilę byli cicho, kiedy kelner zbliżał się do nich szybkim krokiem. Chłopak postawił na środku stołu butelkę z wodą, obok postawił kryształowy kieliszek. Nalał niewielką ilość wina i zastygł w oczekiwaniu.

Stoner rozejrzał się wokół z pewnym zakłopotaniem i popatrzył pytająco na kelnera.

– Może pan spróbować – podsunął Scalviati.

– Oczywiście – odparł. Wziął łyk wina i podniósł kciuk w geście aprobaty.

– Wracajmy do sprawy – ponaglił prokurator. – Jak pan myśli, co oznacza to zdanie?

– Zaraz powiem. Ale najpierw chciałbym zadać pytanie. Wydaje mi się, że ciągle ma pan wątpliwości co do tożsamości zabójcy. Czego pan jeszcze potrzebuje, by się zgodzić, że mamy przed sobą tego samego mordercę, który działał w San Francisco?

– Konkretniejszych dowodów niż informacje, które można wyciągnąć z artykułu w gazecie. Dopóki takie się nie pojawią, uważam to za jedną z wielu hipotez.

– Nie uważa pan, że na dłuższą metę nadmiar ostrożności może okazać się szkodliwy?

– Może pan myśleć, jak pan chce, mister Stoner. Ale proszę pamiętać, że w tym przypadku reprezentuję władzę sądowniczą i moje decyzje nie są obiektem debaty.

– *Fair enough.* – Stoner odchrząknął. – Wracając do tego zdania: chodzi o jakby najwyższy cel, który stawia przed sobą nasz obiekt i który, jakkolwiek nie zabrzmiał to absurdalnie, chce osiągnąć przez swoje zbrodnie.

– Proszę lepiej to wyjaśnić.

– Chodzi oczywiście o morderstwa o podłożu ezoterycznym. Dlatego dwóm ofiarom, tutaj we Włoszech, wycięto śledzionę. Po angielsku nazywa się ona *spleen*, a to słowo nie oznacza tylko organu – dawni poeci określali nim pewien egzystencjalny niepokój. Ten koncept wynika z greckiej teorii humorów, która przypisywała czarnej żółci produkowanej przez śledzionę zdolność wprowadzania w przygnębienie. Niepokój, lęk. Z takiej właśnie kondycji nasz obiekt wyzwala się przez katharsis morderstwa, unosząc się ku wyższym sferom myśli, symbolizowanym przez księżyc.

– Dość wyszukane jak dla kogoś, kto strzela z pistoletu do zakochanych par – zaproponował Scalviati.

– Nasz obiekt ma wykształcenie i iloraz inteligencji powyżej średniej. Wykonuje jakiś szacowny zawód w środowisku poddanym ścisłej kontroli.

– Co ma pan na myśli mówiąc o „środowisku poddanym ścisłej kontroli”?

Stoner rozłożył ręce.

– Może jest przedsiębiorcą, oficerem w wojsku, może jest w zarządzie jakiejś spółki... Problem polega na tym, że obowiązki w pracy i normy etyczne nie pozwalają mu na wzniesienie się na poziom, którego

potrzebuje. A jego ułomność w sferze seksualnej tylko powiększa jego frustrację.

– Myśli pan, że jest impotentem?

– Niekoniecznie. Z pewnością doznał jakiejś formy psychologicznej kastracji.

– Niech mi pan wyjaśni – poza sugestiami ezoterycznymi, księżycem i spleenem, jest pan też przekonany, że te zbrodnie mają konotację seksualną?

– Zdecydowanie tak. Dlatego atakuje pary młodych ludzi. Przygląda się ich uniesieniom, sycąc swoje chore fantazje, aż do momentu, kiedy uwalnia się w nim mordercza furia. Uważa ofiary za przedmioty, środki do osiągnięcia katharsis, której nie może znaleźć w codzienności.

Mężczyźni zjedli w milczeniu przerywanym tylko od czasu do czasu entuzjastycznymi komentarzami Stonera na temat smaku mozzarelli.

Gdy przyszedł czas na kawę, Scalvati się odezwał.

– Przypuśćmy, że Zenit i potwór to ta sama osoba. Ale jak się nad tym zastanowić, to jeden szczegół tu nie pasuje. Mówił pan, że jest powód, dla którego wybiera pary młodych ludzi, ale w takim razie dlaczego zabił w 1972 tamtego taksówkarza z San Francisco?

– Dobre pytanie – stwierdził Stoner. – Według mnie dał się ponieść impulsowi. Może całymi nocami krążył, nie znajdując ofiar, które odpowiadałyby jego ulubionemu typowi i był tak sfrustrowany, że zadowolili się pierwszą osobą, która znalazła się na celowniku. Może to była reakcja na koniec ożywionej kłótni. Albo wiedział, że już nie będzie innej okazji. Bo przecież niedługo po tym morderstwie zniknął.

– Jednak w tym przypadku zupełnie brakuje elementu podglądania.

– To prawda. To anomalia. Wyjątek, który potwierdza regułę.

– Może bał się, że go odkryto.

– To możliwe. Napisałem w profilu, że obiekt cierpi na zaburzenie obsesyjno-kompulsywne. Zenit czuje potrzebę kontrolowania wszystkiego, co go otacza, i ta potrzeba kontroli mogła leć u podstaw tamtego morderstwa.

– Mhm – Scalvati spuścił oczy zamyślony.

– Czy coś się panu nie zgadza? – dopytywał Stoner.

Prokurator odpowiedział po krótkim wahaniu.

– Nie, nic. Myślałem o listach, które Zenit wysyłał do gazety. Mógłby mi je pan skopiować?

– Oczywiście. To tak czy owak materiały podane do wiadomości publicznej. Myśli pan o czymś konkretnym?

– Jeszcze nie wiem – przyznał Scaviati. – Tymczasem chciałbym rzucić okiem na ten zaszyfrowany kod, by wyrobić sobie pojęcie, co to mogło znaczyć. Może to ma coś wspólnego z tym, co się dzieje, chciałbym też zapytać doktora Di Carę, co o tym sądzi.

– Jestem pewien, że Di Cara jest świetnym profesjonalistą w swojej branży, ale myśli pan, że ma kompetencje, by dokonać czegoś, na czym poległ eksperci światowej sławy?

– Tego nie powiedziałem. Ale jeśli chce pan, żebym poważnie wziął pod uwagę pana teorię, będzie pan musiał pokazać mi wszystkie materiały, do których dotarło FBI.

Krótko po zachodzie słońca Leda i Ludwig spotkali się na parkingu toru wrotkarskiego. Pozdrowili się lekkim skinieniem i ruszyli do wejścia, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Poprzedniej nocy Leda nie chciała u niego zostać. Musiała trochę poczekać, ale w końcu znalazła taksówkę, która zawiozła ją do domu. Trochę przez alkohol, trochę przez zmęczenie wielu dni zasnęła w momencie, w którym dotknęła łóżka. Ale rano obudziła się nagle koło siódmej, czując nieprzyjemny ucisk w nadbrzuszu.

Na śniadanie przygotowała piemonckie *gofri*, ulubione danie Carla. Jakby przez nieuwagę chłopak powiedział jej, że poprzedniego wieczoru, niedługo po jej wyjściu, był dziwny telefon. Ktokolwiek dzwonił, nie powiedział ani słowa: słychać było tylko miarowy oddech z drugiego końca linii, który przyprawił go o dreszcze.

Leda odwiozła syna na pociąg, a potem poszła do redakcji. Ale przez cały dzień myślała tylko o tym, jaką nieodpowiedzialnością się wykazała, zostawiając go samego w domu.

Jedyną pociechą było to, że Carlo wyjechał z miasta do ojca, do Toskanii. Daleko od Turynu i od zagrożeń, które wydawały się gnieździć w jego cieniu.

Ledę kusilo, by zadzwonić do Ludwiga i odwołać spotkanie, ale potem postanowiła odrzucić niepewność, ubrała się w pośpiechu i wyszła. Jeśli była szansa zidentyfikować Aptekarza, to trzeba było spróbować.

Jednak nie mogła zaprzeczyć, że była do głębi przejęta, co próbowała pokryć zdawkowym uśmiechem, kiedy Ludwig się do niej odezwał.

– Chodź. Nie mogę się doczekać, żeby się wypróbować.

– O czym ty mówisz?

On podniósł brew, jakby odpowiedź była oczywista.

– O wrotkach, oczywiście. Jesteśmy na torze wrotkarskim. Czyli trzeba... jeździć na wrotkach.

– Mam nadzieję, że żartujesz. Przyszliśmy tu wybadać diler, a nie kręcić się na kółkach, które nadają się tylko do zderzania się ze ścianami.

– Ale z ciebie defetystka! Jak to możliwe, że zawsze myślisz tylko o najgorszym? – Ludwig pchnął drzwi obrotowe i wszedł przed nią do hali.

Hala była obszerna, z różowymi ścianami oświetlonymi przez neony. Z jednej strony był bar, z kilkoma stolikami, przy których siedziały żywo dyskutujące nastolatki. Po przeciwnej stronie, koło flipperów, stały liczne stanowiska gier wideo, wśród których wyróżniały się futurystyczne kabiny *Out Run*, wyposażone w siedzenie, kierownicę i dźwignię zmiany biegów.

– Chciałabym tylko uniknąć złamania kości ogonowej – mruknęła Leda.

– Tak czy owak to za wcześnie, by pokazał się mój kontakt, zazwyczaj przychodzi koło dziewiątej – odpowiedział Ludwig, idąc do kasy. – To chyba świetna okazja na trochę aktywności fizycznej przed kolacją. Z tego co zrozumiałem, masz raczej siedzący tryb życia.

– No bywa, że jak ktoś ma pracę i dziecko, to nie znajduje czasu na *wellness*.

– No no, ja też pracuję!

– Niech zgadnę... Dog-sitter dziedziczki wielkiej fortuny? Tester jachtów na Lazurowym Wybrzeżu?

Ludwig spiorunował ją spojrzeniem.

– Odpowiadam za PR w firmie mojego ojca. Jeśli mam wolny czas na swoje pasje, to tylko dlatego, że mam elastyczny czas pracy.

Leda pokazała palcem na jego odblaskowo niebieskiego irokeza.

– Twój ojciec produkuje farby do włosów?

– Cios poniżej pasa – odpowiedział. – Produkuje części zamienne do samochodów sportowych. – Zapłacił za dwa bilety i wyprzedzając pełną obaw Ledę, poprowadził ją do wypożyczalni wrotek.

– Numer buta? – spytała dziewczyna zza lady.

– Czterdzieści cztery – oznajmił Ludwig, przenosząc wzrok na stopy Ledy. – I chyba... trzydzieści siedem?

– Trzydzieści osiem.

Dziewczyna szperała chwilę między pudełkami, wreszcie wręczyła im po parze wrotek.

Ludwig usiadł na jednej z puf. Zdjął buty, potem nagle znieruchomiał.

– Czekaj... Masz dziecko?

– Tak. Syna, mniej więcej w wieku dzieciaków, które tu przychodzą.

– Więc jesteś mężatką?

– Rozwódką.

Na twarzy Ludwiga pojawił się dziwny uśmiech.

– Aha.

– Ale to wcale nie daje ci prawa mnie podrywać.

– Ciągłe złościsz się o wczorajszą noc?

– A co do tego ma wczorajsza noc? – Leda założyła wrotki i zaczęła je sznurować. – Matko święta, nie wierzę, że to robię.

– Poczekaj – powiedział. – Musisz mocniej ścisnąć kostkę. O tak. –

Pochylił się nad nią i ponaciągał sznurowadła, ściskając jej łydki żeby sprawdzić, czy wrotki dość dobrze leżą.

– Łapy przy sobie, flirciarzu.

Ludwig wyraźnie się zaczerwienił.

– No przecież nie... Nieważne. – Z zaskakującą swobodą stanął na nogi i podał jej rękę. – Chodź, wstawaj!

– Dzięki, poradzę sobie. – Mimo trudności Leda zdołała złapać niepewną równowagę na stojąco.

Ludwig, balansując z pomocą szerokich ruchów ramion, ruszył korytarzem prowadzącym na tor.

Leda próbowała jechać za nim, chwiejąc się i modląc, by ból nie wybrał sobie na atak właśnie tego wieczoru.



Wyłonili się w wielkiej owalnej hali o gładkiej podłodze, na której odbijały się niebieskie i fioletowe światła neonów, układające się w świetlną mozaikę dzięki lustrzanym kulom zwisającym z sufitu.

Jeden niezgrabny ruch i nogi Ledy znalazły się na dwóch rozchodzących się pasach. Chwyciła się barierki i nie bez trudu zdołała zatrzymać, podczas gdy grupki nastolatków i pary roily się wokół niej. Powietrze było przesycone zapachem popcornu z baru, szmerem rozmów i melodią *Self control* Rafa wyrzucaną z głośników rozkręconych na cały regulator.

– Wszystko dobrze? – spytał Ludwig.

– Przypomnij mi, z jakiego bezsensownego powodu mamy ryzykować życie na tych narzędziach tortur.

– To proste. Mamy wyglądać na dwójkę starych przyjaciół, którzy bawią się razem w piątek wieczorem, tak żeby mój kontakt nie podejrzewał, że za moimi pytaniami kryje się jakieś drugie dno. Na przykład artykuł w gazecie albo policyjne śledztwo.

Leda próbowała utrzymać się na nogach, ale kolejny upadek to było już za wiele.

– Jestem już za stara na takie rzeczy.

– To tylko kwestia pewności siebie – pocieszył ją. – Postaraj się oswobodzić umysł. Zapomnij o regułach, które mózg nieświadomie dyktuje ci, kiedy chodzisz. Daj się porwać przez nurt.

– Łatwo ci mówić. Nawet nie wiem, jak się hamuje.

– Hamulce są pod palcami. Wystarczy przechylić wrotki do przodu, o tak. – Rozpędził się dwoma ruchami bioder, zawrócił i wrócił do punktu wyjścia zatrzymując się o krok przed nią. – Gotowa? – zapytał.

Podał jej rękę i tym razem Leda ją chwyciła.

Siedząc przy stoliku w barze, Leda ugryzła ostatni kęs swojego sandwicha z łososiem. – Nigdy nie sądziłam, że masz talent do wrotek. Nie myślałeś o olimpiadzie?

– Śmieję się ze mnie, śmieję – odparł Ludwig, opadając na oparcie. – W każdym razie, jak trochę się wyluzowałaś, zupełnie nieźle ci szło. Prawie udało ci się zrobić całe okrążenie bez upadku.

– „Prawie” robi wielką różnicę. No, ale właściciele tego obiektu powinni mi podziękować. Dziś wieczorem nie będą musieli odkurzać.

– Mówiłem ci, za bardzo się kontrolujesz. Powinnaś otworzyć się trochę na to, co w życiu nieprzewidywalne.

– Dobrze. Zen i sztuka wrotkarstwa.

Wyraz twarzy Ludwiga momentalnie się zmienił.

– Nie odwracaj się – powiedział. – Ferrero idzie w naszą stronę.

– Kto?

– Mój kontakt.

– Ferrero? Diler bombonierek?

– Właściwie nie jest moim... – westchnienie. – Nieważne. W każdym razie tutaj to jest dość powszechne nazwisko.

– Od dawna tu jest?

– Zobaczyłem go kątem oka, jak wychodziliśmy z toru. Z tego, jak na ciebie patrzył, myślę, że mu się spodobałaś.

– Całe życie o tym marzyłam.

– Ogólnie rzecz biorąc, to w porządku gość. Zachowuj się tak, żeby nie nabrał podejrzeń.

Leda skrzyżowała ręce na piersi.

– Tak dobrze?

Chłopak w kasku włosów na żel i w kurtce pilotce zatrzymał się przed ich stolikiem. Podniósł rękę na powitanie.

– Ludwig, stary!

Tamten wstał i serdecznie mu ją uściskał.

– Jader! Jak leci?

– Wszystko w normie. Są też chłopaki z zespołu?

– Rozwiązaliśmy się.

– Jak zwykle zazdrość?

– Różnice artystyczne.

– Cóż, to oni na tym tracą. Nigdy nie znajdą frontmana na twoim poziomie. – Ferrero zwrócił się do Ledy. – A mówiąc poważniej. Nie przedstawiś mi swojej dziewczyny?

– Masz rację – bąknął. – Jader, Leda. Leda, Jader.

– Nigdy cię tu nie widziałem. Jesteś z Turynu?

– Urodziłam się w Barcelonie, ale mieszkam tu, odkąd skończyłam dwanaście lat.

– *Encantado* – rzekł, całując ją w rękę.

– *Exagerado* – odpowiedziała z krzywym uśmiechem.

– Chcesz zagrać w *Double Dragon*? – wtrącił Ludwig.

– Chętnie. – Ferrero skinął Ledzie, potem we dwóch przeszli na stanowisko gier wideo.

Ludwig wrzucił dwie monety do automatu i chwycił lewą dźwignię.

– Gotowy?

Tamten potaknął. Potem spojrzał na niego spod oka.

– Nie wygląda jak twoja typowa groupie. Może zmądrzałeś?

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Skomplikowana kobieta, jeszcze nie wiem, czy jej się podobam, czy mnie nie znosi.

Ferrero powoli przemieszczał na ekranie swoją postać i rozłożył kopniakami dwóch ogolonych na zero mięśniaków.

– Z tego, co widziałem na torze, wyglądała na zaangażowaną.

– Myślisz? Chciałem ją zaprosić do siebie dziś wieczorem. Ale nie mam jej czym poczęstować oprócz dwóch piw, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem cię doskonale. Potrzebujesz trochę koksu?

– Myślałem o czymś bardziej wyszukany. Znasz tego gościa, który sprzedaje substancje z apteki?

– Ej, nie używaj słowa na „s”, to przynosi nieszczęście.

– Sorry. – Koordynując ruchy dźwigni z szybkim naciskaniem przycisków, Ludwig próbował odepchnąć członków konkurencyjnego gangu, ale jakiś zwierzak powalił go ciosami kijem bejsbolowym. – Nazywają go Aptekarz. Nie wiem, czy miałeś z nim kiedyś do czynienia.

Ferrero nerwowo klasnął językiem.

– No chyba mi nie powiesz, że idziesz do konkurencji.

– Nie no, co ty. Chciałem wiedzieć, czy ty też...

– Szanuję różne upodobania, ale ja trzymam się klasyki. I nie sądzę, żeby ta laska, którą przyprowadziłeś, gustowała w środkach przeciwbólowych.

– Tak naprawdę to dokładnie to mi powiedziała. Zdaje się, że ma słabość do fentanylu albo czegoś takiego.

– Naprawdę? No, tego u Capaldiego na pewno nie dostaniesz. To towar z importu.

– U Capaldiego?

– Aptekarza. Tak na niego mówią, ale tak naprawdę jest pielęgniarzem. Kołuje towar z dostaw leków do szpitala, w którym pracuje. Musi mieć kogoś, kto chroni mu tyłek, bo nikt nigdy nic nie zauważył. – Oderwał na chwilę wzrok od ekranu, by rozejrzeć się wokół. – Zazwyczaj przychodzi tu w piątek wieczorem, ale dzisiaj się nie pokazał. Może zmienili mu dyżury.

Postać sterowana przez Ludwiga została ugodzona pięścią przez agresywną blondynkę w ogrodniczkach.

– Kurde – skomentował. – To nie jest mój wieczór.

– Słuchaj... – powiedział Ferrero. – Mogę popytać, może uda mi się znaleźć trochę tych prochów na jutro. Ale nic nie obiecuję.

– Dzięki. Dobry z ciebie przyjaciel. – Energicznie uścisnęli sobie ręce i Ludwig wrócił do stolika, do Ledy.

– I jak? – spytała.

– Mam nazwisko, którego szukałaś – oznajmił.

Leda nie wiedziała, czy czuć ulgę, czy się martwić; jej mina wyrażała dystans.

– Powściągnij entuzjazm – powiedział Ludwig. – Bo za mocno mi podniesiesz poczucie własnej wartości.

– Masz rację – uśmiechnęła się. – Dobra robota, partnerze.

– Niezły z nas zespół, co?

– Bywały gorsze.

– To kiedy to powtórzymy?

– Mam nadzieję, że nigdy więcej!

– Chodzi mi o wyjście we dwoje. Dobrze się bawiliśmy. Na torze też.

– Chcesz mi coś powiedzieć między wierszami? – spytała, patrząc na niego spod oka.

– Nie, nic – wycofał się Ludwig. – Ale... mogłabyś odwieźć mnie do domu? Przyjechałem autobusem, ale zrobiło się chłodno i nie marzę o czekaniu na przystanku.

Greta oparła się ramieniem o framugę drzwi gabinetu Scalviatego.

– Idziesz spać?

– Muszę skończyć pracę – odpowiedział z nieuwagą, nie potrafiąc oderwać oczu od zaszyfrowanego dokumentu, który dał mu Stoner – ostatniej wiadomości wysłanej przez Zenita do amerykańskiej gazety. Ale wystarczył szelest kroków żony, by wyrwać go z odrętwienia. – Poczekaj! – zawołał i wyszedł w pośpiechu.

Ona zatrzymała się w korytarzu i odwróciła lekko głowę, nie patrząc jednak na niego. – Co tam?

– Nie chciałem zaczynać kłótni.

Greta zacisnęła mocno kimono z niebieskiego jedwabiu. – Nie szkodzi, jestem trochę zmęczona.

– Pomogę ci wejść po schodach. – Stał przy niej i objął ją w pasie ramieniem.

– Słuchaj, jestem ciężarna, ale nie niepełnosprawna.

Uśmiech.

– Masz rację, przepraszam.

– Rozumiem twoje przejęcie, ale na ostatniej wizycie było wszystko w porządku i ja też czuję się dużo spokojniejsza. Zupełnie szczerze, to nie sądzę, żebyśmy musieli mieć dom pod nadzorem.

Scalviati lekko potrząsnął głową zdezorientowany.

– Co masz na myśli? Pod nadzorem?

– Mówię o tym policjancie – odpowiedziała prostolinijnie. – O tym, który siedział w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Był tu co najmniej przez godzinę.

– Jesteś pewna, że to był policjant, a nie ochroniarz?

– Myślisz, że mogłabym nie rozpoznać munduru policyjnego po tych wszystkich latach u boku prokuratora?

– Po prostu nie rozumiem... – odparł. Potem pokręcił głową. – To chyba jakieś nieporozumienie. Nie kazałem obserwować naszego domu, nigdy bym tego nie zrobił bez twojej wiedzy.

Greta westchnęła i zaczęła wchodzić po schodach.

– W każdym razie ktoś powinien nauczyć tego policjanta dobrych manier – wyszłam go zapytać, czy ma ochotę na kawę, a on wrzucił bieg i pojechał.

– Może cię nie zauważył....

Greta wzruszyła ramionami.

– Może.

– Widziałaś jego twarz?

– Nie. Zakrywał ją daszek czapki, nie podnosił głowy.

– I siedział w samochodzie policyjnym.

– Chyba nie. To był ciemny samochód, ale nie pytaj mnie o model, bo wiesz, że osobowe są dla mnie wszystkie takie same.

Scalviati już miał ruszyć po schodach, ale znieruchomiał na pierwszym stopniu.

– Chwileczkę – powiedział, zerkając przez moment na zegarek. – Króciutko zadzwonię i jestem u ciebie.

– Dobrze. Chwilę mi zajmie, zanim się wykoszczę.

Scalviati wykręcił numer Costanzy na aparacie w kuchni. Gdy usłyszał głos w słuchawce, nie tracił czasu na ceregiele.

– Wysłał pan kogoś do obserwowania mojego domu?

Costanza odpowiedział po długim wahaniu.

– Przepraszam, o czym pan mówi?

– Moja żona właśnie mi powiedziała, że jakiś policjant siedział przez godzinę przed naszym domem.

- Jest pewna, że to był ktoś z naszych?
- Był w mundurze, ale w prywatnym samochodzie.
- Dziwne – skomentował. – W każdym razie jakiś policjant mógł się tam znaleźć z wielu powodów. Może było ostatnie zgłoszenie przed końcem zmiany.
- No tak, na pewno tak było. Dobranoc, inspektorze. Przepraszam za porę.
- Ależ proszę – odpowiedział tamten. – Jutro będę panu mógł coś powiedzieć. Nic mnie nie kosztuje zadzwonić na kilka komisariatów i zapytać, czy dziś po południu ktoś był w tej okolicy. Jak pan dobrze wie, niektórzy dzwonią pod byle pretekstem. Staramy się sprawdzać wszystkie zawiadomienia, zwłaszcza, że to niespokojny czas, ale muszę panu wyznać, że w papierach zostaje pełno rodzinnych kłótni i kotów na drzewach.



Leda zbliżyła oczy do domofonu i zaczęła przebiegać wzrokiem nazwiska na tabliczkach obok przycisków.

Znalezienie Diego Capaldiego, pielęgniarza w szpitalu Molinette, który mieszkał w dzielnicy San Salvario, nie było trudne. Wystarczył jeden telefon do znajomej z Urzędu Motoryzacji, dawnej koleżanki ze studiów, do której zwracała się co jakiś czas z takimi pytaniami.

Capaldi, lat czterdzieści osiem, był najlepszym kandydatem do roli Aptekarza, diler psychotropów, który – według Giulii – dostarczał Monice Ferretti valium. By upewnić się, że znalazła właściwą osobę, Leda postanowiła osobiście złożyć mu wizytę.

Na drodze panował niemały ruch, wierni zmierzali do kościoła na poranną sobotnią mszę, inni szli załatwiać sprawunki.

Leda wybrała przycisk mieszkania Capaldiego i czekała na odpowiedź. Przygotowała sobie prosty pretekst. Miała udawać dość naiwną klientkę. Powiedzieć, że ma napady lękowe, odkąd zostawił ją mąż, ale nie chce, by w rodzinie ktoś się dowiedział, że zaczęła korzystać z pewnych substancji – nie może więc poprosić o receptę swojego lekarza pierwszego kontaktu, który jest bratem byłego męża.

Gdyby Capaldi zapytał ją, skąd ma jego adres i dlaczego nie chciała się spotkać na torze wrotkarskim, zmyśliłaby coś o wspólnej znajomej, niejakej Roselli, która regularnie się u niego zaopatrywała. Jaka była szansa, żeby pamiętał imiona wszystkich klientek?

Oczekiwanie trwało dłużej, niż się spodziewała. Może Capaldiego nie było w domu, a może jeszcze spał.

Może po prostu nie dosłyszał. Leda postanowiła znów nacisnąć dzwonek, wpatrując się w głośnik, jakby mogło to przyśpieszyć odpowiedź.

Długie stanie męczyło ją. W ciągu ostatnich wieczorów wystawiła ciało na ciężką próbę i obudziła się z uciążliwym bólem bioder. Musiała wyjść z łaską, myśląc, że może się przydać, gdyby Capaldi okazał się agresywny.

Oczy Ledy błądziły po otoczeniu. Zatrzymały się na eleganckim mężczyźnie z chartem na smyczy, potem na matce z córką, które z identyczną trwałą wychodziły z salonu fryzjerskiego

Niemal podskoczyła, słysząc metaliczny trzask zamka odblokowywanego od środka. Odwróciła się gwałtownie do domofonu. Milczał.

Brama otworzyła się i pewnym krokiem wyszedł umundurowany policjant w czapce zsuniętej na czoło, niemal potrącając jej ramię; ruszył chodnikiem, nie racząc jej słowem przeprosin.

Leda odprowadziła go spojrzeniem, zastanawiając się, czy policja nie ubiegła jej w poszukiwaniach.

Przez kilka chwil stała nieruchomo, niepewna, czy wejść, czy odpuścić. Potem włożyła w bramę swoją łaskę, by uniemożliwić jej zamknięcie. Ostatecznie było możliwe, że ten policjant po prostu tu mieszkał, nieświadomy nielegalnej działalności prowadzonej przez jednego z sąsiadów.

Szybko wsunęła się w wejście, by nie zmienić zdania.

Znalazła się w hallu, słabo oświetlonym małą lampą ścienną.

Przez kilka sekund nasłuchiwała podejrzanych odgłosów, by upewnić się, że w bloku nie pozostali inni policjanci. Jak się dobrze zastanowić, nie byłoby świetnym pomysłem stanąć w drzwiach podejrzanego w momencie aresztowania. Ale cisza była ledwie zakłócona brzęczeniem dochodzącym z jakiegoś mieszkania na górze.

Weszła na schody, zatrzymując się na każdym półpiętrze, by zaczerpnąć oddechu i sprawdzić nazwiska lokatorów na tabliczkach przy dzwonek.

Gdy doszła na trzecie piętro, zobaczyła wreszcie drzwi mieszkania Capaldiego. Jego nazwisko było napisane mazakiem niepewną ręką na

w pół oderwanej naklejce. Dzwoniąc, Leda zorientowała się, że drzwi są tylko przymknięte.

Mimo niepewności lekko je popchnęła.

– Panie Capaldi? – zawołała, nie ruszając się z progu.

Żadnej odpowiedzi.

Leda z wahaniem wkroczyła do środka. Korytarz był wąski, podłoga z konglomeratu, na ścianie wisiał metalowy wieszak na okrycia, a na nim kitel pielęgniarza i jasny prochowiec.

– Panie Capaldi, jest pan w domu?

Znów odpowiedziała jej cisza.

Zerknęła za próg salonu. Był umeblowany w stylu lat siedemdziesiątych, z mahoniową kanapą i fotelami oraz szklanym stolikiem z siermiężnymi, kanciastymi nogami, ustawionym na ohydny dywan z krowiej skóry. Jedna z roślin była wywrócona, również gazety były rozrzucone po dywanie.

Ale nikogo nie było.

Czy to możliwe, że już go zabrali? Może naprawdę go aresztowali, ale brak pieczęci prokuratury na drzwiach kazał jej myśleć, że musiało być inne wyjaśnienie. Może Capaldi uciekł, bo wiedział, że policja depcze mu po piętach.

Głęboko odetchnęła. Reporterska ciekawość kazała jej iść dalej, zdrowy rozsądek uciekać tak szybko, jak tylko mogła.

Nie byłaby w stanie wyjaśnić dlaczego, ale w tym mieszkaniu czuła się zagrożona.

Może to tylko zbyt ciasne umeblowanie, duże i małe obrazy pokrywające całą powierzchnię ścian, bałagan albo przedmioty i bibeloty porozstawiane wszędzie, nawet w kuchni. Tu na wszystkich urządzeniach leżały przybory, naczynia i puszki z jedzeniem, spiętrzone w nieładzie, jakby ktoś opróżnił szafki i kredensy, żeby... coś znaleźć?

I było jeszcze coś dziwnego w tym mieszkaniu. Jakaś zelektryzowana atmosfera, coś wiszącego w powietrzu, jakby za chwilę miało stać się coś

złego.

Albo właśnie się stało.

Rzut oka na sypialnię sprawił, że wzdłuż kręgosłupa przebiegł ją dreszcz.

Materac był odkryty, prześcieradła i poduszki rozrzucone na podłogę. Drzwi szafy szeroko otwarte. Szuflady poodsuwane, niektóre zupełnie wyciągnięte i leżące wokół, jakby wyrwała je jakaś eksplozja, rozsypując na ziemię ich zawartość.

Gdy Leda zauważyła światło w łazience sączące się przez szklane drzwi, nie mogła powstrzymać kroków. Nogi szły same, choć rozum stawiał im opór, krzycząc w głowie, by zawróciła.

„Wyjdź i zapomnij o tej sprawie”, nakazywał wewnętrzny głos. „Jest różnica między szukaniem informacji w terenie a pozwoleniem, by pociągnęły cię za sobą”.

Ten głos nie został wysłuchany.

Chwyciła główkę laski, jakby to wystarczyło, by odgonić niepokój. I poszła naprzód.

Kilka kropel wody rozlanych na podłodze znaczyło trasę do przymkniętych drzwi łazienki, jak ciche zaproszenie, by wkroczyć w jej progi.

Nie było powodu, aby myśleć, że ktoś jest tam w środku. Leda nie słyszała żadnych ruchów, tylko ciche, nieprzerwane kapanie.

Jednak musiała wejść.

– Panie...

Nie tylko to, co zobaczyła, sprawiło, że głos jej się załamał – to była zmysłowa kompozycja, angażująca też węch, wstrząśnięty słodkawym, żelazistym zapachem przesycającym powietrze tak mocno, że wywoływał mdłości.

Krzyk uwiązał jej w gardle, nie mogła oderwać wzroku od ciała leżącego w wannie.

Krew była wszędzie. Pod wanną, na niebieskich płytkach na podłodze i ścianach, na kurkach przy kranie, na zasłonie.

Zwłoki mężczyzny były aż po brodę zanurzone w czerwonej wodzie, głowa przechylona w bok, twarz blada jak popiół, usta półotwarte, źrenice wywrócone w górę i nieruchome, jakby chciał spojrzeć na coś u nasady włosów.

Lustra były jeszcze zaparowane. Drobne strzępy pary unosiły się nad powierzchnią wody, pokazując, że była jeszcze ciepła. To, co wydarzyło się w tych ścianach, nastąpiło krótko przed jej przybyciem. Czy więc tym balastem bez życia leżącym w wannie był Diego Capaldi? I dlaczego postanowił ze wszystkim skończyć?

Na nadgarstkach były dwa nacięcia, tak głębokie, że prawie odsłaniały kości. Jedna ręka zwisała z brzegu wanny, dotykając palcami podłogi obok brudnej od krwi żyletki.

Irracjonalny strach ścisnął jej wnętrzności. Leda była sparaliżowana tym widokiem przez nieokreślony czas, niezdolna powstrzymać myśli, które teraz błądziły po scenach z wojny, których świadkiem była w przeszłości, po wspomnieniu osób, które wcześniej знаła, a które umarły, po polach bitew, po okaleczonych eksplozjami ciałach i po salwach artyleryjskich. Aż do tej przeklętej środowowej nocy, która zmieniła wszystko.

Potem odgłos trzaskających drzwi kazał jej szybko wrócić do rzeczywistości.

Ruszyła z powrotem korytarzem, bojąc się, że ktoś wszedł do mieszkania. Szła ostrożnie, opierając plecy o ścianę i trzymając laskę oburącz jak kij bejsbolowy, gotowa do obrony przed ewentualnym napastnikiem.

Napięty był każdy mięsień, każdy nerw jej ciała. Wszystkie zmysły wyostrzone.

Kiedy była już blisko wejścia, zdała sobie sprawę, że drzwi wciąż były otwarte – tak jak je zostawiła.

Wyszła na klatkę schodową, wychyliła się za poręcz schodów, patrząc na sam dół. Nikogo nie było.

Może to jakiś lokator wchodził do własnego mieszkania. Leda spojrzała po raz ostatni w głąb korytarza mieszkania Capaldiego. Nawet stąd mogła dostrzec kałużę krwi, która powoli rozlewała się na podłodze łazienki.

Była w mieszkaniu diler, w wannie był trup. Wiedziała dobrze, że będzie trudno wytłumaczyć, jak się tu znalazła, ale nie miała innego wyjścia: musiała zadzwonić na policję.

– No przecież... policjant! – powiedziała do siebie.

Zeszła po schodach najszybciej, jak potrafiła. Gdy dotarła do hallu, otworzyła bramę i wypadła na zewnątrz. Popatrzyła w tę stronę, gdzie zniknął funkcjonariusz, którego niedawno widziała, ale byli tam tylko przechodnie. Ciężko stwierdzić, dokąd poszedł.

– Przepraszam – spróbowała zawołać, by usłyszeli ją najbliżsi przechodnie, ale z ust wydobyło się niewiele więcej, niż jęknięcie. Dwa razy odchrząknęła. – Przepraszam! – tym razem głos był już czysty i donośny.

Odwróciła się para młodych ludzi, którzy spojrzeli na nią pytająco.

– Widzieliście, gdzie poszedł ten policjant, który niedawno tędy przechodził?

Chłopak rozłożył ręce.

– Jaki policjant?

Leda potrząsnęła głową, niepoczieszona. Jak mogła sądzić, że pozostał w pobliżu?

To był moment. W mimowolnym skojarzeniu wróciła myślami do chwili spotkania z policjantem. Jakby podświadomie zauważyła coś nietypowego, jakiś szczegół nie na miejscu, którego wciąż nie potrafiła sobie wyświecić.

Policjant wychodził w wielkim pośpiechu, nie patrząc na nią nawet przez chwilę. Głowę trzymał nisko, a czapka była tak głęboko nasunięta, że nie potrafiłaby zupełnie opisać rysów jego twarzy.

Pomyślała o chwili, kiedy widziała, jak się oddalał. Wyraźnie widziała w pamięci odwróconą plecami sylwetkę sunącą chodnikiem, w mundurze trochę za szczupłym na jego rozmiar i opinających dłonie rękawiczkach z czarnej skóry, wystających spod rękawa bluzy.

Teraz zrozumiała, jaki szczegół był nie na miejscu.

W tamtym momencie nie zwróciła na to uwagi, ale rękaw wydawał się zszyty z dwóch kawałków materiału w różnych kolorach. Teraz pomyślała, że chyba musiał być poplamiony.

Czy raczej mokry.

Straszne podejrzenie utorowało sobie drogę w jej głowie.

Że właśnie ten policjant odpowiadał za śmierć Capaldiego albo kimkolwiek był martwy człowiek w jego mieszkaniu.

Oparła się o framugę z głośno walącym sercem, wysilając się, by zapanować nad oddechem, z coraz wyraźniejszym przekonaniem, że może nie było to samobójstwo, ale dobrze zaplanowane morderstwo. Morderstwo, w które mógł być zamieszany funkcjonariusz policji.

Nie, nie mogła zadzwonić na 113. Nie, dopóki istniał choć cień szansy, że ten sam policjant, którego widziała, zostanie wysłany, by odebrać jej zeznania.

Więc co robić?

Leda chciwie zaczerpnęła powietrza, potem weszła z powrotem po schodach. Ponowne przekroczenie progu mieszkania Capaldiego wywołało u niej gęsią skórę. Nie odwracała głowy w stronę łazienki.

Podniosła słuchawkę telefonu leżącego na szafce przy wejściu i drżącymi palcami wykręciła numer na komendę.

– Ze wszystkich osób, od których spodziewałbym się telefonu, pani była ostatnia na liście – mruknął inspektor Costanza.

Siedząc na pierwszym schodku na półpiętrze Leda miała wystraszoną minę. – Szczerze mówiąc, ja też nigdy nie sądziłam, że poproszę kiedyś pana o pomoc.

– Może mi pani wyjaśnić, dlaczego chciała pani rozmawiać bezpośrednio ze mną? Wyobraża sobie pani, że mam dużo większe zmartwienia niż samobójstwo jakiegoś pielęgniarza.

– Tu raczej nie chodzi o samobójstwo.

Drzwi mieszkania naprzeciwko otworzyły się nagle i wyszedł z nich mężczyzna w szlafroku, z twarzą do połowy ogoloną, a do połowy pokrytą pianką.

– Można wiedzieć, co tutaj wyrabiacie? Cały ranek słyszę hałasy.

Costanza pomachał mu przed nosem legitymacją.

– Powiedział pan cały ranek? Chce pan o czymś zawiadomić?

Mężczyzna cofnął się o krok.

– Nie, oczywiście nie. Ja... nic nie widziałem.

– Ale coś pan *słyszał*, prawda?

– No nie wiem... – bąknął. – Słyszałem jakieś głosy, owszem. Chyba z mieszkania Capaldiego, ale nie...

– Jakie głosy?

– Capaldiego i drugiego mężczyzny. Chyba się kłócili. To trochę trwało.

– Widział pan twarz tego drugiego?

– Nie, no skąd. Zajmuję się swoimi sprawami.

– Nie miałem takiego wrażenia.



Mężczyzna w szlafroku schronił się za drzwiami swojego mieszkania.

– No cóż, do widzenia.

– Skąd ten pośpiech? Proszę pana, tam są zwłoki, więc proszę zostać w domu. Później przyślę funkcjonariusza, który odbierze od pana zeznania.

– Zwłoki? – To mówiąc, mężczyzna w szlafroku zaraz zatrzęsął drzwiami.

– Co za typ – mruknął Costanza.

W tym momencie Diana Fornasier wyszła z mieszkania Capaldiego.

– Wezwałam lekarza sądowego – powiedziała do inspektora. – I karetkę, żeby zawieźć ciało do kostnicy.

– Jest pani pewna, że to on?

– Znalazłam portfel w szufladzie przy wejściu. Zdjęcie na dowodzie osobistym odpowiada zwłokom.

– Dobra robota. – Widząc, że dziewczyna stoi przed nim nieruchomo, zapytał: – Ma pani coś do dodania?

Fornasier wzruszyła ramionami.

– To na pewno nietypowe samobójstwo. W pokojach jest straszny bałagan, jakby przed zabiciem się wszystko przeszukiwał. Co jest dość dziwne, zakładając, że wiedział, gdzie co trzyma.

– Może zgubił coś, na czym szczególnie mu zależało.

– Albo był z nim ktoś inny – zasugerowała Leda. – Ktoś, z kim się kłócił, jak przed chwilą powiedział sąsiad zza ściany, potem zabił go z zimną krwią, pozorując samobójstwo, a potem szukał wszędzie jakichś kompromitujących materiałów.

– W takim razie nie za bardzo mu się udało – stwierdziła Fornasier. – Dobrze zainscenizował samobójstwo, ale zostawił w mieszkaniu taki bałagan, że... nawet najmniej roztropny śledczy zacząłby się zastanawiać.

– Przerwano mu – orzekła Leda. Wolą nie dodawać: „Zadzwoiłam domofonem”.

– Wydaje się pani tego bardzo pewna – odparła tamta.

– Wystarczy, Fornasier – wtrącił się Costanza. – Czy może się pani zająć rozciągnięciem taśmy ostrzegawczej? Ja w tym czasie zejdę do samochodu poinformować centralę.

– Oczywiście.

– Pani De Almeida, proszę ze mną – powiedział Costanza, biorąc ją pod rękę.

We dwoje zeszli w milczeniu po schodach.

Wychodząc z bramy, Costanza stanął na chodniku i wyciągnął z kieszeni paczkę czerwonych ms-ów. Otworzył ją, ale zamiast wyciągnąć papierosa, chwycił zapalkę.

– Chce pan rzucić? – spytała Leda.

Zamiast odpowiedzi wsadził zapalkę w zęby i spojrzał jej w oczy.

– No więc? Co pani przede mną ukrywa?

– Prosiłam, żeby przyszedł pan sam – odpowiedziała.

– A czego się pani spodziewała? Nie jestem kamerdynerem.

– To był policjant.

– Co „był policjant”?

– Zabił tego człowieka.

Costanza potrząsnął głową.

– Brednie.

– Widziałam go – stwierdziła Leda. – Kiedy przyszłam, dwukrotnie zadzwoniłam domofonem Capaldiego, ale nikt nie odpowiedział. Chwilę później policjant w mundurze wyszedł z bramy w wielkim pośpiechu.

– Umiałyby go pani opisać?

– Niestety nie. Schylał głowę i miał mocno nasuniętą czapkę. Kiedy odkryłam zwłoki, było za późno, żeby go znaleźć.

– Do cholery, De Almeida! – powiedział Costanza zniecierpliwiony. – Wystarczyło pani minąć się z policjantem, żeby twierdzić, że ktoś z moich zaszlachtował tego biednego czorta?

– Nie wiem jeszcze jak, ale ten „biedny czort” jest zamieszany w morderstwa potwora.

Costanza rozejrzała się nerwowo.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pani o tym napisać w jutrzejszej gazecie.

– Wręcz przeciwnie – odparła. – Poproszę kolegę, żeby tekst napisał za mnie. Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego.

– Wspaniały pomysł. A teraz powie mi pani, kim był ten Capaldi i co pani robiła u niego w domu?

– Przykro mi, inspektorze. To, co wiem, powiem sędziemu Scalviatiemu i tylko jemu.

– Policjant, tak? – spytał Scalviati.

Leda siedziała na miejscu pasażera w cromie prokuratora i obserwowała, jak notuje w terminarzu.

– Nie wierzy mi pan, prawda?

Scalviati zamknął terminarz i odwrócił się do niej.

– Wręcz przeciwnie. Tylko chciałbym wiedzieć, czemu nie skontaktowała się pani ze mną wcześniej zamiast bawić się w detektywa. Nie mówiąc już o tym, że powinna pani była poinformować mnie od razu, kiedy rozpoznała pani na zdjęciu Monicę Ferretti.

– Chciałam mieć pewność, że moje źródło jest wiarygodne. W każdym razie przedwczoraj zadzwoniłam do pana biura, ale sekretarka jasno powiedziała, że nie ma pan dla mnie czasu.

– Dziwne. Cecilia nic mi nie przekazała.

– Najwidoczniej nie darzy estymą mówiącej te słowa.

– Cóż, przepraszam, jeśli zachowanie moje albo moich współpracowników było nacechowane jakimiś uprzedzeniami – odparł Scalviati. – Nie miałem takiego zamiaru.

– Dziękuję. Doceniam to.

– Twierdzi pani, że Capaldi współpracował z organizacją czerpiącą zyski z prostytutki, dostarczając dziewczynom środki uspokajające i inne leki, na które potrzebna jest recepta...

– Środki nasenne, antydepresyjne, możliwe że również amfetaminę, w zależności od potrzeb – sprecyzowała Leda. – Wydaje się, że dawał im leki podkradane z zasobów szpitala, w którym pracował. Dlatego Mimì... to znaczy Monica Ferretti nazywała go Aptekarzem.

Słyszając to słowo, Scalviati podskoczył. Niespodziewanie jeden z kawałków skomplikowanej układanki śledztwa trafił na swoje miejsce. Właśnie tak, jak mu się zdawało – Monica Ferretti była szczerą, kiedy powiedziała mężowi, że rozmawia ze swoim aptekarzem; wiedziała, że on i tak nie uwierzy. A więc w ten sposób zdobywała valium, które czasem podawała także synowi.

Okoliczności, w jakich doszło do podwójnego morderstwa w Pian del Lot powoli zaczynały się rysować. Do rekonstrukcji brakowało jeszcze kilku kawałków, ale musiał przyznać, że ta reporterka znała swój fach.

– Nie doceniłem pani, De Almeida – powiedział. – Wykonała pani imponującą pracę. Problem polega na tym, że podczas przeszukania mieszkania Capaldiego nie znaleziono ani śladu takich substancji.

– Wydaje mi się oczywiste, że morderca zajął się tym, by zniknęły wszelkie kompromitujące materiały. Wszystko by posprzątał, gdybym nie przerwała mu moją wizytą.

– Może i dla pani to oczywiste. Ale ja mam w ręku bardzo niewiele, by uzasadnić śledztwo w sprawie, która wydaje się ewidentnym samobójstwem. Czy mogłaby pani powiedzieć coś więcej na temat tożsamości pani informatorki? Gdybym miał możliwość ją przesłuchać, mogłoby to wyjaśnić dużo więcej niż same nasze przypuszczenia.

– Dobrze pan wie, że nie mogę. Ta dziewczyna już bardzo wiele przeszła i nie mogę wystawiać jej na niebezpieczeństwo.

– Jeśli to panią uspokoi, to bez wahania dałbym jej eskortę.

– A jaka ochrona może być skuteczna, jeśli jest podejrzenie, że zamieszany jest w to policjant?

– Proszę wybaczyć, ale to trzeba jeszcze wykazać. – Scalviati powiedział to z przekonaniem, ale choć starał się zachować dystans, nie mógł nie przypomnieć sobie tego, co powiedziała mu poprzedniego wieczora Greta o policjancie, który stał przed ich domem.

Weryfikacja Costanzy nie pomogła ustalić, o kogo mogło chodzić albo dlaczego tam był: ani w kweturze, ani w żadnym komisariacie w mieście

nikt nic nie wiedział.

Za wcześnie było konkludować, że to ta sama osoba, którą spotkała Leda, ale czasowa bliskość obu wydarzeń budziła obawy. Co gorsza, po pierwszych wywiadach prowadzonych przez agentów wśród sąsiadów Capaldiego okazało się, że w domu nie mieszkał żaden policjant.

– Ale i nie można tego wykluczyć – odparła Leda. – Dlatego muszę pana prosić, by nie umieszczał pan mojego nazwiska w protokole. Było już kilka... niepokojących epizodów, które przekonały mnie, że jestem na celowniku niebezpiecznych ludzi.

– Jakie to epizody?

– W ostatnich dniach otrzymywałam dziwne telefony.

– Groźby?

– Niezupełnie. Po drugiej stronie było słycać tylko miarowy oddech. Jestem pewna, że to forma zastraszania. Nie sądzę, że chodzi o artykuły, które napisałam o potworze. Raczej mogłoby chodzić o kogoś z organizacji powiązanego ze sprawą, w której robiłam śledztwo wcześniej, kogoś, kto mnie obserwuje. W czwartek wieczorem nie było mnie w domu i podobny telefon odebrał mój syn.

– Wyobrażam sobie, jak się pani czuje. Ale czemu sądzi pani, że te telefony wiążą się z pani śledztwem?

– Cóż... nigdy wcześniej takich nie dostawałam. A poza tym, pierwszy był tego samego wieczoru, kiedy spotkałam się z moją informatorką.

Scalvati chwilę nad tym myślał. O ile jakieś anonimowe telefony mogłyby wydawać się nieszkodliwe, okoliczności nakazywały ostrożność. Wydawało mu się, że zostały uruchomione jakieś ciemne siły, których znaczenia nie mógł jeszcze pojąć, więc nie zamierzał lekceważyć sytuacji.

– Proszę posłuchać, może to nic takiego – tylko jakiś żartowniś wziął sobie panią na cel z własnych powodów, ale w tym momencie nie możemy wykluczać żadnej możliwości. Kiedy skończą zdejmowanie odcisków, wyślę techników do pani mieszkania, żeby założyli podsłuch w pani telefonie.

Leda przytaknęła.

– A moje nazwisko na protokołach?

– Zapiszę, że zawiadomienie było anonimowe.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odparł Scaviati. Odchrząknął, zanim dodał: – Teraz jednak to ja muszę prosić panią o przysługę.

Luigi Di Cara zjawił się w domu Ledy krótko po dwunastej.

– Miło mi panią poznać, pani De Almeida – powiedział od progu. – Wie pani, jestem pani czytelnikiem. Od kiedy zaczęła się ta historia, nie umknął mi ani jeden z pani artykułów.

Leda uścisnęła mu rękę.

– Naprawdę? Miło mi, chociaż nie sądzę, żeby moje teksty dodawały coś do tego, co wy, zawodowcy, już wiecie.

– Częściowo to prawda. Chociaż przyznam, że komunikacja między instytucjami pozostawia czasem wiele do życzenia. Po prostu nie zawsze prawica wie, co czyni lewica i zdarza się, że czasem jakaś informacja gubi się po drodze. A w pani artykułach bardzo cenię przywiązywanie wagi do faktów, które relacjonuje pani zawsze obiektywnie i zrozumiale dla wszystkich.

– Dziękuję za uznanie. Szczerze mówiąc, byłam pewna, że u władz moje nazwisko stało się jakimś straszakiem.

Di Cara wybuchnął śmiechem.

– W przeciwieństwie do licznych osób, które traktują się zbyt poważnie, posiada pani rzadki dar autoironii. Ale przejdźmy do rzeczy. Prokurator Scalviati powiedział mi, że odbierała pani niepokojące telefony.

– Zgadza się. I dziękuję, że tak szybko pan przyjechał.

– Jeszcze by tego brakowało, żebym się ociągał. Z tego, co zrozumiałem, ma pani powody sądzić, że to jakaś forma zastraszania. – Uwagę Di Cary przykuła fotografia w ramkach, oparta o podłogę w korytarzu. Podszedł zaciekawiony. – Mogę?

– Proszę – odparła. – Zawiesiłam to w pokoju mojego syna, ale on nie ma najmniejszej chęci tego tam trzymać. A proszę sobie wyobrazić, że sam



zrobił to zdjęcie w zeszły weekend na moście Wiktora. Chyba był jedną z pierwszych osób, które zauważyły pająki.

– Przyznam, że pani syn ma prawdziwy talent do ujęć. Czemu chciał się tego pozbyć?

– Dobre pytanie – westchnęła Leda. – Wydawało mi się, że jak powieszę je w jego pokoju, to będzie to dobra zachęta, żeby szedł śladami dziadka, który jest fotoreporterem. Ale chyba Carlos uważa, że jest zbyt przerażające i poprosił, żebym je gdzieś przeniosła. Sama dobrze nie rozumiem, czy straszne są same pająki czy fakt, że zrobił to zdjęcie w noc morderstwa w Pian del Lot.

– No oczywiście, chłopak ma swoje racje – odparł Di Cara. – Trochę przez temat, trochę przez kompozycję ten obraz ma potężny ładunek emocjonalny. W pozytywnym sensie tego słowa według mnie.

– Dziękuję. Przekażę pana gratulacje Carlosowi, jak będę z nim rozmawiać przez telefon. Wczoraj wyjechał do Toskanii.

Di Cara potaknął z roztargnieniem. Wciąż wpatrywał się w zdjęcie jak zahipnotyzowany.

– Przepraszam, nie chcę być niedyskretny. Chciała je pani powiesić w korytarzu?

– Jeszcze nie wiem. Chyba nie komponuje się zbyt dobrze z moją kolekcją reprodukcji Mondriana. Dlaczego pan pyta?

– No nic, mam w biurze pustą ścianę. Nie chciałaby pani mi go sprzedać?

– Mówi pan poważnie?

– Dla syna to by była zachęta, prawda?

Leda uśmiechnęła się trochę zakłopotana.

– Oczywiście. Ale jakoś mi głupio żądać pieniędzy. Proszę to uznać za wyraz wdzięczności za pana wizytę.

– No to stoi. Mam nadzieję, że dobrze się odpłacę.

– Co pan mówi. Dla mnie to przyjemność. Kiedy Scaviati powiedział, że kogoś do mnie przyśle, nie sądziłam, że przyjdzie sam dyrektor wydziału.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział. – Skoro już o tym mowa, gdzie chciałaby pani zainstalować rejestrator?

– Przy aparacie telefonicznym w kuchni. – Leda pokazała mu drogę i skierowała do telefonu wiszącego na ścianie.

– Świetnie. – Di Cara położył walizeczkę na stole, otworzył ją i wyciągnął urządzenie podobne do automatycznej sekretarki. – Działa bardzo prosto. Jeśli odebrałaby pani anonimowy telefon, musi pani tylko nacisnąć ten guzik, żeby zacząć nagrywać.

– I tyle?

– I tyle. Żeby skończyć nagrywanie, proszę znów nacisnąć po odłożeniu słuchawki. Treść rozmowy zostanie zapisana na taśmie magnetycznej w środku.

– A czy nie da się sprawdzić, z jakiego numeru wyszło połączenie?

– Do tego trzeba będzie się skontaktować z operatorem – odpowiedział Di Cara. – Jeśli prokurator Scalviati uzna, że treść nagrań ma znaczenie dla śledztwa, zajmie się także i tym.

W niedzielę rano Scalviati i Greta udali się na śniadanie do kawiarni San Carlo na plac o tym samym imieniu. Był to zwyczaj sięgający korzeniami czasów, gdy spotykali się jeszcze jako para, i z którym wiązało się mnóstwo wspomnień. To tam postanowili się spotkać następnego ranka po premierze *Come tu mi vuoi* Pirandella w teatrze Gobetti.

Scalviati wybrał się do teatru niemal przypadkiem. Zgodził się towarzyszyć koledze, którego żona nabawiła się grypy, a Greta w roli Nieznajomej zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że na koniec spektaklu zdobył się na odwagę i przyszedł do garderoby, by jej pogratulować.

Ku swojemu zaskoczeniu zastał ją we łzach. Gdy niezgrabnie próbował ją pocieszyć, odpowiedziała, by się nie przejmował, po prostu opadło z niej napięcie. Wytłumaczyła mu, że czuła się pusta, bo wejście do głowy postaci może być wyczerpujące. Nie zawsze tak było: czasem wręcz przeciwnie, po przedstawieniu opanowywała ją euforia, która nie dawała jej zasnąć przez całą noc.

Scalviati dał jej swoją poszetkę i patrzył na nią, gdy z wdziękiem ocierała łzy tymi swoimi smukłymi dłońmi. Dłońmi delikatnymi, które jednak wydawały się chwytać wszystko, czego chciała od życia.

W momencie pożegnania Scalviati chciał zaprosić ją na kolację, ale wydawało mu się to zbyt zobowiązujące i z pewnością zrozumiąle, więc ustalili, że spotkają się na przyjacielską kawę na neutralnym terytorium gdzieś, skąd Greta mogłaby w każdej chwili wyjść bez zbyt wielu ceremonii, gdyby rozmowa nie spełniała jej oczekiwań.

Z czasem ten lokal stał się dla nich miejscem spotkania przed każdym wspólnym przedsięwzięciem, czy miała to być kolacja (a było ich wiele, zanim Greta zgodziła się uznać, że on oficjalnie się o nią stara), czy wizyta w muzeum, wyjście do teatru albo wycieczka za miasto.

Greta była płochliwa, była prawdopodobnie najbardziej płochliwą dziewczyną, jaką Scalvati kiedykolwiek znał. Chyba właśnie ten rozdźwięk między panowaniem na scenie a osobistą rezerwą najbardziej go pociągał i kazał naginać się jego racjonalnej stronie, zgadzając się na niewiadomą, jaką ona stanowiła.

Właśnie w tym lokalu powiedział jej, że dostał nominację prokuratorską, i właśnie tam przed prawie dziewięcioma miesiącami Greta oznajmiła mu, że zostaną rodzicami.

Niebo było zasnuwane chmurami, z pomiędzy których co chwila wydobywał się pomruk, ale nie było wiatru i temperatura była umiarkowana, więc usiedli przy stoliku na zewnątrz; tam, osłonięci parasolem, będą mogli obserwować, jak deszcz spada na miasto.

Grete fascynował deszcz, zawsze mówiła, że budzi w niej dziecko, przypominając jej, jak bardzo kiedyś kochała biegać boso po podwórku w czasie letnich ulew.

Miała na sobie elegancką fioletową sukienkę z mocno podkreślonymi ramionami, od której odcinał się długi sznur pereł, w który od czasu do czasu wplatała palce opięte skórzanymi rękawiczkami.

Scalvati pochylił się do sąsiedniego stolika, by wziąć stamtąd nowe wydanie „La Stampy”. Zamówił, jak zwykle, cappuccino i rogalik, Greta – caffè macchiato i ciastka orzechowe. Niemal za każdym razem zamawiała coś nowego, było prawie niemożliwością ustalić, jakie było jej ulubione śniadanie.

Widząc, że mąż co chwila zerka na zegarek, zapytała:

- Czy ty przypadkiem na kogoś nie czekasz?
- Za chwilę powinien do nas dotrzeć Amerykanin, o którym ci opowiadałem.
- Słynny agent Stoner... Wreszcie go poznam.
- Słynny? – powtórzył.
- Ostatnio ciągle o nim mówisz.

Scalviati lekko się uśmiechnął. Potem zaczął szybko kartkować gazetę, wreszcie doszedł do pierwszej strony cotygodniowego dodatku z szaradami. Podał ją żonie, wskazując na prostokąt, na którym figurowały kolumny dziwnych symboli; nad nim widniał nagłówek: „Czy potrafisz zinterpretować ten szyfr?”.

– Widzisz w tym coś?

Greta spojrzała z roztargnieniem.

– Zbieraninę bazgrołów?

– Może i masz rację. Ale być może to jest fundamentalny element potrzebny do rozwiązania sprawy potwora.

– No popatrz. A co to robi w gazecie? A tajność dochodzenia?

– Tak naprawdę ten dokument już był upubliczniony, to jest list, który znany seryjny morderca wysłał do amerykańskiej gazety piętnaście lat temu. Poprosiłem pewną dziennikarkę, żeby to opublikowała, ale nie pisząc, że jest to materiał związany ze śledztwem. Mam nadzieję, że pojawi się ktoś, kto to odcyfruje, chociaż aż do dziś nikt nie zdołał tego zrobić.

– Nie będę cię pytać, co ma wspólnego amerykański morderca z tym, co się dzieje w Turynie, ale przypuszczam, że to ma coś wspólnego z obecnością Stonera w mieście.

– Tak właśnie jest.

Kiedy kelner przyniósł zamówienia, Greta zdjęła rękawiczki i położyła je na stoliku. – A dziennikarka, o której mówisz, to może Leda De Almeida?

– Właśnie ona.

– Więc teraz jesteście w dobrej komitywie?

– Bez przesady – odpowiedział Scalviati z lekkim zakłopotaniem. – Powiedzmy, że zrozumieliśmy swoje punkty widzenia. Dotarło do mnie, że ona w gruncie rzeczy nie jest łaknącą krwi bestią, jak to widzą moi koledzy.

– Wyznam ci, że mnie to nie martwi. Ta dziewczyna ma charakter.

– Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Scalviati zauważył, że Stoner wszedł na plac i krążył między zaparkowanymi samochodami rozglądając się wkoło. Podniósł rękę, by przyciągnąć jego uwagę i wezwał go gestem.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Amerykanin, podchodząc do stolika. – Obawiam się, że źle skręciłem.

– Nie ma problemu, dopiero przyszliśmy – odparł Scalviati. – Moja żona, Greta.

– *Nice to meet you, mister Stoner* – powiedziała.

Stoner musnął ustami jej dłoń, jakby stał przed najprawdziwszą diwą.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Pozwoli pani powiedzieć, że jest pani czarująca.

– Tylko jeśli pozwoli mi pan pogratulować panu doskonałego włoskiego – odparowała.

– Za to powinna pani pogratulować mojej żonie Patricii. Jak już mówiłem pani mężowi, zacząłem uczyć się waszego języka dzięki jej pasji do opery.

– Opery? – powtórzyła Greta. – Jestem aktorką teatralną, ale zawsze mi mówili, że mam głos sopranistki.

– Jest pani kobietą pełną niespodzianek, pani Scalviati.

– Proszę mi mówić Greta.

– Isaak, bardzo mi miło. Ile brakuje do szczęśliwej chwili?

– Lekarka mówi, że tydzień, maksymalnie dziesięć dni. Ale z tego, jak kopie, wydaje mi się, że chce wychodzić w każdej chwili.

Stoner się uśmiechnął.

– Wybraliście już imię? – Widząc, że uśmiech zniknął z twarzy Grety, spojrzał na Scalviatiego pytająco.

– Trwają... pertraktacje – odpowiedział tamten.

– Rozumiem. Nie chciałem trafić w czuły punkt.

– Proszę się nie przejmować – pocieszyła go Greta. – Nie mógł pan wiedzieć.

– No cóż, imię to ważna sprawa. Wasza córka będzie je nosić przez całe życie. To zrozumiałe, że chcecie się nad tym dobrze namyślić.

– Pan ma dzieci, Isaak?

– Jeszcze nie – odparł. – W tym momencie oboje jesteśmy skoncentrowani na naszych karierach. Patricia jest *marketing assistant* w firmie farmaceutycznej i często wyjeżdża służbowo, ja tak samo.

– Nie jest łatwo pogodzić macierzyństwo i karierę – skomentowała Greta.

Scalviati wziął ją za rękę i ścisnął. Popatrzyli na siebie przez moment, niemal zawstydzeni, a z nieba zaczęły spadać pierwsze krople deszczu.

– Złe wieści, prokuratorze Scalviati – powiedział z drugiego końca linii głos Costanzy.

Właśnie minęła ósma rano w poniedziałek. Prokurator dopiero usiadł w swoim biurze. – Co się stało?

– W nocy był wypadek na drodze 142, niedaleko Rivoli. Fiat tipo zjechał z jezdni i z pełną prędkością wjechał w drzewo. Kierowca chyba zginął na miejscu. To był Efisio, brat Salvatora Canu.

Scalviati przez kilka chwil siedział w ciszy.

– To nie może być przypadek. Wiadomo coś o Salvatore?

– W tej chwili jest nieosiągalny. Być może jechał z bratem, ale ze sprawozdania, które dostałem od drogówki nie ma nic o ewentualnych pasażerach. W każdym razie jadę na miejsce, jeśli pan chce, zabiorę pana.

– Dobrze. Czekam.



Od poprzedniego dnia nie przestało padać. Z powodu dużego ruchu Costanza i Scalviati musieli jechać na sygnale. Mimo to dotarcie na miejsce wypadku zajęło im prawie godzinę; tam stał już ambulans i wóz pomocy drogowej. W pobliskiej zatoczce stał wóz strażacki z załogą na pokładzie.

Inspektor zaparkował i zziębnięty wysiadł ze swojej giulietty. Kilkomina susami dotarł do policjanta, który regulował ruch wahadłowy przejeżdżających samochodów, i pokazał mu legitymację.

– Inspektor Costanza z komendy w Turynie.

– Sierżant Pinetti, bardzo mi miło.

– Prowadzę śledztwo, które dotyczy kierowcy. Może mi pan zdać sprawę z sytuacji?

Pinetti pokazał drzewo stojące obok jezdni na zakręcie. Zderzenie było tak potężne, że wydawało się, że przód samochodu połknął pień.

– Dynamika zderzenia nie jest jeszcze jasna, ale wszystko wskazuje na zaśnięcie za kierownicą. Sądząc po stanie pojazdu, przypuszczamy, że jechał bardzo szybko, ale na asfalcie nie ma śladów hamowania.

– Świadczenie?

– Brak. Przypuszczamy, że wypadek nastąpił między północą a piątą rano, kiedy na drodze prawie nikogo nie było. Zawiadomił nas przejeżdżający kierowca ciężarówki, który zatrzymał się koło piątej trzydzięci, żeby udzielić pomocy. Kiedy stwierdził, że już nic się nie da zrobić dla kierowcy, dojechał do najbliższej stacji serwisowej i zadzwonił na 113.

– I gdzie ten gość jest teraz?

– Puściliśmy go dalej. Mój kolega odebrał od niego zeznania i dane osobowe.

– Byli pasażerowie?

– Z tego, co wiem, to nie.

– Bardzo dobrze. Proszę zadbać o to, żeby protokół jak najszybciej dotarł na moje biurko w komendzie.

– Oczywiście.

W międzyczasie, nie zważając na błoto, które zdążyło powstać w czasie deszczu, Scalviati przeszedł między krzewami i doszedł do wraku fiata tipo, którym jechał Efisio Canu.

On sam wypadł z siedzenia kierowcy. Jego zwłoki zwisały z dziury w przedniej szybie, czoło opierało się o maskę. Płachta zaplamiona krwią przykrywała jego kark i część pleców. Prokurator ostrożnie uniósł brzeg tkaniny, by zobaczyć, że także twarz mężczyzny została potwornie zniekształcona przez uderzenie.

Czoło było powgniatane jak źle wymodelowana bryła gliny, w skórę i w oczy powbijało się wiele kawałków szkła. Między przesączonymi krwią i częściami mózgu włosami można było dojrzeć biel kości czaszki. Klatka piersiowa złała się całkiem z deską rozdzielczą, kierownica wystawała spod żeber jak w jakiejś awangardowej rzeźbie.

Z miejsca, gdzie stał, prokurator spojrział w głąb samochodu. Na siedzeniach i dywanikach, wśród odprysków szkła, rozsiane były niedopałki papierosów, drobne monety, klucze i dokumenty, które wyrzucił z siebie schowek. Ale jego uwagę przyciągnęły ślady krwi na wewnętrznej kłamce drzwi pasażera.

Oddalił się o krok i popatrzył na drzwi po stronie kierowcy. Pochylił się, by zobaczyć wgniecenie blachy ze śladami niebieskiego lakieru, zdecydowanie różnego od szarego metaliku tipo.

Potem wyszedł na drogę.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati – powiedział, zwracając się do sierżanta Pinettiego. – Chcę, żeby teren naokoło samochodu został odgrodzony taśmą ostrzegawczą i by był pilnowany, dopóki nie pojawią się technicy. Należy to miejsce traktować dokładnie tak, jak miejsce zbrodni

i wszelkie naruszenia protokołu bezpieczeństwa powinny być pilnie zaraportowane do mojego biura w prokuraturze.

Policjant, oszołomiony, odpowiedział po chwili niepewności:

– Oczywiście, prokuratorze. Jeśli uważa to pan za konieczne...

Prokurator zwrócił się do Costanzy:

– Jedziemy.

Tamtemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pozdrowił gestem sierżanta Pinettiego i poszedł za Scalviatim do samochodu. Kiedy już obaj znaleźli się w środku, inspektor znów włączył sygnał, by utorować sobie drogę między kolumną samochodów, która utworzyła się w pobliżu miejsca wypadku. Zawrócił i ruszył w stronę Turynu. Zadzwonili do Di Cary, każąc mu przysłać ludzi z wydziału kryminalistycznego; potem nie odezwali się do siebie ani słowem, dopóki nie zatrzymało ich czerwone światło.

– Więc? Może mi pan powiedzieć, o czym pan myśli?

Scalviati rzucił na niego niespokojne spojrzenie.

– Coś się dzieje, Costanza. Coś bardzo poważnego. W sobotę rano samobójstwo Capaldiego, dziś w nocy śmiertelny wypadek, który, o dziwo, dotyczy człowieka związanego ze śledztwem w sprawie potwora.

– Przepraszam, ale co ma do tego Capaldi? Nie znaleźliśmy nic, co pozwoliłoby przypuszczać, że naprawdę dilał lekami.

– De Almeida jest przekonana, że to on jest aptekarzem, o którym wspominał mąż Moniki Ferretti. Według niej morderca posprzątał jego zapasy, by zmylić śledztwo.

– Nawet jeśli, to nie sądzi pan, że powiązanie z potworem jest dość słabe?

– Nie, jeśli to Capaldi dostarczał valium Monice Ferretti. Przypominam panu, że mały Tito miał pozytywny test na obecność diazepamu.

– Też prawda. Ale Ferretti mogła wejść w posiadanie tego na mnóstwo sposobów.

– Zbliżamy się do prawdy – powiedział z naciskiem Scalviati. – Ktoś robi nerwowe ruchy, żeby nie pozwolić nam całkiem jej poznać, zaciera ślady, eliminuje każdego, kto coś wie.

– Ktoś?

– Dobrze pan wie, o kim mówię.

– Mówi pan, że wypadek Efisio Canu mógł *nie* być wypadkiem?

– Myślę, że samochód Canu został zepchnięty z drogi – odpowiedział Scalviati stanowczo. – Nie ma śladów hamowania, bo próbował uciec przed kimś, kto go ścigał i być może za mocno dodał gazu. Ten ktoś miał niebieski samochód i popchnął go na tym zakręcie. Są świeże ślady niebieskiego lakieru z boku fiata tipo. Będziemy wiedzieć więcej, kiedy Di Cara zbada samochód, ale myślę, że pasuje do tego kolizja przy dużej prędkości.

Costanza wziął głęboki oddech.

– Dobrze, ale Canu nic nie wspominał o domniemanym zaangażowaniu brata. Jeśli naprawdę ktoś chciał go uciszyć, to skąd tyle starań, żeby wyeliminować Efisio?

– Celem był Salvatore. W chwili wypadku musiał znajdować się w samochodzie z bratem. Na klamce pasażera są zakrwawione odciski. Może uciekł przed pościgiem po wypadku.

Costanza zerknął na górne lustro.

– Powiedział pan niebieski samochód?

– Prawdopodobnie pojazd o dużej pojemności silnika, skoro mógł wytrzymać uderzenie w biegu i nie stracił równowagi.

– Niech się pan mocno trzyma! – Costanza energicznie szarpnęła kierownicę, wskakując na małą drogę gruntową, która biegła przez pola. Przez chwilę tylne koła samochodu straciły przyczepność, bo droga była mokra.

– Co pan wyprawia?

– Od kiedy ruszyliśmy z miejsca wypadku, siedzi nam na ogonie niebieski mercedes. Boję się, że nas śledzi.

Leda mocowała się z akapitem, w którym zupełnie nie potrafiła się wysłowić. Wiedziała dobrze, co chce przekazać, ale za każdym razem, kiedy czytała na nowo napisany tekst, wydawał jej się zagmatwany i niezbyt zrozumiały. Była tak skoncentrowana na patrzeniu w monitor, przesuwaniu przecinków i szukaniu synonimów, że niemal podskoczyła, słysząc dzwonek telefonu.

– Słucham?

Z drugiego końca linii zaskoczył ją męski głos z wyraźnym południowym akcentem. – Przepraszam... czy to „La Stampa”?

– Leda De Almeida z redakcji newsów. Z kim mam przyjemność?

– Dzień dobry, pani redaktor. Nazywam się Rosario Varriale, ale... obawiam się, że pomyliłem numer. Dzwoniłem z rozwiązaniem tej szarady, którą opublikowaliście we wczorajszym numerze.

Leda poprawiła się na krześle, prostując plecy. Prawie zapomniała o tym, że pod łamigłówką, o publikację której poprosił ją Scalviati, umieściła swój numer redakcyjny jako kontakt dla tego, kto zdoła rozszyfrować kod. Szczerze mówiąc, była przekonana, że nikt nie zadzwoni.

Scalviati wspomniał o fakcie, że wcześniej sztab ekspertów wysiłał się, żeby zinterpretować te symbole, ale bez sukcesu. Nie spytała prokuratora, o co chodzi, ale miała wyraźne wrażenie, że to dotyczy śledztwa w sprawie potwora.

Enrico Loi nie miał nic przeciwko publikacji, może dlatego, że zaintrygowała go idea współpracy z prokuraturą. To on zasugerował, że pierwszy czytelnik, który wymyśli rozwiązanie, otrzyma jako nagrodę zwiedzanie z przewodnikiem siedziby gazety i osobiście pośredniczył

w kontakcie z redakcją szarad, której miano zabrać miejsce na cotygodniową krzyżówkę.

– Nie, numer jest dobry, to ja się tym zajmuję. Chciałby pan coś wyjaśnić?

– Absolutnie nie, chociaż muszę przyznać, że nie było dla mnie jasne, co to właściwie za zagadka.

– To część zabawy... przynajmniej tak mi się wydaje.

Z drugiego końca linii usłyszała stłumiony śmiech.

– Przypuszczam, że tego właśnie spodziewał się autor.

– Może mi pan powiedzieć, z czym pan dzwoni, panie Varriale?

– No cóż... Wydaje mi się, że mam rozwiązanie.

– Rozszyfrował pan ten kod? No to gratulacje. Z tego, co zrozumiałam, to było dosyć trudne.

– Nie... nie ja – odpowiedział Varriale. – Szczerze mówiąc, nie jestem mocny w szaradach. Żona zawsze się ze mnie śmieje, że w „Tygodniu Szaradzisty” jestem w stanie rozwiązać tylko krzyżówki z podpowiedziami. Nie, to zrobił mój syn, Ciro.

– O! – odparła Leda. – Może mi go pan podać do telefonu?

Chwila ciszy.

– Podałbym go pani, ale chyba nie zgodziłby się z panią porozmawiać. Wie pani, Ciro jest trochę... szczególnie. Wyraża się na swój własny sposób, czasem kategorycznie odmawia rozmowy. Ale ma cudowną pamięć i niesamowite zdolności matematyczne, do tego stopnia, że jego nauczycielka od algebry mówiła, żeby przenieść go do szkoły dla szczególnie uzdolnionych dzieci. Również z powodu niektórych epizodów w szkole. Często chuligani biorą go sobie za cel...

– Przepraszam, nie chcę być niedyskretna, ale... ile lat ma pański syn?

– Dziesięć – odpowiedział po prostu.

– Pana syn ma dziesięć lat i rozszyfrował kod, z którym nie dał sobie rady sztab ekspertów?

– Tak, proszę pani. Szczerze mówiąc nawet nie zajęło mu to zbyt wiele czasu. Ciro ma talent, więc mamy rodzinny zwyczaj rozwiązywania razem szarad w gazetach, także tych z waszego niedzielnego dodatku. I proszę sobie wyobrazić nasze zdziwienie, kiedy zobaczyliśmy, że zamiast tej krzyżówki, co zawsze, jest jakaś łamigłówka, której oczywiście ani ja, ani żona nie potrafiliśmy zinterpretować, ale przyciągnęła jak magnes uwagę mojego syna.

Leda, choć jeszcze w to nie wierzyła, była zelektryzowana. Prośba Scalviatego wydawała jej się co najmniej ekstrawagancka, ale teraz nie mogła zaprzeczyć, że rozwiązanie kodu zaczęło ją ciekawić.

– Świetnie, panie Varriale. To jak możemy się umówić? Przekażę mi pan rozwiązanie przez telefon?

– Niestety, nie mogę. Przede wszystkim, sam nie byłbym w stanie dobrze tego wytłumaczyć. A poza tym, syn bardzo chce osobiście dostarczyć wam rozwiązanie.

– Jeśli wolicie przyjść do mnie do redakcji na via Marengo, to będę tu przez cały dzień.

– No właśnie, to też będzie problem... Nie jesteśmy z Turynu. Mam dwóch kuzynów, którzy przeprowadzili się tam na północ, ale my mieszkamy w Acerra, w prowincji Neapolu.

– Rozumiem. – Leda myślała przez chwilę. – To może zrobimy tak. Nagrodą dla osoby, która rozwiąże zagadkę jest zwiedzanie naszej redakcji. Może przyjedziecie jutro pociągiem do Turynu? Koszt biletów dla pana i syna zostanie wam oczywiście zwrócony przez gazetę. Moglibyście nawet skorzystać i odwiedzić kuzynów.

– Myślę, że to świetny pomysł. W takim razie do jutra, pani De Almeida.

Costanza mocno trzymał kierownicę, dociskając pedał gazu tak, by utrzymać spokojną jazdę mimo nierównej nawierzchni.

- Wiedziałem – warknął, patrząc w górne lusterko.
- Ciągłe za nami jedzie?
- Nie odpuszcza, drań.

Scalviati odwrócił się do tyłu. Przez tylną szybę zobaczył, za obłokiem wody wzbijanej przez opony, ciemną sylwetkę samochodu, który utrzymywał stabilny dystans stu metrów.

- Chyba pan nie myśli, że to odpowiedzialny za wypadek Canu.
- Nie mam pojęcia, ale nie podoba mi się to.
- Co miałby zamierzać? Za kilka kilometrów dotrzemy do miasta, tak czy owak znikniemy wśród innych samochodów.
- Może chce zrobić z nami to, co z Sardyńczykiem.
- Albo próbuje nas przestraszyć, tak jak robił De Almeidzie.
- Z całym szacunkiem, prokuratorze, ale to mi się wydaje odrobinę groźniejsze niż jakiś anonimowy telefon.

Samochód podskoczył na dziurze, Scalviati chwycił się klamki, by nie uderzyć głową w szybę.

- Do diabła, dzwonię do centrali! – wypalił.
- Cokolwiek zamierza ten gość z tyłu, nie sądzę, żeby kawaleria zdążyła dojechać.
- Warto spróbować. Może jest w okolicy jakiś patrol. – Chwycił radiotelefon i po wyjaśnieniu sytuacji zakomunikował położenie operatorowi.



– Od razu puszczam alarm do wszystkich radiowozów – usłyszał z głośnika.

– Dobrze, ale proszę się pośpieszyć – powiedział Scalviati zanim skończył rozmowę.

Gdy Costanza dotarł do rozwidlenia, wjechał w drogę w lewo. Sprawdził, czy pogoń zrobiła to samo.

– Sukin... – warknął, widząc, że po skręcie mercedes zmniejszył do nich dystans.

– Przyśpiesza – zawtórował mu Scalviati. – Chce nas popędzić!

Wycieraczki nastawione na największą częstotliwość smagały szybę skrzypiąc za każdym razem.

– Tam jest jakiś dom. Może dojedziemy do niego, zanim nas dogoni.

– Nie możemy ryzykować wciągnięcia w to cywili. To zbyt niebezpieczne, on może być uzbrojony!

– Kurwa.

Mercedes ciągle siedział im na plecach. Nieubłaganie posuwał się do przodu, zbliżając się stopniowo jak drapieżnik, który wyczuł niepewność ofiary i szykuje się do ostatecznego skoku.

– Musimy zareagować – powiedział Scalviati.

– Proszę mi dać rewolwer – powiedział Costanza. – Jest w schowku.

Scalviati otworzył drzwiczki i wyciągnął berettę z kabury.

– Co zamierza pan zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Ale ma pan rację. Trzeba przestać się bawić w kotka i myszkę. – Zdjął nogę z gazu. Mocno nacisnął hamulec i stopniowo zredukował biegi. Samochód stracił na stabilności, ale zatrzymał się po kilkudziesięciu metrach, wzbijając w górę żwir zmieszany z wodą zgromadzoną na nawierzchni.

Costanza chwycił rewolwer, zakręcił magazynkiem, żeby kula weszła w lufę, odbezpieczył i wyszedł. W pochylonej pozycji otworzył szybkim ruchem tylne drzwi, by służyły mu za tarczę, wychylając się na tyle, ile było

trzeba, by widzieć, gdzie jest napastnik. Spodziewał, że dojedzie do nich za moment i był gotowy zareagować.

Ale zdał sobie sprawę, że mercedes się zatrzymał. Kierowca wydawał się nie mieć zamiaru bardziej się zbliżyć.

– Na co ty czekasz? – wymamrotał Costanza, wbijając wzrok w maskę samochodu. Tkwił nieruchomo pod padającym bezustannie deszczem.

Minęło kilka bardzo długich sekund i nic się nie wydarzyło. Nawet pola wokół wydawały się wstrzymywać oddech.

Potem Costanza podniósł się i zaczął iść w stronę mercedesa, z rewolwerem wymierzonym w szybę po stronie kierowcy.

– Policja! – krzyknął. – Wyjdź z samochodu z rękami przed sobą!

Samochód stał nieruchomo. Włączony silnik wydawał stłumiony pomruk odbijający się echem w otwartej przestrzeni.

Costanza szedł dalej naprzód ze wzrokiem utkwionym w punkcie, w który celowała lufa jego broni. Mięśnie miał napięte, na ciało wystąpił pot, który mieszał się z deszczem.

Palcem wskazującym głaskał spust beretty, gotowy do strzału przy najmniejszej oznace niebezpieczeństwa.

Potem wydarzyło się coś niespodziewanego.

Rozległ się dźwięk uruchamianego mechanizmu. Mercedes zaczął się cofać, najpierw powoli, potem z coraz większą prędkością, wreszcie szaleńczo zawrócił na wjeździe w pole buraków.

Costanza zaczął biec, mając nadzieję, że przynajmniej uda mu się zobaczyć numery. Ale był za daleko, widoczność była ograniczona, nie można było go dogonić pieszo.

W międzyczasie Scalvati usiadł za kierownicą i szybko manewrując, zawrócił.

Wcisnął maksymalnie gaz, wzbijając za sobą mokry żwir. Kiedy dojechał do Costanzy, wychylił się, otwierając drzwi pasażera. – Szybko, niech pan wsiada!

Inspektor wszedł do jadącego samochodu; ubranie miał przemoczone, urywany oddech, w rękę wciąż trzymał broń.

– Szybciej, Scalviati! Może go jeszcze dopadniemy!

Ale mimo wysiłków nie udało się nadrobić dystansu.

Mercedes dojechał do skrzyżowania z główną drogą i płynnie w nią wjechał, wywołując symfonię klaksonów przejeżdżających aut, wreszcie zniknął z pola widzenia, wyprzedzając jak wariat.

– Dziesięcioletni chłopiec? – wykrzyknął Enrico Loi.

Leda potaknęła.

– Mam nadzieję, że to nie oszustwo.

– Dla wycieczki do Turynu i oprowadzania po redakcji? Nieee, co najwyżej to ojciec przekonany, że jego syn jest cudownym dzieckiem, tylko dlatego, że rozwiązuje krzyżówki lepiej niż on.

– Może. Ale wydawał się naprawdę pewny, że ma rozwiązanie.

Uśmiechnął się lekko.

– Wkrótce się tego dowiemy. Kiedy przyjeżdżają?

– Jutro przed południem. Kazałam już zarezerwować pokój w hotelu. Wydawało mi się nie w porządku kazać im wracać tego samego dnia po dziesięciu godzinach podróży.

– Słusznie. Poinformowałaś już Scalviatię?

– Jeszcze nie – odparła Leda. – Dzwoniłam do prokuratury, ale powiedzieli mi, że jest poza miastem. W takim razie jutro dam mu znać, czy spotkanie było owocne, czy nic nie mamy.

Loi spojrzał na nią porozumiewawczo.

– A tak między nami, czy to nie dziwne, że poprosił cię o publikację tych bazgrołów?

– Co najmniej dziwne.

– O co chodzi według ciebie?

– Nie mam bladego pojęcia – odpowiedziała, rozkładając ręce. – Ale to musi mieć coś wspólnego z potworem, bo by mu się tak nie śpieszyło.

– Myślisz, że udałoby ci się tego dowiedzieć? Jeśli chłopiec naprawdę rozszyfrował kod, byłaby to niezła sensacja.

– Porozmawiam o tym ze Scaviatim, ale wątpię, żeby w tej chwili był gotów upublicznić taką informację.

– A jak twoje śledztwo?

Leda schroniła się za zdystansowaną miną.

– Na razie je zawiesiłam.

– Dlaczego? Od wielu dni nie publikujemy nic ważnego o postępach w śledztwie. Ludzie chcą wiedzieć, czy oni naprawdę pracują, żeby złapać potwora.

– Cóż, nie sądzę, żeby było wiele do powiedzenia, przynajmniej do najbliższej konferencji prasowej w prokuraturze.

– Daj spokój – westchnął Loi. – Za dobrze cię znam, żeby wiedzieć, że tobie nie wystarczy przepisywanie notatek agencyjnych ani, tym bardziej, wyważonych komunikatów prokuratury. Zawsze miałaś alergię na wersje oficjalne, jesteś reporterką, która dowiaduje się o faktach na miejscu.

– Powiedzmy, że mój trop okazał się ślepym zaułkiem. – Nie czuła się gotowa powiedzieć mu, że nie chce skończyć na muszce organizacji, którą rozpracowywała. Trochę ze strachu, że uzna ją za paranoiczkę, trochę żeby nie urealniać własnego strachu.

– Czy to ma związek z dziewczyną, która parę dni temu przyszła do redakcji?

– Skąd ta myśl?

– Bo kiedy sobie poszła, wyglądałaś jak ktoś, kto znalazł w kieszeni wygrawający kupon totolotka. Ale mnie nic nie chciałaś powiedzieć, ani zdać mi sprawy z postępów.

Leda przez moment rozejrzała się wokół, jakby szukając drogi ucieczki od tej rozmowy.

– Możemy o tym pogadać kiedy indziej? Obiecuję, że jeśliby miało z tego wyjść coś ciekawego, dowiesz się pierwszy.

– Nie mówisz mi wszystkiego, De Almeida. To jakaś sprawa osobista?

– Tak jak ci mówiłam, to ślepy zaułek.

Loi przyglądał jej się przez chwilę.

– No dobrze. Gdyby kiedyś przyszła ci chęć o tym pogadać, wiesz gdzie mnie szukać. – Już miał odejść, ale zatrzymał się o krok od biurka Ledy. – Zapomniałem... Mój informator zdradził mi, że w czwartek w nocy była akcja na Murazzi. Zmobilizowano oddział kominiarzy do przeszukania Caligoli, lokalu braci Canu, który chyba był siedzibą nielegalnego kasyna. Może coś o tym wiesz?

Leda nie zdołała odpowiedzieć. Mimowolnie przypomniała sobie słowa Giulii o Paolu Ginestrze.

*Grał w karty i na koniec zadłużył się u wszystkich, łącznie z braćmi Canu.*

*Ścięła jej się krew w żyłach.*

*To są źli ludzie. Niebezpieczni.*

– No więc? – dopytywał Loi.

Leda wysiliła się na ugodowy ton.

– Nie rozesłano o tym żadnych oficjalnych informacji – wymamrotała. Ale czuła, że naciera na nią wichura myśli.

W jaki sposób był w to zamieszany klan Canu? Więc za morderstwami stała prawdziwa organizacja przestępcza? Dlaczego Scalviati przeprowadził tajną operację, całkowicie ignorując prawo do informacji?

To było nie do przyjęcia. Ludzie mieli prawo wiedzieć, czy są postępy w śledztwie. Chciała mieć nadzieję, że pewnego dnia cała ta potworna historia stanie się tylko złym wspomnieniem. Przede wszystkim dlatego, że po mieście rozpełzł się strach przed potworem: ulice i place po zachodzie słońca całkiem pustoszały.

– Właśnie to mnie zastanowiło – przyznał Loi. – Tam musi być coś naprawdę dużego, jeśli zadbali o to, żeby wiadomość nie wyciekła. I nie sądzę, żeby chodziło tylko o walkę z hazardem. Zresztą według mojego źródła inspektor Costanza był widziany w lokalu na kilka godzin przed nalotem.

Scalviati nabrał pewności, że znajduje się w oku cyklonu, kiedy otrzymał niepokojącą przesyłkę, która nadeszła do prokuratury we wtorek 6 września i którą przekazała mu zaniepokojona sekretarka na chwilę przed południem.

Adres na kopercie był ułożony z liter wyciętych z gazety:

DOTT.  
SCALVIATI FRANCESCO  
PROCURA DELLA REPUBBLI-  
CA 10121 TORINO

Prokurator zważył ją w dłoniach, patrząc na znaczek za 500 lirów i pieczęć pocztową z Rivoli z datą z poprzedniego dnia: poniedziałek 5 września.

Wydawała z siebie dziwny zapach i miało się wrażenie, że w środku jest coś więcej niż kartka, coś miękkiego w dotyku.

Zdziwił się, że adres był tak niedokładny (nawet kod pocztowy nie był właściwy) i że w słowie „repubblica” brakowało jednego „b”, chociaż nadawca, gdy słowo nie zmieściło się w linii, postarał się o przeniesienie ostatnich liter do następnej.

Położył kopertę na biurku i chwycił nóż do papieru. Już miał ją otworzyć, gdy zadzwonił telefon. To był Luigi Di Cara.

– Miał pan rację – powiedział. – Efsio Canu nie padł ofiarą wypadku.

– I założę się, że w samochodzie nie był sam.

– Już sprawdziliśmy odciski palców na klamce pasażera. Należą do Salvatora Canu.

Trzymając słuchawkę między ramieniem a policzkiem, Scalviati zaczął przecinać nożem górną krawędź koperty. Wyciągnął z niej kartkę złożoną na pół, która po otwarciu ukazała mu strzępki czegoś, co wyglądało jak tkanka organiczna zapakowana w celofan.

Siedział w ciszy, niezdolny odpowiedzieć.

– Prokuratorze? – spytał Di Cara. – Jest pan tam?

– Czy może pan przyjechać do prokuratury? – usłyszał w odpowiedzi.

– To znaczy... teraz?

– Tak. Wezwę też inspektora Costanzę i Isaaka Stonera. Myślę, że morderca wzięł mnie na celownik. Osobiście.



W liście, napisanym ręcznie dużymi literami, było kilka błędów ortograficznych, skreśleń i poprawek, ale treść była w pełni zrozumiała:

*We mnie noc nigdy się nie kończy.*

*Kiedy bawicie się w łamigłówki, ja przygotowuję się do kolejnych łowów.*

*Sześć to jeszcze niewiele. Ostateczna liczba jest jeszcze daleko.*

*Inni będą błyszczeć w świetle księżyca.*

Brak podpisu.

– Co to jest, jakiś żart?

– W żadnym razie – odparł prokurator. – Jak pan widzi, odnosi się do szczegółów śledztwa, których nigdy nie upubliczniono.

– Szczegółów, które mógł znać tylko morderca – dodał Di Cara.

– *Będą błyszczeć w świetle księżyca* – powtórzył Scalviati. – Te same słowa, które wypowiedział tamtej nocy Salvatore Canu. Te same, które znajdowały się w jednym z listów wysłanych przez seryjnego mordercę, znanego jako Zenit, do amerykańskiej gazety. I to nie wszystko. Drugie zdanie odnosi się do łamigłówki...

Costanza pokręcił głową.

– A w jaki sposób miałyby to dotyczyć śledztwa?

Odpowiedział Stoner ze swojego krzesła na szczycie stołu konferencyjnego, przy którym usiedli we czwórkę.

– To aluzja do zaszyfrowanego kodu, który prokurator Scalviati kazał wydrukować w niedzielnej gazecie.

Costanza popatrzył na prokuratora zdezorientowany.

– Czy mogę wiedzieć, o czym on mówi?

Scalviati pokazał mu pierwszą stronę dodatku do dziennika, w którym opublikowano kod.

– Tę zaszyfrowaną wiadomość wysłał Zenit do „San Francisco Chronicle” dokładnie piętnaście lat temu, we wrześniu 1973. Jej treści nigdy nie rozkodowano.

Inspektor przyglądał się kwadratowi z tajemniczym kodem przez dłuższą chwilę.

– I pan poprosił, by to wydrukowali?

Potaknął.

– Leda De Almeida była pośredniczką w redakcji. Mamy nadzieję, że ktoś z czytelników podoła zadaniu, na którym polegli eksperci, którzy analizowali to w przeszłości.

– Proszę wybaczyć szczerość, ale nie wydaje mi się, żeby mieszanie w to tej dziennikarki było dobrym pomysłem.

– To był jedyny sposób. Jeśli jest jakiś związek między Zenitem a potworem, to rozwiązanie mogłoby dostarczyć cennych wskazówek.

Costanza odwrócił się do Di Cary.

– Wiedział pan o tym?

Tamten wzruszył ramionami.

– Prokurator Scalviati poprosił mnie o opinię o tym kodzie. Niestety nie byłem w stanie go zinterpretować.

Scalviati odchrząknął.

– Zdaję sobie sprawę, że to nietypowa procedura, inspektorze. Ale zapewniam pana, że nie postanowiłem zwrócić się do prasy pod wpływem chwili. W naszej obecnej sytuacji musimy spróbować wszystkiego. Szczególnie teraz, w świetle tego, co znalazłem w kopercie. – To mówiąc, położył na środku stołu zawiniątko w celofanie.

Inspektor nie zdołał powstrzymać wyrazu obrzydzenia.

– Co to jest?

– Uważam, że to jest fragment śledzony jednej z ofiar – odpowiedział Di Cara. – Zlecę analizy, żeby ustalić, czy należy do Alice Dallary albo Moniki Ferretti.

– Ja pierdolę! To obrzydliwe!

– Zenit miał zwyczaj rzucać otwarte wyzwanie służbom takimi wiadomościami szaleńca – wtrącił Stoner. – W kopertach były czasem osobiste rzeczy ofiar. Zastanawiałem się, kiedy wydarzy się to we Włoszech. W ten sposób zamierza udowodnić swoją wyższość w stosunku do ludzi, którzy go ścigają.

– Więc to prawda? To ten sam morderca, który zabił w San Francisco?

– W tym momencie musimy bardzo poważnie brać pod uwagę tę możliwość – stwierdził Scalviati. – Chyba, że to ktoś, kto bardzo dobrze zna jego sposób działania, tak że potrafi go naśladować w najdrobniejszych szczegółach.

Di Cara podrapał się w brodę zamyślony.

– Mogę powiedzieć, że tekst dowodzi dobrej znajomości języka włoskiego, ale liczne błędy gramatyczne każą przypuszczać, że nie jest to dla niego język ojczysty.

– Agencje Stoner, pan badał zachowanie Zenita przez wiele miesięcy. Co pan myśli o tej wiadomości? Czy to możliwe, że napisał ją własnoręcznie?

Costanza skrzyżował ramiona na piersi z nadąsaną miną. Najwidoczniej nie aprobował obecności Amerykanina na zebraniu ekipy śledczej.

– Nie mam wątpliwości – powiedział Stoner. – Wyraża się w dokładnie taki sam sposób.

Scalviati otworzył teczkę, wyciągnął z niej kopię listów wysłanych przez Zenita do „Chronicle” i wręczył je Di Carze.

– A co pan o tym myśli?

Tamten patrzył w kartkę przez dłuższą chwilę.

– Musielibyśmy skonsultować się z ekspertem, żeby mieć pewność, ale to chyba ten sam charakter pisma.

W sali zapadła cisza, w trakcie której prokurator patrzył w oczy po kolei każdemu z obecnych.

– Od tego momentu musimy zakładać, że Zenit i potwór to ta sama osoba. Dam każdemu z was kopię profilu psychologiczno-behawioralnego zredagowanego przez agenta Stonera, który należy rozesłać wszystkim policjantom i który posłuży do ukierunkowania śledztwa.

Costanza lekko pochylił się do przodu.

– Przepraszam, prokuratorze, ale nie możemy zapomnieć o zamieszaniu w morderstwa osób z lokalnych grup przestępczych, przede wszystkim Salvatora Canu.

– Ma pan rację, inspektorze. Dlatego musi go pan znaleźć. Zanim zrobi to Zenit.

Gdy aspirant Loiacono skończył pisać protokół z ostatniego patrolu, jego jedyną myślą było jak najszybsze dojście do łazienki. Nie miał pojęcia, czy to było coś, co zjadł na śniadanie, czy może grypa żołądkowa, ale bulgotanie w brzuchu nie napawało go optymizmem.

Jednak kiedy był już w drodze do toalety, podszedł do niego mężczyzna z rzadkimi włosami i potarganą brodą w oliwkowozielonej parce i kaszkietem tego samego koloru w ręku.

– Przepraszam. – Miał sine obwódki wokół oczu, jakby od dawna nie spał. – Chciałbym mówić z odpowiedzialnym za śledztwo w sprawie potwora.

– Z inspektorem Costanzą? – spytał Loiacono, z wysiłkiem się zatrzymując. – Niestety nie ma go w biurze. Nie wiem, o której wróci.

– Czy mógłby się pan z nim skontaktować? Chodzi o coś szalenie ważnego.

– Umówił się pan? – sapnął Loiacono, zatrzymując się po kilku krokach.

Tamten pokręcił głową.

– W takim razie nie mogę panu pomóc. Proszę zadzwonić do sekretariatu. Ale proszę pamiętać, że w tych dniach inspektor Costanza jest bardzo zajęty.

– Nie mógłby zrobić wyjątku?

– Jeśli chce pan złożyć zawiadomienie, proszę iść do kolegi w tym pokoju – Loiacono pokazał na drzwi mniej więcej w połowie korytarza.

Mężczyzna był wyraźnie przejęty, wahał się, jakby jakieś zmartwienie przeżerało go od środka. Wydawał się niemal rozdarty, nie wiedząc, czy ma zacząć krzyczeć, czy jak najszybciej opuścić budynek.

– Nie, ja... – bąknął.

Loiacono czuł się jak na rozgrzanych węglach. Próbował wyglądać swobodnie, ale nie mógł dłużej ignorować skurczów atakujących podbrzusze. Prawdopodobnie to było tylko przeziębienie, ale czuł się, jakby ciało wysyłało mu ostatni sygnał alarmowy, zanim go przyprze. Skoki temperatury w przejściowym sezonie zawsze wywoływały u niego jakieś kłopoty. Co roku obiecywał sobie, że w porę zacznie nosić podkoszulek i weźmie może jakieś suplementy, co zawsze radziła mu żona, i co roku musiał się mierzyć z tą samą krępującą przypadłością.

– Proszę pana, nie pomogę panu, jeśli mi pan nie powie, o co chodzi. Śpieszy mi się, więc...

– To ja – przerwał mu mężczyzna.

– Słucham?

– Potwór – orzekł. Na jego twarzy pojawiła się ulga, jakby zrzucił z siebie wielki ciężar.

Loiacono nie mógł powstrzymać nerwowego uśmiechu.

– Przepraszam, w jakim sensie?

– Przyszedłem się przyznać – powiedział mężczyzna. – Już nie mogę znieść ciężaru mojej winy.

Słyszając tak uroczystą deklarację, młody aspirant nie miał pojęcia jak zareagować. Było oczywiste, że miał przed sobą człowieka po załamaniu nerwowym. Było to widać po jego udręczonym spojrzeniu, po widocznej na twarzy bezsenności, po lekkim drżeniu rąk. Ale ze swoją okrągłą twarzą z podwójnym podbródkiem i tłustymi palcami z pewnością nie miał typowego wyglądu przestępcy. Loiacono nigdy nie spotkał seryjnego mordercy, ale spodziewałby się raczej kogoś groźnego w stylu Jacka Torrance'a albo przynajmniej niepokojącego jak Norman Bates. A ten człowiek wydawał się po prostu przestraszony.

Prawdopodobnie był to mitoman. Albo ktoś z prawdziwą psychozą, który może wyszedł na przepustkę z oddziału psychiatrycznego, w którym go umieszczono. Pewnie zależnie od tego, którą nogą wstał, uważał się albo za potwora, albo za Mussoliniego.

W takich przypadkach, jak dowiedział się z licznych filmów, najlepszą strategią było niezaprzeczanie rozmówcy, by nie wywołać u niego niekontrolowanej reakcji.

– Czy może pan powiedzieć, jak się pan nazywa?

Mężczyzna powiedział.

– Świetnie. Czy może pan usiąść w poczekalni? Zaraz wrócę. Muszę załatwić pilną sprawę, ale to nie potrwa długo.

Loiacono zniknął, zanim tamten zdążył odpowiedzieć.

Mężczyzna z wahaniem wszedł do poczekalni i usiadł na krześle najbliżej wejścia, obserwując krzątanicę pracowników komendy i od czasu do czasu podnosząc rękę w nadziei, że przyciągnie uwagę któregoś z nich.

Ale tamci byli zbyt roztargnieni, a może zajęci, by zwrócić na niego uwagę – i tak po kilku minutach mężczyzna zadowolił się sięgnięciem po egzemplarz pisma „Polizia e Democrazia” leżący na stole, ale szybko zorientował się, że był sprzed kilku lat.

Westchnął, wstał, przez chwilę krążył w tę i z powrotem, potem stanął na wprost korytarza. Widząc policjantkę zbliżającą się z miłym uśmiechem, próbował się do niej odezwać, ale miał silne wrażenie, że udała, że tego nie widzi, bo z pośpiechem skrzyła, by za chwilę zniknąć w drzwiach któregoś biura.

Ostatecznie chwycił czapkę, wcisnął ją na głowę, i szybko ruszył do wyjścia.

– Ten list jest tylko ostatnim z serii niepokojących wydarzeń, które, jak uważam, mają na celu zastraszenie śledczych – powiedział Scalviati.

– Co ma pan na myśli? – spytał Di Cara.

Odpowiedział Costanza.

– Wczoraj ja i prokurator Scalviati byliśmy śledzeni i niemal zaatakowani przez kogoś w ciemnoniebieskim mercedesie po tym, jak przeprowadziliśmy wizję lokalną w miejscu wypadku Efisio Canu.

– Udało się wam go zobaczyć albo przynajmniej rejestrację?

– Nie dało rady. Samochód utrzymywał stały dystans, a w deszczu nic nie było widać. Cudem sami nie wypadliśmy z drogi, jak ten nieszczęśnik Canu.

Scalviati powoli położył ręce na stole z wyrazem determinacji na twarzy.

– Nie tylko to. Kilka dni temu moja żona widziała policjanta siedzącego w samochodzie przed naszym domem. Wydawało mi się to od początku dziwne, ale zacząłem się przejmować dopiero wtedy, gdy De Almeida powiedziała mi o policjancie, który wyszedł z bloku Capaldiego tego samego ranka, kiedy znaleziono jego zwłoki.

– Policjanta? – wykrzyknął Di Cara. – Myśli pan, że jest w to zamieszany ktoś z sił porządkowych?

– Tego nie powiedziałem.

– Chciałbym to zobaczyć – wtrącił Costanza.

– Gdyby to był prawdziwy policjant, nie szedłby tam w mundurze. Nie, to ktoś w przebraniu, kto chciał poruszać się swobodnie, nie budząc podejrzeń, zyskując zaufanie ludzi, których bierze na cel i który próbuje zatrzeć wszelkie ślady sprawy. Ale nie zamierzam dać się zbić z tropu, już otworzyłem oddzielne akta dla spraw śmierci Canu i Capaldiego.



– Proszę wybaczyć, prokuratorze, ale co ten Capaldi ma wspólnego z Zenitem?

– Podejrzewamy, że pracował dla organizacji czerpiącej korzyści z prostytucji, dla której pracowała też w przeszłości Monica Ferretti. Według De Almeidy Capaldi sprzedawał dziewczynom środki uspokajające; wykradał je z zapasów szpitala, w którym pracował.

– Nie za bardzo pan wierzy tej pismaczkę? – zaproponował Costanza. – Przypominam panu, że ledwo kilka dni temu nie miała skrupułów, żeby publicznie oczernić prokuraturę w tym swoim szmatławcu.

– Było minęło – uciął Scaviati. – W każdym razie przeszłość Capaldiego wcale nie jest przejrzysta. Ma w życiorysie oskarżenie o kradzież i wyłudzenie ze strony swojego poprzedniego pracodawcy. Ten człowiek był recydywistą. Według świadków prowadził życie ponad stan, jeśli chodzi o zarobki w jego zawodzie. Miał sportowy samochód, jego mieszkanie było miejscem spotkań drobnych przestępców i imprez z seksem i narkotykami. Naprawdę wierzy pan w tezę o samobójstwie tego typu człowieka?

– Może był w depresji, skąd mam wiedzieć! W każdym razie, uważam go za postać nieznaczącą dla naszego śledztwa.

– Najwidoczniej jego morderca był innego zdania.

– Może Ferretti czuła się zagrożona i zwierzyła mu się – podsunął Di Cara. – Być może znał tożsamość Zenita.

– Wątpię, żeby ta dziewczyna знаła swojego mordercę – wtrącił Stoner. – Zenit wybiera ofiary wedle ścisłych kryteriów – pary w ustronnych miejscach – z którymi ma więź symboliczną, prawdopodobnie dotyczącą wydarzeń z jego dzieciństwa, ale nie osobistą.

– Może Capaldi odkrył coś, co ściągnęło na niego wyrok śmierci. Może należał do kręgu, w którym wiadano, jak Zenit kontaktuje się z okazjonalnymi pomocnikami, ale nie potrafił usiedzieć na swoim miejscu.

– Okazjonalni pomocnicy? – powtórzył Di Cara, marszcząc ze zdziwienia brwi.

– Rekrutowani przez system telematyczny BBS – uściślił prokurator Scalviati.

– Dobrze go znam. Korzystają z niego pasjonaci technologii, którzy mogą komentować artykuły naukowe albo wymieniać się opiniami o kinie czy literaturze. Mogę panu pokazać, jak to działa, jeśli pan chce. Zapewniam pana, że wśród użytkowników nie ma kryminalistów, sam jestem zapisany do grupy dyskusyjnej o astronomii.

– System o ogromnym potencjale, pozornie nieszkodliwy. Właśnie dlatego jest doskonałą przykrywką.

– Faktycznie, wiadomości, chociaż przechodzą przez linię telefoniczną, w gruncie rzeczy nie da się przechwycić, jeśli się nie ma dostępu do stacji, do której są wysyłane. To komunikacyjna awangarda, pionierski system, którego nie poddano jeszcze żadnym regulacjom.

– Dostał pan bilingi Canu?

– Tak, dziś rano. Ale to nie znaczy, że to wystarczy, żeby znaleźć BBS. To jest numer telefonu jak każdy inny, wśród setek numerów na liście...

– Zdaję sobie z tego sprawę, doktorze Di Cara.

– Organizacja przestępcza, która porozumiewa się przez komputer – skomentował Costanza. – To jakieś *science fiction*.

– Ale to właśnie pan mi to podsunął – odparł Scalviati. – Canu powiedział panu, że „wymienił nazwisko” Lescaux. Potwór być może współpracuje z kimś, kto daje mu znać o potencjalnych ofiarach, może nawet nie zdając sobie sprawy z realnych konsekwencji.

– Skłonności do manipulacji to częsta cecha seryjnych morderców – zauważył Stoner. – Możliwe, że Zenit używa systemu BBS, żeby ściągnąć osoby, które mają ciągoty do przestępstw, bazując na ich wypartych impulsach i czyniąc z nich kukielki, którymi posługuje się do własnych celów, z czego nie zdają sobie sprawy, dopóki nie jest za późno. Canu, zanim go spotkał, był tylko drobnym handlarzem środkami odurzającymi. Zenit wciągnął go we współpracę w bestialskim podwójnym morderstwie.

– Rozumiem, ale po co budować taki skomplikowany mechanizm? – spytał Costanza. – Koniec końców to tylko wulgarny morderca, psychopata, który strzela z pistoletu do nieszkodliwych młodziaków.

– W liście Zenit pisze o sobie jako o myśliwym – stwierdził Stoner. – Jeśli się tak zastanowić, to mógłby to być sprytny i bezlitosny mechanizm znajdowania ofiar. System pozwala mu rozszerzyć swój wpływ na innych potencjalnych przestępców, trzymając ich w garści i sącząc swój jad w samym środku miasta.

W głowie Costanzy zabrzmiały słowa Salvatora Canu: *Powiedział, że kiedyś poprosi mnie o przystługę i nie będę mógł odmówić.* Nie, to nie był zwyczajny przestępca, ale pająk rozsnuwający swoją sieć, rozszerzający ją w wiele stron, na miejsca widoczne i niewidoczne dla oczu.

– Prawdziwa strategia terroru – powiedział tylko.

– Dokładnie. Zenit jest fanatykiem, przekonanym, że zna tajemną prawdę, która wynosi go ponad osądy powszechnej moralności, ponad samo pojęcie dobra i zła.

– Co prowadzi nas z powrotem do człowieka przebranego za policjanta – wtrącił Scalviati. – Jeśli to Zenit, to musimy założyć, że nie tylko ja, ale każdy z obecnych w tym pokoju jest w niebezpieczeństwie. Każdy z nas może być jego kolejnym celem.

– A ty musisz być Ciro – powiedziała Leda, podając mu rękę.

Chłopiec, chudziutki i z pewnością wyższy niż typowe dziecko w jego wieku, patrzył na nią spode łba, wyglądał, jakby miał się na baczności. Potwierdził ledwo zauważalnym skinieniem.

– Proszę się nie przejmować, jest tylko trochę nieufny wobec obcych – wtrącił ojciec.

– Podróż minęła dobrze? – spytał Enrico Loi.

– Tak, dziękuję, chociaż na krótko przed Pizą pociąg się zatrzymał wśród wzgórz i wydawało się, że już nie ruszy. Obawiałem się najgorszego, ale potem prawie nadrobiliśmy spóźnienie.

– Rzeczywiście, na tej linii często bywają kłopoty z powodu tych niekończących się remontów. Mam nadzieję, że mieliście czas trochę się odświeżyć w hotelu po tak długiej podróży.

Rosario Varriale złożył ręce jak do modlitwy.

– No właśnie, chciałem wam podziękować za pokój, który dla nas zarezerwowaliście. Jest bardzo wygodny, nawet Ciro, który zazwyczaj nie lubi opuszczać swojego pokoju, od razu dobrze się tam pocuł.

– Powiedźcie to każdemu, kto będzie twierdził, że na północy gościnność pozostawia wiele do życzenia – powiedział Loi ze źle skrywaną dumą.

– Chętnie się odwdzięczymy, jeśli kiedykolwiek chcielibyście zwiedzić Acerrę.

Leda skinęła głową.

– Oczywiście. Udało wam się coś zjeść?

– Niestety nie. W hotelu nie ma restauracji i miałem nadzieję, że polecicie nam coś dobrego w mieście.

– Drobnostka – powiedział Loi, patrząc na zegarek. – Znam przyjemne miejsce niedaleko, które serwuje świetne lokalne specjały. Jeśli się pośpieszymy, to zdążymy przed zamknięciem kuchni.

Wyszli we czwórkę z redakcji i po kilku krokach doszli do lokalu na corso Dante. Usiedli na zewnątrz, gdzie lekki wietrzyk targał liście rosnących wzdłuż ulicy drzew.

Kiedy skończyła się konieczna faza składania zamówień, Leda zwróciła się do Ciro. – Twój tata mówił, że masz wielki talent. Myślałeś, co chciałbyś robić, jak dorośniesz?

Chłopiec wzruszył ostrożnie ramionami, w jego spojrzeniu nieśmiałość mieszała się z ciekawością.

– Moja mama pracowała w wydawnictwie – ciągnęła dalej. – Kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku, zabrała mnie na zwiedzanie swojej drukarni. To była mała firma, zupełnie niepodobna do dzisiejszych drukarni z wielkimi maszynami rotacyjnymi. Wtedy pierwszy raz pomyślałam, że chciałabym być dziennikarką. W tamtej wielkiej sali, wśród drukarzy mocujących się z matrycami, w ostrym zapachu tuszu, cały czas myślałam o tych słowach, składanych przez sprytny mechanizm wymyślony pięćset lat temu, drukowanych i rozsyłanych na cały kraj. O słowach, które mają tę władzę, że mogą opisywać świat. A czasem nawet go zmieniać.

Ciro słuchał jak urzeczony, z szeroko otwartymi oczami i ustami wygiętymi w uśmiechu.

– Chciałbym zostać pilotem myśliwca – wykrzyknął.

– Całkiem nieźle – skomentował Loi.

– Syn uwielbia *Top Gun* – wtrącił Rosario. – Widział go chyba z dziesięć razy. Nawet czytał podręczniki latania dla studentów akademii. A naszego psa nazwał oczywiście Maverick.

– Jaki to pies? – spytała Leda Ciro.

Odpowiedział ojciec:

– Wyżeł.

Leda rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, potem znów popatrzyła na chłopca.

– Ja też miałam psa, kiedy mieszkałam w Barcelonie. Nazywał się Alvaro, był znajdą z ulicy.

– Mavericka wzięliśmy ze schroniska – odpowiedział Rosario. – Moja siostra była tam wolontariuszką i powiedziała mi, że miał wcześniej trudny dom.

– Rozumiem pana entuzjazm, panie Varriale, ale nie mógłby pan dać synowi czasu, by mógł odpowiedzieć?

Tamten obejrzał się wkoło, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– Oczywiście, nie ma problemu. Chciałem tylko ożywić konwersację. Jak mówiłem, Ciro ma bystry umysł, ale nie jest zbyt szybki, jeśli chodzi o czas reakcji.

– To poproszę pana, jeśli będę potrzebowała pana pośrednictwa – zgasła go Leda, ściągając na siebie niezadowolone spojrzenie Loi.

– Mieszkałaś w Hiszpanii? – spytał Ciro.

– Tam się urodziłam.

– I dlaczego wyjechałaś?

– To skomplikowana historia – westchnęła Leda. – Krótko mówiąc, mój tata dużo podróżował w pracy, ale pewnego razu postanowił zatrzymać się na dłużej w Turynie. Został przez kilka lat i kiedy ruszył z powrotem, byłam już pełnoletnia i postanowiłam tu zostać.

– A twoja mama?

– Nigdy nie chciała wyjechać z Barcelony. Traktowała swoją pracę jak misję. W czasach dyktatury Franco wydawała poezję, w której była ukryta surowa krytyka reżimu.

Ciro zareagował nieodgadnionym grymasem.

Leda uśmiechnęła się lekko.

– Więc chciałbyś zwiedzić redakcję gazety? Mogłabym nawet pokazać ci, co planujemy zamieścić w najbliższym dodatku szaradziarskim.

– No, nawet.

– A ja jestem bardzo ciekawa, jak udało ci się odszyfrować ten kod. Wiesz, że różni profesorowie próbowali to zrobić i nie dali rady?

– Tak naprawdę to było proste – odpowiedział niewinnie. – Jeśli im się nie udało, to pewnie dlatego, że myśleli, że to jakaś wiadomość.

– A to nie jest wiadomość? – spytała Leda zdezorientowana.

Ciro pokręcił głową.

– Zazwyczaj w tajnych kodach trzeba wstawić litery w miejsce symboli według reguł szyfru. Ale od razu zrozumiałem, że to jest co innego. Symbole nie zastępowały liter, ale cyfry.

– Możesz powiedzieć, jak do tego doszedłeś? – spytał Loi.

Nastąpiła krótka cisza, w której Ciro wydawał się sprawdzać, czy ojciec zgadza się, by odpowiedział.

– Mogę?... – powiedział Rosario.

Leda zgodziła się z oporami.

– Ciro już taki jest – ciągnął. – Nie wiemy dokładnie, jak to zaskakuje w jego głowie, kiedy zastanawia się nad problemem logicznym czy matematycznym. On po prostu... *widzi* rozwiązanie.

– Tak było, Ciro? – spytała Leda. – Zobaczyłeś rozwiązanie?

Mały potaknął.

– I to były cyfry.

– Cyfry i symbole.

Leda przymrużyła oczy z dezorientacją.

– Symbole, które zastępują cyfry... i inne symbole?

Potaknął.

– Liczby to szerokość i długość w sześćdziesiątym formacie stopniowym, symbole to stopnie, minuty, sekundy, północ, południe, wschód, zachód.

– Współrzędne geograficzne – wtrącił Loi.

– I co wskazują? – dopytywała Leda.

– Figurę geometryczną na powierzchni ziemi.

– Jaką figurę?

Wszelkie wahanie zniknęło z twarzy chłopca, który spojrzał stanowczo.

– Trójkąt – brzmiała odpowiedź.



Spotkanie czwórki członków ekipy śledczej trwało do późna, a dyskusja o tym, jakie środki ochrony powinny być zastosowane osiadła na mieliźnie. Costanza chciał dać Scalviatiemu eskortę, ale tamten odmówił kategorycznie, uznając to za nadmiar ostrożności.

Stoner twierdził zresztą, że Zenit wzięłby to za przejaw słabości.

Na koniec narady ustalili serię wskazań dla kierownictwa, zaś agentowi Stonerowi kazano po prostu zostać w pokoju hotelowym aż do podjęcia nowych decyzji.

Potem Di Gara przedstawił prokuratorowi możliwości dostępu do BBS, z którym regularnie się kontaktował.

Gdy Scalviati zegnał się ze współpracownikami, podeszła do niego Cecilia w płaszczu i z torebką w rękę, przypominając mu, że wychodzi wcześniej ze względu na długo oczekiwaną wizytę u lekarza.

– Nie ma problemu. W takim razie do jutra – powiedział, idąc do biura.

Siedząc przy biurku, prokurator wpatrywał się w wiadomość od mordercy, pewny, że kryje się za nią więcej, niż wyrażały słowa. Zostawił sobie kserokopię, przekazawszy oryginał Di Carze do sprawdzenia odcisków i analizy grafologicznej.

*We mnie noc nigdy się nie kończy.*

Do czego się odnosił? Czy to były tylko brednie człowieka, który wpatruje się w siebie i widzi tylko ciemność? Czy też Zenit był świadomy swojej nieludzkiej, zwyrodniałej natury, bestialstwa swoich czynów i rozsmakowywał się w tym?

Jego krokami kierowało jakieś metodyczne szaleństwo, w ciemnościach, w których błyszczały tylko strzały z pistoletu, którym zabijał. Była to bardziej deklaracja zamiarów niż groźba.

*Przygotowuję się do kolejnych łowów.*

W tych słowach tętniła zarozumiałość i pogarda dla śledczych.

Potwór dobrze wiedział, że aluzja do łamigłówek pozwoli ostatecznie połączyć morderstwa w San Francisco z tymi z Turynu. Choć nie mówił tego wprost, z dumą potwierdzał swoją tożsamość.

Chciał, żeby Scalviati wiedział, z kim ma do czynienia: z człowiekiem, który przez długie lata potrafił drwić sobie z amerykańskich władz, popełniając bestialskie zbrodnie i pozostając bezkarnym.

Kimś, kto uważał ludzi za nic innego jak tylko ofiary, które mają zaspokoić jego głód krwi, i kto teraz z jakiegoś powodu wybrał Turyn na swój teren łowiecki. Wystarczająco zwinny, by nie zostawić śladów, tak skrupulatny, że eliminował każdego, kto mógłby pokrzyżować jego plany.

Priorytetem było odnalezienie Salvatora Canu, był to zresztą jedyny świadek, który w tamtym momencie mógł powiedzieć cokolwiek o systemie telematycznym, przez który wszedł w kontakt z Zenitem.

Ale te przypuszczenia pokazywały także, że trzeba było głębiej pogrzebać w środowisku, w którym dokonano morderstw. Scalviati był przekonany, że w sprawie Ferretti/Ginestra nie zrobiono wystarczająco dużo, by zrekonstruować drugie życie dziewczyny. I że za przezwiskiem Markiz kryje się postać, która wyjaśniłaby powody, dla których tamta stała się celem seryjnego mordercy.

Jeśli to prawda, że Monica Ferretti miała poza Paolem Ginestrą innego kochanka, to ktoś musiał wiedzieć, kim on był.

Musiał uzyskać od De Almeidy nazwisko jej kontaktu. Wiedział, że nie będzie łatwo przekonać reporterki do współpracy, ale jeśli jej informatorka znała dilerę, który obsługiwał Ferretti, to na pewno jest też poinformowana co do innych szczegółów życia dziewczyny.

Nie mógł pozwolić sobie na zwłokę ani ulec jej oporom.

Zenit, choć niezrównoważony, nie wybierał ofiar na chybił-trafił. I może właśnie teraz ktoś nawiązywał z nim kontakt, tak prosty jak każda rozmowa telefoniczna.

Dzwonek telefonu wyrwał go z rozmyślań. Z pewnym zaskoczeniem usłyszał z drugiego końca linii głos inspektora Costanzy.

– Jak tylko wszedłem do biura to doniesiono mi o dziwnym incydencie – powiedział. – Prawdopodobnie to nic takiego, ale chciałbym od razu pana poinformować.

– Niech pan mówi.

– W komendzie, kiedy mnie nie było, pojawił się jakiś człowiek. Powiedział, że chce rozmawiać ze mną i... z tego, co zrozumiałem, chciał się przyznać, twierdząc, że po prostu jest potworem.

Scalviati siedział cicho o chwilę za długo.

– Gdzie jest teraz?

– Ulotnił się. Wydaje mi się, że Loiacono zostawił go w poczekalni, lekceważąc obowiązek pilnowania go. Zanim wrócił, tamten po prostu rozpląnął się w powietrzu. Dali mu niezły opieprz, ale jestem pewien, że nie ma się czym martwić. To musiał być zwykły mitoman. Nie będę panu wymieniał telefonów, które odbieramy niemal co godzinę dniem i nocą, gdzie ktoś bierze na siebie odpowiedzialność za jakieś krwawe zajście, zwłaszcza w takich przypadkach, o których trąbią we wszystkich mediach. Ten człowiek odróżnia się od innych tylko tym, że pofatygował się i powiedział nam to w twarz.

– Mamy nazwisko albo chociaż rysopis?

– Nazwisko nieznane. Loiacono go zapytał, ale niestety nie pamięta odpowiedzi. Potrafił mi powiedzieć tylko, że miał zieloną czapkę.

Ktoś zapukał, zanim Scalviati zdołał odpowiedzieć. Wzrok Scalviatego pomknął w stronę drzwi.

Otworzyły się i znana postać pojawiła się na progu.

– Porozmawiamy o tym jutro – i odłożył słuchawkę.

– De Almeida – powiedział Scalviati. – Proszę siadać. Przed chwilą właśnie o pani myślałem.

– Poważnie? – odpowiedziała, siadając naprzeciwko biurka. – Nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić.

– Po prostu zastanawiałem się, kiedy zdecyduje się powiedzieć mi pani nazwisko osoby, która doprowadziła panią do Aptekarza.

– Już panu mówiłam, że to niemożliwe. Nie tylko z powodu etyki zawodowej, ale także dlatego, że wystawiłabym ją na poważne niebezpieczeństwo.

– Ja widzę to tak, że ona już jest w niebezpieczeństwie. Jeśli śmierć Capaldiego czegoś mnie nauczyła, to tego, że potwór nie ma skrupułów, żeby wyeliminować każdego, kto mu przeszkodzi w jego planach. Nie mówimy o zwyczajnym kryminaliście, który ma konkretny motyw, ale o człowieku perwersyjnym i nieprzewidywalnym, którego podnieca popełnianie brutalnych przestępstw. Tu wchodzi w grę życie innych osób. Teraz to pani musi wybrać, po czyjej stronie stanąć.

– Oczywiście po stronie ludzi. Młodych ludzi, którzy boją się teraz wychodzić z domu ze strachu, że natkną się na potwora, rodziców, martwiących się, czy ich dzieci są bezpieczne, dzieci, które będą dorastać z przekonaniem, że „Czarny Lud” naprawdę istnieje i że nigdzie nie jest bezpiecznie. Dlatego postanowiłam teraz tutaj przyjść. Bo trzeba wreszcie zdać im sprawę z tego, co robią władze, żeby ich chronić.

– Coś pani insynuuje?

– Wiem, co się stało w czwartek w nocy. O wtargnięciu Costanzy do Caligoli, o nalocie kominiarzy. Naprawdę pan myślał, że da się to jeszcze długo ukrywać i że nikt nie będzie zadawał pytań?

Scalviati głęboko wciągnął powietrze.

– Mówienie o nalocie wydaje mi się dużą przesadą. Ta inicjatywa miała na celu uzyskanie informacji, to w żadnym razie nie była operacja na dużą skalę.

– Jeśli Salvatore Canu jest podejrzany w sprawie potwora, to sprawa zasługuje na przynajmniej formalną notę, jeśli nie na konferencję prasową. A mam wrażenie, że to są próby zatuszowania tych informacji.

– Niech pani nie będzie śmieszna. W każdym razie Canu nie jest formalnie wpisany na listę podejrzanych.

– Więc nie stanowi dla pana problemu, że jutro rano wyjdzie mój artykuł dotyczący interwencji sił specjalnych w Caligoli i wypadku samochodowego w niedzielę w nocy, w którym dziwnym zbiegiem okoliczności zginął Efisio, brat Salvatora, podczas gdy po tamtym wszelki ślad zaginął?

– Jest pani dobrze poinformowana.

– Odrobiłam pracę domową.

– Sądzę, że w takim razie niewiele mogę powiedzieć, żeby panią od tego odwieść – stwierdził Scalviati ze stoickim spokojem.

Leda zmierzyła wzrokiem rozmówcę.

– Może coś by pan mógł.

– Słucham pani.

– Proszę mi udzielić wywiadu. Jedyne warunki są takie, że będzie pan musiał wytłumaczyć powody, które przywiodły pana do przeprowadzenia czwartkowej operacji. Poza tym będzie pan mógł powiedzieć, co się dzieje w śledztwie i przedstawić swój punkt widzenia. Jeśli pan odmówi, nie będę miała innego wyboru niż zaproponować czytelnikom mój własny.

Dla Scalviatego propozycja była całkowicie nieoczekiwana. Wytrwałość De Almeidy nie przestawała go zdumiewać i gdyby to była partia szachów, to musiałby przyznać, że reporterka poważnie przełamała jego obronę.

– No niech będzie – mruknął.

Koniec końców była to świetna okazja, by rzucić Zenitowi mocny i jasny komunikat, stwierdzając, że prokuratura nie ulega jego próbom zastraszenia. I kto wie, czy rzucenie w gazetce nazwiskiem Salvatore Canu nie wyciągnie go na światło dzienne.

Cień uśmiechu przemknął przez twarz Ledy. Kilkoma szybkimi ruchami poprawiła wiązanie włosów na karku i usiadła naprzeciwko prokuratora. Potem wyciągnęła z torebki dyktafon i położyła go na blacie.

– Ale pod jednym warunkiem – dodał Scaviati.

– No słucham.

– Po wywiadzie powie mi pani nazwisko swojej informatorki.

Leda chwyciła czystą kasetę i zważyła ją w dłoni.

– Zrobię coś lepszego. Podam panu znaczenie kodu, który dał pan do druku w niedzielnej gazetce.

Tej nocy Scalviati przewracał się w łóżku z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Zenit był tak bezwstydnym, że opublikował w gazecie odpowiedź – choć zaszyfrowaną – na pytanie, które ścigający go śledczy mieli sobie zadawać przez lata.

Kiedy zdejmował marynarkę, miał wrażenie, że ściąga kolczugę. Kiedy mył zęby, widział odbicie kogoś, kto patrzył na niego z lustra. Obraz ulotny, o rozmytych konturach.

Nieuchwytny.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo śledztwo w sprawie zbrodni potwora wciągnęło go w wir ciemności, który wydawał się nie mieć końca. Wieczna noc przywołana przez Zenita w liście, w którym rzucał mu otwarte wyzwanie, na stromym, pełnym zasadzek terenie. Na terytorium koszmarów, w świątyni fobii i obsesji, z drzewami z kości i potokami krwi, zdominowanym przez zwyrodniały umysł, który który pragnął nagiąć do swojej woli cały świat.

Od kiedy De Almeida wręczyła mu rozwiązanie kodu, Scalviati nie przestawał myśleć, że prawda była na wyciągnięcie ręki od początku, od kiedy zaczął myśleć o *modus operandi* mordercy.

Ta fiksacja na punkcie trójkątów miała bardzo konkretne źródło, a w Turynie znajdował się jeden z jej punktów kardynalnych. To było miejsce zaplanowane jeszcze kiedy Zenit znajdował się w San Francisco i zaczął realizować swoje mordercze postanowienia.

Greta pogłaskała go po ramieniu.

– Nie możesz zasnąć? – spytała półgłosem.

Nic jej jeszcze nie powiedział o liście mordercy, ani o tajemniczym ścigającym w ciemnym samochodzie.

Nie był nawet pewny, dlaczego to przemilczał. Czy chodziło o to, żeby jej nie martwić, czy o potrzebę kilku godzin wytchnienia, zwyczajnej codzienności w domowym zaciszu. Jednak takie postanowienie minęło się z celem, bo myśli i tak prowadziły go wciąż do miejsc zbrodni, na korytarze prokuratury, a wreszcie między wersy tamtego listu, nim jeszcze zatarło się wrażenie, jakie wywoływało dotknięcie koperty, w której znajdował się fragment ludzkiego ciała.

Obiecał sobie, że jutro porozmawia z nią o wszystkim z samego rana, aby nie dowiedziała się o tym z gazety.

Zanim opuścił biuro, poinformował Bevilacque o wydarzeniach ostatnich dni. Wbrew jego oczekiwaniom prokurator okręgowy okazał się nastawiony ugodowo, przyznając, że coś trzeba było powiedzieć prasie, zważywszy na napięcie panujące w mieście. Wydawało się nawet, że odetchnął na wieść o zaginięciu Canu, bo gdyby nie to, po zajściu w Caligoli cała prokuratura mogła stracić twarz.

– Mam trochę zmartwień w pracy – odpowiedział tylko. – A ty jak się wytłumaczysz?

Greta zrobiła lekki grymas.

– Mam kiepskie krążenie. Czuję się, jakbym miała powpinane pinezki pod skórą.

– Mogę ci zrobić masaż stóp. Masz ochotę?

– O tej godzinie?

Scalviati wyszedł spod kołdry i usiadł obok niej.

– To jeden z obowiązków dobrego męża, nie?

– No skoro tak twierdzisz...

Trzymając w dłoni piętę, zaczął lekko naciskać palcami na kostki i grzbiet stopy, lekko przesuując je ku podeszwie.

– Lepiej?

Zamiast odpowiedzi Greta zamruczała aprobująco.

On kontynuował w ciszy, zmieniając stopniowo miejsca nacisku.



– Tysiąc lirów za twoje myśli.

Scalviati posłał jej długie spojrzenie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– To takie przerażające?

– Wręcz przeciwnie. Myślałem po prostu, jak bardzo mi brakuje takich momentów, kiedy jesteś tylko ty i ja i wydaje się, że całe zło świata jest od nas odgródzone murami domu. I jak bardzo nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Greta wyglądała, jakby chciała odpowiedzieć, ale nic nie powiedziała.

– Mam takie szczęście, że ciebie mam – ciągnął. – Jesteś taką cudowną kobietą, nigdy nie zapominaj, jak bardzo cię kocham.

– Teraz naprawdę zaczynam się martwić.

– Nie ma powodu. Wszystko się ułoży. Proszę cię tylko o małą przysługę.

– Mów.

– Gdyby przypadkiem znów pojawił się przed domem ten policjant, od razu do mnie zadzwoń.

Ledwie Isaak Stoner położył na stole talerz z jajecznicą i bekonem, zobaczył, jak młodszy prokurator Francesco Scalviati wchodzi do sali śniadaniowej.

– Nie spodziewałem się, że tak szybko pana zobaczę – powiedział, kiedy tamten stanął naprzeciwko niego. – Jakież nowości?

– Czytał pan gazety?

– Szczerze mówiąc, dopiero wyszedłem z pokoju.

Scalviati wręczył mu egzemplarz gazety „La Stampa”.

– Jest też mała wzmianka o panu. Oczywiście nie z nazwiska, tylko jako o amerykańskim konsultancie z FBI zaangażowanym przez prokuraturę do nakreślenia profilu mordercy.

Stoner przebiegł oczami pierwszą stronę, na której krzyczał wydrukowany wersalikami tytuł: WE MNIE NOC NIGDY SIĘ NIE KOŃCZY. Zdjęcie ilustrujące artykuł przedstawiało list Zenita. Obok zamieszczono pierwsze zdania z wywiadu udzielonego przez prokuratora De Almeidzie, którego ciąg dalszy znajdował się na trzeciej stronie.

– Nie przypuszczałem, że ma pan parcie na szkło.

– Nie zrobiłem tego bynajmniej z próżności. Zenit rzucił wyzwanie. To jest moja odpowiedź.

– Proszę uważać, Scalviati. To niebezpieczna gra, której reguł tak naprawdę nikt z nas nie zna.

– Cóż, zamierzam ustalić je na nowo, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie będę czekał, aż on zrobi pierwszy ruch. Będę kontratakował, używając wszystkiego, co mam do dyspozycji. Zenit określa się jako myśliwy. Ja chcę, by poczuł się obiektem obławy. Chcę, żeby wiedział, że nie dam mu spokoju, dopóki go nie dopadnę.

– Ale uwaga mediów tylko pobudza jego narcyzm. Już to widziałem i nie kończyło się to dobrze.

– Naprawdę myśli pan, że jest sposób na to, by gazety o nim nie pisały?

– Na pewno nie. Ale martwi mnie, że piszą o *panu*.

– Dziękuję za troskę, ale ja się nie boję.

– To dobrze. Ale powie mi pan, z czym pan przyszedł? Wątpię, że chodziło tylko o to, by powiedzieć mi, co w gazetach.

– Faktycznie nie. – Scalviati usiadł przy stoliku i zachęcił rozmówcę, by zrobił to samo. – Są postępy w sprawie kodu.

– Jakie postępy?

W odpowiedzi Scalviati otworzył terminarz, wyciągnął z niego kartkę złożoną na czworo i dał ją Stonerowi.

Kiedy tamten ją rozłożył, wpatrywał się w nią uważnie przez chwilę. Potem wytrzeszczył oczy. – *Holy shit!*

– Może się to wydawać absurdalne, ale rozwiązaniem zagadki jest trójkąt – skomentował Scalviati. – Trzy punkty na powierzchni ziemi wyrażone we współrzędnych geograficznych, które odpowiadają...

– San Francisco, Turynowi i Londynowi – przerwał tamten.

– Ezoteryczny trójkąt zła – skonkludował Scalviati.

– Gratulacje, De Almeida – powiedział triumfalnie Enrico Loi. – Chociaż podwoiliśmy nakład, prawdopodobnie wczesnym popołudniem nie będzie już można dostać gazety w kiosku.

– Dzięki – odparła. – To także twoja zasługa.

W redakcyjnej kuchni rozległ się gwizd czajnika. Loi zgasił płomień i włożywszy do kubka torebkę herbaty, zaczął zalewać ją wrzątkiem.

– Dałem ci tylko przynętę, ale zrobiłaś z niej najlepszy możliwy użytek. Nie tylko rozbroiłaś sędziego Scalviatego, znanego z niechęci do podawania czegokolwiek do wiadomości publicznej, ale udało ci się nawet nakłonić go do udzielenia wywiadu. Mogę wiedzieć, jak tego dokonałaś?

– Szczerze? Miałam wrażenie, że tylko czekał na sposób, by jakoś odpowiedzieć na list potwora. A ja tylko dałam mu taką możliwość.

– No właśnie, list. Cholernie złowieszczy...

– Nie wiem, jak ja bym zareagowała na jego miejscu. – Leda nie przestała rozpamiętywać dziwnych telefonów, które otrzymała w poprzednich dniach. Fakt, że potwór nawiązał kontakt z prokuraturą, kazał jej zobaczyć je w nowym kontekście.

Czy to możliwe, że chodziło właśnie o *niego*?

Czy to możliwe, że morderca z bliska przygląda się rozwojowi jego poszukiwań, by nie pozwolić, by zbyt blisko zbliżył się do prawdy? Sama myśl mroziła jej krew w żyłach. Ale jeśli była taka możliwość, to musiała jak najszybciej zadzwonić do Giulii i powiedzieć jej, że jest w niebezpieczeństwie.

Loi chwycił nóż i wyciągnąwszy z lodówki cytrynę, przekroił ją i włożył plasterki do kubka, wreszcie zamieszał herbatę ostrzem.

– A co powiesz o wzmiance o łamigłówkach? To jasne, że ma na myśli kod, który opublikowaliśmy w niedzielę.

– Wygląda na to, że potwór też czyta „La Stampę”.

– I rozpoznał ten kod. Zaczynam przypuszczać, że to on jest autorem.

– To możliwe – przyznała Leda. – Ale skąd wziął go Scalviati? Nie wspominał o żadnych innych listach od potwora. Nawet nie chciał mi wytłumaczyć, o co w tym chodzi. Ale zastanawia mnie to, że rozwiązaniem są współrzędne trzech miast, o których związku wspominają stare opowieści.

– Jakie opowieści?

– Nigdy nie słyszałeś o trójkącie zła?

Loi zmarszczył brwi.

– Coś mi to mówi, ale nigdy nie zgłębiałem tematu.

– To legenda, która była bardzo rozpowszechniona na początku wieku, kiedy jasnowidz Gustavo Rol był u szczytów popularności, ale korzeniami sięga XIX wieku, czasów zjednoczenia Włoch. Rozpętano wtedy wielką kampanię mającą dyskredytować Kurię Rzymską, która sprzeciwiała się zjednoczeniu. Dwór sabaudzki musiał więc zacząć tolerować – czasem nawet promować – mnożenie się łóż masońskich i stowarzyszeń ezoterycznych, zgodnie z hasłem wolności myśli, a przede wszystkim w opozycji do mentalności klerykalnej. Okultyzm i spirytyzm stały się bardzo modne wśród turyńskiej szlachty, do tego stopnia, że zostawiło to ślady w architekturze, w pomnikach, nawet na grobach niektórych wybitnych osobistości tamtej epoki. W ten sposób rozeszła się wieść, że Turyn leży na wierzchołku dwóch ezoterycznych trójkątów: trójkąt białej magii łączył go z Lyonem i Pragę, a trójkąt czarnej magii – z Londynem i San Francisco.

– A skąd ty o tym wszystkim wiesz?

Leda wzruszyła ramionami.

– Na studiach pisałam pracę zaliczeniową o Rolu.

– Nie mów mi, że się z nim spotkałaś.

– Wysłałam do niego list, na który bardzo grzecznie odpowiedział. Dołączył kilka wycinków z gazety, które bardzo mi się przydały.

Loi pociągnął łyk herbaty.

– A więc morderca jest wyznawcą ezoteryzmu?

– Wydaje mi się to oczywiste. Na przykład sygnalizuje to fakt, że zabija zawsze przy pełni księżyca.

– Nie rozumiem.

– W rytuałach pełnia księżyca jest potężnym katalizatorem.

– O tym też pisałaś pracę?

– To po prostu mądrość ludowa. Moja babcia na przykład łądowała światłem pełni swój pierścień z granatem.

– Twoja babcia była czarownicą?

– Zdejmowała uroki. I była znachorką. Pochodziła z małej wioski w głębokim Piemontie, gdzie wciąż były żywe zwyczaje, o których potem zapomniano. Kiedy poczuła, że jej życie się kończy, próbowała przekazać swój dar matce, zgodnie z tradycją, ale matka nie chciała go przyjąć. Babcia była osobą, z którą przeprowadziłam pierwszy wywiad w mojej karierze, wiesz? Zależało mi, żeby został jakiś ślad jej wiekowej wiedzy, żeby to nie zniknęło, kiedy przyjdą nowe pokolenia.

– Ojciec fotoreporter, matka rewolucjonistka i babcia znachorka. No naprawdę specyficzna rodzinka.

– Potraktuję to jako komplement.

– To jest komplement – uśmiechnął się Loi. – No i wreszcie mamy jakieś nazwisko podejrzanego.

– Wątpię, żeby Salvatore Canu był killerem.

– Ale nie można go znaleźć.

– Może tylko ukrywa się u prawdziwego potwora.

– A co powiesz o tym agencie FBI, o którym mówił Scalviati? Konsultant w śledztwie...

– Po raz pierwszy o tym słyszę, ale sędzę, że wiem, jak nawiązał kontakt z prokuraturą. Pogrzebałam w archiwum gazety i zobaczyłam, że zeszłej wiosny Luigi Di Cara brał udział w seminarium w siedzibie FBI w Quantico w Wirginii.

– No dobrze, ale co obchodzi Amerykanów jakieś morderstwo u nas?

– Zaszyfrowany kod. Musi być jakiś związek między tym, co dzieje się tutaj, a czymś, co stało się w Londynie i w San Francisco. Może ten kod pochodzi właśnie z San Francisco. To by wyjaśniało obecność agenta federalnego w Turynie.

Leda wyszła w kuchni, dając Loi znak, by szedł za nią. Gdy doszła do biurka, wzięła egzemplarz niedzielnej gazety i pokazała na kodzie jeden z symboli astrolabium.

– Według Ciro Varriale to symbolizuje północ. Im dłużej się temu przyglądam, tym bardziej znajome mi się to wydaje.

Loi patrzył na nią przez chwilę, potem uderzył się ręką w czoło.

– Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć! Ten symbol to podpis Zenita, jednego z najokrutniejszych seryjnych morderców w amerykańskiej historii. Mniej więcej piętnaście lat temu, kiedy byłem zwykłym redaktorem, gazeta opublikowała reportaż o tych zbrodniach. Morderca nie został złapany. A przerażające jest to, że komunikował się ze śledczymi przez jakiś zaszyfrowany kod.

Scalviati opowiedział Stonerowi tę starą historię, która krążyła w Turynie, kiedy był mały. Niewiele więcej niż miejska legenda, która otaczała miasto tajemniczą aurą w oczach ludzi obdarzonych bogatą wyobraźnią, a która teraz nabierała przerażającego znaczenia.

Dwa ezoteryczne trójkąty, jeden dotyczący białej, drugi czarnej magii. I morderstw potwora.

– Rozwiązanie kodu wydaje się prowadzić do jednej konkluzji: potwór, zanim przyjechał do Turynu, musiał ukrywać się w Londynie.

– Gdzie najprawdopodobniej także zabijał bez przeszkód – odparł Stoner. – Coraz bardziej szlifując swoją zdolność do uchylania się przed próbami schwytania go.

– Londyn, trzecie miasto tak zwanego ezoterycznego trójkąta zła. Zła, które nasz obiekt chce chyba wywołać swoimi morderstwami.

Stoner potrząsnął głową.

– Zawsze myślałem, że Zenit jest nietypowym seryjnym mordercą, który zabija nie tylko pod wpływem kompulsji, ale także kierowany jakimś mrocznym motywem. Teraz jest oczywiste, że za jego przestępczą działalnością stoi szeroko zakrojony projekt.

– Morderczy projekt, który wypełni się właśnie tu, w Turynie, jeśli nie zdołamy go zatrzymać.

– Wreszcie rozumiem powód, dla którego chciał się podpisywać symbolem astrolabium...

Scalviati przytaknął skinieniem.

– Narzędzie do nawigacji, które podkreśla jego naturę podróżnika.

– Ślad po Zenicie przepadł między 1973 a 1986 rokiem – powiedział Stoner. – Musimy się dowiedzieć, czy w tym okresie w Londynie miały



miejsce przestępstwa, które moglibyśmy z nim powiązać.

– Właśnie po to tu jestem. Już nawiązałem kontakt ze Scotland Yardem, prosząc ich o współpracę. Może nasza relacja nie zaczęła się najlepiej, agencie Stoner. Ale chciałbym, żeby był pan moimi oczami i uszami w terenie. Jeśli nie ma pan innych planów, chciałbym dla pana zarezerwować pierwszy możliwy lot do Londynu.

– Halo? – po drugiej stronie linii głos odezwał się po długim sygnale oczekiwania.

– Giulia, to ja, Leda.

– Leda?

– Anna – sprecyzowała, przypominając sobie imię, którym przedstawiła się przyjaciółce.

Usłyszała odpowiedź po dłuższej chwili:

– Czego chcesz?

– Wiem, że obiecałam już więcej cię nie szukać – odpowiedziała z troską.

– Ale nie miałam innego wyboru, musiałam zadzwonić. Teraz nie mogę ci wszystkiego wyjaśnić, ale myślę, że jesteś w niebezpieczeństwie.

Kolejna pauza.

– Co masz na myśli?

– Aptekarz nie żyje. Zainscenizowali samobójstwo, ale jestem pewna, że to był potwór. I to nie jedyny przypadek. W niedzielę w nocy była inna podejrzana śmierć.

Z głośnika słuchawki słychać było tylko miarowe dyszenie Giulii. Która nic nie mówiła.

– Dostawałam anonimowe telefony – ciągnęła Leda. – Ktoś próbował mnie zastraszyć, może za bardzo zbliżyłam się do prawdy. Za pierwszym razem to się zdarzyło, kiedy przyszedłam do ciebie do domu. Myślę, że cię obserwowali, i boję się, że coś może się stać tobie albo małej Carlotcie.

– Nie wiem, Leda... Ja... już nic nie wiem... – słowa zawisły w ciszy, która po nich nastąpiła.

– U ciebie też tak było, prawda? – dopytywała Leda.

– Tak. – Niewiele więcej niż westchnienie. – Dziś rano też.

– Wiem, że to pewnie dziwne pytanie, ale widziałaś może policjanta kręcącego się koło twojego domu bez widocznego powodu?

– Skąd wiesz? – Głos Giulii zdradzał jakiś lęk. – On jest... tutaj. Pod moim domem. Teraz.

Leda opanowała uczucie paniki. Miała wrażenie, że szamocze się w sieci, która zacieśnia się przy każdej próbie ucieczki.

– Słuchaj mnie uważnie – powiedziała. – Dzwon na 113 i zabarykaduj się w domu. Pamiętaj, nikomu nie otwieraj. Pod żadnym pozorem. Załóż wygodne buty, wsadź coś w walizkę i przygotuj rzeczy dla Carlotty. Bądźcie gotowe. Wsiadam w samochód i jadę po was.

Kiedy Scalviati wyszedł z Principi di Piemonte, miał wrażenie, że dostrzega znajomą twarz w radiowozie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Zbliżył się szybkim krokiem i zapukał w szybę.

– Loiacono, mogę wiedzieć, co pan tu robi?

Młody aspirant o mało nie podskoczył.

– Prokuratorze, dzień dobry! Właśnie... czekam na kolegę, na tej zmianie mamy patrol.

Scalviati rozejrzał się przez chwilę, potem spojrział na niego badawczo.

– Jest pan pewien? A może przypadkiem mnie pan ochrania?

– Ja? Skądże... nigdy bym sobie na to nie pozwolił!

– A ja myślę, że inspektor Costanza kazał panu mieć mnie na oku. Mam rację?

Loiacono słabo westchnął.

– Proszę się nie gniewać... Po prostu się martwi o pana bezpieczeństwo.

– To proszę mu powiedzieć, że nie ma takiej potrzeby. Do widzenia! – I ruszył chodnikiem.

Loiacono szybko pokręcił wajchą i otworzył szybę, wychylając się przez okno.

– Proszę poczekać!

– O co jeszcze chodzi?

– Skoro już tu jestem. Może podrzucić pana do prokuratury?

Tak naprawdę Scalviati wolałby wrócić piechotą, w końcu był to tylko kilometr z okładem. Chodzenie pomagało mu myśleć, a miał sporo do przemyślenia.

Już miał odmówić, kiedy Loiacono dodał, że chce mu powiedzieć coś ważnego. Uległ więc jego naleganiom i wsiadł do radiowozu.

– No więc? Co takiego?

Loiacono odchrząknął.

– Inspektor Costanza wspominał panu o tym małym zajściu wczoraj na komendzie?

– Wszystko mi wyjaśnił, proszę się nie przejmować. – Scalviati wyciągnął dłoń do przodu. – To co, jedziemy?

Loiacono zignorował ten gest, jakby szedł tokiem rozumowania, który zaraz mógł mu umknąć.

– Musiałby pan go zobaczyć. Niezbyt wysoki, poruszał się dość niezgrabnie, jego spojrzenie wyrażało wszystko oprócz zbrodniczych zamiarów.

– Dobrze. Nie musi się pan przede mną usprawiedliwiać.

– Nie o to chodzi – odparł tamten. – Oczywiście bardzo mi przykro, że się zagapiłem. Wie pan, ten człowiek powiedział mi swoje nazwisko, ale z jakiegoś powodu od razu je zapomniałem. Moja żona twierdzi, że to jakaś choroba, że cierpią na to nawet znani ludzie. To znaczy problem z zapamiętywaniem nazwisk.

– Oczywiście, jasne.

Loiacono przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył. Gdy dojechali do skrzyżowania, spojrzał na prokuratora.

– Wie pan, dzisiaj w nocy nie mogłem zasnąć.

– Też mam ten problem.

– Ciągle tylko myślałem o tym nazwisku. Jedyne, czego byłem pewien, to że zaczynało się na M, a poza tym miałem jakby zamgloną pamięć.

– Proszę się nie martwić, takie rzeczy się zdarzają – westchnął Scalviati.

Chytry uśmieszek pojawił się na twarzy Loiacono.

– Mówi się, że iluminacje nadchodzą, kiedy człowiek najmniej się ich spodziewa. Tak jak u tego greckiego wynalazcy, jak on się nazywał...

Pitagorasa, kiedy wachał kwiaty i zawołał: „Eureka!”.

– Mówi pan o Archimedesie?

– No właśnie!

– W każdym razie się kąpał, a nie wachał kwiaty, i odkrył wtedy wypór hydrostatyczny.

– Kwiaty, kąpiel, co za różnica. Chodzi o to, że mnie przydarzyło się to samo, kiedy czekałem, aż wyjdzie pan z hotelu. Coś zatrybiło, kiedy patrzyłem na szyld. Principi di Piemonte. W kółko to czytałem. Jakby coś mimowolnie mi się z tym kojarzyło. Jak mówił Totò w tym starym filmie, „panem trzeba się urodzić”. Pewnie chodziło o tytuł szlachecki, więc zacząłem wyliczać: książę, diuk, markiz – i w końcu to nazwisko wpadło mi do głowy. Giorgio Marchesini, właśnie tak się nazywał ten gość, który przyszedł się przyznać.

Scalviati patrzył na niego poblady. Przez jakiś czas nie był w stanie odpowiedzieć.

– Jest pan pewien? – spytał.

– Tak, dlaczego?

– Niech pan szybko zawraca! Proszę mnie zawieźć na komendę, muszę zaraz pomówić z inspektorem Costanzą.

Wysiadając z samochodu, Leda rozejrzała się wokół jak w gorączce. Nie było śladu złowrogiego policjanta, którego spotkała u Capaldiego, w okolicy nie zobaczyła żadnego radiowozu. Nie to zresztą, żeby spodziewała się natychmiastowej reakcji sił porządku. Jeśli w ogóle Giulia rzeczywiście zadzwoniła po pomoc.

Przeszła obok niebieskiego mercedesa zaparkowanego na skos z rzucającym się w oczy wgnieceniem na błotniku. Pewnym krokiem ruszyła do bramy bloku, w którym mieszkała Giulia.

Nacisnęła kilka razy dzwonek domofonu.

Bezskutecznie czekała przez dłuższą chwilę, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– No chodź! – ponaglała w myślach.

Żadnej odpowiedzi.

Zadzwoniła jeszcze raz, ale oczekiwanie na sygnał od przyjaciółki rujnowało jej nerwy.

Zniecierpliwiona zaczęła dzwonić na chybił-trafił do innych mieszkań, mając nadzieję, że ktoś odpowie.

Po kilku niekończących się sekundach z głośnika odezwał się głos starszej pani.

– Kto tam?

– Proszę otworzyć! Giulia może być w niebezpieczeństwie!

– Kto?

– Dziewczyna z drugiego piętra! Proszę otworzyć, nie ma czasu!

Usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki.

W odruchu beznadziei Leda natarła na bramę, ale ta podskoczyła tylko w zawiasach. Potem zrobiła krok w tył. Jej spojrzenie pomknęło ku oknu kuchni w mieszkaniu Giulii.

To był moment.

Wydawało jej się, że widzi w pomieszczeniu jakiś ruch. Jakiś niewyraźny cień, który zaciąga zasłony, a potem zaraz znika za ścianą.

– Giulia! – krzyknęła. – Otwórz! To ja, Leda!

Kilka osób przechodzących ulicą spojrzało na nią krytycznie, ale nie obchodziło jej, co o niej myśleli. Musiała mieć pewność, że jej przyjaciółka jest bezpieczna, że udało jej się zdążyć na czas.

– Giuliaaaa!

Dwoje dzieci, które grały w piłkę kawalek dalej na chodniku, zatrzymało się i zaczęło ją przedrzeźniać.

– Giulia! – pokrzykiwali.

Leda dalej wpatrywała się w okno kuchni, jakby spodziewała się, że zaraz pojawi się w nim dziewczyna. Ale tak się nie stało.

Z bloku obok dobiegł głos:

– Co pani tak wrzeszczy?

Zignorowała to, przemieszczając się wkoło i nie tracąc z oczu okien na drugim piętrze. Jej umysł był wzburzony, myśli krążyły wokół najgorszych scenariuszy. Myśl, że mogło stać się coś złego, wpędziła ją w panikę.

Potem nagle brama się otworzyła.

Na progu ukazała się Giulia w szlafroku i tenisówkach z Carlottą na ręku. Zaczęła biec w stronę Ledy, która na moment znieruchomiała, zawieszona między ulgą a niedowierzaniem.

– Jedźmy! – krzyknęła Giulia. – Jest w moim mieszkaniu!

Leda poprowadziła ją do swojego samochodu. Otworzyła gwałtownie drzwi i wsiadła. Giulia usiadła na miejscu pasażera, trzymając dziewczynkę na kolanach. Mała miała przestraszoną minę i cicho



popłakiwała. Leda włożyła kluczyk do stacyjki i włączyła silnik, rzucając dziewczynie długie spojrzenie.

– Ale jak...

– Wyszłam od razu po twoim telefonie. Schowałam się w pralni w suterenie. Słyszałam, jak otwiera się brama i spojrzałam. Widziałam go, Leda! To był ten policjant! Musiał wyważyć zamek, jestem pewna, że wszedł do mnie do domu!

Leda wrzuciła jedynekę i maksymalnie wcisnęła pedał gazu. Samochód ruszył z piskiem opon. Trzymając kierownicę, nie obejrzała się za siebie. Gdyby to zrobiła, zobaczyłaby go. Stojącego w oknie kuchni Giulii mężczyznę w mundurze, nieruchomego, wpatrującego się w ulicę i w jej oddalające się auto.

– Zidentyfikowaliśmy tajemniczego kochanka Moniki Ferretti, o którym mówiła jej siostra – oznajmił Scalviati.

– Markiza?

Przytaknął.

– Jestem pewien, że to ten mężczyzna, który wczoraj przyszedł na komendę.

Costanza zmarszczył brwi.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Markiz. Przewisko w sam raz dla kogoś, kto nazywa się Marchesini, nie uważa pan?

– Loiacono w końcu przypomniał sobie to nazwisko! To duża ulga, także dlatego, że dziś rano strasznie mnie męczył. Przepraszał mnie za każdym razem, kiedy mijalem go na korytarzu.

– Poprosił go pan, żeby mnie pilnował, żeby... się go pozbyć?

Costanza rozłożył ręce, jakby się poddawał.

– Skądże! Po prostu w takich czasach nigdy dość ostrożności.

– Proszę nie podejmować więcej takich inicjatyw – zgasił go Scalviati. – Rozumiem pana troskę, ale sam się o siebie zatroszczę. Czy to jasne?

– Jak słońce.

Prokurator skinął głową.

– Teraz spróbujmy znaleźć tego Marchesiniego. Jeśli naprawdę chce się przyznać, bardzo chętnie go wysłucham.

Ludwig wyszedł na próg sutereny.

– Leda? – Wykrzyknął, poprawiając jednym palcem okulary na nosie.

– Przepraszam, że tak ci się zwałam bez ostrzeżenia – powiedziała od furtki. – Ale to jakiś szalony dzień. Przeszkadzam?

– Skąd, po prostu jestem zaskoczony. Oczywiście miło zaskoczony. – Odchrząknął. – Chwileczkę, otworzę ci. – Nacisnął przycisk na ścianie i wyszedł na alejkę.

– Nie wiedziałam, że nosisz okulary – powiedziała Leda, idąc w jego kierunku.

– To była moja największa tajemnica. Przynajmniej do dziś.

– Pasują ci. Wyglądasz prawie jak poważny człowiek.

Wzruszył ramionami.

– Nie widziałem cię od zeszłego piątku. Jak idzie śledztwo?

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. – Rozpoznając dźwięki *Careless Memories* dochodzące ze środka, Leda spojrzała na niego przelotnie.

– Duran Duran? Serio?

– No wiesz, ten kawałek to perła new wav... – Ludwig przerwał w momencie, kiedy jego wzrok skrzyżował się ze wzrokiem dziewczyny w szlafroku z dzieckiem na ręku, która wyczekiwała na chodniku przed furtką. – One są... z tobą?

– Giulia, to Ludwig – powiedziała Leda, pokazując przyjaciółce, by podeszła. – Ludwig, Giulia. A to jest jej córka Carlotta.

– Miło was poznać – Ludwig uścisnął rękę Giulii. Niepewny, jak zwrócić się do Carlotty ruszył głową porozumiewawczo, co dziewczynka

odwzajemniła z dziarskim uśmiechem. – Wejdziecie?

– Dziękuję – powiedziała Leda, idąc za Ludwigiem do sutereny.

Giulia rozejrzała się wkoło, urzeczona wszystkimi urządzeniami i instrumentami stojącymi w pomieszczeniu.

– Jesteś muzykiem?

– To aż tak bardzo widać? – I patrząc na Ledę, dodał półgłosem: – Mogę wiedzieć, co się dzieje?

Ona wzięła go za rękę i poprowadziła go w kierunku schodów.

– Przyniesiemy Carlotcie coś do picia – powiedziała.

Giulia tylko skinęła głową.

Gdy znaleźli się w salonie, Ludwig skrzyżował ręce na piersi.

– Wyjaśnisz mi, dlaczego ta dziewczyna jest w szlafroku?

Westchnienie.

– Mówiłam ci, że to szalony dzień.

Konwój samochodów policyjnych pod przewodem giulietty inspektora Costanzy przejechał przez corso Francia z pełną prędkością, przemykając na sygnale pomiędzy stojącymi w korku samochodami, potem skręcił w lewo i wjechał do miasta Grugliasco. Po przejechaniu przez centrum i kilku zakrętach wjechali na przedmieścia, by wreszcie zatrzymać się przed eleganckim domkiem otoczonym zadbanym ogrodem.

Wystarczyło zajrzeć do książki telefonicznej, by znaleźć adres Giorgia Marchesiniego.

Jednak próby dodzwonienia się do niego spełzły na niczym. Sygnał oczekiwania wybrzmiewał w nieskończoność, ale nikt nie odbierał. Pięćdziesiąt dwa lata, kawaler, nienotowany. Według danych z Urzędu Stanu Cywilnego mieszkał sam w domu matki, która niedawno zmarła.

Scalviati wysiadł z samochodu Costanzy i skierował się do furtki, przed którą kręcił się patrol karabinierów, których wysłał przodem.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati – zwrócił się do jednego z funkcjonariuszy. – Coś wiemy?

Karabinier zaszalutował, a potem odpowiedział.

– Chyba nikogo nie ma w domu, prokuratorze. Ze środka nie dochodzą żadne odgłosy. Dzwoniliśmy wiele razy, ale nikt nie odpowiedział.

– Może właśnie w tym momencie wchodzi na komendę, żeby znów się przyznać – zarechotał Costanza.

– Nie ma co żartować – powiedział Scalviati. – Ten człowiek jest podejrzany o współudział w podwójnym morderstwie. Dopóki nie odzyskamy Salvatora Canu, tylko on może naprowadzić nas na ślad potwora.

– Ja bym powiedział, żeby wchodzić – zasugerował inspektor. – Ale to pan tu rządzi.

Scalviati przyjrzał się przez chwilę alejce. Białe kombi było zaparkowane przed garażem.

Z tego, czego się dowiedzieli, Marchesini był architektem w firmie geodezyjnej w Turynie. Prokurator zadzwonił do nich i dowiedział się, że tego dnia mężczyzna bez uprzedzenia nie pojawił się w pracy. To z pewnością nie był dobry znak.

– Wchodźcie – zarządził.

Jeden z policjantów zajął się wyważaniem furtki i już po paru chwilach kilku umundurowanych mężczyzn wbiegło w alejkę.

– Fornasier, ze mną – powiedział Costanza, idąc szybkim krokiem w stronę garażu.

Policjantka podniosła bramę, która ku ich zaskoczeniu nie była zamknięta na klucz. Wchodząc, oboje szybko rozejrzeli się po ścianach, na których wisiały narzędzia do majsterkowania. Potem zbliżyli się do drzwi w głębi.

Fornasier bezskutecznie próbowała je otworzyć.

– Ja się tym zajmę – powiedział Costanza. Chwycił metalowy młotek. Uderzył nim kilkakrotnie w zamek, rozluźniając go już po kilku razach. Dobrze wymierzony kopniak – i drzwi się otworzyły.

Fornasier wyciągnęła rewolwer i przekręciła magazynek, by nabój wszedł do lufy. Potem zrobiła krok za próg, zaglądając do maleńkiego korytarza.

– Wolne – szepnęła. Zrobiła krok naprzód, a za nią Costanza utrzymujący bezpieczny dystans.

Uchyliła szparę w drzwiach na końcu korytarza, opierając się plecami o ich skrzydło; ukazało się im wejście do pokoju dziennego. Szybko przebiegli wzrokiem pomieszczenie, wyczuleni na każdą oznakę czyjejś obecności. Ale nie było tam nikogo.

Umeblowane było funkcjonalnie, kanciaste meble były nieliczne i utrzymane w kolorystyce czerni i bieli: niskie plastikowe stoliki i kilka małych regałów, na których ustawiono książki i kasety wideo. Kanapa z czarnej skóry ustawiona była pod ścianą, nad nią wisiały wielkie grafiki w stylu pop art.

Obok telewizora ustawiono biurko z komputerem. W głębi pomieszczenia znajdowały się, strzeżone przez smukłą afrykańską statuetkę, schody prowadzące na piętro.

Od strony drzwi wejściowych dochodziły głosy pozostałych policjantów.

– Oszczędźmy chłopakom wyważania drzwi – powiedział Costanza.

Otworzył, wpuszczając policjantów do domu.

W tym czasie Fornasier przeszła do kuchni. Przez oszklone drzwi widać było podwórze na tyłach; przy szopie na narzędzia wznosił się wiąz, który niemal opierał na jej dachu swoje zwisające gałęzie.

Fornasier dostrzegła po prawej stronie jakiś szybki ruch, jakąś plamkę, która przecięła jej pole widzenia. Odwróciła się błyskawicznie, trzymając przed sobą broń i zobaczyła przed sobą pręgowanego kocura, który pojawił się na zmywarce.

– A skąd ty się wzięłeś?

Włożyła broń do kabury i wyciągnęła rękę do kota. Miał na szyi medalik z napisem „Mimi”.

– A więc jesteś dziewczyną.

W odpowiedzi kicia zamachała ogonem. Otworzyła szeroko pyszczek, ale wydobyło się z niego tylko długie miauknięcie. Skoczyła na podłogę i przez chwilę ocierała się o botki dziewczyny. Wreszcie miękkim krokiem ruszyła do pokoju.

– Wszystko dobrze? – spytał Costanza od progu.

Fornasier tylko skinęła głową.

Wrócili we dwoje do salonu, gdzie podszedł do nich Scalviati.

Loiacono zszedł ze schodów, mówiąc, że na górze też nikogo nie ma.

– Kolejny zaginiony – skomentował Costanza.

– Nie wiem – odpowiedział prokurator. – Zauważył pan, że wszystko jest w doskonałym porządku?

– Właśnie. Aż za bardzo.

– Czuje pan ten zapach?

– Płyn do podłóg.

– Ten dom właśnie wysprzątano na błysk.

– Może Marchesini nie chciał źle wypaść, skoro spodziewał się wizyty śledczych.

– Mhm... – mruknął Scalviati. Rozejrzał się wokół, dostrzegając kota w momencie, kiedy ten wychodził przez drzwi wejściowe.

– Niech ktoś się zajmie tym kotem – powiedział Costanza. – Właśnie zgubiliśmy podejrzanego, spróbujemy nie zgubić także jego zwierzaka.

– Zajmę się tym – odparła Fornasier, wychodząc za kotką.

Scalviati wszedł do kuchni i otworzył drzwi pod zlewem. W szafce równo ustawiono różne środki czystości, obok stał kosz na śmieci.

Podniósł pokrywkę – kosz był pusty. Nie było nawet worka.

W tym domu było coś dziwnego. Jakby porządek i czystość miały pokryć ślady czegoś, co się tu wydarzyło. Czegoś strasznego.

Hałas dochodzący z podwórza wyrwał go z zamyślenia.

Przez przeszklone drzwi zobaczył, że kot chodzi pod szopą na narzędzia, kręcąc się w pobliżu drzwi. Kiedy Fornasier podeszła do zwierzątka, ono w kilku skokach znalazło się na dachu.

– Zajrzyjmy do tej szopy – powiedział Scalviati, wychodząc na podwórze.

Fornasier skinęła głową. Ostrożnie otworzył drzwi.

Ale nie trzeba było wyszukiwać w tej niewielkiej przestrzeni wskazówek co do tego, co stało się właścicielowi.

Ciało Giorgio Marchesiniego wisiało nieruchomo, otoczone pudłami i narzędziami ogrodniczymi.



Wyglądał jak wsadzony do worka własnych ubrań, jego oczy były wytrzeszczone i nabiegłe krwią, twarz purpurowa, język wystawał w półotwartych ust. Sznur, który ścisnął jego szyję, był zaczepiony o kółko zamocowane do sufitu.

Miał na sobie tylko jeden but. Drugi leżał na podłodze, obok przewróconego stołka.

Fornasier westchnęła.

– Wygląda na to, że nasz zaginiony nie uciekł daleko.

– Rzeczywiście, okropna historia. – Ludwig musiał usiąść, by nie dać się ponieść emocjom wywołanym przez opowiadanie Ledy. – Myślisz, że ten policjant... to potwór?

Leda potaknęła.

– Capaldi dostarczał środki uspokajające dziewczynie, którą zamordowano. Może coś odkrył i dlatego go sprzątnęli.

– Dobrze, ale co to ma do Giulii?

– Sądzę, że wie więcej, niż myśli.

– Powiedz mi tylko, co mogę dla ciebie zrobić – powiedział Ludwig uroczyście. – To znaczy... dla was.

– Twoi rodzice ciągle są na rejsie?

– Powinni wrócić w niedzielę. Dlaczego pytasz?

– Myślisz, że możemy się tu zatrzymać, przynajmniej dopóki nie wrócą?

– Powiedziała to jednym tchem, jakby mogło to wystarczyć, by pokonać skrepowanie.

Kiedy wsadziła Giulie do samochodu, pojechała prosto do Ludwiga, nawet nie zatrzymując się w domu po ubrania na zmianę czy szczoteczkę do zębów. Nie uważała już go za bezpieczne miejsce.

– Możesz na mnie liczyć, wspólniczko.

Leda niespodziewanie ujęła w dłonie jego twarz i z impetem pocałowała go w usta.

– Dziękuję. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

– Daj spokój – bąknął, rumieniąc się.

Leda dalej patrzyła mu w oczy.

– Poważnie. Jesteś jedyną osobą, której w tym mieście naprawdę ufam.

Nastąpiła chwila ciszy, oboje pozostali w zawieszaniu, patrząc na siebie.

– N-nie wiem, co powiedzieć – odparł w końcu Ludwig.

– No cóż, w takim razie musimy ustalić, jak się rozlokujemy.

– Zrobmy tak. Jeśli nie masz nic przeciwko spaniu w suterenie, to ja mogę spać na kanapie. A dla twojej przyjaciółki i jej córeczki mogę przygotować pokój gościnny na górze. To nawet miłe, nikt nigdy go nie używa.

– Nie trzeba. Wolę, żeby zostały ze mną. Mamy sobie z Giulią mnóstwo do opowiedzenia.

– Nie ma problemu.

We dwoje ruszyli z powrotem do sutereny. W miarę jak się zbliżali, coraz głośniejsz rozbrzmiewały dochodzące zza drzwi dźwięki fortepianu.

Kiedy Ludwig otworzył drzwi, zobaczył Giulie siedzącą przy klawiaturze, wyprostowaną i ze skoncentrowaną miną, niczym uczennica, zajęta wykonaniem *Vivere una favola* Vasco Rossiego, podśpiewującą swoim zwyczajem tekst wymyślany najwyraźniej na gorąco.

Odwróciła się z uśmiechem malującym się na twarzy. Wyglądała wręcz spokojnie.

– Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

– No coś ty! Jak chcesz, dziś wieczorem możemy sobie zrobić *jam session*.

– Carolocie też chyba się podoba.

Siedząc na łóżku, dziewczynka wpatrywała się w matkę, poruszając głową w rytm muzyki.

Kiedy medycy wkładali ciało Marchesiniego do karetki, Scalviati zwrócił się do lekarza sądowego.

– Co pan o tym myśli?

– Sądzę, że będę mógł powiedzieć coś więcej po autopsji, ale ze stanu zwłok wnioskuję, że zgon nastąpił wczoraj, mniej więcej między ósmą wieczorem a północą.

Scalviati dał sobie chwilę na zastanowienie. Poprzedniego dnia Marchesini przyszedł na komendę, by się przyznać, chwilę po pierwszej, prawdopodobnie korzystając z przerwy obiadowej. Z tego, co mówiła sekretarka, wrócił potem punktualnie do pracy, skąd wyszedł około wpół do siódmej. Od tamtej pory nikt go już nie widział.

Rozejrzał się szybko. To była dość spokojna dzielnica mieszkaniowa, zabudowana domkami jednorodzinnymi i kilkoma nowszymi szeregowcami, drogi były dobrze utrzymane, a dzieci mogły spędzać czas na publicznych placach zabaw.

W drzwiach stanęło kilkoro sąsiadów, zaciekawionych niecodzienną koncentracją służb. Mężczyzna w dresie do biegania rozmawiał z jednym z funkcjonariuszy, dopytując, co się stało.

Scalviati przypuszczał, że w takim miejscu sąsiedzi powinni być nieźle poinformowani o tym, co dzieje się u innych. To była typowa społeczność, w której plotki krążą szybko i wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Przeszedł na alejkę prowadzącą do wejścia, gdzie Costanza zgromadził swoich ludzi w oczekiwaniu na zakończenie prac techników zbierających odciski tak, by móc rozpocząć dokładne przeszukiwanie domu. Prokurator zażądał wyraźnie, by traktować to jako miejsce morderstwa i sprowadzić natychmiast ekipę Di Cary.

– Chciałbym, żeby ktoś z pana ludzi przeszedł się zebrać świadectwa sąsiadów – powiedział do inspektora. – Może ktoś widział, czy Marchesini miał gości albo czy wokół domu był jakiś podejrzany ruch.

– Oczywiście. – Costanza wezwał Fornasier i kazał jej przepytac sąsiadujących mieszkańców.

Kiedy mieli już wracać do prokuratury, Scalviati poprosił o podwiezienie aspiranta Loiacono.

Patrząc na uciekającą drogę, zastanawiał się nad rolą, którą Giorgio Marchesini miał odegrać w morderstwach Moniki Ferretti i Paola Ginestry.

Nie wiedział zbyt wiele o zwyczajach Marchesiniego. Ale jednego był pewien. W przeciwieństwie do Salvatora Canu nie był on kryminalistą, tylko człowiekiem prowadzącym zwyczajne życie, szanowanym i mającym dobrą pracę. Co wciągnęło go we współudział w tak barbarzyńskim podwójnym morderstwie?

Odpowiedź musiała się kryć w jego relacji z Monicą Ferretti. W relacji chorej miłości, która zaczęła wyglądać na obsesję i wreszcie pchnęła go do przekroczenia mglistej granicy między wolą posiadania a pragnieniem śmierci.

Mógł sobie wyobrazić, jak to przebiegło. Marchesini przyparł Monicę do muru, kazał jej przestać się spotykać z drugim kochankiem. Ona odmówiła. Ich relacja się pogorszyła. Umysł Marchesiniego coraz mocniej dryfował, wreszcie dojrzało w nim niewyrażalne pragnienie zabicia jej z zazdrości.

Zazdrości, która go pożerała, niszcząc od środka, zabierając mu sen, wprowadzając mrok w jego życie wewnętrzne. Dopóki przez system telematyczny nie spotkał *kogoś*, kto był w stanie skanalizować tę ciemność i zobrazować ją wreszcie w niesłychanym okrucieństwie. Prokurator był przekonany, że Marchesini był obecny w Pian del Lot w nocy 26 sierpnia.

To on musiał uratować małego Tito po dokonaniu zbrodni, zanosząc go w odruchu współczucia do domu pana Bergesio. Może nawet pożałował tego horroru, w którym miał swój udział.

Leda uznała za swój obowiązek zadzwonić do redakcji i uspokoić Enrica Loi. Przecież od kilku godzin nie było jej przy biurku. Wyszła w pośpiechu, nie tłumacząc się nikomu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak... mniej więcej.

Z drugiej strony usłyszała westchnienie.

– Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli masz w życiu jakiś problem, to możesz o tym ze mną porozmawiać. Jeśli potrzebujesz wsparcia, po prostu mnie poproś. Nie tylko jako redaktora prowadzącego, ale jako przyjaciela. Wiem, przez co przeszłaś, i zdaję sobie sprawę, że moja rola może przyprawiać o poczucie podporządkowania. Ale zapewniam cię, że jestem świetnym słuchaczem.

Nie musiał mówić tego otwarcie, było wiadomo, do czego pije. Bał się, że znów zaczęła brać.

Leda nie mogła zaprzeczyć, że w ostatnim czasie jej zachowanie w miejscu pracy bynajmniej nie było wzorowe.

Przychodziła w nieregularnych godzinach, zazwyczaj odpowiadała wymijająco, w swoich zachowaniach stosowała strategię uciezkową i często nie mówiła prawdy. Typowy zespół alarmujących oznak u narkomana-recydywisty.

Mimo wszystko udało jej się potraktować Loi z ironią.

– Podporządkowania? Enrico, jesteś łagodny jak baranek. Kiedy ci się zdarzyło przyprawić o poczucie podporządkowania kogoś z twoich pracowników?

– Dobrze wiesz, o czym mówię.

– Nie musisz się martwić. Naprawdę, dobrze się czuję. Przysięgam, że jak tylko skończy się ta historia, wszystko ci wytłumaczę. A jeśli wszystko pójdzie, tak jak powinno, to dam ci artykuł, który zaszokuje nawet naczelnego.

– Wiedziałem, że jesteś w śledztwie! Nawet przez chwilę nie sądziłem, że się wycofałaś.

– Właśnie. I dlatego proszę cię, żebyś miał trochę cierpliwości. Nie będzie mnie przez parę dni, ale będę się starała w miarę regularnie się z tobą kontaktować.

– W jakim sensie nie będzie cię przez parę dni?

– Muszę uporządkować parę spraw.

– Jesteś w niebezpieczeństwie?

Leda nie odpowiedziała.

– A Carlos? – dopytywał Loi.

– Na szczęście do rozpoczęcia roku szkolnego jest u ojca.

– Przepraszam, ale muszę o to zapytać. Na pewno wiesz, co robisz?

– Tak – odpowiedziała stanowczo. – Ktoś mnie śledzi, ale chwilowo sytuacja jest pod kontrolą.

– Ktoś?

– W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Skąd dzwonicz?

Chwila wahania.

– Nie mogę powiedzieć. To mogłoby ściągnąć niebezpieczeństwo także na ciebie.

– Do cholery, De Almeida! W co ty się wpakowałaś? Musisz zaraz zadzwonić na policję. Słyszałem, że znaleźli kolejnego trupa.

– Co? Kogo...

– Niejakiego Giorgio Marchesiniego. Z tego, co wiem, to jakieś podejrzone samobójstwo. Mówi się, że był zamieszany w morderstwo Moniki Ferretti i Paola Ginestry.

– Marchesiniego? – powtórzyła Leda. Potem jej uwagę odciągnął dźwięk czegoś, co rozbiło się na podłodze. Gwałtownie się odwróciła.

Giulia stała nieruchomo z drugiej strony pokoju, z ziemistą twarzą i szeroko otwartymi oczami. U jej stóp leżała rozbita szklanka, a sok pomarańczowy rozlewał się po podłodze. Lekko pokręciła głową, potem poszła do komórki, by chwycić za mop. Posprzątała, nie mówiąc ani słowa, w czasie gdy Leda kończyła rozmowę.

W końcu poszła w kierunku sutereny, znikając za drzwiami.



Scalviati wpatrywał się w pocisk w przeźroczystej koszulce, którą wręczył mu Di Cara. Był nienaruszony, z kulą powleczoną błyszczącą miedzią i literą H wybitą na dnie łuski.

– Gdzie to znaleźliście?

– W najzwyczajszym miejscu – odpowiedział Di Cara. – Był w szufladzie biurka pod komputerem. Jak pan widzi, to kaliber *.22 long rifle*.

– Taki sam, jakiego używał potwór. Nie było ich więcej?

– Przeczesał cały dom, ale żadnego więcej nie znaleźliśmy – wtrącił się Costanza. – Ani tym bardziej pasującej do nich broni. Zresztą z tego, co sprawdziliśmy, Marchesini nie miał pozwolenia na broń.

Spotkali się we trójkę w biurze szefa techników, żeby zaktualizować wiedzę o sytuacji. Zbliżała się siódma wieczorem i kawałek nieba widoczny z okna był zabarwiony odcieniami różu poprzedzającymi zachód słońca.

– Nie jest tak trudno dostać berettę 70, jeśli ktoś ma odpowiednie znajomości – powiedział Di Cara.

– To niemożliwe, żeby biały kołnierzyk taki jak on miał *odpowiednie* znajomości. To był typ człowieka, który myje samochód w niedzielę rano i w czasie wolnym dba o ogródek – powiedział Costanza. – Ale był to też człowiek, który miał swój sekret.

– Właśnie. – Scalviati odłożył na stół koszulkę z pociskiem. – Jeśli to naprawdę był Markiz, to znał kogoś, kto mógł mu dostarczyć dużo więcej niż pistolet: potwora.

– Zakładając, że sam nim nie był.

Di Cara potwierdził skinieniem.

– Poczucie winy za zabicie kochanki mogło go popchnąć do oddania się w ręce policji.

– Co do tego się zgadzamy – powiedział Scalviati. – Loiacono przytoczył dokładnie jego słowa: „już nie mogę znieść ciężaru mojej winy”. I wydaje mi się, że nie ma wątpliwości, że Marchesini był zamieszany w morderstwo Moniki Ferretti. Ale jesteśmy dalecy od przypisywania mu sześciu morderstw ze szczególnym okrucieństwem. Również to samobójstwo, tak jak w przypadku Capaldiego, jest bardzo wątpliwe.

Kiedy skończył mówić, w biurze zapadło milczenie. Di Cara wydawał się pełen wątpliwości, pogrążony w myślach.

– Zgadzam się częściowo – powiedział. – Jeśli ktoś by go zaatakował, w domu znaleźlibyśmy ślady walki. I może ślady włamania przy zamku drzwi wejściowych.

– Dom został wyczyszczony od góry do dołu na kilka godzin przed naszym przybyciem – uściślił Scalviati. – Może właśnie po to, żeby zatrzeć ślady walki. Nawet kosz na śmieci był pusty. Kto wie, czy jakieś bibeloty nie pobiły się w czasie szamotaniny między Marchesinim a agresorem. Ten pocisk mógł być pamiątką po nocy zbrodni, albo mógł tam zostać specjalnie umieszczony, by pokrzyżować śledztwo. Jeśli chodzi o brak śladów włamania, to oznacza to wyłącznie, że Marchesini znał swojego mordercę i prawdopodobnie otworzył mu drzwi.

– Uznaje pan za oczywistą obecność agresora, ale żaden z sąsiadów nic nie widział – wtrącił Costanza. – Ani gości, ani żadnych podejrzanych ruchów wokół domu.

– Uważam, że może przyszedł moment, żeby wziąć pod uwagę inne scenariusze – zawtórował mu Di Cara. – Wszyscy zgadzamy się, że w morderstwa zamieszanych jest więcej osób. Ale mówił pan o możliwym motywie ezoterycznym i, być może, jest to jakaś sekta ludzi planujących samobójstwo, jak w Jonestown w Gujanie. To się wydarzyło tylko dziesięć lat temu, to przecież nie średniowiecze. A jednak w sprzyjających okolicznościach jeden człowiek był w stanie przekonać setki osób do zażycia cyjanku i podania go własnym dzieciom.

– Sekta samobójców? – wypalił Scalviati. – Nie wiem nic o przekonaniach religijnych Marchesiniego, ale coś takiego jest najzupełniej odległe od

sposobu myślenia kogoś takiego jak Salvatore Canu. A wypadek, w którym stracił życie jego brat zupełnie nie przypomina samobójstwa.

Costanza odchrząknął.

– Proszę wybaczyć szczerze, prokuratorze, ale obawiam się, że Di Cara dotknął czułego punktu. Koncentrujemy się tylko na jednym punkcie widzenia, a żeby dojść do rozwiązania całej tej historii trzeba wziąć pod uwagę także inne hipotezy. Pomysły tego Amerykanina odciągają śledztwo od twardej analizy poszlak. Przeczytałem profil potwora, ale miałem wrażenie, że to wzięte z sufitu spekulacje. A na koniec liczą się tylko fakty.

– Fakty mówią same za siebie – stwierdził Scaviati, tracąc cierpliwość. – To prawda, że praca Stonera polega przede wszystkim na wypracowaniu teorii, nie na śledzeniu poszlak, ale nie ma wątpliwości, że on zna się na robocie. Właśnie w tej chwili leci do Londynu. Kazałem mu wywiedzieć się o przypadki morderstw popełnionych w Zjednoczonym Królestwie między 1973 a 1986, w poszukiwaniu zbrodni, które można by przypisać Zenitowi.

– Do Londynu? – powtórzył Costanza osłupiały.

– Rozszyfrowano ostatnią wiadomość Zenita do amerykańskiej gazety. To współrzędne geograficzne trzech miast: San Francisco, Londynu i Turynu. Zenit zniknął na piętnaście lat, więc możliwe, że mieszkał w Londynie, zanim dotarł do Turynu.

Inspektor potrząsnął głową.

– I dlaczego miałby opowiadać o tym w prasie?

– Lubi bawić się ze śledczymi. I zważywszy na to, jak się wszystko potoczyło, nie można powiedzieć, że mu się to nie udało.

– Do diabła z Zenitem. Zaczynam myśleć, że to tylko zasłona dymna.

Scaviati zmusił się, by zachować ugodowy wyraz twarzy. W przeciwieństwie do swoich współpracowników nie chciał brać pod uwagę możliwości, że aż dwie osoby związane ze śledztwem postanowiły odebrać sobie życie w odstępie kilku dni.

– A w jakim jesteśmy miejscu z poszukiwaniami Salvatora Canu?

Costanza lekko podniósł jedno ramię.

– Rozpuściłem wszystkich moich informatorów, ale w mieście nikt nie wie, gdzie zwiął. Jedyne, czego się dowiedziałem, to to, że zaginął też jeden z jego goryli, niejaki Battista Mura, ten, którego spotkałem w Caligoli.

– Człowiek nie może rozplynać się w powietrzu z dnia na dzień – powiedział Scaviati. – Tym bardziej po tym, jak był ranny w poważnym wypadku drogowym.

– Robimy wszystko, co możliwe...

– Nie wątpię w to, inspektorze, ale to, co stało się Marchesiniemu i Capaldiemu, jakkolwiek to nazwiemy, dowodzi, że nie można tracić czasu na dyskusje. Musimy działać. Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale musimy jak najszybciej znaleźć tego wszawego kryminalistę, żeby go ochronić.

– Właśnie. To wewnętrzna sprzeczność.

Prokurator myślał przez chwilę.

– Chcę listę nieruchomości w całym regionie, które można powiązać z klanem Canu. Ten człowiek nie miał czasu na zorganizowanie ucieczki. Musiał improwizować. Jestem pewien, że wśród nich będzie jego kryjówka.

– Zajmę się tym jutro rano, kiedy otworzy się Urząd Katastralny.

Może nie wszystko udało się tak, jak miał na to nadzieję – znacznie bardziej by wolał odnaleźć Marchesiniego żywego i móc go przesłuchać – ale wreszcie Scaviati miał dość jasne pojęcie o tym, jak wyglądała sieć współpracy zbudowana przez potwora.

– Myślę, że za morderstwami z 26 sierpnia stała zazdrość Marchesiniego o Monicę Ferretti – powiedział. – Dokładnie tak samo jak za morderstwem Alice Dallary i Roberta Lescaux stała afera narkotykowa. Potwór zachowuje się jak inkubator negatywnej energii, skupiając wokół siebie osoby, które mają motyw do morderstwa i które kierują go do potencjalnych ofiar. –

Otworzył terminarz i przekartkował go, szukając jakiejś notatki. Zatrzymał się na stronie, na której umieścił kilka refleksji na temat pierwszego podwójnego morderstwa. – Dlatego chciałbym wezwać Lorenzo

Colucciego, dawnego chłopaka Lindy Frasso, na kolejne przesłuchanie wobec rozwoju śledztwa.

– Tak jest – powiedział Costanza.

Scalviati odszukał spojrzenie Di Cary.

– Trzeba przeanalizować komputer Marchesiniego. Mogą tam być ślady systemu używanego do kontaktów z Zenitem.

– Zlecę to jednemu z moich techników.

– I potrzebujemy jego bilingów telefonicznych. Porównanie z bilingami Canu może nam wreszcie pozwolić na odszukanie telefonu BBS potwora. Żeby nie tracić więcej cennego czasu, należy oznaczyć ten wniosek jako pilny.

Di Cara potwierdził skinieniem.

– Znam jednego z dyrektorów w telekomunikacji, który może nam pomóc to przyspieszyć.

Gdy się żegnali, Scalviati zatrzymał się wpatrzony w zdjęcie zawieszone obok okna. Przyciągało go jak magnes, wzbudziło w nim wrażenie, że za wyraźnymi cieniami kryje się coś ważnego.

– A to? Jeszcze go tu nie widziałem.

– Uderzające, prawda? – odparł tamten. – Dostałem je od De Almeidy. Powiedziała, że zrobił je jej syn w noc morderstw. To absolutnie pierwsze świadectwo pojawienia się pajaków na moście Wiktora.

– Mówi pan tak, jakby pająki i morderstwo były powiązane.

Di Cara lekko się uśmiechnął.

– Jestem daleki od myślenia o czymś takim. Ale to zdjęcie tak mnie uderzyło, że chciałem je powiesić u siebie w biurze. Myślę, że pewnego dnia, kiedy pająki znikną i sytuacja wróci do normalności, nikt już nie będzie o tym pamiętał. A ja, jako naukowiec, uważam za swój obowiązek zachować pamięć o tym fenomenie, tyleż niecodziennym, co fascynującym.

– O czym myślisz? – zapytała Leda.

Giulia leżała obok, plecami do niej, przykryta kołdrą. Pomiędzy nimi skuliła się mała Carlotta, jedyna, która była w stanie zasnąć.

– Że boję się zasnąć – odpowiedziała dziewczyna nie odwracając się. – Codziennie to samo... Odkąd zamordowali Mimì jestem ciągle czujna. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś stało się mojemu dziecku.

– Tutaj jesteście bezpieczne.

Zapadła noc i miasto pogrążyło się w cichych objęciach mroku. Z zewnątrz sutereny dochodził co jakiś czas odgłos przejeżdżającego samochodu.

– Naprawdę tak uważasz?

Zamiast odpowiedzi Leda odpięła łańcuszek, który miała na szyi. Zdjęła pierścionek, który trzymała na nim jak wisiołek i dała go Giulii. – Weź to. Włóż sobie pod poduszkę.

Tamta obracała klejnocik w palcach przez kilka chwil, patrząc na kamień pośrodku. W słabym świetle lampki zyskiwał niezwykle głęboki odcień. – Jest piękny, ale... nie rozumiem.

– Kiedy byłam mała, czasami czułam się wieczorem szczególnie niespokojna, wtedy moja babcia dawała mi ten pierścionek, bym włożyła go pod poduszkę. Mówiła, że granat pomaga odegnać koszmary.

– I to naprawdę działało?

Leda wzruszyła ramionami.

– Według mnie tak. Albo po prostu jej głos mnie uspokajał, i fakt, że miałam obok siebie coś, co należało do niej. Moja matka nie była zbyt czuła. Teraz, po latach, trochę zmiękła, ale była dość sztywna, wszystko pod kontrolą. W rodzinie to ona jest tą surową, ojca też zawsze traktowała

z pobłażliwością, jak wiecznego nastolatka. Całkowite przeciwieństwo babci Jacinty, która była kochana i dla każdego miała dobre słowo.

– Bardzo ci jej brakuje?

– Tak. Szczególnie w okresie takim jak ten. Nie wiesz, ile bym dała za jej radę.

Giulia włożyła pierścionek Ledy pod poduszkę, potem ułożyła się w pozycji embrionalnej.

– Nie wiedziałam, że tak dobrze grasz na pianinie – powiedziała Leda.

– Potrafię złożyć parę akordów, tylko tyle. Kiedy mieszkałam jeszcze w miasteczku, miałam sąsiadkę nauczycielkę fortepianu. Codziennie po szkole słuchałam przez okno, jak gra. Raz, jak miałam ze trzynaście lat, moja matka wysłała mnie do niej z jakąś sprawą. Rozmawiała ze mną w jadalni, gdzie stał fortepian – do dziś pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie ten instrument, taki uroczysty. Byłam jak urzeczona. Luisa to zauważyła i złożyła mi propozycję. Wiedziała, że moich rodziców nie stać na lekcje fortepianu, ale ponieważ miała małe dziecko, powiedziała, że będzie mnie uczyła grać, jeśli czasem się nim zaopiekuję. I tak to trwało przez ponad rok.

– Według mnie zrobiłaś dobry interes.

– Nawet się przywiązałam do tego łobuziaka Leonarda. Miał wtedy trzy lata, dokładnie tyle, ile teraz Carlotta. Musiałam ciągle go pilnować, bo miał zwyczaj zakradać się do łazienki i wylewać pojemniki mydła w płynie. Za każdym razem byłam przerażona, że się zatruł.

– Może miał zadatki na chemika.

W półmroku pokoju przedmioty wydawały się unosić w jakimś nieokreślonym płynie. Cisza była zasłoną tak cienką, że może nawet myśli były w stanie się przez nią przebić.

– Przepraszam, że podsłuchiwałam twoją rozmowę – szepnęła Giulia. – Nie chciałam być niedyskretna.

– Nie przejmuj się.

– Kiedy usłyszałam to nazwisko, to był szok.

– Marchesini?

Giulia odwróciła się i pogłaskała Carlottę po głowie. Przez kilka sekund słuchała oddechu dziewczynki, upewniając się, czy naprawdę śpi.

– Pamiętasz tamten wieczór, kiedy wróciłam pobita? – spytała cicho.

– Jak mogłabym zapomnieć?

– To był on.

– Co za bydlę. – Leda musiała się wysilić, żeby nie podnieść głosu. – Był jednym z twoich klientów?

Potaknęła.

– Ten człowiek jest niebezpieczny.

– Był.

– On... nie żyje?

– Wygląda to na samobójstwo.

Tamta pokręciła głową.

– Giorgio nie był typem kogoś, kto odbiera sobie życie. Był skrytym przemocowcem. Miał chorą wyobraźnię, podniecało go poniżanie kobiet. Niestety przekonałam się o tym na własnej skórze, kiedy było już za późno. Wyszłam z nim dwa razy. Za pierwszym razem było w sumie normalnie, bez mocniejszych ciosów. Za drugim razem w trakcie kolacji był uprzejmy, wręcz szarmancki. Potem w sypialni jakby coś mu się przestawiło w głowie. Odwrócił mnie gwałtownie i zerwał ze mnie spódnicę. Przez chwilę byłam jak sparaliżowana, nie byłam w stanie zareagować. Objął mnie ramieniem za szyję i słyszałam, jak mocije się z paskiem od spodni. Nie wiem, jak znalazłam siłę, żeby się wywinąć z tego uścisku. Próbowałam uciec, ale on oszalał. Zaczął mnie bić słuchawką telefonu. Potem posypały się policzki, ciosy pięścią, kopniaki. Przez chwilę myślałam, że mnie zabije.

– Przykro mi...

– Wiem.

Przez chwilę obie leżały w ciszy, nic nie mówiąc. Potem Leda przerwała milczenie.



– Wiedziałaś, że spotykał się z Monicą?

– Tak. Giorgio miał jakąś fiksację na jej punkcie. Nawet nazwał swoją kotkę Mimì. Mówiła, że jest w stanie sobie z nim poradzić. Podobało jej się, jak o nią zabiegał, jakie drogie prezenty jej dawał. Była pewna, że potrafi wyciągnąć z niego tę lepszą stronę. Ale coś musiało pójść nie tak, bo na początku lata powiedziała mi, że ostatecznie z nim zerwała.

Spełnienie życzenia Scalviatego, by przesłuchać Lorenzo Colucciego, byłego chłopaka pierwszej ofiary, było niemożliwe.

W czwartek 8 września rano inspektor Costanza poinformował telefonicznie prokuratora, że chłopak zginął w marcu w wypadku przy pracy, spadając z piątego piętra bloku.

Scalviati uznał za niedopuszczalne, że nie poinformowano go natychmiast o tej śmierci. Przecież chodziło o kogoś związanego ze śledztwem w sprawie morderstwa.

Ale teraz nie można już było wiele zrobić. Niezależnie, czy chodziło o jakąś biurokratyczną blokadę, czy o nieuwagę funkcjonariusza, to zważywszy na okoliczności i czas, który upłynął, nie dało się już zidentyfikować odpowiedzialnego.

Colucci był z zawodu elektrykiem, mieszkał w Borgo San Paolo z kilkoma kolegami z pracy.

Jego pokój został wynajęty innemu lokatorowi, więc można było przeszukać tylko rzeczy osobiste przekazane w kilku kartonach jego rodzicom. Bez zaskoczenia odkryto wśród ubrań i narzędzi pracy pocisk kaliber .22 identyczny z tym, który znaleziono w domu Giorgio Marchesiniego. Był włożony do kieszeni jego stroju roboczego. Dla Scalviatego było to potwierdzenie, że pocisk miał znaczenie symboliczne w pacce zawartym z Zenitem, że jest to klejnot potwierdzający ugodę między mordercą a jego okazjonalnym pomocnikiem. Jak narzędzie jakiegoś zdeprawowanego kultu, w którym bezlitosny zabójca był prorokiem poszukującym apostołów. Prawdopodobnie taki pocisk posiadał też Salvatore Canu, zakładając, że go zachował.

Zważywszy na serię trupów, które zostawiał za sobą Zenit, stawało się oczywiste, że gdy jego naśladowcy zawierali z nim pakt, podpisywali wyrok śmierci także na siebie, gdyż stawali się w ten sposób niewygodnymi świadkami jego tożsamości.

Scalviati spodziewał się, że wśród rzeczy Colucciego znajdzie też komputer, ale jego rodzice twierdzili, że nigdy go nie miał. Jak więc skontaktował się z mordercą, który zabił jego byłą dziewczynę i jej nowego chłopaka?

Za każdym razem, kiedy prokurator czuł, że zbliża się do prawdy, miał wrażenie, że fakty mogą temu przeczyć. Każda próba ustalenia stałego schematu działania Zenita wydawała się skazana na porażkę.

W czasie rozmowy telefonicznej rodzice Colucciego powiedzieli, że nic nie wiedzieli o pocisku i że syn nie miał nawet broni. Że to prawda, iż nigdy nie poradził sobie z zerwaniem z Lindą – tak go to zdruzgotało, że wpadł w depresję. Interpretowali ten upadek – przez wszystkich kolegów uznawany za przypadkowy – jako samobójstwo.

Okolo piątej po południu doktor Di Cara oznajmił, że dostał bilingi Marchesiniego. Nie tracił czasu, od razu kazał jednemu ze swoich techników porównać je z bilingami Salvatora Canu, żeby móc jak najszybciej odnaleźć używane przez obu numery.

Odpowiedź nadeszła mniej więcej po godzinie.

Faktycznie, był jeden numer, na który tak Marchesini, jak i Canu, dzwoniли wielokrotnie w ciągu tygodni poprzedzających morderstwa, z którymi byli związani.

To był przełom, na który czekał Scalviati.

To musiał być numer telematycznej stacji potwora. Kluczowy element, który po wielu przeszkodach pozwoli nadać śledztwu zdecydowane przyśpieszenie.

Zwyczajny numer telefonu, który – gdy się go odnajdzie – pozwoli zidentyfikować BBS, przez który okazjonalni pomocnicy kontaktowali się z potworem.

W trakcie kolejnych minut trwały gorączkowe konsultacje, powtarzające się telefony i przesyłki faxem między prokuraturą, wydziałem techników i operatorem telefonii.

Problem polegał na tym, że adres dostarczony przez techników sieci po prostu nie mógł być prawidłowy.

Ten numer telefonu nie powinien istnieć.

Ponieważ był zarejestrowany na adres w piekle.

Każdy w mieście znał tę smutną historię. Niebywałą, bezsensowną tragedię, która wtedy wywołała zgrozę i niedowierzanie nie tylko w Turynie, ale i w całym kraju.

To była niedziela 13 lutego 1983 roku. Było zimno, a niedługo po zachodzie słońca zaczął padać śnieg. Ale ci, którzy zgromadzili się w kinie „Statuto”, o tym nie wiedzieli.

W repertuarze był *Pechowiec* z Gérardem Depardieu. Z racji kiepskiej pogody i faktu, że film wyświetlano już od dwunastu tygodni, pojawiła się tylko setka widzów, a pozostałe tysiąc miejsc pozostało wolnych.

To był tydzień końca karnawału. Ulicami miasta leniwie przetaczały się wozy alegoryczne, zostawiając ślady na osiadającym na asfalcie śniegu zmieszonym z lodem.

Okolo 18:15, jakieś dwadzieścia minut po rozpoczęciu seansu, ktoś na widowni usłyszał głucho uderzenie nakładające się na ścieżkę dźwiękową filmu, odgłos podobny do dźwięku zapalającego się piecyka gazowego.

Podniósł się krzyk. „Ogień!”

Zwarcie urządzeń elektrycznych spowodowało zapalenie się zasłon oddzielających widownię od korytarza wejściowego. Gdy spadły na fotele w ostatnich rzędach, te w ciągu kilku chwil zajęły się płomieniami, produkując od razu ogromne ilości dymu.

Zaskoczenie ustąpiło panice. Obecni na sali zaczęli biegać w desperacji w poszukiwaniu drogi ucieczki. Walczyli o przetrwanie, postępując po omacku w ciemnościach, w tratującym się tłumie, wśród krzyków i naporu ludzi, którzy nie wiedzieli, w którą stronę iść, wśród płomieni i gęstego dymu, rozchodzącego się nieprzerwanie i zatruwającego powietrze, uniemożliwiającego oddychanie.

Czasem złość wywołaną jakąś tragedią można mierzyć znaczeniem słów. Słów takich jak na przykład „ognioodporny”, co miało określać materiał mający powstrzymać albo ograniczyć zapalenie się. Określano jako ognioodporne wypełnienie foteli, wykładzinę, zasłony, stropy, oprawy lamp. A jednak wyprodukowano je z materiałów, które, wystawione na wysokie temperatury, emitowały śmiertelnie śmiertelnie śmiercionośną mieszaną tlenku węgla i cyjanowodoru.

Z materiałów, które w momencie zakończenia remontu kina, kilka miesięcy wcześniej, posiadały legalne atesty wystawione przez komisję siedmiu inspektorów ministerialnych. Ustawa o BHP, niedokładna i źle zastosowana, nie brała pod uwagę, że w razie pożaru zagrożenie stwarzały nie tylko płomienie, ale także wdychane opary.

Natychmiastowa rozedma płuc. Gęsty, trujący dym, który rozchodził się po sali, zabijał w czterdzieści sekund.

Do siedzącego w kasie biletowej właściciela zaczęły dochodzić z sali konwulsyjne odgłosy. Były to uderzenia barkami, pięściami, nogami w drzwi ewakuacyjne. Drzwi, które zamknięto na klucz, by uniemożliwić wejście widzom bez biletów.

Tylko jedne się otworzyły: przez tę szparę niektórym widzom udało się uciec na ulicę: wytaczali się jeden za drugim, biorąc pierwszy haust powietrza po tym, jak wytrzymali w czasie ucieczki z zatkanym nosem i ustami, i zaciśniętymi oczami.

Innym udało się przebić przez ścianę ognia w głębi sali i dotrzeć do hallu przez korytarz.

Właściciel pobiegł do sali. Był pewien, że da się jeszcze wszystkich uratować. Ale jego decyzja, by nie przerywać projekcji i nie włączać oświetlenia awaryjnego – według niego po to, by nie budzić paniki – okazała się katastrofalna w skutkach.

W czasie, gdy na ekranie zmieniały się obojętnie sceny filmu, w łóżkach zagrożenie pojęto dramatycznie późno. Nie było tam widać ognia, dotarł tylko dym. Trujący. Zabójczy.

Wznoszące się z dołu opary sprawiły, że nie ocalał nikt.

Pierwsi ratownicy, którzy weszli do łóż, po tym jak wspięli się po drabinie wozu strażackiego na poziom pierwszego piętra, podczas gdy pozostali koledzy gasili wciąż płomienie, mieli nigdy nie zapomnieć przerażającego widoku, który tam na nich czekał.

W maskach tlenowych na twarzach, z butlami na plecach i strumieniem światła z latarek jako jedynym przewodnikiem wkroczyli w piekło gęstego dymu i gorąca nie do wytrzymania.

Na podłodze rozsiane były ciała. W korytarzach, za drzwiami, między rzędami foteli. Niektórzy wciąż siedzieli, zaduszeni oparami, zanim mogli zareagować. Na oczach wstrząśniętych, bezsilnych służb, dziennikarzy, ocalałych i zwykłych mieszkańców zgromadzonych na ulicy za barierkami rozpoczęło się posępne wynoszenie zwłok na zewnątrz budynku. Niektóre ciała miały ramiona podniesione w niebo, jakby w ostatnim geście poddania się – był to fizjologiczny efekt gorąca, które unosiło ścięgna.

Najpierw położono zwłoki na chodniku. Czarne ciała ułożone na białym śniegu, który wciąż padał, oświetlone elektrycznymi światłami i niebieską poświatą sygnałów karetek. Potem postanowiono użyć garażu pobliskiej wypożyczalni samochodów jako prowizorycznej kaplicy żałobnej. I rozpoczęła się rozdzierająca procedura identyfikacji ofiar.

O 21:00 nastąpił ostatni cios w tragedii, która wydawała się nigdy nie kończyć: odkrycie kolejnych dwudziestu siedmiu trupów stłoczonych między łazienką na galerii a sąsiednim pomieszczeniem. Po omacku, w ciemnościach, musiały szukać drogi ucieczki, ale skończyły w śmiertelnej pułapce ścian i trującego dymu.

Sześćdziesiąt cztery ofiary, w tym dwoje dzieci.

Największa tragedia, jaka rozegrała się w Turynie od czasów ostatniej wojny.

Rzeź młodych ludzi.

To była wigilia świętego Walentego i wśród widzów było wiele par, które chciały świętować ten dzień w kinie. Parę narzeczonych znaleziono w objęciach. Rodzina poprosiła, by odprawić dla nich pośmiertną

ceremonię zaślubin. Nie było to możliwe, więc pogrzebano ich w strojach ślubnych.

Mówi się, że każdy pożar niszczy własne przyczyny. By dowieść prawdy, był konieczny „eksperyment sądowy”, w trakcie którego znów podłożono ogień w kilku miejscach widowni w obecności niektórych ocalałych i śledczych.

Z braku dowodów na uszkodzenie instalacji elektrycznej przez piromana, za przyczynę zwarcia uznano awarię.

W czasie procesu skazano sześciu z jedenastu oskarżonych o współudział w nieumyślnym spowodowaniu śmierci, wśród nich właściciela kina, geodetę, który nadzorował remont, tapicera i biletera. Ale przyczyny tragedii sięgały dalej niż odpowiedzialność poszczególnych osób.

Rzeź w kinie „Statuto” obnażyła braki w zbyt mało precyzyjnych normach bezpieczeństwa w lokalach publicznych. Nawet zamknięcie na klucz drzwi ewakuacyjnych nie łamało prawa, które przewidywało ogólnie, że powinny być one „możliwe do otwarcia”. Drażki antypaniczne były niezbyt rozpowszechnione i nieobowiązkowe, podobnie jak czujniki przeciwpożarowe. Instalacje elektryczne były stare, a atesty powłok ognioodpornych nieadekwatne do rzeczywistości.

Trzeba było śmierci sześćdziesięciu czterech osób w lokalu w pełni zgodnym z normami, by pchnąć rząd do radykalnej zmiany prawa, za którą poszła walka z czasem, by dostosować do niej teatry, restauracje i dyskoteki w całym kraju.

Teraz, po ponad pięciu latach, kino „Statuto” stało wciąż w tym samym miejscu, kilka kroków od placu o tej samej nazwie, w takim samym stanie, w jakim znajdowało się po tragedii – z osmaloną fasadą, brzegami szyldu skorodowanymi przez warunki pogodowe, zabitymi wejściami i tynkiem pokruszonym, bo nikt o niego nie dbał.

Echa nieszczęścia nigdy nie umilkły, a w obliczu kosztów, które trzeba by było ponieść, by odnowić kino, od dawna mówiło się o planach



wyburzenia, choć z urzędu miasta nigdy nie wyszedł komunikat o tym, jak i kiedy miałyby się to wydarzyć.

Kino „Statuto” było budynkiem-widmem, powodem do wstydu dla całego miasta. Obliczem klęski, od którego większość przechodniów wołała odwracać wzrok.

Z pewnością nie było żadnego powodu, by była tam wciąż aktywna linia telefoniczna.

A jednak właśnie ten adres dostarczyła telekomunikacja.

Choć wydawało się to niemożliwe, to sposobem, w jaki pomocnicy Zenita nawiązywali z nim kontakt, był telefon z odpowiedniego komputera do ciemnego serca miasta.

Scalviati postanowił działać dyskretnie, tak, by nie przykuwać uwagi mieszkańców i mediów. Nie chciał, żeby Zenit dowiedział się, jak zaawansowane jest śledztwo. Przeszukanie w kinie „Statuto” musiało wyglądać jak rutynowa interwencja. Świadkowie powinni myśleć, że to przegląd prowadzony przez ekipę techników, może wysłaną przez jakiegoś skrupulatnego urzędnika z miasta, żeby ocenić stan budynku przed jego wyburzeniem.

Krótko przed świtem w piątek 9 września furgonetka ze znakami urzędu miasta zaparkowała przed fasadą kina.

Wysiedli z niej inspektor Costanza, starsza posterunkowa Fornasier i aspirant Loiacono, ostatni dwoje w kombinezonach roboczych i kaskach na głowach. Towarzyszyli im strażak oraz Daniele Pernotti z Wydziału Techniki Kryminalistycznej, ekspert od komunikacji telematycznej.

Na pace furgonetki pozostał sędzia Scalviati, siedzący przy stanowisku radiowym przygotowanym specjalnie na tę okazję, pozostający w kontakcie z ekipą przez radiotelefon.

Analiza komputera Marchesiniego nie dostarczyła żadnych interesujących danych. Na dyskietce było tylko kilka popularnych programów i ani śladu wiadomości wymienianych z siecią telematyczną. Prawdopodobnie morderca zatroszczył się o to, by zatrzeć wszelki ślad, dokładnie tak, jak zrobił z zapasami leków Capaldiego.

Przed nakreśleniem planu operacji prokurator spotkał się wieczorem poprzedniego dnia z Di Carą i Costanzą, żeby sprawdzić dostęp do BBS potwora przez odpowiednio wyposażony komputer.

Di Cara wybrał numer telefonu kina na wierszu poleceń. W odpowiedzi modem wydał z siebie serię dźwięków, kończąc długim terkotem. Potem

nastąpiła cisza pełna oczekiwania, a obecni wbijali oczy w monitor.

Kilka chwil potem pojawiła się animacja złożona ze znaków alfanumerycznych układających się w kanciaste logo zwieńczone symbolem astrolabium.

Był to napis *Zenit's lair*. Jama Zenita.

Nie można było jaśniej zasygnalizować, z kim mają do czynienia.

Kursor migał na ekranie tuż za poleceniem:

*Wprowadź hasło albo wpisz „request”, żeby się zarejestrować.*

Scalviati postanowił nie iść dalej. Wyłączyli komputer i odłączyli sieć telefoniczną.

Teraz, czekając na to, czy ekipa potwierdzi, że w spalonym pięć lat wcześniej kinie jest terminal odpowiadający na pytania pomocników Zenita, prokurator wrócił myślami do przerażających podobieństw między morderstwami a pożarem w kinie „Statuto”.

13 lutego 1983, data pożaru.

13 lutego 1987, data pierwszych morderstw potwora.

To nie mógł być przypadek.

Tak jak nie mogło być przypadkiem, że działalność potwora była powiązana z tak zwanym trójkątem zła, który według legendy miał swój wierzchołek właśnie na piazza Statuto.

Po obejściu obiektu strażak towarzyszący ekipie Costanzy wskazał na jedno z wyjść ewakuacyjnych jako najprostszą drogę do środka.

Za pomocą łomu usunął deskę blokującą drzwi. Otworzył je jednym szarpnięciem i zrobił pierwszy krok do środka.

Grupa znalazła się na widowni kina i było to jak wejście do grobowca, który od dawna nie był naruszany.

Costanza włączył latarkę, za jego przykładem poszli pozostali. Snopy światła przemykały po rzędach osmalonych foteli stojących jakby w oczekiwaniu na przybycie publiczności duchów.

Sala, nad którą górował olbrzymi ekran wiszący nad sceną, była pogrążona w ponurej atmosferze rozkładu.

To było niezdrowe miejsce, zbiornik złych emocji, w którym można było wyczuć resztki horroru, jaki się tam rozegrał. Jakby cisza mogła zostać w każdym momencie przerwana echem krzyków, walenia w drzwi ewakuacyjne i tupotem nóg, które odbijając się od stropu, z wolna cichły na korytarzach łóż.

Wykładzina była porwana i osmalona w wielu miejscach, tynk na ścianach pokruszony, poznaczony ogromnymi plamami ciemnego grzyba, który wydawał się zdolny pochłonać światło latarek. Powietrze było przesączone ostrym zapachem spalenizny i stęchłych substancji chemicznych.

– Jesteśmy pewni, że tu jest bezpiecznie? – spytał Loiacono.

– Proszę się nie przejmować – odparł strażak. – Po tych wszystkich latach nie ma już żadnego zagrożenia.

– Pan brał wtedy udział w akcji ratunkowej?

– Nie byłem na służbie, wezwano mnie w trybie nadzwyczajnym. Kiedy tu dotarłem, nikogo już nie dało się uratować. – Głos zamarł w pomruku, wybrzmiewając jak wyrok.

– Jesteśmy w środku – powiedział Costanza do radiotelefonu.

– Działajcie dalej – odpowiedział głos Scalviatego.

W piątkę posuwali się naprzód ostrożnie, rozdzielając się, by zlustrować teren wokół siebie w poszukiwaniu czegokolwiek nietypowego.

Jakiś nagły ruch na poziomie podłogi sprawił, że Loiacono podskoczył i wydał z siebie cichy okrzyk. Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

Fornasier skierowała światło latarki na stopy kolegi, oświetlając stadko szczurów, które piszcząc, rozbiegały się na wszystkie strony.

– Fałszywy alarm – powiedziała.

Grupa przecięła korytarz w głębi, gdzie osmalone kolumny świadczyły o tym, że właśnie w tym miejscu zaczął się pożar.

– To miejsce przyprawia mnie o dreszcze – powiedział Loiacono.

– Właśnie. Na co oni właściwie czekają zamiast to wyburzyć? – podchwyciła Fornasier.

Grupa dotarła wreszcie do hallu budynku. Costanza ogarnął wzrokiem stanowisko w kasie biletowej, potem poszedł w kierunku bocznych schodów. Pokazał towarzyszom, żeby szli za nim na galerię.

Kiedy Fornasier dotarła na pierwsze piętro, otworzyła drzwi w korytarzu, ukazując wejście do kabiny kinooperatora.

Znieruchomiła zaskoczona.

– Tutaj coś jest – oznajmiła do radiotelefonu.

Na twarzach członków ekipy można było wyczytać niedowierzenie w to, co zobaczyli w tym ciasnym pokoiku.

Na stoliku pod ścianą, wciśnięty między szufladki, stosy starych szpul i zużyte urządzenia do projekcji, ustawiony był kompletny komputer, bez osmaleń ani oznak uszkodzenia, z włączonym monitorem w kolorze fosforyzującej zieleni, na którym widniało to samo, co zobaczył Scalviati, gdy połączył się z BBS potwora – z małym poleceniem wprowadzenia hasła u dołu.

*Zenit's lair.*

Z komputera odchodziły kable, które znikaly w dziurze w ścianie. Ale logicznie rzecz biorąc, w budynku nie powinno być działającej instalacji elektrycznej, która umożliwiałaby uruchomienie komputera.

– No więc? Znaleźliście? – Głos Scalviatego poniósł się echem w ciszy ze słuchawki Costanzy.

– Tak, jest komputer – odpowiedział ten ostatni, zbliżając się ostrożnie.  
– Jest włączony, ale kable nie są podłączone do gniazdek. Przechodzą przez dziurę, która wydaje się niedawno wywiercona w ścianie. Gdzieś musi być instalacja elektryczna, może w komórce.

– Na razie działajcie tak, jak ustaliliśmy.

– Odebrałem. Procedujemy.

Costanza skinął na Pernottiego. Technik z wydziału kryminalistycznego założył lateksowe rękawiczki i otworzył walizeczkę, którą miał ze sobą. Wyciągnął z niej mały cylindryczny pojemnik i z pomocą pędzelka zaczął rozsypywać proszek do zdejmowania odcisków palców na obudowie komputera i po bokach monitora.

Kiedy reszta ekipy opuściła pomieszczenie, żeby kontynuować wizję lokalną, Fornasier chwyciła aparat fotograficzny, by udokumentować to, co znaleźli.

Ale nie udało jej się pstryknąć ani razu.

W momencie, kiedy Pernotti przesunął klawiaturę komputera, żeby rozsypać proszek, rozległ się mechaniczny dźwięk podobny do odblokowującego się zamka.

*Klak.*

Spojrzenie Fornasier pomknęło do ładunku wybuchowego połączonego z komputerem, zręcznie zamaskowanego między innymi urządzeniami.

Jakby w momencie zapłonu percepcja się poszerzyła.

Adrenalina i kortyzol zmieszały się we krwi, wyzwalając odpowiedź zakończeń nerwowych znaną jako atak lub ucieczka.

Reakcję pierwotną.

Czysty instynkt przetrwania.

Wszystko dokonało się w ciągu kilku chwil.

Ułamek sekundy mógłby zrobić różnicę między życiem a śmiercią.

– Na ziemię!!! – krzyknęła.

Rzuciła aparat fotograficzny i szybkim ruchem szarpnęła Pernottiego za rękaw kurtki, ciągnąc go za sobą na podłogę, by potem przeturlać się pod stołem na drugi koniec pokoju, mocno obejmując kolegę, chroniąc go własnym ciałem.

Eksplozja rozległa się ogłuszająco w pomieszczeniu, wyzwalając falę uderzeniową, która przez moment zdusiła pustkę, rozpryskując na wszystkie strony deszcz odłamków szkła, kawałków metalu i fragmentów tynku.

Potem nastąpiła nierzeczywista cisza w rozchodzącym się obłoku pyłu, w zapachu trotylu i substancji chemicznych, który przesycał powietrze.

## III

Kiedy Scalviati wrócił do domu krótko po dziesiątej rano, był wyczerpany po bezsennej nocy i niekończących się godzinach, które spędził w poczekalni pogotowia, przytłoczony niepokojem i poczuciem winy, wycieńczony oczekiwaniem na wieści o stanie starszej posterunkowej Fornasier.

Stan krytyczny, powiedzieli lekarze, którzy się nią zajmowali. Słowa, które w tamtym momencie zabrzmiały jak wyrok.

Z upływem czasu czuł, jak opanowuje go poczucie beznadziei, jak ogarnia go niczym fala zakrywająca myśli.

Po eksplozji w kabinie kinooperatora nastąpiła desperacka jazda do szpitala, gonitwa na pełnej prędkości ulicami miasta, podczas gdy Costanza próbował podtrzymać świadomość Fornasier, tamując jej rany, zachęcając ją, by mówiła.

Pernotti wyszedł z tego trochę poobijany po upadku i z chwilową utratą słuchu, ale jego życie nie było w niebezpieczeństwie. Fornasier ochroniła go swoim ciałem, nie dbając o konsekwencje.

Scalviati drżącymi rękami zamknął za sobą drzwi.

Greta była w salonie, siedziała prosto na kanapie, z ręką na brzuchu, z walizką ustawioną przy oparciu.

– Co to znaczy?

– Przenoszę się do Chiavasso, do mojej matki.

Dla Scalviatego było to jak policzek wymierzony przez niewidzialną rękę.

– Do twojej matki? Jak możesz coś takiego zrobić?

Ona odwróciła się, by spotkać jego spojrzenie.



– To jest czterdziesty tydzień, Francesco! Maleńka może się urodzić w każdej chwili. Nie możesz ode mnie żądać, bym w tych ostatnich dniach była sama.

– Oczywiście, że nie! Ale nie sądzisz, że przynajmniej moglibyśmy o tym porozmawiać?

– Jest trochę późno na rozmowę. Znikasz na całe dni, kiedy jesteś w domu, ledwie się do mnie odzywasz. Rozmawiam teraz częściej z twoją sekretarką niż z tobą. Nigdy nie myślałam, że będę musiała to powiedzieć, ale mam wrażenie, że stajemy się dwojgiem obcych ludzi – jej ton zdradzał raczej gorycz niż pretensję.

– Poczekaj – Scalvati położył na krześle teczkę i ostrożnie zbliżył się do żony. – Rozumiem, że ten okres był dla ciebie bardzo trudny, dla mnie też był trudny. Jedna policjantka właśnie trafiła na pogotowie i walczy o życie. Nie możesz teraz mi tego zrobić. Wiem, że popełniłem błąd, ale rozwiązaniem nie może być rozstanie.

– Przykro mi z powodu policjantki, ale ta sytuacja rozstraja mi nerwy... To będzie tylko na jakiś czas, potrzebuję po prostu na trochę zmienić otoczenie.

– Możemy jeszcze dojść do kompromisu. Musimy tylko chcieć.

Westchnienie.

– Nie myśl, że podjęłam tę decyzję z lekkim sercem. Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.

Scalvati czuł, że uginają się pod nim kolana. Jakby każda komórka jego ciała krzyczała. Nie było czasu nacieszyć się odkryciem w kinie „Statuto”, bo wszelkie dowody zostały zniszczone. A odpowiedzialność za to, co stało się Fornasier, spoczywała wyłącznie na nim. Pozostawało zniechęcenie. I niepokój.

Nie docenił wpływu, jaki pościg za cieniem potwora wyrze na jego życiu prywatnym. Szpony śledztwa objęły go tak ciasno, że przestał zwracać uwagę na małe rzeczy, które sprawiają, że każdy dzień jest wyjątkowy.

Zbliżały się narodziny jego córki, a on czuł, że błądzi w jakimś wrogim świecie zdominowanym przez mrok.

– Chodzi tylko o to, że... nie tak sobie wyobrażałem ten moment.

Wahanie.

– Ja też nie.

Scalviati usiadł obok Greta i pogładził ją po włosach, upiętych w kunsztowny kok na karku.

– A nie moglibyśmy poprosić twojej matki, żeby przez dwa tygodnie pobyła u nas?

– Już o tym rozmawialiśmy. Dobrze wiesz, że źle by się tu czuła bez swoich wygod.

– Mógłbym poprosić moją matkę.

– Proszę cię, nie naciskaj. Nie mam siły się klócić. Nie dzisiaj.

– Przykro mi, że czujesz się opuszczona, bo to jest ostatnia rzecz, której bym chciał. Jeśli doszliśmy do tej sytuacji, to jest to wyłącznie moja wina. Przykro mi, że nie jestem mężczyzną, jakiego byś teraz potrzebowała.

– Wiem, że to, co robisz, jest ważne. Ale ty masz swoją pracę, a ja... czuję, że tracę siebie. Już nic nie mam swojego oprócz odpowiedzialności za sprowadzenie na świat naszej córki.

Scalviati nie był w stanie odpowiedzieć. Czuł ciężar w piersi i wielką gulę w gardle, która nie pozwalała mu wypowiedzieć nawet jednego słowa.

Greta wstała i wzięła go za rękę. Pocałowała go w dłoń.

– Teraz przepraszam cię, ale muszę się pośpieszyć. Ojciec bez problemu zgodził się mnie zawieźć, wiedział, że jesteś zajęty.

To mówiąc, Greta wzięła z podłogi walizkę i ruszyła do drzwi.

Na jej dumną twarz padło poranne światło; rzuciła mężowi przelotne spojrzenie.

– Dbaj o siebie – wyszeptała.

Z przenośnego sprzętu stereo leżącego na szafce wydobywały się dźwięki *Change Tears for Fears*.

Ludwig triumfalnie położył tacę z gorącymi rogalikami na stole w kuchni.

– Pomyślałem, że wpadnę do cukierni kupić coś na śniadanie.

– Właśnie się zastanawiałam, co się z tobą stało – odparła Leda.

Jako pierwsza spróbowała je pochwycić mała Carlotta, rzucając się na nie z wyciągniętymi ramionami jak bramkarz na podkręconą piłkę.

– Hej! – przywołała ją do porządku Giulia. – Co się mówi?

Dziewczynka popatrzyła na mamę z niepewnością, potem uśmiechnęła się nieśmiało.

– *Kuję* – wymamrotała.

– Nie ma za co – odparł Ludwig.

– Zrobię kawę – oznajmiła Leda. Odkręciła mokę; wlewając wodę do zbiorniczka, spojrzała przelotnie na chłopaka.

– Jest jakiś powód, że ubrałeś się jak Sonny Crocket z *Policjantów z Miami*?

Ludwig miał na sobie biały garnitur z zaznaczonymi ramionami, a pod spodem blad różowe polo.

– Muszę iść do pracy. Przepraszam, że zostawiam was same, ale nie będę tam długo, tylko do obiadu. Kiedy rodziców nie ma, muszę się pokazywać w firmie, żeby się upewnić, że produkcja idzie bez przeszkód.

– Nie zajmowałeś się PR-em?

– W razie nieobecności głównych szycych jestem oddelegowywany do nadzoru. – Wziął rogalik i zatopił w nim zęby.

Ona postawiła maszynkę na ogniu.

– Podrzucić cię?

– Nie. Jadę na rowerze, jak zwykle.

– Serio? Taki wystrojony?

– Czemu nie? To wybitnie dogodny środek komunikacji, świetny sposób na uniknięcie korków w godzinach szczytu.

Leda odwróciła się do Giulii, która pomagała małej Carlocie w uroczystym rozkruszaniu pieczywa.

– Nie ma prawa jazdy – szepnęła.

– Wiesz co, słyszałem.

W odpowiedzi Leda wzruszyła ramionami.

– W takim razie was zostawiam – ciągnął. – Jeśli potrzebujecie mleka dla Carlotty, to w lodówce powinno być otwarte pudełko. Jeśli będziecie czegokolwiek potrzebować, dzwońcie. Napisałem na tablicy numer do biura.

Ruszył do drzwi, ale zanim wyszedł, jeszcze w korytarzu, dobiegła do niego Leda.

– Poczekaj.

Ludwig odwrócił się do niej z pytającą miną.

Ona otrzepała mu połę marynarki, strącając z niej okruchy.

– Tak lepiej.

– Hmm... dziękuję.

Leda patrzyła na niego przez chwilę, nic nie mówiąc.

Ludwig wziął walkmana z szafki przy wejściu.

– Słuchaj... jest coś, o co od jakiegoś czasu chciałem cię zapytać.

– Pytaj.

– Kiedy to wszystko się skończy, to... Tak myślałem... Dasz się zaprosić na kolację?

Uśmiechnęła się.

– Przez ciebie?

– No a przez kogo?

Udała, że się nad tym zastanawia.

– Zobaczymy. A tak na początek, spróbuj nie dać się przejechać. OK?

Ludwig spojrział na nią ostatni raz, potem zniknął za rogiem.

Kiedy Leda wróciła do kuchni, niemal podskoczyła, widząc Giulie opartą o framugę drzwi z rękami splecionymi na piersiach i patrzącą na nią.

– Wszystko dobrze? – zapytała.

Tamta potaknęła.

– Jestem gotowa.

Leda popatrzyła na nią z lekkim zagubieniem.

– Słucham?

– Powiem ci wszystko, co wiem. Nazwiska organizatorów biznesu, sposoby rekrutacji, system umawiania spotkań. Tkwię w tym od tak dawna, że znam wszystkie szczegóły.

– Jesteś pewna?

Na twarzy Giulii pojawił się cień uśmiechu. Miała tak zdeterminowany wyraz twarzy, jakiego Leda nigdy u niej nie widziała.

– Zbyt wiele dziewczyn cierpi z powodu tej sytuacji. Zbyt wiele chciałoby się z tego wyplątać, ale boją się mówić. Przyszedł czas, żeby położyć temu kres. I jeśli wciąż się zgadzasz, możemy to zrobić razem.

Scalviatiemu udało się pospać przez dwie godziny, dopóki nie zbudził go uparty dzwonek telefonu.

Otępiały po wyrwaniu z niespokojnego snu podniósł słuchawkę aparatu leżącego przy łóżku i odchrząknął, zanim odpowiedział.

Nie miał pojęcia, która może być godzina. Był pewny, że to Greta, ale z drugiego końca linii zaskoczył go głos Cecilii.

– Przepraszam, prokuratorze. Nie chciałam przeszkadzać, ale powiedział pan, żebym dzwoniła, jeśli będą jakieś nowości.

– Wie pani coś o Fornasier?

– Niestety nie. Lekarze nie chcą jeszcze mówić o rokowaniach. Zadzwonił pan Stoner z Londynu, mówi, że odkrył coś ciekawego.

– Powiedział pani, o co chodzi?

– Nie wchodził w szczegóły, prosił tylko, żeby panu powiedzieć, że wróci pierwszym dostępnym samolotem. Ale kilka minut temu dostałam faksem ze Scotland Yardu dokumenty, które powinien pan chyba szybko przejrzeć.

– Bardzo dziękuję. Zaraz będę.

Scalviati wstał z łóżka, wyciągnął z szafy czyste rzeczy i przebrał się. Wyjął z szuflady nowy krawat, ale kiedy miał już zaciągnąć węzeł, znieruchomiał, patrząc na siebie w lustrze – blada twarz, zmęczone spojrzenie. W odruchu złości zdjął krawat z szyi i rzucił go w ką.

Szybko zbiegł po schodach, zatrzymując się w gabinecie na chwilę, by uporządkować zawartość teczki i wypić szklankę wody.

Chwycił kluczyki z szafki przy wejściu i, zanim wyszedł, stanął w progu salonu.

Grety nie było.

Każdego innego dnia spodziewałby się, że zastanie ją siedzącą na kanapie, może zatopioną w lekturze książki albo dodatku kulturalnego do gazety. Odwróciłaby się do niego, uśmiechnęła się, a potem skomentowała recenzję jakiegoś spektaklu, na który chciałyby się wybrać albo który znała zza kulis. Zawiązałaby mu krawat, patrząc w oczy, sprawiając po raz kolejny, że poczułby się najszcześniejszym mężczyzną na świecie.

Pustka jej nieobecności krzyczała w ciszy, sprawiając, że ścisnęło mu się serce. Jak mógł być tak nieważny? Jak mógł pozwolić, żeby ich drogi tak bardzo się rozeszły?

Scalviati zawsze wiedział, że nie będzie łatwo pogodzić ich charakterów. Greta była kobietą dumną i bardzo utalentowaną. Była uparta i niecierpliwa, ale również niewiarygodnie wspaniałomyślna. A teraz czuł, że zostawił ją samą w momencie, w którym najbardziej potrzebowali siebie nawzajem. Że w jakiś sposób ukarał ją za te same rzeczy, dla których się w niej zakochał.

Chętnie chwyciłby telefon i zadzwonił do domu jej rodziców, ale powstrzymał się. Musiał jej dać czas, by się tam rozgościła i wszystko przemyślała. Choć myśl o tym była bolesna, tylko oddalenie mogło pozwolić im znaleźć odwagę do pogodzenia się.

On też potrzebował pomyśleć. I znaleźć wreszcie właściwe słowa, by zrozumiała, że bez niej jest mu trudno nawet oddychać. Sam jej widok znikającej za drzwiami sprawił, że poczuł się zdruzgotany. Chciał zszyc rozdarcie, które zerwało harmonię ich relacji, ale wiedział, że nie może jej zmusić, by mu przebaczyła.

Zatopiony w takich myślach jechał do prokuratury; hałas ulicy docierał do niego przytłumiony, a minuty wydawały się płynąć wolniej, rozciągając poczucie czasu.

Samochód przed nim gwałtownie zahamował na skrzyżowaniu, wyrывая go z otepienia. Już miał zatrzeć klaksonem, potem cofnął rękę i potrząsnął głową. Nie mógł zaprzeczyć, że reagował dość nerwowo, ale

nie mógł też pozwolić, by jego prywatne problemy przeszkodziły mu w śledztwie.

Miał wrażenie, że Zenit jest zawsze o dwa kroki przed nim. Musiał zachować trzeźwość umysłu, jeśli miał zapobiec temu, by wypadek w kinie „Statuto” zamienił się w klęskę całego śledztwa.

Jeśli Stonerowi naprawdę udało się znaleźć ślady obecności zabójcy w brytyjskiej stolicy, to był to dowód na związek między morderstwami w Turynie i w San Francisco.

Potwierdzenie nadeszło, gdy tylko dotarł do biura, a Cecilia wręczyła mu plik dokumentów otrzymanych ze Scotland Yardu.

Była to seria protokołów z pięciu dochodzeń w sprawie morderstw popełnionych w Londynie lub w okolicach w ciągu ośmiu lat; pierwsze miało miejsce w marcu 1975, ostatnie w sierpniu 1983. W czterech przypadkach ofiarami były pary, wyjątkiem było zabójstwo dziewczyny.

Stałym elementem było to, że napaści miały miejsce w odizolowanych miejscach w noc pełni księżyca, zawsze niedaleko jakiegoś akwenu – Tamizy, City Mill River, nawet kanału La Manche. Broń była zawsze ta sama: pistolet o kalibrze .22 z nabojami *long rifle*.

Nie wszystkie sprawy uznano za nierozwiązane. Podejrzanym o śmierć Nigela McKenzie i Bernarda Granta, zabitych w październiku 1976 w okolicy South Dock, był niejaki Gary Egan, dawny listonosz z problemami psychicznymi, który kilkakrotnie był pod opieką oddziału psychiatrycznego Bethlem Royal Hospital.

Szaleńczy list wysłany do dziennika „The Guardian”, przeniknięty nienawiścią do społeczności gejowskiej, skierował śledztwo na trop homofobii. Egan, fanatyk religijny ze szczególną awersją do homoseksualistów i mniejszości etnicznych, trafił więc na szczyt listy podejrzanych.

Ponieważ kilku świadków widziało, jak kręcił się w okolicy mieszkania jednego z zamordowanych chłopaków, Egan został przesłuchany i nie był w stanie dostarczyć alibi na nocę przestępstw.



Jednak dochodzenie zostało gwałtownie przerwane, kiedy w piwnicy Egana znaleziono jego ciało wiszące u belki stropu. Uznano, że popełnił samobójstwo, żeby nie musieć stawiać czoła procesowi, i sprawa została odłożona do archiwum, śledztwa nie kontynuowano. W kieszeni spodni Egana odnaleziono pocisk kaliber .22, identyczny z tymi używanymi przez mordercę. Jednak broni, z której popełniono zbrodnię, nigdy nie odnaleziono.

Wśród spraw, które wypłynęły w trakcie poszukiwań Stonera, były morderstwa Leah Bathurst i Saena Doyle'a oraz Aislin Pryce. Pierwsi zostali zaatakowani w marcu 1980 na parkingu w pobliżu Greenwich Park, gdzie mieli schadzkę; drugą znaleziono martwą nad brzegiem Tamizy w listopadzie następnego roku, w odległości kilku kwartałów od parku. Bliskość miejsc zbrodni i potworne okaleczenie Aislin Pryce, której po śmierci wycięto śledzionę, kazało prasie odgrzebać dawne strachy – mordercę nazwano „Rozpruwaczem z Greenwich”; jednak podobnie jak jego słynnego poprzednika nigdy go nie odnaleziono.

Z pewnością angielskim śledczym nie było łatwo powiązać tych przypadków z morderstwem Karoline Hofmann i Rolanda Nielsena, dwojga niemieckich turystów napadniętych w ich kamperze w okolicach Porthsmouth, 120 kilometrów na południe od brytyjskiej stolicy, w sierpniu 1983. Mimo szczególnego sposobu popełnienia morderstwa (oboje zastrzelono trzema strzałami z pistoletu tworzącymi trójkąt między głową, sercem i prawym płucem), śledczy uznali za najbardziej prawdopodobną hipotezę napaści rabunkowej, która skończyła się tragedią. Śledztwo ciągnęło się przez kilka miesięcy, ale nie wskazano żadnego podejrzanego.

Scalviati był zdumiony przerażającą analogią między faktami z Londynu a tym, co działo się w Turynie.

Nie było już wątpliwości, że Zenit i potwór to ta sama osoba, choć w czasie pobytu w Anglii morderca wydawał się nabrać rozsądku, nie podnosił tak wysoko głowy i nie chciał publicznie przyznawać się do morderstw, by uniknąć powiązania ich z tym, co działo się kilka lat wcześniej w San Francisco. Zrećźnie zmylił ślad poszukiwań Scotland

Yardu, nie pozwalając im na rozpoznanie schematu powracającego w jego zbrodniczych przedsięwzięciach.

Schematu, który dla Scalviatego był teraz dramatycznie jasny.

Może z tego samego powodu tutaj, we Włoszech, Zenit postanowił wciągnąć do współpracy okazjonalnych pomocników, takich jak Canu czy Marchesini. Był tak sprytny, że stworzył sobie plan B na wypadek, gdyby śledztwo zbyt szybko zbliżyło się do prawdy.

Prokurator zastanawiał się, jak wszystko by się potoczyło, gdyby w jego drzwiach nie stanął Stoner ze swoją teorią i kompetencjami w dziedzinie *criminal profiling*.

Czy przeważałaby presja wywierana na prokuraturę przez media i niektórych polityków, którzy życzyli sobie szybkiego zakończenia śledztwa, nawet kosztem znalezienia kozła ofiarnego?

Ale nie musiał zbyt mocno wysilać wyobraźni, by zobaczyć, jak by się to skończyło. Odpowiedź na pytanie pojawiła się po chwili, kiedy wezwał go do siebie prokurator okręgowy Bevilacqua.

– Proszę siadać – powiedział Bevilacqua. – Mam nadzieję, że to nie jest nieodpowiedni moment.

– Proszę się nie przejmować, czytałem dokumenty – odpowiedział Scalviati, siadając przy biurku naprzeciwko przełożonego.

– To dobrze. – Tamten złożył ręce i zaczerpnął głęboki oddech. – Nie lubię się rozwodzić, więc od razu przechodzę do rzeczy. Wyjaśni mi pan, czego chce pan dowieść?

– Przepraszam, co ma pan na myśli?

– Dowiedziałem się, że policjantka została ranna w czasie przeszukania kina „Statuto”. Rozumie pan, że jeśli by z tego nie wyszła, to cała prokuratura jest narażona na ciężkie konsekwencje?

– Jestem gotowy ponieść wszelką odpowiedzialność – odpowiedział Scalviati z nutą goryczy. – Cała operacja była koordynowana ze strażą pożarną, w poszanowaniu norm bezpieczeństwa, ale nie mogliśmy przewidzieć, że ktoś umieści ładunek wybuchowy w kabinie kinooperatora.

– A kto miałby umieszczać ładunek w kinie zamkniętym od lat? I po tym, co się tam wydarzyło!

– Sprawca jest nieznany. Ale obawiam się, że to potwór.

Wyraz twarzy Bevilacquy stał się drapieżny.

– Chce mi pan powiedzieć, że morderca par zmienił się w terrorystę-amatora?

– To nie był zamach. W tej chwili badamy typ użytego ładunku wybuchowego, ale według mnie umieszczono go tam dla ochrony dowodu o wyjątkowym znaczeniu dla identyfikacji sprawcy.

– Jakiego dowodu?

– Komputera, który zawierał istotne informacje o działalności mordercy.

Bevilacqua oparł się lepiej na krześle. Przez kilka niekończących się chwil nic nie mówił, wpatrując się w rozmówcę, jakby badając, czy ulegnie.

– A może chodziło tu o odwet ze strony zorganizowanej grupy przestępczej? – zapytał.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście chodzi mi o śledztwo w sprawie rodziny Canu.

– Nie sądzę, żeby Canu miał z tym coś wspólnego.

– Skąd ta pewność?

– Chyba dobrze pan wie, że od wielu dni nie można go odnaleźć. Nikt w mieście nie miał o nim wiadomości od momentu wypadku samochodowego, w którym zginął jego brat Efisio.

– Cóż, jednego jestem pewien. Nie bez powodu badał pan udział Canu, ale gdybyśmy mieli wszystkich przestępców naszych czasów w Turynie uznawać za współpracowników potwora, to nigdy nie skończylibyśmy żadnego śledztwa. Nie mówiąc o tych dwóch samobójstwach, które postanowił pan zaklasyfikować jako domniemane morderstwa. Nie można analizować pod mikroskopem każdego zgonu w mieście, w którym mieszka milion dwieście tysięcy osób.

– Proszę mi pozwolić uściślić. Podjąłem te decyzje po wnikliwej analizie okoliczności, z pewnością nie z kaprysu albo z nadgorliwości. Jeśli uznałem za stosowne podrażyc w sprawie śmierci Capaldiego i Marchesiniego, to dlatego, że te przypadki były z kilku względów podejrzane i nie mogę tego ignorować.

– Nie wątpię – stwierdził Bevilacqua. – Ale mam obowiązek się upewnić, czy nie jest pan wodzony za nos w śledztwie, które, zdaję sobie z tego sprawę, okazało się dużo bardziej skomplikowane niż wydawało się na początku. Mam na myśli także zaangażowanie tego amerykańskiego agenta. Nie kwestionuję jego kompetencji, ale jego podejście nie wydaje mi się jednak kamieniem filozoficznym technik śledczych. Odniesienie do

domniemanego międzynarodowego spisku stojącego za morderstwami wydaje mi się, szczerze mówiąc, nieprawdopodobne.

– Uważa pan, że metody agenta Stonera mają na mnie za duży wpływ?

– Nie podoba mi się, że funkcjonariusz obcych służb wsadza nos w działalność prokuratury. Wolałbym, żeby się pan ze mną skonsultował przed podjęciem tego typu inicjatywy.

– Sądzę, że działałem w granicach moich kompetencji.

– Chcę pana tylko zachęcić do większego umiaru i zaapelować, żeby pamiętał pan, jaki jest cel pana pracy. Zawsze cieszył się pan moim wsparciem, ale proszę nie nadużywać mojej cierpliwości. Jest coraz trudniej ignorować głosy niezadowolenia, które rozchodzą się w niektórych miejscach.

– Jakie miejsca ma pan na myśli?

Bevilacqua ściszył głos, jakby bał się, czy ktoś jeszcze nie słucha tej rozmowy.

– To miasto potrzebuje odrobiny oddechu po tym medialnym zgiełku, który podniósł się po historii potwora i... tym wszystkim. Z pewnością nie pomoże odkopywanie takiej strasznej historii jak kino „Statuto”. Właśnie odebrałem telefon od prefekta, który życzy sobie zdecydowanych działań, żeby zamknąć tę sprawę raz na zawsze. Również burmistrz jest zatroskany tym, jak wpłynie to na reputację miasta. Proszę nie zapominać, że dopiero wychodzimy z długiego okresu konfliktów społecznych, który wystawił działanie instytucji na ciężką próbę. W tej chwili trzeba dać mocny sygnał, że wszystko jest stabilne.

Choć dobrze dobierał słowa, było oczywiste, że podzielał zniecierpliwienie swoich wysoko postawionych rozmówców sposobem, w jaki Scaviati prowadził śledztwo. I choć nikt nie chciał powiedzieć tego otwarcie, to myśl, że stosunkowo mało doświadczony prokurator zajmuje się tak ważnym dochodzeniem, dokuczala także wielu kolegom Scaviatiego.

Kiedy rok wcześniej powierzono mu dochodzenie w sprawie tego, co stało się w parku Valentino, nikt nie wyobrażał sobie, że wyłoni się z tego tak wielowątkowy i przerażający scenariusz. A tym bardziej, że głównym podejrzanym będzie seryjny zabójca przybyły zza oceanu.

Scalviati rozumiał, że w przemowie przełożonego kryło się tak naprawdę ultimatum. Może Bevilacqua dałby mu kilka dni więcej, ale w świetle tego, co wydarzyło się w kinie „Statuto” można się było spodziewać szybkich przetasowań, być może utworzenia nowej ekipy śledczej, która zaczynając od zera, przekreśliłaby jego wysiłki.

Zanim mógł odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę.

Na progu pojawiła się Cecilia. Wyglądała na bardzo spiętą.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Jest inspektor Costanza. Prosi o pilną rozmowę z prokuratorem Scalviatim.

– Cóż, jeśli to tyle... – Scalviati wstał, chcąc ruszyć do wyjścia.

– Proszę iść – powiedział Bevilacqua. – I proszę pamiętać o tym, co powiedziałem.

Costanza położył na biurku Scalviatego mapę północnych Włoch, na której kilka miejsc zaznaczono kółkami czerwonym mazakiem.

– Od wczoraj trwa sprawdzanie nieruchomości Canu w regionie i okolicach – oznajmił.

– Ma pan jakieś wiadomości o tym, gdzie ukrył się Salvatore?

– Nie mamy jeszcze nic pewnego, ale mniej więcej godzinę temu patrol udał się na kontrolę do wiejskiego domu między Settimo a Caselle. Policjanci poinformowali dyspozytornię o dotarciu na miejsce. I od tamtej pory nic o nich nie słyhać.

– Próbowaliście się z nimi kontaktować przez radio?

– Oczywiście, ale na próżno – odparł Costanza. – I nie jest to jedyny problem. Kilka minut temu rolnik z tamtej okolicy zadzwonił na 113, żeby zawiadomić o strzałach słyszanych z tamtego domu. Przybiegłem tu od razu, kiedy się o tym dowiedziałem.

– Myśli pan, że policjanci zostali wciągnięci w strzelaninę?

– Dopóki nic więcej nie wiemy, wszystko jest możliwe. To była tylko kontrola, ale Salvatore Canu ma gorącą głowę. Jeśli moje chłopaki znalazły jego kryjówkę, mógł stawiać opór.

Scalviati się nie wahał ani przez moment. Chwycił płaszcz z wieszaka i ruszył do drzwi.

– Proszę zaraz zebrać zespół interwencyjny. I proszę nadać komunikat alarmowy do radiowozów w okolicy. Chcę jak najwięcej jednostek na miejscu w jak najkrótszym czasie. Musimy zatrzymać Canu za wszelką cenę i przekonać go do współpracy. – Popatrzył na Costanzę z determinacją. – To może być nasza ostatnia okazja, żeby zamknąć tę historię. Spróbujmy tego nie zmarnować.

Kiedy Stoner wyszedł ze strefy pasażerów na lotnisku, z zaskoczeniem rozpoznał w zgromadzonym w hallu tłumie znajomą twarz.

– Aspirancie Loiacono – powitał go.

Tamten podszedł do niego i, choć z pewnym oporami, uściśnął mu rękę.

– Prokurator Scalviati prosił, bym pana odebrał.

– To miło z jego strony.

Tamten tylko skinął głową. Ruszyli do wyjścia, nic więcej nie mówiąc.

Po kilku krokach dotarli do radiowozu Loiacono, który był zaparkowany na miejscu zarezerwowanym dla pojazdów specjalnych. Stoner włożył walizkę do bagażnika i usiadł na miejscu pasażera.

– Wygląda pan na zdenerwowanego. Wszystko dobrze?

Loiacono włączył silnik i ruszył rampą w stronę wyjazdu.

– Dziś rano był wypadek. Moja koleżanka jest poważnie ranna. Teraz jest w szpitalu, nie wiemy jeszcze, czy z tego wyjdzie.

– Wypadek?

– No, nie do końca – poprawił się. – Prokuratorowi Scalviatiemu udało się zlokalizować komputer potwora. Znajdował się w opuszczonym budynku, w starym kinie, które spłonęło lata temu. Starsza posterunkowa Fornasier i technik z wydziału kryminalistycznego zdejmowali odciski, kiedy coś zapaliło ładunek wybuchowy ukryty między urządzeniami. Fornasier zrobiła z siebie żywą tarczę dla kolegi, a teraz... – przy ostatnich słowach głos załamał mu się z emocji.

– Pułapka. *That bastard.*

– Właśnie. I wpadliśmy w nią jak głupi.

Stoner spojrzał na niego gorzko.



– Przykro mi z powodu pana koleżanki. Blisko współpracowaliście?

– Co mogę panu powiedzieć? W tej pracy nie jesteśmy zwykłymi kolegami. Jesteśmy rodziną.

– Dobrze wiem, o czym pan mówi.

– Byłem z Fornasier jeszcze kilka minut wcześniej. To był przypadek, że to ona była w tym pokoju w momencie eksplozji. To mogłem być ja. I kto wie, jak by się to potoczyło.

– Głowa do góry, Loiacono. Nie ma sensu nad tym rozmyślać. Nie znam Fornasier, ale jestem pewien, że walczy wszystkimi siłami, żeby wrócić do zdrowia.

– O tak, ona ma twardą skórę. To najtwardsza policjantka w jednostce.

Kiedy samochód stanął w korku przed wjazdem do miasta, między mężczyznami zapadła cisza. Widząc, że młody aspirant trzyma kierownicę nerwowo, prychając przy każdym spowolnieniu, Stoner znów się odezwał.

– Wiem, że nigdy nie mieliśmy okazji porozmawiać, po tym, co wydarzyło się tamtej nocy.

– Tamtej nocy?

– W noc morderstw.

– Proszę się nie przejmować – odparł Loiacono. – Nie chowam urazy.

Stoner zmarszczył brwi.

– *Pan* nie chowa urazy? O ile się nie mylę, chciał mnie pan aresztować! Skuł mnie pan kajdankami i zostawił na długie godziny na tylnym siedzeniu samochodu.

– Ach. Jasne. Cóż, pan mnie zmusił do chodzenia przez cały Turyn w najgorszym skwarze, więc chyba jesteśmy kwita?

Półuśmiech.

– *Fair enough.*

Radio wyrzuciło z siebie elektrostatyczne chrypienie, po czym dał się słyszeć przejęty głos dyspozytora:

– Do wszystkich jednostek, kod M010. Trwa strzelanina pod numerem 64 na drodze numer 16 między Settimo a Caselle. Na miejscu dwóch policjantów z patrolu. Potwierdzić udział w interwencji. M784, powtarzam M784.

– Szesnastka? To pięć minut stąd!

– Co oznaczają te kody?

– M010 to pilne zgłoszenie – odpowiedział Loiacono. – M784 to najwyższy stopień alarmowy. – Podniósł słuchawkę radiotelefonu i zbliżył ją do ust. – Tu Como dwa, aspirant Loiacono. Otrzymałem, jestem w pobliżu. Zmierzam prosto na miejsce.

Zahamował przy skrzyżowaniu, włączył sygnały alarmowe i gwałtownie zawrócił, po czym maksymalnie wcisnął pedał gazu.

Alejką obsadzona drzewami o rozłożystych koronach prowadziła na placu wysypany żwirem, wokół którego stały zabudowania gospodarcze. Wśród nich wybijał się dom o czerwonej fasadzie i z bramą zwieńczoną łukiem. Kamienna fontanna królowała na podwórzu naprzeciwko, jak gigantyczna muszla, która wyrwała się z morza i skończyła nie wiadomo jak gdzieś wśród pól.

Kompleks był otoczony zwykłą siatką z drutu kolczastego, która kończyła się na dwóch ceglanych filarach. Jakiś radiowóz był zaparkowany u końca alejki obok otwartej bramy.

– To musi być samochód naszych chłopaków – powiedział inspektor Costanza, przyglądając mu się z drogi.

Scalviati tylko skinął głową.

Wokół, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pola gładzone lekkim wietrzykiem, tylko kilka drzew przecinało linię horyzontu.

Dwa radiowozy z zapalonym sygnałem świetlnym stały przy drodze przy wjeździe na alejkę. Obok giulietty inspektora zgromadziło się czterech policjantów w kamizelkach kuloodpornych, wyposażonych w pistolety maszynowe M12.

– Caruso, Scognamiglio – zawołał Costanza. – Wy idźcie na tyły. Pamiętajcie, użycie siły tylko w ostateczności. Nie możemy sobie pozwolić, żeby coś się stało Salvatorowi Canu.

– Tak jest. – To mówiąc, weszli na trawnik, kierując się w bok od kompleksu, żeby obejść ogrodzenie.

Scalviati przez chwilę obserwował miejsce, licząc z daleka okna domu, wyczulony na każdy ruch, który naruszyłby nierzeczywistą ciszę tego

miejsca. Wyglądało na niezamieszkane. Panował zupełny spokój. Niemal bezwład.

– Ten spokój mnie nie przekonuje.

– Cisza po burzy – mruknął Costanza.

Jego słowa zagłuszyło jakieś wycie dochodzące od skrzyżowania w głębi ulicy.

Scalviati śledził wzrokiem radiowóz zbliżający się na sygnale.

– To chyba Loiacono.

– Na razie jako jedyny odpowiedział na wezwanie. – Costanza wyciągnął z kabury pistolet i zakręcił magazynkiem, by wsunąć nabój do lufy, potem chwycił radiotelefon. – Dobra, nie traćmy czasu. Di Leo, Tagliaferri, ze mną. Spróbujmy zrozumieć, co tu się stało.

Inspektor zaczął iść alejką, niemal ocierając się o pnie drzew, eskortowany przez idących kilka kroków za nim policjantów.

Radiowóz Loiacono zatrzymał się w poprzek drogi o kilka metrów od Scalviatego. Wyszli z niego zdyszani młody aspirant i agent Stoner.

– Mam nadzieję, że podróż przebiegła pomyślnie – powiedział prokurator, wychodząc im naprzeciw. – Wydarzenia potoczyły się niespodziewanie, gdy był pan w Londynie.

– Słyszałem, co się stało Fornasier.

– Właśnie. A teraz mamy dwóch zaginionych policjantów z patrolu i uzbrojonego podejrzanego na wolności.

– Salvatora Canu?

Jakby w odpowiedzi rozległ się w powietrzu wystrzał z broni palnej.

Z koron drzew wzbiła się chmara ptaków, rozpraszając się wśród chmur.

Costanza i jego ludzie instynktownie spróbowali znaleźć wśród krzewów chwilową kryjówkę.

Scalviati wcisnął przycisk radiotelefonu.

– Kto strzelał?

– Nie wiem. Strzał był z dom...

Dwie szybko po sobie następujące detonacje nie pozwoliły inspektorowi dokończyć zdania.

Ze swojego miejsca na drodze Scalvati rzucał szybkie spojrzenia na okolicę domu.

– Strzelanina ciągle trwa!

– Kurwa – warknął Costanza.

Drzwi domu się otworzyły i wyszedł z nich, utykając, policjant z oszłomionym wyrazem twarzy, w mundurze całkiem przesiąkniętym ciemną cieczą.

Krew. Wszędzie. Na klatce piersiowej, brzuchu, udach.

W jednej ręce trzymał broń, drugą przyciskał do boku.

Zdołał zrobić kilka niepewnych kroków. Chwycił się brzegu fontanny, jakby w ostatniej próbie utrzymania się na nogach, by potem osunąć się bezsilnie na żwir.

– Policjant na ziemi! – krzyknął Costanza, wychylając się z miejsca.

Ranny policjant pozostawał nieruchomy, jak wór szmat rzucony na ziemię. Z oddali nie dawało się ustalić, czy wciąż oddycha.

– Przenieście tutaj rannego i natychmiast do mnie – wypalił głos Scalvatiego przez radiotelefon. Zwołuję posiłki.

– My jesteśmy posiłkami, do cholery! – warknął Costanza. – Jeden z naszych jest ciągle w środku. Musimy się ruszyć albo będzie rzeźnia! – Costanza dał znak jednemu z policjantów. Di Leo, zajmij się rannym. Ja i Tagliaferri wchodzimy. – Opuścił swoje chwilowe schronienie i pochylony ruszył w kierunku placu.

– Nie! – rozkazał Scalvati. – To zbyt niebezpieczne!

– Stoimy przed tylnym wejściem, jest otwarte – oznajmił przez głośnik głos posterunkowego Caruso. – Jakie są rozkazy?

– Zawiesić akcję – powiedział szybko Scalvati.

– Odmawiam wykonania rozkazu! – wypalił Costanza. – Czekać na mój sygnał. Może drugi policjant gdzieś się ukrywa. Jeszcze możemy go

wyciągnąć!

– Costanza, do cholery! Proszę się zatrzymać! Nie mamy pojęcia, co się tam dzieje!

– No to zaraz się dowiemy. – Costanza i Tagliaferri dotarli do fasady domu i skoordynowali się wzrokowo przed staniem obok drzwi.

– Rozkazuję panu natychmiast się wycofać!

Costanza go zignorował.

– Caruso, Scognamiglio, wchodźcie od tyłu. My dojdziemy do was od głównego wejścia. Bez odbioru. – Zaczepił radiotelefon o pasek i wychylił się z bramy z wyciągniętą bronią.

Zrobił krok naprzód i zniknął za progiem, a jego śladem podążył po chwili Tagliaferri.

Scalviati nie mógł powstrzymać odruchu złości. Ale zbyt dobrze znał Costanzę, żeby się spodziewać, że zrezygnuje z interwencji. Nie po tym, jak zobaczył na ziemi jednego ze swoich. Nie z Fornasier na intensywnej terapii po wkroczeniu do kina „Statuto”.

– Loiacono, dzwoń do centrali. Niech przyślą tu ambulans i wszystkie patrole na służbie. Tym razem na serio!

Młody aspirant skinął głową. Wsiadł do radiowozu i chwycił radio.

Scalviati z miejsca na ulicy przebiegał wzrokiem podwórze, podczas gdy posterunkowy Di Leo ostrożnie zbliżał się do ciała policjanta skulonego przy fontannie.

Zobaczył, jak pochyła się i wyciąga dłoń do szyi kolegi, żeby sprawdzić puls.

– Di Leo, jaki jest stan rannego?

– Źle z nim, ale jeszcze oddycha – brzmiała odpowiedź.

– Dzięki Bogu.

Ulga trwała przez mgnienie oka. Ranny policjant kilkakrotnie gwałtownie się wygiął, jakby wstrząsały nim konwulsje.

Stoner podszedł do prokuratora.

– Niech pan patrzy. Rusza się!

– Ma pan rację, ale... tu jest coś dziwnego. Co on robi?

Wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego.

Costanza szedł naprzód ostrożnie w półmroku korytarza z bronią wyciągniętą przed siebie. Jego zmysły były wyostrzone, wyczulone na każdy cień, na każdy odgłos, który mógłby oznajmiać zbliżające się zagrożenie. Ale w ciszy dudniły tylko równe kroki jego i posterunkowego Tagliaferri, który kroczył obok niego z wyciągniętym pistoletem, opierając się plecami o ścianę.

Niewielkie schodki prowadziły na piętro. Ruchem głowy Costanza rozkazał Tagliaferriemu iść na górę.

Potem zbliżył się do przymkniętych drzwi z boku, wychylając się na progu, by sprawdzić, co jest w środku.

Był to obszerny salon umeblowany rustykalnie, z kominkiem w głębi. Wśród porozwalanych mebli i pobitego wyposażenia leżało ciało mężczyzny, z twarzą odwróconą do podłogi, z jednym ramieniem wykręconym i odrzuconym w bok, a drugim zaczepionym o kanapę, jakby w momencie, gdy próbował podeprzeć się o nią i wstać, tknął go paraliż. Pod nim rozlewała się kałuża krwi, nasączając dywan z geometrycznym motywem.

Costanza zbliżył się i kopniakiem odsunął pistolet leżący obok ciała. Pochylił się nad nim, chwycił go za ramiona i odwrócił.

Wystarczył rzut oka, by go zidentyfikować. To był Battista Mura, ochroniarz Canu, z którym walczył w Caligoli.

Oczy miał szeroko otwarte, skóra była sina. Zwłoki jeszcze nie zeszywniały i nie do końca ostygły. Zgon nastąpił niedawno.

Ale nie było czasu zastanawiać się, co się stało.

Odgłos kroków na korytarzu kazał inspektorowi schronić się za fotelem z bronią wymierzoną w stronę wejścia. Skulił się w oczekiwaniu, zerkając



zza podłokietnika.

Minęło kilka pełnych napięcia chwil.

Jakaś postać pojawiła się na progu, nieruchomiejąc na widok ciała Mury.

– O, są tu zwłoki.

Rozpoznając głos posterunkowego Caruso, Costanza opuścił pistolet i wstał.

Policjant instynktownie wymierzył pistolet.

– Spokojnie, Caruso. To ja.

Policjant odetchnął z ulgą.

– Wszystko dobrze, inspektorze?

– Ten biedak już nie żył, kiedy wszedłem. Sądząc po tym bałaganie, wygląda na to, że energicznie się bronił.

Aspirant Scognamiglio wyłonił się zza pleców kolegi i wszedł do pokoju.

– Wie pan, kto to jest?

– Żołnierz w klanie Sardyńczyków. Zniknął razem z Canu kilka dni temu. Wy macie coś do zaraportowania?

– Przeszukaliśmy resztę pokoi na parterze. Na razie wszystko spokojnie.

Kiedy Costanza przebiegał wzrokiem krwawe ślady prowadzące do wyjścia z pokoju, rozległ się z góry głos Tagliaferriego.

– Na górę, szybko!

Grupka rzuciła się do schodów. Pierwszy na piętrze był inspektor Costanza.

A to, co zobaczył, nappełniło go zgrozą.

Skulony naprzeciw schodów leżał policjant, wciąż trzymający w ręku broń. Był w pozycji siedzącej, mocno osunięty, z nogami szeroko rozłożonymi i głową przechyloną w bok, opartą o kant ściany. Bluza munduru była rozdarta w kilku miejscach, tam, gdzie przeszły kule, którymi został naszpikowany. Krew nasączyła materiał i rozlała się na podłogę, zabarwiając płytki na czerwono.

Kilka kroków dalej, u wejścia do małego gabinetu, zwłoki drugiego policjanta leżały na ziemi, z ręką wyciągniętą do rewolweru, który znajdował się kawałek dalej, i z plecami podziurawionymi kulami.

– To jest sierżant Foschi – powiedział ledwo dosłyszalnie Scognamiglio.  
– Tamten to podkomisarz Vincenzi. Spotkałem ich dziś rano, zanim wyszli na patrol.

Powietrze było przesycone zapachem krwi i prochu. Costanza nie był w stanie oderwać wzroku od tego widowiska potwornego okrucieństwa. Dobrze znał dwóch poległych policjantów, byli z nim na tyłu akcji. Wiedział, że byli godni zaufania, odważni, także prostolinijni. Foschi miał dwadzieścia dziewięć lat, niedawno stracił ojca i miał narzeczoną, z którą zamierzał się ożenić za rok. Vincenzi miał trzydzieści dwa lata i syna, który za kilka dni miał zacząć podstawówkę. Nie będzie mógł go zaprowadzić na rozpoczęcie roku szkolnego.

Emiliano Foschi i Alessandro Vincenzi mieli przed sobą całe życie. Z pewnością nie wyobrażali sobie, że zostanie zakończone w akcie takiej brutalności, w jakimś zagubionym wśród pól wiejskim domku pod Turynem, w czasie zwykłego patrolu.

– Tu jest jeszcze jeden! – Głos Tagliaferriego doszedł z pokoju w końcu korytarza.

Inspektor wyładował złość waląc pięścią we framugę drzwi. Potem poszedł do sypialni.

Pod oknem, niemal zanurzone we własnej krwi, leżało ciało Salvatora Canu, ze strzelbą w rękę i licznymi ranami postrzałowymi na klatce piersiowej. Twarz była zniekształcona uderzeniem jakimś ciężkim przedmiotem, który rozłupał część czaszki, rozpryskując po szybie krew, kawałki kości i mózgu.

– Chyba rozpętało się tu piekło – powiedział Tagliaferri.

Costanza potrząsnął głową.

– Ci ludzie zostali zaskoczeni i zabici bez stawiania oporu. – Potem odwrócił się do kolegi z przerażeniem na twarzy. – Ale jeśli dwaj policjanci

z patrolu zginęli tutaj, to kim, do kurwy nędzy, jest ten ranny na podwórzu?

Ranny policjant poruszał się konwulsyjnie na oczach zdumionych Scalviatego i Stonera, którzy z daleka mu się przyglądali. Pochylony nad nim posterunkowy Di Leo wydawał się wkładać dużo wysiłku w uspokajanie go.

Ale w tej scenie było coś nie tak.

Tak jakby tamtych dwóch biło się ze sobą. Di Leo poturlał się na ziemię i przez chwilę sprawiał wręcz wrażenie, że chce udusić kolegę.

– Co się dzieje? – krzyknął Scalviati. Zdecydowany, by zainterweniować, rzucił się naprzód alejką; krok za nim biegł Stoner.

Przebiegli połowę drogi, kiedy walka nagle się skończyła. Jeden z policjantów został na ziemi, a drugi szybko się podniósł i zaczął iść w ich kierunku.

To był ten policjant, który utykając wyszedł z domu.

Ale teraz szedł szybko, jakby nie przejmując się ranami. Chociaż krew, którą przesączony był mundur, świadczyła o tym, że powinien być w stanie krytycznym, nie miał najmniejszych trudności w utrzymaniu zdecydowanego, prawie marszowego kroku.

Kiedy był od nich o kilka metrów, Scalviati znieruchomiał.

Zdał sobie sprawę, że ten człowiek wcale nie był policjantem.

I z pewnością nie był ranny. Krew na mundurze prawdopodobnie nie była jego.

Nie, to był ktoś, kogo już kiedyś spotkał. Chociaż wtedy miał na sobie inny uniform.

Ale grubo ciosana twarz i przenikliwe spojrzenie się nie zmieniły, podobnie jak blizna idąca z boku szyi aż pod koszulę.

– Kristof – wyrwało mu się.

Nie miał żadnych wątpliwości, że to ochroniarz z konsulatu amerykańskiego, na którego natknął się w Mediolanie dwa tygodnie wcześniej.

Stoner znieruchomiał, widząc, że przebieraniec podnosi dłoń, w której trzyma pistolet, wymierzając ją w prokuratora.

– *Watch out!* – krzyknął, popychając Scalviatego energicznie ramieniem w stronę radiowozu zaparkowanego przy bramie wjazdowej.

Udało im się ukryć za samochodem, zeszedli z linii strzału w ostatniej chwili.

Przebieraniec strzelił bez najmniejszego wahania. Kula wbiła się w karoserię, wydając dźwięk jakby trzasku rozłupanego orzecha.

Osiłek wycelował na nowo, uzbrojona ręka szybko pobiegła za Scalviatim, szukającym osłony z boku samochodu, potem znów wystrzelił. Boczna szyba rozsypała się na tysiąc odłamków.

Scalviati przeczołgał się w bok, próbując osłonić się kołem.

Stoner skulił się obok niego.

– Kto to jest, u diabła?

– Sam pan powiedział, Stoner – odparł Scalviati. – To jest człowiek-diabeł.

– Ma pan broń?

– Tak. W domu. W sejfie.

– *Damn it.* Ile bym dał za swój rewolwer! – Otarł pot, który osiadł mu się na czole. – Jeśli mamy przeżyć, to może przejdźmy na ty?

– Stoi. – Scalviati położył się ostrożnie, żeby sprawdzić, gdzie jest napastnik.

Sylwetka osiłka pojawiła się za przednią szybą, z wyciągniętym ramieniem i palcem na spuście. Oddał jeden po drugim dwa strzały, rozbijając szybę.

Scalviati i Stoner ledwo zdobili się wyślizgnąć przed kulami, które ze świstem przecinały powietrze koło nich.

Ale te dwie kule były ostatnie. Magazynek się otworzył. Przebieraniec odrzucił broń i rzucił się błyskawicznie na tamtych dwóch. Przygniótł Stonera, zanim tamten mógł zareagować. Spróbował uchylić się przed ciosem, ale nie udało mu się skutecznie obronić.

Kristof chwycił go za kołnierz koszuli i wymierzył mu mocny prosty w twarz. Potem złapał go za kark i zaczął walić jego głową w maskę radiowozu.

Jeden, dwa razy. I znowu.

W odruchu desperacji Scalvianti szarpnął go za bluzę, sprawiając, że zwolnił uścisk.

Stoner potoczył się na ziemię bez życia.

Kristof odwrócił się do prokuratora i chwycił go za gardło, by potem rzucić nim o drzwi samochodu.

Nie przestając patrzeć mu prosto w oczy, wyciągnął nagle nóż z cholewy buta.

Mimo palącego bólu w plecach, Scalviatemu udało się odeprzeć cios. Chwycił Kristofa za nadgarstek dłoni, w której ten trzymał nóż i zbierając wszystkie siły, spróbował go odepchnąć.

Ale jego przeciwnik był zbyt silny. To była niepowstrzymana maszyna, jego furia nie znała zmęczenia.

Scalvianti czuł, że nacisk staje się nie do wytrzymania. Jak długo jeszcze wytrzyma?

– To ty! – warknął. – To zawsze byłeś ty!

Twarcz Kristofa wyciągnęła się w złowrogim rechocie. Nie powiedział słowa, siłując się, by pokonać opór Scalviatiego i zatopić nóż w jego piersi. Ten moment zbliżał się coraz bardziej.

Prokurator poczuł przez koszulę zimne ukłucie metalowego ostrza.

„To koniec”, pomyślał.

Umysł pomknął do twarzy Grety, do tego zdjęcia zrobionego za kulisami, na którym uśmiechała się i wyglądała na nieobecną,

z nieuchwytnym, może marzącym spojrzeniem, jak gdyby schroniła się gdzieś we wnętrzu siebie, gdzie nic nie mogło jej dotknąć.

– Puść go! – jakiś głos rozległ się w ciszy.

Kristof się odwrócił.

Loiacono stał nieruchomo kilka metrów od niego. Trzymał oburącz rewolwer, palec miał na spuście, ciało naprężone.

– Puść go albo strzelam!

Korzystając z chwili nieuwagi napastnika, Scalviati odepchnął go i wywinął się spod noża.

Kristof zatoczył się do przodu, ale w następnej chwili znów był gotowy do ataku.

Loiacono bez wahania wystrzelił.

Kula trafiła Kristofa w ramię, postrzelony jęknął chrapliwie.

Mężczyzna z blizną odwrócił się w stronę policjanta, na jego twarzy nie było śladu człowieczeństwa. Był tylko gniew i instynkt zabójcy.

Zaczął biec, by pokonać dystans do Loiacono, trzymając w pięści nóż, jakby był przedłużeniem jego ciała.

Przez chwilę wydawało się, że młody aspirant przestraszył się agresji przeciwnika.

Że się zawahał.

Nigdy wcześniej nie brał przecież udziału w strzelaninie. Nigdy nie strzelał do innego człowieka, tylko do sylwetek na strzelnicy, gdzie spędzał większą część wolnego czasu.

Zawsze mówił, że pozwala mu to wyładować nerwy po najcięższych zmianach.

Od lat miał najwyższe wyniki z całej komendy.

Teraz uważny obserwator zdałby sobie sprawę, że po prostu mierzył, by nie chybić strzału, który zadecyduje o życiu i śmierci. Bo w starciu bezpośrednim osiłek z pewnością by go pokonał.

Problemem nie była tylko odległość, ale i fakt, że cel się poruszał.

Loiacono wstrzymał oddech w płucach tak, by lufa jego broni dokładnie pokryła się z celownikiem.

I nacisnął spust.

Wystrzał rozpruł powietrze.

Kula utkwiała w czole Kristofa.

Kiedy Costanza i inni policjanci wybiegali z domu, krzycząc coś niezrozumiale, tamten wyprężył się konwulsyjnie, jak porażony prądem pod wysokim napięciem.

Nóż wypadł mu z ręki.

Ciało, choć pozbawione już sił życiowych, wykonało jeszcze kilka niepewnych, chwiejnych kroków, by wreszcie paść twarzą do ziemi u stóp Loiacono.

I znieruchomiało.



Leda wsunęła klucz do zamka z kłującym niepokojem w brzuchu. Od ponad doby nie wchodziła do swojego mieszkania.

– To zbyt ryzykowne – powiedziała sobie.

Ale postanowiła wpaść na moment, by wziąć notatki ze śledztwa prowadzonego pod przykrywką, żeby sprawdzić kilka rzeczy. Teraz, znając nazwiska osób zamieszanych w biznes, była gotowa napisać reportaż, który zdemaskuje ich odpowiedzialność.

Giulia opowiedziała jej, że została zrekrutowana przez pracownika przychodni, do której chodziła. Ale za wszystkie sznurki pociągał adwokat, były kandydat w wyborach regionalnych, i przedsiębiorca budowlany robiący regularnie interesy z klanem Canu.

Pocieszał ją fakt, że ich związki z turyńskim dobrym towarzystwem na nic się nie zdadzą, kiedy jej historia wreszcie ujrzy światło dzienne.

Kiedy Leda wkroczyła na korytarz, zrozumiała, że dobrze zrobiła, spędzając noc poza domem. Powietrze w domu pachniało inaczej niż zazwyczaj.

Na podłodze leżały rozrzucone kartki maszynopisu, przeniesione z pokoju do pokoju jakby podmuchem silnego wiatru. Od razu je rozpoznała, były na nich notatki i szkice kilku artykułów, które pisała w poprzednich dniach.

Przez chwilę nasłuchiwała podejrzanych odgłosów. Miała ochotę odwrócić się i uciec. Ale przełknęła strach i wstrzymując oddech, podeszła do drzwi swojego gabinetu.

W pierwszej chwili nie była w stanie wejść. Stanęła na progu patrząc na chaos panujący wewnątrz.

Krzesła były powywracane. Szuflady przekopane, ich zawartość wywalona na ziemię. Maszyna do pisania została przestawiona, z biurka zmieciono na podłogę wszystkie papiery oraz książki, gazety, zdjęcia, ołówki i długopisy. Nawet rachunki zostały przejrzone.

Ktoś grzebał w jej rzeczach w poszukiwaniu informacji o niej i o tym, nad czym pracowała.

Ktoś, kto chciał się dowiedzieć, co ona wiedziała. I żeby to zrobić, nie zawahał się wejść do jej mieszkania.

W podświadomym skojarzeniu wróciła do momentu, kiedy minęła się z mężczyzną przebranym za policjanta w bramie bloku Diego Capaldiego.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Co by się stało, gdyby była w domu w momencie najścia? Jak potoczyłoby się wszystko, gdyby nie miała dość refleksu, by zwrócić się do Ludwiga z prośbą o gościnę? Czy skończyłaby jak Capaldi?

W rogu stał telefon z migającym sygnałem automatycznej sekretarki.

Leda nacisnęła klawisz, żeby odsłuchać wiadomości.

Było ich cztery, wszystkie od Enrica Loi.

W ostatniej mówił podniesionym tonem.

– Leda, do cholery, jesteś potrzebna. Gdzie ty, kurwa, jesteś?! Złapali potwora, oddzwon, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość!

Była jedenasta przed południem w sobotę 10 września, kiedy prokurator Bevilacqua skończył przemówienie. W auli prokuratury, gdzie odbywała się konferencja prasowa, rozległ się zgiełk rozemocjonowanych głosów. Większość obecnych dziennikarzy skoczyła na nogi, by zadać pytanie, wywołując rwetes, w którym każdy próbował przekrzyczeć pozostałych. Utrzymanie porządku przez strażników nie było proste.

Wszyscy chcieli dowiedzieć się więcej o okolicznościach, które doprowadziły do zabicia potwora, w trakcie operacji, która kosztowała życie dwóch policjantów. Di Leo na szczęście miał tylko wstrząśnienie mózgu, choć nadal pozostawał na obserwacji na oddziale traumatologii szpitala Umberto I.

Gdy inspektor Costanza wymachiwał rękami, by wprowadzić ład w pytania dziennikarzy, Leda skorzystała z zamieszania, by wyjść z sali. Z udawaną swobodą, by nie wzbudzić podejrzeń strażników, przeszła przez hall trybunału i ruszyła na schody.

Było coś, co jej nie przekonało, w sposobie, w jaki Bevilacqua prowadził konferencję. Począwszy od tego, że przy stole brakowało urzędnika odpowiedzialnego za dochodzenie, młodszego prokuratora Francesco Scavatiiego. Z czego wynikała jego nieobecność? Może nie zgadzał się z oficjalną wersją prokuratury?

Leda wiedziała, że trwa jeszcze rozpracowywanie szczegółów, ale w rekonstrukcji Bevilacqua było zbyt wiele niejasnych miejsc.

Potworem miał być Kristof Leigh-Allen, weteran z wojny w Wietnamie, zatrudniony jako pracownik ochrony w konsulacie amerykańskim. Miał on działać w porozumieniu z Salvatore Canu, jednym z głównych przedstawicieli zorganizowanej przestępczości, do którego działalności wliczał się handel narkotykami, hazard i czerpanie korzyści z prostytucji.

Canu miał posłużyć się Allenem, by eliminować osoby niewygodne dla jego działalności, a za kamuflaż miały służyć praktyki rytualne, mające zmylić śledztwo.

Spór między dwoma przestępcami miał stać się podłożem konfliktu, w którym w końcu zmierzyli się ze sobą.

Samochód Allena, ciemnoniebieski mercedes, był zaparkowany w pobliżu wiejskiego domu, w którym ukrywał się Salvatore Canu. W schowku znajdowało się radio, przez które można było odsłuchiwać pasmo policji, co pozwoliło mu ustalić miejsce pobytu dawnego współnika, gdy ruszył śladem patrolu wysłanego na kontrolę.

Według Bevilacqua, Allen był pod wpływem traumy wojennej po okrucieństwach, jakich był świadkiem. Niezrównoważony psychicznie po powrocie z frontu nie był w stanie przystosować się do życia w cywilu. Z konsulatu nadszedł oficjalny komunikat mówiący o wstrząsie po otrzymanej wiadomości i o gotowości do wszelkiej współpracy z prokuraturą i policją w ostatniej fazie dochodzenia.

Bevilacqua nie wspomniał słowem o możliwym zamieszaniu w sprawę Diego Capaldiego i Giorgio Marchesiniego. Ani tym bardziej o eksplozji w kinie „Statuto”; za jej przyczynę uznano w suchym komunikacie z prokuratury niesprecyzowany wypadek w czasie rutynowej inspekcji.

Jednak Leda miała powody, by uważać, że coś zamiata się tu pod dywan. Poprzedniego wieczoru Enrico Loi powiedział jej, że nawiązał kontakt ze strażakiem, który udzielał pomocy technicznej policjantom przy wejściu do dawnego kina. Wyjawiał mu, że było to przeszukanie z prawdziwego zdarzenia, a policja szukała komputera powiązanego z działaniami potwora.

Loi twierdził, że w tym komputerze musiały być tak kompromitujące informacje, że morderca postanowił chronić je ładunkiem wybuchowym.

Allen miał na sobie mundur policyjny, gdy znaleziono go w posiadłości Salvatora Canu. Leda była pewna, że to on, w przebraniu policjanta, o mało na nią nie wpadł przy domu Capaldiego.

Nie widziała jego twarzy, ale rozpoznała jego sylwetkę na zdjęciu pokazanym na konferencji prasowej. To on musiał usiłować zabić Giulię i wejść do jej mieszkania. Gdyby Leda miała wątpliwości co do niebezpieczeństwa, na jakie była narażona, teraz ostatecznie by się one rozwiały.

Szybko przemierzyła puste korytarze prokuratury. Kiedy dotarła przed drzwiami biura Scalviatego, weszła bez pukania.

Choć nie były to godziny pracy, to prokurator siedział przy biurku. Widząc, jak dziennikarka pojawia się na progu, przerwał rozmowę z mężczyzną siedzącym naprzeciwko niego, eleganckim typem, którego Leda nigdy nie widziała.

Ten ostatni wyciągnął do niej rękę.

– Leda De Almeida, jak przypuszczam.

Po prostu przytaknęła.

– Wiele o pani słyszałem. Nazywam się Isaak Stoner, jestem agentem FBI.

– Przychodzi pani bardzo w porę, De Almeida – powiedział Scalviati. – Zamierzałem sam do pani zadzwonić po zakończeniu konferencji prasowej.

– Naprawdę?

– Tak na początek: wątpię, żeby łyknęła pani oficjalną rekonstrukcję wydarzeń.

– Wydawała mi się mocno uproszczona. Ale najbardziej zdziwiła mnie pana nieobecność na konferencji, prokuratorze.

– Odmówiłem wzięcia udziału. Z szacunku do dwóch policjantów brutalnie zamordowanych na służbie i do wszystkich innych ofiar. Ale również dlatego, że odpowiadam przed obywatelami za ustalenie prawdy. Nie mogę się zgodzić na to, żeby seryjny zabójca zachował dobrą twarz po tym, jak siał w naszym mieście śmierć i przestrah.

– Wyobrażam sobie, że Bevilacqua nie był uszczęśliwiony.

– Zdaję sobie sprawę z konsekwencji. Ale muszę doprowadzić przestępcę przed sąd. Sieć współpracy wokół historii potwora jest znacznie szersza, niż władze chcą wmówić ludziom. Chociaż nie ma wątpliwości, że Kristof Leigh-Allen technicznie dokonywał zbrodni, to był ktoś inny, kto się nim posługiwał. I z pewnością nie był to Salvatore Canu.

– Skąd ta pewność?

– Profil kryminalistyczny potwora nie zgadza się z profilem Allena – powiedział Stoner.

– Profil kryminalistyczny?

– Pracuję, rekonstruuując cechy psychologiczne i społeczne seryjnych morderców na podstawie miejsc zbrodni.

– I Allen nie odpowiada temu profilowi?

– Niech pani sama sprawdzi. Tutaj jest wszystko. – Stoner wręczył jej dokument z profilem potwora.

Leda zatrzymała się na pseudonimie „Zenit”.

– Sądźcie, że seryjny morderca zaginiony piętnaście lat temu przeprowadził się do Włoch?

Scalviati lekko się uśmiechnął.

– Jak zwykle świetnie przygotowana.

– Mówił mi o tym mój redaktor prowadzący. Pisał wtedy reportaż o tej sprawie. Nie umknęło mu, że jednym z symboli zaszyfrowanego kodu, który kazał mi pan opublikować, był znak, za pomocą którego Zenit ogłaszał, że jest mordercą. A rozwiązanie zagadki wskazuje na trzy miasta tak zwanego trójkąta zła: Turyn, Londyn i San Francisco.

– Między 1975 a 1983 Kristof Leigh-Allen był pracownikiem ochrony ambasady amerykańskiej w Londynie. W tym samym czasie miało tam miejsce kilka morderstw podobnych do tych w Turynie w ciągu ostatnich dwóch lat.

– I czy to nie wzmacnia tezy Bevilacqua?

– Nie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że morderstwa popełnił ten sam człowiek, który zabijał w San Francisco między 1969 a 1972.

– Zenit – uściśliła Leda.

– Dokładnie – powiedział Stoner. – W tamtym czasie Allen znajdował się w Sajgonie, gdzie służył w *Screaming Eagle*.

– Więc Allen imituje Zenita?

– Raczej jest jego uczniem – odparł Stoner. – Według jednego z napadniętych, który przeżył, Zenit jest człowiekiem średniego wzrostu, mniej więcej 1,75 metra. Ale według ekspertyzy balistycznej doktora Di Cary potwór ma co najmniej 1,85 metra.

– To wysokość Kristofa Leigh-Allena.

Scalviati skinął głową.

– Nasza hipoteza jest taka, że Zenit odpowiada osobiście za morderstwa w San Francisco i Londynie, a Allen pojawił się dopiero w trakcie, jako wykonawca morderstw w Turynie.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Ponieważ Zenit w tym czasie zaczął cierpieć na szybko postępującego parkinsona, co nie pozwalało mu utrzymać broni. I znalazł w Allenie wiernego sojusznika w realizacji swojego śmiertelnośnego projektu.

– Fascynująca teoria.

– Znamy już tożsamość Zenita. Wraz z agentem Stonerem zrekonstruowaliśmy jego posunięcia od San Francisco, przez Londyn, aż do Turynu. – Scalviati przybrał stanowczy wyraz twarzy. – I z pani pomocą zamierzam wyciągnąć go na światło dzienne.

– Z moją pomocą? – wypaliła Leda. – Jestem reporterką. Nie wiem, jak...

– Dojdziemy do tego. Jednak wcześniej muszę zapoznać panią z informacjami, jakie zebraliśmy do tej pory, konfrontując się z kolegami agenta Stonera w centrali FBI.

– To była długa noc – dodał tamten.

– Słucham.

– Według profilu Zenit jest w wieku 45–50 lat. Odebrał wysokie wykształcenie i ma prestiżową pozycję społeczną.

– Kristof Leigh-Allen miał 38 lat i nawet nie skończył szkoły średniej – dodał Stoner. – W wieku 19 lat zaciągnął się jako ochotnik i pojechał do Wietnamu. Został zwolniony w 1973 po tym, jak został ranny w boju.

– W 1975 dzięki wstawiennictwu przełożonego Allen został zatrudniony w Departamencie Stanu i wysłany na służbę jako ochroniarz do ambasady amerykańskiej w Londynie – ciągnął Scalviati. – To tutaj poznał Davida Terrazzano, funkcjonariusza związanego z CIA. Allen stał się jego najbardziej zaufanym współpracownikiem. Pomiedzy nimi narodziło się potworne braterstwo, które będzie trwało przez następne lata.

– David Terrazzano to Zenit?



– Odpowiada profilowi zarysowanemu przez agenta Stonera. Ma 1,75 metra wzrostu. Urodził się i mieszkał w San Francisco, gdzie był studentem Stanforda. Ma prestiżową pozycję społeczną: jest sekretarzem w konsulacie amerykańskim w Mediolanie. I był w każdym z tych miast w okresie, w którym miały miejsce morderstwa.

– Mimo wszystko to mało, żeby go oskarżyć, nie uważa pan?

Zanim Scalviati odpowiedział, pochylił się, żeby wziąć do ręki oprawione w ramki zdjęcie, które stało z boku biurka.

– Poznaje pani?

Lena wytrzeszczyła oczy.

– To zdjęcie zrobił mój syn pająkom na moście Wiktora. Doktor Di Cara był nim tak zafascynowany, że poprosił, żebym mu je sprzedała.

– Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy, pomyślałem, że kryje się w nim coś ważnego. Ale musiało minąć trochę czasu, zanim zrozumiałem, że chodzi o samochód, który pojawia się w kadrze. – Pauza. – To zdjęcie zostało zrobione w nocy 26 sierpnia, kilka minut po morderstwach w Pian del Lot. Pani syn sfotografował nieświadomie samochód mordercy.

Ta myśl była tak wstrząsająca, że Leda wstrzymała oddech.

– Carlos... spotkał mordercę?

– Proszę spojrzeć na tablice – kontynuował Scalviati. – Nie widzi tu pani czegoś dziwnego?

Leda zbliżyła się, by lepiej widzieć. Obraz był słabo widoczny i ciężko było rozróżnić szczegóły, ale jedno było pewne: to nie była zwykła rejestracja.

– To rejestracja dyplomatyczna.

Scalviati skinął twierdząco.

– Pierwsze litery to CC, oznaczające pojazdy z korpusu konsularnego. Trzy numery w centrum nie są czytelne z powodu oddziaływania światła reflektorów, ale kod SF, który jest widoczny po prawej, odpowiada konsulatu amerykańskiemu. Pytanie brzmi: co robił samochód z konsulatu w okolicy miejsca zbrodni w nocy, kiedy zabito Monicę Ferretti i Paola Ginestrę?

– Chce mi pan powiedzieć, że ktoś z korpusu konsularnego skorzystałby z samochodu służbowego, żeby popełnić morderstwo?

– Nie jest to aż tak absurdalne, jak się nad tym zastanowić. Poruszanie się samochodem dyplomatycznym pozwalało mu uniknąć wszelkich kontroli.

– A nie mógł to być Allen?

– Tylko funkcjonariusze konsularni mogą dysponować pojazdami. Allen był po prostu ochroniarzem. Ryzykowałby sankcję dyscyplinarną, gdyby go zastano w tym samochodzie.

– Pogrzebaliśmy w przeszłości Davida Terrazzano i jest kilka elementów, które łączą go z Zenitem – wtrącił Stoner. – Legenda

o trójkącie zła jest typowo włoska, właściwie nieznana za granicą, nawet w miastach, których dotyczy. Ja sam poznałem ją dopiero, gdy przebywałem w Turynie już od jakiegoś czasu. Ojciec Davida, Joe Terrazzano, był włoskim imigrantem, który zrobił karierę w sektorze telekomunikacyjnym, gromadząc spory majątek. Zmarł przed pięćdziesiątką na raka śledziony. David miał osiem lat, kiedy u ojca zdiagnozowano nowotwór. Jedenaście, kiedy odszedł. Sprawdziliśmy wszelkie szczegóły, które mogłyby pozwolić zrozumieć jego motywacje, nawet te pozornie bez znaczenia.

– Czyli?

– W noc, kiedy zmarł jego ojciec, była pełnia księżycy. – Stoner wyciągnął z teczki wyblakłe zdjęcie kobiety o zrezygnowanym wyrazie twarzy i zgaszonych oczach. – Matka, Angela, miała słabe nerwy i po śmierci męża miała poważne problemy psychiczne. Kiedy zabrano ją do szpitala psychiatrycznego niedaleko Zatoki San Francisco, David został powierzony rodzinie wuja. Wydaje mi się, że sytuacja w tamtym domu była bardzo trudna. Wuj był przemocowy i autorytarny, został aresztowany kilka miesięcy przed tym, jak David poszedł do college'u: o mało nie zabił żony w trakcie kłótni. W 1962 zwłoki wuja znaleziono na plaży, zabito go z pistoletu. Nigdy nie znaleziono broni, z której padły strzały. Brano pod uwagę napad, ale sprawa nie została rozwiązana.

– Myślicie, że to był Terrazzano?

– W dzieciństwie seryjnych morderców często powtarzają się traumatyczne wydarzenia i doznawanie przemocy. Nie możemy się dowiedzieć, co myślał Terrazzano, kiedy mieszkał z wujem, ale to doświadczenie musiało go głęboko naznaczyć. Moja hipoteza jest taka, że z czasem zaczął sublimować morderstwami nigdy nieprzepracowane rany z dzieciństwa.

– Przeróżające.

– Kiedy uczęszczał do college'u miały tam miejsce napaści na kilka jego kolegów. W 1964 jedna z nich została brutalnie zamordowana w czasie powrotu do dormitorium. Inna ocalała tylko dlatego, że swoimi krzykami

zdołała sprowadzić strażnika. Oba wydarzenia miały miejsce przy pełni księżyca. Opis napastnika zgadza się z wyglądem Terrazzano, chociaż wtedy nic nie skłaniało śledczych, by go podejrzewać: wzorowy student z nieskazitelnym przebiegiem studiów.

– Śmierć podążyła za Terrazzano jak cień – skomentował Scalviati. – Z biegiem lat staje się coraz bardziej skrupulatny i niszczyielski, rozwija swój sposób działania, planując napaści coraz bardziej drobiazgowo.

– Według moich kolegów z FBI pierwsze kontakty Terrazzano z CIA miały miejsce, gdy był w college'u: miał rekrutować ludzi, na których robiono eksperymenty w projekcie MK-Ultra. W 1967 po skończeniu prawa został zatrudniony w kancelarii prawnej w Bay Area. Pięć lat później wyjechał do Londynu, gdzie pełnił funkcję sekretarza ambasady amerykańskiej. Tam poznał Kristofa Leigh-Allena.

– Uważamy, że po raz pierwszy Terrazzano i Allen współpracowali przy okazji dwóch podwójnych morderstw dokonanych w stolicy Anglii między 1975 a 1976 – powiedział Scalviati. – To Terrazzano zabił dwie pary dzieciaków. Potem posłużył się Allenem, by zmylić śledztwo. Kazał mu wyeliminować głównego podejrzanego, symulując jego samobójstwo.

– Jak z Capaldim i Marchesinim – szepnęła Leda, a pamięć zaprowadziła ją do momentu, kiedy przerażona pędziła do Giulii, bojąc się, że nie zdąży, zanim przebrany policjant uciszy także i ją.

– Stali się nierozłączni. Allen jedzie za Terrazzano do Nikaragui w 1984, kiedy tamten został przeniesiony do ambasady w Managua. Według wewnętrznego źródła z FBI ich zadaniem było szkolenie w imieniu CIA oddziałów *contras*, bojówek finansowanych przez Reagana, które miały sabotować rewolucję sandinistowską.

– *Contras* zasłynęli jako sprawcy masakr ludności cywilnej, tortur, gwałtów – wypaliła Leda. – Dwa lata temu Trybunał Międzynarodowy skazał Stany Zjednoczone za zbrodnie dokonane w Nikaragui.

– To ciemna strona naszej historii, nie jestem z niej dumny – przyznał Stoner.

– W listopadzie 1986 Terrazzano i Allen zostają wysłani do konsulatu we Włoszech. Nie mija wiele czasu, a ma miejsce pierwsze morderstwo, w nocy 13 lutego 1987 w parku Valentino. To znacząca data: czwarta rocznica tragedii w kinie „Statuto”.

– Terrazzano nie miał chyba nic wspólnego z pożarem? W tamtym czasie był w Londynie.

– Nie, oczywiście nie. Ale ta tragedia musiała pobudzić jego wyobraźnię, do tego stopnia, że postanowił stworzyć sieć pomocników, rekrutując ich z ludzi związanych ze zorganizowaną przestępczością albo odwołując się do najgorszych instynktów ludzi poza podejrzeniami, takich jak Marchesini. Nieprzypadkowo sztab organizacji znajdował się właśnie w miejscu tamtej masakry.

– Dobrze, ale czego on chce?

– Siał chaos – odparł Stoner. – Czuć w powietrzu strach, kiedy pada jego imię.

– W liście określa siebie jako łowcę ludzi – dodał Scalviati. – Jego głód krwi jest nienasycony. Zabijanie jest dla niego czymś więcej niż zwykłym impulsem. Jest jego powołaniem.

– Uważam, że Terrazzano cierpi na narcystyczne zaburzenie osobowości – powiedział Stoner. – Wybór pseudonimu „Zenit” wiele o nim mówi: w ten sposób ogłasza swoją rolę w świecie, wyższość w stosunku do zwykłych ludzi, których uznaje za ofiary, poluje na nich. A im bardziej pasjonujące jest polowanie, tym więcej satysfakcji z niego czerpie. Z tego powodu w Turynie zaczął wybierać ofiary według bardziej skomplikowanych kryteriów niż wcześniej.

– Kino „Statuto” jest dla niego czymś w rodzaju symbolicznego centrum zła, z którego promieniuje jego wpływ na całe miasto – powiedział Scaviati. – Tutaj zaczął gromadzić krąg naśladowców, korzystając z innowacyjnego systemu telematycznego, którego komunikację bardzo ciężko przechwycić.

Leda przypomniała sobie słowa Enrica Loi, kiedy wspominał o komputerze, którego śledczy szukali w budynku.

– Więc Canu i Marchesini nawiązali z nim kontakt przez komputer.

– Stacja, z którą się kontaktowali, znajdowała się w kabinie kinooperatora. Nikt nie wyobrażał sobie, że może być chroniona ładunkiem wybuchowym, przy którego eksplozji została ciężko ranna nasza policjantka.

– Więc to nie był wypadek?

– W żadnym razie. Niestety, nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko przyjąć do wiadomości decyzję prokuratora okręgowego, by zminimalizować ten incydent. Według niego chodziło o to, by nie otwierać w mieście starych ran.

– Czy to możliwe, że nikt nigdy się nie zorientował, że w kinie „Statuto” jest komputer?

– Od czasu tragedii nikt tam nigdy nie wchodził. Żeby stacja mogła działać, Terrazzano zamówił wykonanie pirackiej instalacji elektrycznej w podziemiach budynku, posługując się nieświadomym niczego pomocnikiem: Lorenzem Colucci, który w 1983 ocalał z pożaru razem ze swoją ówczesną dziewczyną, Lindą Frasso. Przesłuchaliśmy jego kolegów z pracy. Opowiedzieli, że w pierwszych miesiącach zeszłego roku z Coluccim skontaktował się tajemniczy biznesmen, oferujący mu dobre wynagrodzenie za jakąś pracę, której szczegółów nigdy nie poznali.

– Linda Frasso? Dziewczyna zabita w parku Valentino?

– Zenit uwielbia przetasowywać karty, ustanawiać relacje między ofiarami, nasycając swoje przedsięwzięcia dodatkowymi znaczeniami. Jego napaści nigdy nie są przypadkowe, są owocem starannego planowania. Zlecił zabicie nie tylko Lindy i jej nowego chłopaka, ale i zaaranżowanie wypadku, w którym zginął Colucci. W kieszeni stroju roboczego Lorenza znaleźliśmy nabój kaliber .22, tego samego typu, którego używał potwór. Identyczną kulę znaleziono w szufladzie w domu Marchesiniego. Nasza hipoteza jest taka, że pociski są zapłatą za współpracę z Zenitem. Świadomą lub nie.

Leda dała sobie chwilę na zastanowienie.

– Mówiliście wcześniej o jakiejś formie parkinsona, na którą ponoć cierpi Terrazzano.

– Otrzymaliśmy jego dokumentację medyczną – odparł prokurator. – Ale miałem też okazję poznać go osobiście. Po morderstwach w Pian del Lot pojechałem do konsulatu, prosząc o wyjaśnienia dotyczące obecności Stonera we Włoszech. Oczywiście Terrazzano skorzystał z okazji, by zasiać wątpliwości co do prawości intencji swojego rodaka, próbował go zdyskredytować i uniemożliwić jego zaangażowanie w śledztwo. Przy tej okazji zauważyłem, że trzęsą mu się ręce. Na początku myślałem, że jest po prostu nerwowy, teraz jestem przekonany, że jego stan się pogarsza.

– Również dlatego posługuje się innymi, żeby popełniać morderstwa – sprecyzował Stoner. – Oglądanie agonii ofiar sprawia mu przyjemność, nawet jeśli nie on sam zabija. Chce dzielić się tą potwornością, ale nie

tylko. Myślę, że popełnianie rytualnych morderstw jest częścią jakiegoś szalonego projektu uzdrowienia.

Leda nie mogła zaprzeczyć, że rekonstrukcja Scalviatego i Stonera jest spójna, ale wiedziała, że żadna z tych informacji nie wystarczy, żeby oskarżyć Terrazzano. Tym bardziej, że jedyna osoba, która mogłaby przeciwko niemu zeznawać, Kristof Leigh-Allen, leżała zamknięta w kostnicy.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że mam panu pomóc wyciągnąć go na światło dzienne?

Scalviati odetchnął głęboko.

– Na początku przyszłego tygodnia prokurator spotka się z delegacją konsularną. To w zasadzie formalność, symboliczny gest ze strony zagranicznych władz pokazujący ich transparentność i wolę współpracy. Wszyscy bardzo chcą mieć już za sobą tę straszną historię i nie pozostawiać niedomówień, które rzucałyby cień na stosunki między naszymi państwami. Mam powody, by sądzić, że Terrazzano, jako sekretarz konsularny, będzie członkiem delegacji.

– Dobrze, ale jaka ma być moja rola?

– Ta, którą zna pani najlepiej, De Almeida. Ta, z której jest pani znana wśród wszystkich czytelników pani gazety: powiedzieć prawdę.

– Prawdę? – dopytała Leda. – Czy *pańską* prawdę, prokuratorze Scalviati?

Prokurator nie stracił rezonu.

– Rozumiem pani nieufność, nie zamierzam wywierać presji. Faktycznie, za moimi twierdzeniami nie stoi żaden bezpośredni dowód. Ale to i tak nie robi różnicy. Nie mógłbym wystąpić przeciwko niemu z oskarżeniem, nawet gdybym miał niepodważalne dowody, bo ma immunitet dyplomatyczny.

– Jednak sytuacja by się zmieniła, gdyby znalazł się na amerykańskiej ziemi – wtrącił Stoner. – Tam można by go ścigać jak zwykłego obywatela. Zapewniam panią, że moi koledzy z FBI gromadzą wystarczająco dużo poszlak, by postawić go przed sądem za morderstwa Zenita.



– To z pewnością ryzykowne – powiedział Scaviati. – Ale jeśli zasugerujemy, że mamy coś, co może go przyszpilić, to Departament Stanu może zdecydować o odwołaniu go do kraju, żeby uniknąć skandalu.

– Coś macie. Zdjęcie Carlosa.

– Nie muszą wiedzieć, co to jest. Proszę pamiętać, że to, co pani powiedziałem, ma charakter ściśle poufny.

Leda z uwagą wpatrywała się w twarz prokuratora. W jego spojrzeniu dostrzegła jakąś nutę zakłopotania. Było oczywiste, że ten impas podważa jego zaufanie do instytucji władzy sądowniczej. Bo jak zatrzymać seryjnego zabójcę, jeśli nie można go ścigać?

Francesco Scaviatiego nie było łatwo przejrzeć. Do tego momentu Leda uważała go za pragmatycznego, nieco sztywnego urzędnika. Teraz musiała przyznać, że posiada wyjątkowo rzadką zaletę: elastyczność myślenia.

Był w stanie twórczo zareagować na niesprzyjające okoliczności. Chociaż, mimo że starał się tego nie okazywać, musiał uznawać za osobistą porażkę konieczność wymyślania podstępów, by zatrzymać Terrazzano.

I było coś jeszcze. Jakiś ukryty ból, jakieś oznaki nieobecności w uciekającym spojrzeniu i chwilowych zmianach wyrazu twarzy.

Leda nie mogła wiedzieć, co go dręczy, ale poczuła w stosunku do niego silną empatię, mając podświadomie nadzieję, że uda mu się znaleźć to, czego szuka.

– Wykonaliście swoją robotę – powiedziała, wkładając do torby profil potwora. – Ja teraz zrobię swoją.

W odróżnieniu od triumfalnych tonów, w jakich większość krajowych dzienników ogłaszała śmierć potwora, „La Stampa” w tytule głównego artykułu w niedzielnym wydaniu zadała niepokojące pytanie: „Czy to naprawdę koniec?”.

Zdjęcie zakrytych zwłok Kristofa Leigh-Allena i jego fotografia z dokumentu tożsamości zajmowały środek pierwszej strony.

W artykule De Almeida przypominała od początku historię potwora, rozpatrując szczegóły każdej napaści i okoliczności, w jakich miały miejsce.

Nie wahała się zakwestionować oficjalnej wersji prokuratury, sugerując, że nie wszystkie możliwe scenariusze zostały należycie wzięte pod uwagę. Poczynając od podejrzanych śmierci osób powiązanych z ofiarami.

Domniemanemu samobójstwu Diego Capaldiego poświęciła długi akapit, po raz pierwszy zdradzając czytelnikom, że to ona znalazła jego zwłoki w trakcie śledztwa na temat zorganizowanej prostytucji.

W ostatnich zdaniach pisała, że zbyt wiele niejasnych punktów każe podejrzewać, że ktoś inny pociągał za sznurki w tej historii, a Kristof Leigh-Allen i Salvatore Canu byli tylko pionkami na planszy, której kształt pozostaje nieznany.

Scalviati skończył czytać i odłożył gazetę na miejsce pasażera. De Almeida dotrzymała słowa. Nie wytoczyła jeszcze najcięższych dział, ale na to był jeszcze czas. Trzeba było działać stopniowo, tak, by nie osłabiać presji wobec konsulatu.

Wysiadł z samochodu. Podeszedł do bramy willi rodziców Grety i z pewną obawą zadzwonił domofonem.

Gdy usłyszał głos żony, serce w nim zamarło. Niepokój ścisnął go w piersi, sprawiając, że dłonie pocily mu się tak, jak nie działało się to nawet na początku ich znajomości.

– Jesteś przepiękna – powiedział, kiedy stanął naprzeciw niej. Była czarująca jak zawsze, w nieskazitelnej jedwabnej sukience, która miękko spadała do kolan i ze szminką perfekcyjnie wypełniającą linię ust, odcinającą się od jasnej karnacji.

– Przestań – odparowała. – Nie mogę już patrzeć w lustro bez obawy, że je rozbiję.

Po przywitaniu się z matką Greta Scalviati poszedł za żoną do salonu. Chciał zachowywać się swobodnie. Ale patrząc na nią, czuł, że nie dorasta jej do pięt.

– Więc jak się czujesz?

– Mama bardzo o mnie dba. Aż za bardzo. – Zawahała się, jakby rozproszył ją jakiś niespodziewany odgłos. – Ale prawda jest taka, że jestem przerażona. Boję się, że nie jestem gotowa.

– Nigdy nie jest się gotowym na to, żeby zostać rodzicami. Zostaje się nimi i tyle.

– Jeśli coś by poszło nie tak w trakcie porodu, to...

– Wszystko pójdzie dobrze – zapewnił ją. – Będę cię trzymał za rękę.

Z twarzy Greta opadło napięcie, pozwoliła sobie na uśmiech.

– Tak będzie lepiej. Potrzebuję, żebyś tam był, już za często o mnie zapomniałeś. Powiem, żeby do ciebie zadzwonili, kiedy przyjdzie czas, więc bądź gotów.

– Będę na pewno. – Z pewnym wahaniem wyciągnął rękę do jej brzucha.

Wzięła ją i położyła na łonie.

– Spokojnie. Myślę, że twojej córce spodoba się, że czuje twoją bliskość.

Gdy tylko Scalviati dotknął brzucha, miał wrażenie, że mała fiknęła koziołka.

– Kopnęła!

– Pewnie poznała tatę. Wiesz, mówią, że dzieci w brzuchu nas słyszą. Kiedy byłam sama w domu, czasem z nią rozmawiałam.

– Obawiam się, że nie dość często słyszała mój głos.

– To znaczy, że będziesz musiał się postarać, żeby to odpracować.

– To wszystko powinno pójść inaczej. Powinienem był wziąć urlop, żeby być pewnym, że niczego ci nie brakuje. Spędzić w domu ostatnie dni przed porodem, zajmować się urządzaniem jej pokoiku.

Na początku nie zabrali się do tego, trochę żeby nie zapeszać, a trochę z poczucia niepewności. A ostatnie miesiące przebiegły tak szybko, że teraz, na moment przed rozwiązaniem, byli kompletnie nieprzygotowani.

– Wiem.

Scalviati popatrzył na żonę z odrobiną goryczy. Tak bardzo chciałby wyrazić ten gąszcz emocji, których doświadczał, ale było tak, jakby znajdowały się w niedostępnym miejscu.

Nie złościł się na Gretę za to, że postanowiła spędzić te ostatnie dni u rodziców. Teraz czuł wręcz ulgę. Oddalenie było bolesne, ale to była konieczna ofiara.

Już od zbyt dawna błąkał się w ciemnościach.

Już zbyt długo patrzył w twarz złu, by nie odczuć konsekwencji.

– Chciałbym, żebyśmy przestali tak się czuć – udało mu się powiedzieć. – Chciałbym, żebyśmy przestali ciągle szukać chłodnego miejsca w łóżku. Przynajmniej ci, że postaram się, żeby to był nowy początek. I że będziemy razem silniejsi niż przedtem.

– Ja też tego chcę.

Scalviati spuścił oczy, zbliżając twarz do brzucha Grety.

– Nie udało się to tak, jak planowałem, i mam nadzieję, że mi przebaczysz, że nie byłem zaangażowany tak, jakbym chciał. Ale to się zaraz wydarzy i tak bardzo chciałbym móc cię już poznać. Mam nadzieję, że będziesz miała oczy po mamie i że zawsze będziesz umiała powiedzieć, co czujesz. Mam nadzieję, że przebaczysz mi, że wybrałem taki zawód i że pewnego dnia zrozumiesz, że zrobiłem to także dla ciebie, ufając, że

uczynię świat lepszym miejscem. Bo mimo wszystko chcę dalej wierzyć, że sprawiedliwość wciąż ma znaczenie. – Zrobił krótką pauzę, by uwolnić ściśnięte gardło. – Przykro mi, że wciąż nie wybraliśmy ci imienia. Ale pamiętaj, że czekam na ciebie, jak się czeka na największe skarby. Zrobię wszystko, żeby cię chronić. I zawsze będę przy tobie.

W poniedziałkowym artykule Leda de Almeida posunęła się dalej, ogłaszając, że dowiedziała się od źródła w prokuraturze, że śledczy weszli w posiadanie niepodważalnych dowodów, które obciążą prawdziwego odpowiedzialnego za morderstwa, i że przełom spodziewany jest w każdej chwili.

W konkluzji sugerowała, że prawdziwy potwór kryje się wśród personelu konsulatu, w którym pracował Kristof Leigh-Allen.

Tekst wywarł piorunujący efekt, monopolizując dyskusje w kawiarniach i na placach, stanowiąc pożywkę dla teorii spiskowych i siejąc zamęt w miejskiej administracji.

Przez cały ranek telefony w redakcji dzwoniły bezustannie, tak że w końcu Enrico Loi musiał powierzyć dwóm praktykantkom zadanie odbierania telefonów i recytowania za każdym razem suchego *no comment*: ewentualne kolejne informacje pojawią się wyłącznie na stronach gazety.

Burmistrz zadzwonił do redaktora odpowiedzialnego za wydanie, prosząc, by upublicznić tożsamość informatora. W odpowiedzi na nieuniknioną odmowę oskarżył go o spekulowanie na tragedii tylko po to, by sprzedać więcej egzemplarzy i zagroził, że złoży skargę do korporacji dziennikarzy.

Ramówka głównych telewizji w kraju została zmodyfikowana, by zrobić miejsce na pogłębione reportaże i talk-show na ten temat. Ekipa RAI stanęła przed wejściem do redakcji gazety, licząc na wywiad z De Almeidą po powtarzanych nadaremnie próbach skontaktowania się z nią telefonicznie.

Niedługo przed porą obiadu prokurator okręgowy Bevilacqua wezwał Scalviatego do swojego biura. Zrobił mu coś w rodzaju przesłuchania, by

dowiedzieć się, czy to on stał za przeciekami.

Prokurator energicznie odparł zarzuty, twierdząc że każdy w prokuraturze mógł grzebać w jego papierach i że musiało chodzić o próbę wprowadzenia zamieszania albo, być może, zdyskredytowania go.

Nie był dumny z tego, że musiał skłamać, ale kiedy mechanizm został już wprawiony w ruch, nie mógł ryzykować, że popsuje całą operację.

Po południu Scalviati spotkał się z inspektorem Costanza i agentem Stonerem, by przedyskutować możliwe scenariusze i wspólnie ustalić strategię działania.

– Mam nadzieję, że pan wie, co robi, prokuratorze – powiedział Costanza przy pożegnaniu. – Bo ryzykujemy głową.

Scalviati wrócił do domu krótko przed dziesiątą wieczorem.

Kolację jadł sam w pogrążonej w ciszy kuchni, podgrzewając na blasze kromkę chleba z kilkoma plasterkami sera. Kiedy skończył, poszedł do gabinetu.

Z każdą godziną napięcie stawało się coraz cięższe do zniesienia. Zmęczenie i bezsenne noce wystawiały jego nerwy na ciężką próbę i nagle poczuł się przytłoczony niepewnością. Grał o wszystko, wiedząc, że nie ma w ręku dobrych kart. Co się stanie, jeśli Terrazzano przejrzy jego bluff?

Gra toczyła się o reputację prokuratora, ale nie tylko. Ryzykował hańbę postępowania dyscyplinarnego, utratę pracy. Narażał przyszłość własną i swojej rodziny.

Z pewnym drżeniem otworzył szafkę w rogu, ukazując drzwi sejfu. Wprowadził kod i wyciągnął z sejfu pistolet kaliber 9, który podarował mu ojciec z okazji nominacji na sędziego śledczego. To były lata terroryzmu i eskalowania konfliktów, masakr i zamachów, kiedy praca w organach wymiaru sprawiedliwości mogła być powodem znalezienia się na celowniku radykalnych, uzbrojonych grup.

Od tamtego czasu zawsze był tam zamknięty.

Scalviati zważył go przez chwilę w dłoniach, wyciągnął magazynek i włożył naboje. Potem wsunął go do teczki.

Wyszedł z gabinetu, zostawiając otwarte drzwi.



O czwartej po południu, we wtorek 13 września, delegacja konsularna złożona z sekretarza Terrazzano i pracownika Biura Spraw Publicznych przekroczyła próg prokuratury.

Scalviati minął Terrazzano w korytarzu, wracając z kawiarni. Wymienili szybkie spojrzenia, nie odzywając się do siebie. Ale nerwowość na twarzy sekretarza malowała się bardzo wyraźnie, jakby trwała w nim wewnętrzna walka, by zachować spokój.

Maski opadły. Mieli się skonfrontować, nie można już było się wahać. Obaj wiedzieli, że mają przed sobą ostatnie pchnięcia w pojedynku, który prowadzili na odległość już od zbyt dawna. I że nie będzie już możliwości wycofania się. Dla żadnego z nich.

We wtorkowym wydaniu „La Stampa” opublikowano profil kryminalistyczny potwora zredagowany przez agenta Stonera. Po raz pierwszy seryjny zabójca, znany pod pseudonimem Zenit, został wskazany jako prawdziwy odpowiedzialny za morderstwa potwora. Było to ostateczne uderzenie mające go skłonić do popełnienia błędu. Ale nie było żadnej pewności, że się to uda.

Scalviati zacisnął pięści. Kiedy tamtych dwóch zniknęło w drzwiach biura Bevilacqua, przesunęły mu się przed oczami obrazy, które oglądał na miejscach zbrodni. Wizje sponiewieranych ciał odcisnęły mu się w pamięci jak blizny. Przelana krew wołała o sprawiedliwość.

Dobrze pamiętał nazwiska wszystkich ofiar.

Wystarczająco długo badał tę sprawę, by poznać ich historie, przyjaźnie, aspiracje. Upokarzająca była świadomość, że odpowiedzialny za ich śmierć jest o krok od niego, a on nie może nic zrobić, aby go zatrzymać.

„Jeszcze nie”, wyszeptał do siebie.

Nie mógł uwierzyć w to, z jaką swobodą Terrazzano zjawił się w prokuraturze. Z pewnością opowie jakąś głupią anegdotę, by potwierdzić tezę, według której Kristof Leigh-Allen i Salvatore Canu byli jedynymi odpowiedzialnymi za morderstwa.

Scalviati jako jedyny się z tym nie zgadzał. Dobrze wiedział, że w gruncie rzeczy Allen tylko sprzątał dla Terrazzano. Był narzędziem w służbie jego obsesji.

W prokuraturze był już zupełnie osamotniony; została przy nim garstka najwierniejszych, gotowych pójść za nim. Osobliwa drużyna złożona z ludzi z różnych miejsc, których jednoczyło poczucie sprawiedliwości przeważające nad posłuszeństwem prawu.

Costanza, Loiacono, Stoner, De Almeida.

Każdy miał dobre powody, żeby odpuścić. I każdy zamierzał iść na całość.

Pocieszała go myśl, że stan posterunkowej Fornasier wreszcie się polepszał. Lekarze stwierdzili, że są rokowania na poprawę jej zdrowia.

Prokurator doszedł do swojego biura. Wziął teczkę, pożegnał Cecilie i ruszył do hallu.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, wsiadł do giulietty inspektora Costanzy zaparkowanej po drugiej stronie ulicy i usiadł na miejscu pasażera.

– Terrazzano jest w biurze prokuratora okręgowego – powiedział.

– Co za tupet. Czyli teraz się zmierzymy.

– Na to wygląda.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, to niech pan wie, że jestem dumny, że pracowałem z panem nad tą sprawą.

Scalviati odwrócił się do niego.

– A ja z panem.

Spotkanie Terrazzano z Bevilacqua trwało pół godziny. Nikt nie wiedział, co sobie powiedzieli, ale ich rozmowa nie mogła być zbyt szczegółowa. Trudno było się temu dziwić. Wszyscy wiedzieli, że to czysta formalność, łącznie z nielicznymi dziennikarzami, którzy zgromadzili się

na ulicy, żeby udokumentować spotkanie i spróbować uzyskać jakąś deklarację od któregoś z uczestników.

O 16:40 Scalviati zobaczył Terrazzano i jego przybocznego. Ignorując fotografów i mikrofony dziennikarzy, wsiedli do samochodu konsulatu, który ruszył w kierunku placu Savoia. Costanza włączył silnik i ruszył nieśpiesznie, jadąc za nimi z rozsądnym dystansem, próbując nie rzucić się w oczy, a jednocześnie nie zgubić ich wśród innych aut. Po przejechaniu via Ludovico Ariosto samochód Terrazzano, zamiast skręcić na Mediolan, w kierunku konsulatu, pojechał prosto, wjeżdżając w via San Pietro in Vincoli, w stronę lotniska.

– Wiedziałem – skomentował Scalviati.

– Nie wierzę. Łyknęli to!

Ale entuzjazm trwał krótko. Po zatrzymaniu się na światłach, gdy samochód Terrazzano wjeżdżał na corso Principe Oddone, furgonetka z zaciemnionymi szybami nagle przecięła drogę Costanzy, który musiał gwałtownie skręcić, by uniknąć zderzenia.

Inspektor nacisnął klakson pięścią i wychylił się przez okno.

– Co ty masz, kurwa, w głowie? Zjeżdżaj!

Ale furgonetka dalej stała na drodze, nieporuszona, jakby coś się w niej właśnie zepsuło, przez co w krótkim czasie wokół rozwidlenia utworzył się mały korek, który uniemożliwił im ponowne włączenie się do ruchu.

– Coś tu nie gra – wymamrotał Scalviati

– Myśli pan, że to jest jakiś pomocnik Terrazzano?

– Niewykluczone. Stoner mówił, że wciąż ma dużo kontaktów ze służbami. Może próbują go wywieźć w bezpieczne miejsce.

Costanza wysiadł z samochodu i ruszył szybkim krokiem w stronę furgonetki. Kiedy już do niej dochodził, ta ruszyła z piskiem opon. – Sukin...

– Jedziemy! – krzyknął Scalviati przez okno, próbując przekrzyczeć hałas ruszających samochodów, symfonię klaksonów i ryk rozpędzanych silników.

– I gównu, zgubiliśmy go – powiedział tamten, wsiadając w pośpiechu.

– Zachowajmy spokój. Jeśli jedzie w stronę lotniska, Loiacono może go przechwycić na corso Venezia.

Costanza zerwał z uchwytu słuchawkę radiotelefonu.

– Como dwa, odbiór!

Szum zakłóceń. A potem z głośnika:

– Tu Como dwa. Słyszę wyraźnie, inspektorze. – Ustalili, że będą używać innej częstotliwości, żeby nie przeszkadzały im komunikaty policjantów na służbie.

– Mamy nieprzewidzianą sytuację. Zgubiliśmy obiekt, ale powinieneś mieć go w polu widzenia za chwilę tam, gdzie jesteś.

– Odebrałem. Czekam w gotowości.

Kiedy inspektor prowadził samochód po moście na Dora Riparia, Loiacono znowu się odezwał.

– Mam go. Jedzie na północ, w stronę Caselle.

– Nie trać go z oczu. – Costanza zaczepił koguta na dachu i docisnął pedał gazu.

Droga na lotnisko zajęła jakieś pół godziny. A mniej niż sekundę trwało zrozumienie, że coś poszło nie tak. Isaak Stoner czekał na Terrazzano w hallu, gotowy, by wsiąść z nim w samolot do Nowego Jorku; chciał mieć pewność, że tamten nie ulotni się w czasie jakiejś przesiadki. Grupa agentów FBI była gotowa do interwencji, gdy tylko Terrazzano postawi stopę w Stanach Zjednoczonych.

Ale kiedy Costanza i Scalviati dojechali na parking lotniska Caselle, zastali tam radiowóz Loiacono z migającym sygnałem stojący obok samochodu z konsulatu, a przy nim Stonera i młodego aspiranta mówiących z ożywieniem z kierowcą auta.

Przed wszystkim Scalviati zajrzał przez okno do wnętrza pojazdu. Na tylnym siedzeniu był tylko urzędnik, który pojechał z Terrazzano do prokuratury. Miał przerażone spojrzenie i przyciskał neseser do piersi, jakby obawiał się napadu.

– Gdzie u diabła jest Terrazzano?

– Nie dotarł tu – odparł Stoner lapidarnie.

– Dojechałem za samochodem aż tutaj – wtrącił Loiacono. – Po prostu okrążył parking. Już miał wyjeżdżać i wracać do miasta i musiałem zainteresować.

– I z samochodu nikt nie wysiadł?

– Przez cały czas nie traciłem go z oka.

– A co mówi kierowca?

– Nie chce nic mówić – powiedział Stoner.

Scalviati potrząsnął głową.

– To bez różnicy, to jasne, że wykonywał po prostu jego polecenia. Loiacono, proszę go puścić. Nietrudno zrozumieć, co się wydarzyło.

– Cholerna furgonetka! – wybuchnął Costanza.

Stoner spojrział na niego zdumiony.

– Jaka furgonetka?

Scalviati powiedział mu, co się zdarzyło wcześniej.

– To musiał być jego pomocnik. Zorganizowana dywersja, żeby zmylić jego ślad. Terrazzano pewnie wysiadł z samochodu, kiedy straciliśmy go z oczu. Kazał kierowcy jechać dalej na lotnisko jakby nic się nie stało, wiedząc, że dojedziemy za nim aż tutaj.

– Już za późno, żeby organizować blokady – zawtórował mu Costanza. – Jak mogliśmy dać się w to wciągnąć... jak żółtodzioby!

– W tej chwili nie ustalimy, dokąd poszedł – powiedział Stoner. – Może ma w mieście jakąś kryjówkę, o której nic nie wiemy, tak jak przez lata trzymał w tym kinie ukryty komputer...

Prokurator skierował wzrok na widniejące w oddali Alpy, majestatyczne, milczące obserwatorki unoszące się w niebo.

– Jeśli chciał zostać w mieście – pomyślał na głos.

– Co ma pan na myśli?

W oczach Scalviatego pojawił się błysk łowcy.

– Może chce tylko, żebyśmy uwierzyli, że nie chce wyjeżdżać z kraju. Chce, żebyśmy myśleli, że gdzieś się ukrył, a tak naprawdę jedzie już w nowe miejsce.

– Nie postawi stopy na lotnisku bez naszej wiedzy – zaproponował inspektor.

– Proszę się rozejrzeć, Costanza. Co pan widzi?

– A ja wiem? Terminal?

– Góry! Tam na zachodzie jest góra Fréjus, miejsce granicy z Francją.

– Pomnik na piazza Statuto jest poświęcony ofiarom z Fréjus – podsunął Stoner.

– Zenit postanowił wyjechać z Włoch symbolicznym tunelem – skonkludował Scalviati. – Po raz kolejny związanym z trójkątem zła.

Scalviati przebiegł przez hall dworca Porta Nuova do stanowiska policji kolejowej.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati – powiedział, dysząc. – Potrzebuję pani pomocy.

– Słucham – odparła policjantka w okienku patrząc na niego nieco nieufnie. Prokurator był purpurowy. Pocił się obficie i miał błędny wzrok.

– Musimy przeszukać wagony pasażerskie pociągu do Lyonu. Mam powody sądzić, że wsiadł do niego podejrzany o morderstwo.

– Przykro mi, prokuratorze. Pociąg odjechał niemal pół godziny temu.

Prokurator tupnął z wściekłością. Terrazzano idealnie skalkulował czas, dobrze wiedząc, że pościg nie dotrze na dworzec przed odjazdem pociągu, nawet jeśli przejrzą jego intencje. Nie po tym, jak pojedą aż na lotnisko za autem z konsulatu. Choć Costanza jechał na sygnale, powrót do miasta zajął prawie czterdzieści minut.

– Musimy go zatrzymać, zanim dotrze do Modane – powiedział, ocierając czoło rękawem marynarki.

– Na pewno dobrze się pan czuje?

– Musi pani zaraz skontaktować się z maszynistą. Ten pociąg nie może przejechać przez granicę!

Policjantka przez chwilę nic nie mówiła, jakby nie wiedziała, co ma zrobić. Potem spojrzała twardo.

– Czy mogę zobaczyć pana dokument?

Scalviati odruchowo pomacał wewnętrzne kieszenie marynarki w poszukiwaniu portfela. Ale zostawił go w torbie w samochodzie Costanzy.

– Proszę posłuchać, nie mam czasu na dyskusje. Liczy się każda minuta!

– Muszę pana poprosić o opuszczenie posterunku – poleciała policjantka, wstając. – Albo będę musiała podjąć środki.

– Środki? Jakie... Nie rozumie pani powagi sytuacji! Chcę rozmawiać z pani zwierzchnikiem.

– Co tu się dzieje? – rozległ się od progu głos Costanzy. On też był widocznie zgrzany. Głośno sapał i trzymał dłonie na kolanach.

– Pan jest z tym mężczyzną? – spytała policjantka.

Costanza wyciągnął z kieszeni legitymację i rzucił ją na blat.

– Nadinspektor Romano Costanza, komenda w Turynie. To jest młodszy prokurator Francesco Scalviati, odpowiedzialny za śledztwo w sprawie potwora, więc proszę ważyć słowa.

Kobieta się usztywniła, jakby zaraz miała stanąć na baczność.

– Bardzo przepraszam. Po prostu chciałam wyjaśnić sytuację.

Scalviati wbił w nią wzrok.

– Ile czasu zajmuje droga do granicy?

– Mniej więcej dwie godziny.

– Proszę mi pokazać, jak biegnie trasa.

Policjantka wyciągnęła mapę z szuflady i rozłożyła ją na blacie.

Scalviati krótko na nią popatrzył.

– Możemy dać radę, ale nie ma chwili do stracenia. – Zwracając się do Costanzy, dodał: – Proszę mi dać kluczyki. Za pół godziny ten przeklęty pociąg powinien dotrzeć do Bussoleno. Jeśli się pośpieszę, dojadę tam w rozsądnym czasie. Proszę tu zostać i ustalić z konduktorami, żeby pociąg nie opuścił stacji.



Scalviati mocno trzymał kierownicę, nie ruszając stopy z wciśniętego do końca pedału gazu, wyprzedzając szybko z wyjąłym silnikiem.

Słońce skryło się za sylwetkami gór.

Miejska sceneria ustąpiła miejsca alpejskiemu krajobrazowi: roślinność bujnie porastała stoki. Po parkingach i placach przed blokami przyszedł czas na łąki i lasy, drzewa migąły w oknach, coraz bliżej, w miarę, jak droga się zwężała.

Krew pulsowała mu w skroniach w rytm uderzeń serca. Nie było już miejsca na wahania ani na planowanie chytrych ruchów. Teraz była to już sprawa osobista. W głowie miał tylko jeden cel.

Zatrzymać Terrazzano za wszelką cenę.

Kiedy dotarł w pobliże terenu zabudowanego Bussoleno, musiał zwolnić, bo zwiększył się ruch. Wjechał na plac przy stacji i zostawił samochód zaparkowany bokiem naprzeciwko fasady.

Otworzył torbę i wyciągnął broń. Włożył ją za pasek i ruszył szybkim krokiem na peron, gdzie stał pociąg do Lyonu.

Sporo osób chodziło nerwowo w tę i z powrotem, niektórzy korzystali z nieprzewidzianego postoju, by wypalić papierosa albo rozprostować nogi.

Kierownik pociągu stał koło wejścia do lokomotywy, rozglądając się wokół z pewną niecierpliwością i co chwila zerkając na zegarek. Był tak zatopiony w myślach, że na głos podchodzącego z tyłu Scalviatego omal nie podskoczył.

– Młodszy prokurator Francesco Scalviati. Muszę przeszukać pociąg, jeden z pasażerów jest podejrzany, może być niebezpieczny.

Kierownik pociągu odetchnął z ulgą.

– Dzień dobry, czekałem na pana. Poinformowano mnie z Turynu, jaka jest sytuacja. Tutaj, proszę. – Wszedł po schodkach do pierwszego wagonu.

Scalviati poszedł za mężczyzną długim korytarzem, patrząc w twarze siedzących pasażerów.

– Przyznaję, że zostałem postawiony w trochę trudnej sytuacji. Kazano mi powiedzieć pasażerom, że jest awaria lokomotywy, ale nastroje zaczęły się, powiedzmy... zaostrzać.

– Mhm – mruknął z roztargnieniem Scalviati. Jego oczy przesłakiwały z pasażera na pasażera, był pewny, że wkrótce wyłowi twarz Terrazzano spomiędzy niezliczonych obcych, którzy przesuwali się koło niego.

Nie musiał długo czekać.

Zobaczył go przez oszklone przejście do czwartego wagonu. Siedział blisko wyjścia i wychylał się podejrzliwie na korytarz. Musiał wyczuć, że za tym przymusowym postojem kryje się coś dziwnego.

Ich spojrzenia przecięły się na moment.

Terrazzano rozpoznał prokuratora stojącego za plecami kolejarza.

Nie wahał się ani chwili. Wyciągnął spod siedzenia berettę kaliber .22 i oddał kilka strzałów.

Scalviati zareagował odruchowo: szarpnął kolejarza za rękaw, odciągając go z linii strzału. Szkło z przejścia rozbiło się, na wszystkie strony posypały się odłamki.

Podniósł się chór krzyków, jedni pasażerowie wstawali i biegli do wyjścia, inni rzucali się na ziemię szukając osłony.

Słyszając kolejne strzały, wśród przelatujących koło niego kul, Scalviati pomógł kierownikowi pociągu stanąć, bo ten nagle jakby stracił równowagę.

Poczuł ciepłą ciecz przepływającą między palcami i zdał sobie sprawę, że mężczyzna krwawi.

Został trafiony w szyję. Krew lała się obficie, nie do zatrzymania.

Scalviati pośpiesznie przycisnął ranę, próbując desperacko zatrzymać upływ krwi.

– Nie, nie, nie! – powiedział, widząc, że światło gaśnie w oczach kolejarza.

Spojrzał z wściekłością na Terrazzano, który przepychał się między uciekającymi pasażerami, by dotrzeć do wyjścia z drugiej strony wagonu. Zdjął marynarkę i przykrył nią zwłoki kierownika pociągu. Potem rzucił się do wyjścia.

Krew kapiąca z dłoni i przesączająca koszulę musiała nadawać mu wygląd ponurej zjawy z koszmaru. Ale jak się zdawało, nikt z pasażerów się nim nie przejmował, wszyscy rozbiegali się po peronie by znaleźć schronienie.

– Terrazzano! – krzyknął.

Tamten przeszedł przez perony i skierował się w stronę miasteczka. Scalviati poszedł jego śladem, nie odrywając od niego wzroku; Terrazzano dotarł już do ulicy i wymachiwał uzbrojoną ręką licząc, że zatrzyma przejeżdżający samochód.

Jakieś auto zahamowało w samą porę, by go nie potrącić, ale kierowca stracił nad nim panowanie; ze strasznym hukiem zderzyło się z pojazdem nadjeżdżającym z przeciwnika. Samochód jakby się wygiął, wspiął na dwóch kołach, jak gdyby miał polecieć, wreszcie wywrócił się na bok i ześlizgnął po asfalcie z wciąż włączonym silnikiem i kręcącymi się na próżno kołami.

Terrazzano przelotnie spojrzał przez ramię, żeby sprawdzić, gdzie jest człowiek, który go ściga, potem rzucił się naprzód i zniknął w zaułku.

Scalviati był zdeterminowany, by nie stracić go z oczu. Moment niezdecydowania mógł skończyć się katastrofą. Budynki o rozmazanych konturach migły obok niego, gdy biegł z wysiłkiem mimo zmęczenia i coraz krótszego oddechu.

Udało mu się zmniejszyć dystans do końca zabudowań, niedaleko początku lasu, ale Terrazzano nagle przyśpieszył i zdołał zdobyć kilka metrów.

Płuca Scalviatiego płonęły, mięśnie się rozpadały. Musiał się zatrzymać, żeby zaczerpnąć powietrza, zginając się w pół i opierając o poręcz mostu

na Dora Riparia, której wzburzone wody przetaczały się pod łukami.

Czuł skurcze żołądka i kwaśny smak w ustach, tak intensywny, że bał się, iż wymiotuje.

Wystrzał rozpruł powietrze i Scalviati skulił się instynktownie za betonowym filarem.

Terrazzano był pod nim, stał nieruchomo na brzegu rzeki z wyciągniętą sztywno ręką, w której trzymał broń. Szybko oddał dwa kolejne strzały.

Kule odłupały kawałki betonu, wzbijając obłok pyłu. Scalviati przycisnął ramiona do piersi, jakby chciał ochronić coś drogiego. Nie śmiał się ruszyć, dopóki nie usłyszał szybkich kroków oddalającego się Terrazzano.

Prokurator wychylił się na tyle, by mógł stwierdzić, że nie stracił go z oczu. Ale obraz nie był wyraźny, krzewy wydawały się spiralnymi ramionami, które zaraz mogą się w niego wczepić. Zobaczył tamtego na chwilę przed tym, jak zniknął pochłonięty przez leśne cienie.

Skupił całą siłę woli i znów zaczął biec. Pokonał odległość dzielącą go od drugiego końca mostu i ruszył ścieżką schodzącą do rzeki. Kiedy dotarł na brzeg, rozejrzał się.

Ani śladu Terrazzano. Wystarczyło kilka sekund, by zniknął z pola widzenia.

Scalviati nasłuchiwał przez dłuższą chwilę. Słyszał tylko świst wiatru i pomruk rzeki płynącej obok niego.

Ruszył w stronę lasu, mając nadzieję, że zobaczy, jak Terrazzano pojawia się znów wśród drzew. Posuwał się naprzód ostrożnie, wzrok próbował przebić się przez gęstniejącą ciemność.

Ale im bardziej zagłębiał się między zarośla, tym wyraźniej rozumiał, że tamten mógł uciec.

Czy to możliwe, że to wszystko było na nic?

Czy to możliwe, że udało mu się uciec właśnie w momencie, kiedy czuł, że ma go już w garści?

Scalviati szedł dalej ubitym szlakiem, pnącym się stromo pod górę, mijając kolejne scenerie, jedną podobną do drugiej, za towarzyszy mając

wyłącznie drzewa pnące się do bezkłęzycowego nieba.

Błąkał się przez jakiś czas, wreszcie zszedł z powrotem z góry, kierując się w stronę odległego zagajnika nad brzegiem rzeki, gdzie znajdował się jakiś opuszczony zakład przemysłowy. Kompleks składał się z kilku zniszczonych budynków otaczających łąkę na rzece.

Prokurator dotarł do głównego gmachu. Wychylił się przez próg, żeby zajrzeć do środka. Na betonowej podłodze rozlewały się mętne kałuże. Na przestrzeni pomiędzy filarami wznoszącymi się do sufitu piętrzyły się powywracane metalowe regały i maszyny przeżarte rdzą. Był to dawno nieużywany tartak. Proste metalowe schody pięły się spiralnie na podwyższenie, na którym kiedyś znajdowały się biura.

Szelest za plecami kazał mu momentalnie się odwrócić.

Ale było za późno.

Szybki jak kobra, Terrazzano zacisnął mu ramię wokół szyi i zaczął go dusić, a drugą ręką wciskał mu w bok lufę pistoletu.

– Ćśś... – wyszeptał. – Rozluźnij się. Łowy się skończyły. Dzisiaj nie ma kłęzycy, ale będziesz moim najcenniejszym łupem.

W odruchu desperacji Scalviati odepchnął się wszystkimi siłami od napastnika, zmuszając Terrazzano do odrzucenia ręki, w której trzymał pistolet, by mógł złapać równowagę.

Rozległ się strzał, kula wbiła się w jeden z filarów, wzbijając chmurę odłamków.

Obaj zwalili się na ziemię, wczepiając się w siebie w konwulsyjnym uścisku.

Scalviati wywinął się szarpnięciem i przeturlał na bok. Szybko pomacał podłogę wokół siebie, szukając czegoś, czym mógłby się obronić. Natrafił na łopatę opartą o ścianę. Chwycił ją oburącz i wstając, gwałtownie ugodził nią Terrazzano, próbując wytrącić mu z ręki broń.

Tamten błyskawicznie się zasłonił, przyjmując cios na przedramiona. Udało mu się utrzymać pistolet. Tyłem przemknął w stronę wyjścia, nie przestając strzelać.

Scalviati oparł się plecami o próg, jakby szukając chwilowego schronienia. Wyciągnął swój rewolwer zza paska, obrócił magazynek, by kula weszła w lufę. Odpowiadał strzałem na strzał, tworząc wokół siebie zasłonę dymną.

Potem skoczył naprzód.

Po szalonym biegu znaleźli się naprzeciwko siebie nad brzegiem rzeki. Mrok zapadał nad nimi, jakby niebo pogrążało się w otchłani.

Terrazzano gorączkowo rozejrzał się wokół. Scalviati miał go na muszce pozostając w pewnej odległości. Nie było drogi ucieczki.

– Rzuć broń – kazał mu prokurator. – Czeka na ciebie lot do Nowego Jorku.

Terrazzano próbował odpowiedzieć, ale z ust wydobył mu się tylko nieartykułowany bulgot.

Chwiał się, jakby nagle nie był w stanie utrzymać się na nogach.

Opuścił oczy i zobaczył rany od kul, które przebiły mu pierś i brzuch. Osłupiały, spróbował podnieść rękę, by wycelować, ale broń wypadła mu z dłoni.

Wściekłość i zdumienie. W jego oczach migotało niedowierzenie w porażkę, której nigdy nie brał pod uwagę. Jakby był przekonany, że cała krew, którą przelał, naprawdę uczyniła go nieśmiertelnym. Tymczasem był tylko człowiekiem.

Człowiekiem, który mógł krwawić.

Człowiekiem, który mógł umrzeć.

Zrobił niepewny krok wstecz, w ostatniej próbie znalezienia oparcia. Ciemna stróżka pociekła mu z ust. Źrenice uciekły do góry.

Stracił równowagę i upadł bezwładnie w rwące wody rzeki.

Prąd pociągnął go sto metrów dalej, objając go o skały wynurzające się ponad powierzchnię, wreszcie wyrzucił go na brzeg.

Scalviati nadaremnie próbował go reanimować.

Nic już nie dało się zrobić, musiał po prostu przyjąć do wiadomości jego zgon.

Terrazzano miał rację.

Łowy się skończyły.

Ale Scalviati wcale nie czuł ulgi. Tak długo kroczył w mroku, że zagubił wszelkie punkty orientacyjne.

Prokurator siedział pochylony nad zwłokami przez jakiś czas niezdolny się ruszyć.

Dopóki nie usłyszał w oddali podnieconych głosów, które coraz bardziej się zbliżały.

Okolica zafalowała od ruchomych błysków. Smug światła, które przecinały powietrze.

– Tutaj ktoś jest!

Kroki w biegu.

Inspektor Costanza pojawił się obok niego.

– Prokuratorze, jest pan ranny?

– To nie jest moja krew – odparł zgnębiony.

Costanza skierował latarkę na ciało Terrazzano leżące na brzegu rzeki. Wyglądał na zanurzonego w stosie krwistoczerwonych alg wśród kamieni i połamanych gałęzi. Inspektor dotknął szyi, szukając pulsu. Potrząsnął głową.

– Musimy zaraz wracać do Turynu. – W jego głosie było ponaglenie.

Podczas gdy otaczali ich pozostali, Scalviati spojrział na niego pytająco.

Costanza wyglądał na zmartwionego.

– Chodzi o pana żonę.

# Epilog

Scalviati przebiegł korytarz szpitala, serce biło mu jak szalone, przepychał się wśród personelu i pacjentów, którzy przyglądali mu się bez słowa.

Mając na sobie kitel, który dano mu przy wejściu na oddział, a na twarzy plamy z krwi, wyglądał jak pacjent uciekający z sali operacyjnej.

Kiedy dotarł do pokoju Greta, znieruchomiał na progu, by na nią spojrzeć. W jednej, wspaniałej chwili, w której wydawało się, że nawet czas może się zatrzymać, jego niepokój stopniał.

Greta leżała na łóżku, wsparta na dwóch poduszkach. Trzymała w ramionach maleńkie zawiniątko, kołysząc je delikatnie. Odwróciła się do męża z promiennym uśmiechem, choć po oczach widać było zmęczenie.

– Właśnie puściła pierś.

Scalviati zbliżył się z drzeniem. Pogładził główkę dziewczynki, potem ostrożnie ją pocałował.

Chciałby zadać Grecie setki pytań. Chciał się upewnić, czy za bardzo nie cierpiała, chciał wiedzieć, ile trwał poród, czy się bała, czy pomogli jej jak należy. Czy czuła się sama...

– Przepraszam, że mnie nie było – wydusił i głos mu się załamał.

– Będziesz codziennie. Dzień po dniu.

– Tylko tego chcę.

– Chcesz ją wziąć na ręce?

– Boję się, że coś jej się stanie.

– Wystarczy, że podtrzymasz jej główkę ręką.

Scalviati pochylił się, by ją odebrać. Oparł główkę nowo narodzonej w zgięciu łokcia, wdychając zapach jej skóry.

– Jest taka... mała.



– Trzy kilo siedemset. I waleczny duch.

Scalviati usiadł na łóżku.

– To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Greta skuliła się obok niego, patrząc na niego oczami zasnutymi melancholią.

– Co z nas za rodzice? – jęknęła. – Urodziła nam się córeczka i nawet nie mamy da niej imienia.

Scalviati zwrócił wzrok w stronę okna. Noc już minęła. Blask poprzedzający wschód słońca zaczynał przebijać się przez ciemność. Niebo rozjaśniało się czystymi odcieniami światła.

– Nazwiemy ją Aurora – wyszeptał. – Żeby nigdy nie chodziła w mroku.

Greta ze wzruszeniem w oczach pogładziła twarz dziewczynki.

– Witaj na świecie, Auroro.

## Od autorki

Turyn. Jest wieczór pod koniec lata, jakiś chłopak przejeżdża na bmx-ie przez most Wiktora Emanuela I. Coś przyciąga jego uwagę. Poręcz jest całkowicie zasnuta pajęczynami tkanymi przez pająki wielkości pięści. Chłopak się zatrzymuje. Robi zdjęcie. Poprzedniego dnia jeszcze ich nie było: pojawiły się jakby w jednej chwili.

Fikcja? Nie, prawdziwy fenomen. Oczywiście rzadki. Osobliwy i niewytłumaczalny, ale sama byłam jego świadkiem w młodości w trakcie pobytu w pewnym niemieckim mieście. Ciśnie się na usta słowo „dziwo”.

Postanowiłam zacząć w ten sposób tę powieść ponieważ słowo *monstrum* po łacinie oznacza właśnie „dziwo”. A w Turynie jest *monster*, potwór, który ciągnie za sobą strumień niewinnej krwi.

Bo jest rok 1988 i pojęcie seryjnego zabójcy nie weszło jeszcze we Włoszech do powszechnego słownika. Ale wśród śledczych jest wielkie zainteresowanie rewolucyjnymi technikami prowadzenia dochodzeń, które zaczynają zadomawiać się w Stanach Zjednoczonych – między innymi profilowaniem kryminalistycznym wypracowanym przez Johna Douglasa, Roberta Resslera i Ann Burgess. I właśnie w 1988 roku szef turyńskiego Wydziału Techniki Kryminalistycznej, Luigi La Sala, zostaje wysłany do Quantico, do siedziby FBI, na bilateralne spotkanie sił policyjnych. A ledwie rok później ekipa z FBI zostaje wezwana do Włoch by sporządzić profil kryminalistyczny jednego z najbardziej osławionych seryjnych zabójców: potwora z Florencji.

Zaczęłam czytać o początkach profilowania we Włoszech kilka lat temu, pisząc powieść *Osservatore oscuro*. Nie wiedziałam jeszcze, czego właściwie szukam, ale nie mogłam przestać zgłębiać tematu. I pomysł na tę powieść zaczął nabierać kształtów w mojej głowie. Filmy dokumentalne, wywiady, stare artykuły prasowe rozsnęły sieć punktów, które pozwalały

zrekonstruować mentalność tamtej epoki, w której nowe metody prowadzenia śledztwa nabierały coraz większej wagi, ale jednocześnie, wśród przedstawicieli starej szkoły, budziły sporą nieufność.

Potem, w miarę jak zagłębiałam się w pisanie powieści, jej świat jakby wessał mnie w siebie. I im bardziej rozglądałam się wokół, wracając myślą do dzieciństwa i osobistych doświadczeń, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że tamten świat wcale nie dawał poczucia bezpieczeństwa.

„Non si esce vivi dagli anni Ottanta” – „Z lat osiemdziesiątych nie uchodzi się z życia”, śpiewał zespół Afterhours. Jakby przypominając, że ekscesy, błyskotki i szpatmatyczna pogoń za sukcesem miały swoją ciemną stronę. Jakiś przykład? Kto, tak jak ja, dorastał w tamtych czasach, nie bał się „Czarnego Luda”... ale właśnie potwora z Florencji. Postaci, która potrafiła nadać nowy kształt imaginarium strachu całego pokolenia. Jako dziewczynka byłam wręcz przekonana, że przeprowadził się *incognito* do mojego miasteczka i że jeśli nie będę grzeczna, to zapuka do moich drzwi.

Niepewność i poczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa siał nie tylko bezustanny szum medialny z serwisów informacyjnych w porze kolacji; wynikały również z tego, że miejsca publiczne przestano traktować jak bezpieczną przestrzeń. To były lata heroiny; wracając ze szkoły, można było natknąć się na zwłoki na huśtawce z igłą wciąż wbity w ramię. W parku trzeba było uważać, gdzie się stawia nogi, żeby nie nadepnąć na zużytą strzykawkę. To były lata AIDS i toksycznego obłoku z Czarnobyli, ale także niekończących się zamachów mafii, przeczesywania Aspromonte w poszukiwaniu porwanych, katastrofy lotniczej w Ustica, zamachu na papieża, trzęsienia ziemi w Irpinii, tragedii Alfredina, lata ujawnienia operacji Gladio i śledztwa w sprawie P2. Dla mnie, dziewczyny z Emilii Romanii, dekada rozpoczynająca się zamachem bombowym na dworcu w Bolonii kończyła się hukami strzelanin gangu z białego uno w supermarketach i na stacjach benzynowych.

Przeniosłam tamten niepokój do Turynu, najbardziej tajemniczego i ezoterycznego z włoskich miast. Do miasta, które fascynuje i nigdy nie przestaje opowiadać historii, o czym świadczą arcydzieła kina i literatury,

dla których jest tłem. Miasta, które noszę w sercu i do którego wracam, kiedy tylko mogę. I może właśnie dlatego, że było (i jest) tak ważnym miejscem w moim prywatnym świecie, długo czekałam, zanim postanowiłam opowiedzieć o nim po swojemu.

*Sezon pajaków* pokazuje szaloną procesję strachów i obsesji tamtych czasów, ale jest także freskiem o ówczesnych Włoszech. Konsekwencje eksplozji demograficznej Turynu w czasach boomu. Tragedia w kinie „Statuto”, która kazała ustanowić na nowo normy BHP. Telefony z tarczą, pierwsze gry wideo, seriale w telewizji – *Policjanci z Miami* czy *Magnum*. Muzyka Simple Minds i Duran Duran, początki Litfiba, Vasco Rossiego, Battiato, Rafa.

Właśnie muzyka musiała grać pierwszoplanową rolę w tej powieści, zważywszy, że w latach osiemdziesiątych scena muzyczna była miejscem ciągłych innowacji (i rewolucji) stylistycznych, nieprzewidywalnych nowości. Panował wtedy ten twórczy duch, ten pęd do wprawiania w osłupienie, eksperymentowania, który z czasem ustąpił miejsca większej powtarzalności wypracowanych schematów. Ścieżka dźwiękowa, którą wybrałam, jest eklektyczna i przelałam w nią część mojego własnego „wychowania muzycznego” z czasów, kiedy byłam introwertyczną nastolatką, dla której ubieranie się na czarno było niemal pancerzem chroniącym przed resztą świata.

Od pierwszego pomysłu na książkę nie miałam wątpliwości, że głównym bohaterem będzie prokurator, postać, która zbyt często pozostaje na uboczu powieści kryminalnych, mimo że jest kluczowa dla koordynacji śledztwa i przede wszystkim dla ustalenia prawdy. Figura, która jest dla mnie nierozzerwalnie związana z zaangażowaniem i odwagą bohaterów tej profesji, takich jak Falcone i Borsellino. Prokuratorów, którzy właśnie w tamtych latach byli na pierwszej linii, przypominając o znaczeniu słowa „sprawiedliwość”, o którym zbyt często zapominało.

Francesco Scalfiati, nie przeczę, był początkowo trochę niewyraźny. Może z powodu tego, że ciężko było czytać w jego twarzy albo przez jego małą skłonność do okazywania uczuć. Może z powodu tego tak...

pojemnego nazwiska. Ojciec Aurory Scalviati był dla mnie postacią niemal mitologiczną, również przez to, w jaki sposób idealizowała go córka, czym do pewnego stopnia mnie zaraziła.

Rytualność jego gestów, na przykład sposób, w jaki notuje obserwacje w swoim terminarzu, i jego ton, asertywny, ale nigdy autorytarny, stały się moimi przewodnikami, pozwoliły się do niego zbliżyć, z dużą ostrożnością, dopóki nie ukazał się w całym swoim człowieczeństwie czy nawet omyłności. Francesco Scalviati nie jest bohaterem bez skazy, ale osobą, której powierza się niezwykle ważne i niebezpieczne zadanie w najgorszym momencie – na chwilę, zanim zostanie ojcem.

Jego śledztwo przecina się w kilku miejscach ze śledztwem Ledy De Almeidy, dziennikarki śledczej w starym stylu, dawnej korespondentki wojennej, inspirowanej takimi postaciami jak Graziella De Palo i Iliaria Alpi, które przypląciły życiem uparte poszukiwanie prawdy.

Prócz młodego (i zarozumiałego) agenta specjalnego Isaaka Stonera jest tu cała galeria bohaterów drugoplanowych, takich jak Greta, w swojej nieuchwytniej esencji, inspektor Costanza, aspirant Loiacono, posterunkowa Fornasier i Ludovico „Ludwig” Vignali, a każde z nich chciało dostać dla siebie dużo więcej miejsca niż to, co wyobrażałam sobie na początku. Dało to opowieść znacznie bardziej chóralną, niż się spodziewałam: by utrzymać razem wszystkie wątki wypełniłam notatkami cały zeszyt.

*Sezon pająków* jest pierwszą powieścią nowej serii, umiejscowionej o zmierzchu minionego millenium, lecz budującej też most między przeszłością a terażniejszością. Ponieważ u końca śledztwa rodzi się ona. O świcie, po druzgocącej nocy, ojciec trzyma ją w ramionach i wypowiada słowa na swój sposób prorocze: „Nazwiemy ją Aurora, żeby nigdy nie chodziła w mroku”<sup>[2]</sup>.

Oddaję tę książkę w wasze ręce z wielkim przejęciem. Wkroczcie w ten nowy świat, zbudowany z nowych historii i nowych postaci. Mam nadzieję, że pokochacie je tak jak ja. Dziękuję, że jesteście ze mną w tej przygodzie.

# Przypisy

[1] Zwyczajowa nazwa święta Wniebowzięcia, 15 sierpnia, tradycyjny szczyt sezonu urlopowego we Włoszech (przyp. tłum.).

[2] Aurora jest bohaterką serii powieści Barbary Baraldi, którą polscy czytelnicy będą mogli niebawem poznać (przyp. wydawcy).